

Ernst Wiechert

DZIECI JEROMINÓW

TOM DRUGI

Przełożył: Jerzy Ptaszyński



*„Jest wiele jada w brzdach biedaków”
(Księga Przypowieści XII/23)*

Rozdział 1

Żandarm wiejski Korsanke jechał na swej wysokonogiej, gniadej kobyle przez wieś. Jak zawsze, trzymał się prosto w siodle, a chociaż cichy, ledwo wyczuwalny ból dokuczający mu od miesięcy pod klamrą pasa dawał znać o sobie, on prężył się i ściągając nieco brwi jeszcze surowiej niż dotąd spoglądał ponad głowę strzygącego uszyna konia na drogę wiejską, gdzie kury grzebały w piasku, a po bokach rozkwitały krzaki bzu.

Korsankemu już całkiem włosy posiwiały. Patrzył w prawo i spostrzegł za niskimi chatami cmentarz, szary mur z kamienia polnego, różnorakie krzaki bzu, a wśród nich groby. A na samym końcu cały szereg małych wzgórków; tam śpią dzieci, przez których śmierć pastor Agricola stał się odszczepieńcem. Synek Korsankego też tam śpi od wielu już lat; ojciec ściągnął na chwilę uzdę i patrzył nieruchomym wzrokiem na miejsce wiecznego spoczynku. Stała mu przed oczyma wykrzywiona bólem twarzyczka dziecka z trudem chwyającego powietrze i postać pastora w rogu na klęczkach, z rękoma wzniesionymi ku górze.

Tak, wiele się tu działo, Boże drogi, a strumień czasu spływał w głąb. Przed wojną, podczas wojny i później. Jazdy służbowe w słońcu i w deszcz, dzień za dniem, kradzieże drzewa i kłusownicy, pijaństwo i bijatyki. Martwi leżeli na mchu niewidomymi oczyma wołając o sprawiedliwość, a nad nimi mówiono uroczyste słowa. Stara kobieta z „Biednej Grzesznicy” dyktowała na jego ręce swą spowiedź, a przy mielerzu siadywał Jakub szarpiąc sobie duszę w poszukiwaniu sensu świata. Cesarz nie siedział już na tronie, tylko gdzieś na zamku w Holandii, a Korsanke złożył nową przysięgę, przysięgę na republikę, sam nie wiedząc, co to takiego ta republika. Wielcy wytyczają drogę ojczyźnie, a prości ludzie słuchają. Słuchał także Korsanke. I w republice człowiek potrzebuje chleba, a stary służbista będzie go miał tylko wtedy, gdy powtórzy słowa przysięgi: „Tak mi dopomóż Bóg...” Korsanke ocknął się z zamyślenia i popuścił cugle koniowi. Cichy ból znów się odezwał, ale on nie pójdzie do lekarza. Poczekaj aż powróci Jons Ehrenreich Jeromin, któremu na wojnie przetrącili biodro, a który będzie wielkim doktorem, cudownym doktorem, na jakiego czeka wieś. A on zdejmie przed nim mundur i nie będzie się wstydził, bo przecie kiedyś

trzymał Jonsa na kolanach, bo to swojak, jeden z domu Jerominów, skąd tylekroć przychodziła na świat cudowność, groza i pociecha.

Myśli znowu cofały się w przeszłość, lecz teraz Korsanke wstrząsnął głową, wyprostował się na siodle i dalej pojechał wiejską drogą, co chwila przykładając dwa palce do daszka kasku i wypowiadając parę słów o pogodzie i stanie zasiewów.

Przez okna szkoły, na rozcież otwarte, dostrzegał jasne i ciemne główki obracające się za miarowym truchtem kopyt końskich i słyszał dźwięczny, nieco skrzypiący głos nowego nauczyciela, który był „czerwony”, jak mawiali chałupnicy. Ale Korsanke złożył swoją przysięgę i wszystko jedno mu teraz było, czy za katedrą zasiada czerwony czy czarny, czy ktoś jakiejś tam innej maści. Wszystkie maści zacierała przysięga.

Lecz kiedy Korsanke znalazł się na wzgórzu, gdzie stała dzika grusza i skąd ogarniał wzrokiem wieś i jezioro, las i moczary, westchnął lekko, ściągnął znowu uzdę i zdjął kask uciskający mu czoło. Był człowiekiem prostym, dzieckiem prostych ludzi, a przecie odczuwał, jak piękna jest ta ziemia, po której jedzie. I że to jego ziemia rodzinna. Wieś spaliła się, ale oto znów szarzeją nowe strzechy, bez kwitnie koło płotów, a na wzgórkach obok kościoła stoi ciemny świerk, który zowią „Zmarłym Pastorem”. Gdzie mniszka zżarła lasy, znowu jaśnieje młoda zieleń, rybołów krąży nad jeziorem, a kwitnąca wełnianka okrywa moczary jak lśniąca chusta jedwabna. Pokój, jak okiem sięgnąć, pokój po krwawej wojnie, pokój, jak długo spodoba się tym, którzy od prostego człowieka odbierają przysięgę.

Co za dziwny dzień, kiedy myśli jego odbiegają tak daleko od rewizji, którą miał przeprowadzić w sąsiedniej wsi, i zapuszczają się na kręte drogi wiodące w przeszłość lub w przyszłość. Tylko w chorobie bywa coś takiego, w gorączce, ale Korsanke nigdy nie chorował, a gorączka to nie choroba, póki człowiek na siodle może się utrzymać.

Wtem przez otwarte okna szkoły doszedł go dźwięk skrzypiec nowego nauczyciela, jasny i czysty, a potem kilka akordów cudownie się splatających i rozplatających. Powietrze było tak ciche, że słychać było każde drżenie tonu.

Korsanke zdjął znowu kask, bo czoło go bolało i pomyślał, że tak lepiej mu będzie słuchać. Było mu na duszy prawie tak, jak w niedzielę. Dzwony zginęły w ogniu wraz z kościołem, ale skrzypce także są piękne, gdy ich głos unosi się nad cichą wioską, a tam w domu, w jego starej żołnierskiej skrzyni leżą głęboko na samym dnie dziecięce skrzypczki, które podarował synkowi, zanim dziecięca śmierć przeszła

przez wieś. Nie zagrał już na nich, szarpał tylko niekiedy struny bladymi palcami, a potem złożył je Korsanke w ciemnym ukryciu i nawet żona jego nie wiedziała, gdzie się znajdują.

„Ubogiemu zawsze wiatr w oczy”, jakby na usprawiedliwienie pomyślał jeszcze Korsanke, gdy wtem usłyszał, jak smyczek stuknął o katedrę, a potem dzieci na dwa głosy podjęły nową melodię. Swawolną, natrętną, i jak się wydawało Korsankemu, bezbożną. Melodię jarmarczną, jaka rozbrzmiewa pod migocącą karuzelą i Korsanke pochylił się na siodle, by rozumieć słowa pieśni.

*„Tam nad Renem, w Luksemburgu
Latek temu mnogo,
przyszło na świat dziecko zwane Kuternogą.
Hop, hej, hej, kuter... Hop, hej, Kuternogą.”*

Sam nie wiedząc, co robi, Korsanke nałożył znowu kask, a pomiędzy jego szarymi oczyma ukazała się głęboka bruzda.

Ostatniemu słowu towarzyszyła wesola kadencja, a potem głosy dziecięce zabrzmiały na nowo.

Zachciało mu się grać w teatrze, Lecz matka krzyknie srogo: „Pacierza się wpierw naucz, Obrzydły Kuternogo!” Hop, hej, hej, kuter... Hop, hej, Kuternogo!

Teraz Korsanke wyprężył się w siodle, ściągnął uzdę i nasłuchiwał. Ale już nic go nie doszło. Zamilkły skrzypce, zamilkł śpiew, tylko skowronki unosiły się rozradowane nad polami młodych zasiewów.

A Korsanke pojechał dalej, ze wzrokiem utkwionym w uszach konia. Więc to już nie tylko nowa przysięga i republika. To coś więcej, i nawet jego prosty umysł to rozumie. I za Stillinga dzieci śpiewały, i wtedy Korsanke także zatrzymywał konia. „Jak pięknie świeci nam gwiazda zaranna...”, a on szczególnie lubił tego słuchać. Śpiewały także za Marcina Gołąbka, co to przepadł w rosyjskich stepach, a były to pieśni wesole, takie jakie proste serce układa.

Ale to było coś innego i dzieci z Sowirodu nigdy tak nie śpiewały. „Nowe czasy”, pomyślał Korsanke, „i może dobrze by było pójść na rentę, zanim takie pieśni z chóru kościelnego śpiewać zaczną... obrzydły Kuternoga... iluż to on spotkał na drogach

Rzeszy takich kuśtykających, na kulach i bez, co ponurym wzrokiem spoglądali na niego i konia...”

Dopiero nad brzegiem moczaru ściągnął ostro uzdę, aż stara kobyła stanęła dęba. Uniósł głowę i prawą pięść, jak człowiek, któremu wśród najgłębszych rozważań przychodzi nagle wielka, olśniewająca myśl, odwrócił konia i pognął galopem do chaty Daidy, na samym krańcu wsi. Wiedział, że tam w kuchni koło okna wisi przybita gwoździami do drzewa ściany wielka mapa z wojny światowej, tyle lat po wojnie jeszcze otaczana poważaniem. Nie zważając na wystraszony krzyk kobiety, której fajerka wypadła z rąk, podszedł blisko do mapy i zaczął wodzić palcem po zaciemnionej plamie krajów na lewym brzegu Renu, aż trafił na poszukiwaną nazwę. Odetchnął głęboko i spojrzawszy na pobladłą kobietę swymi przenikliwymi oczyma rzekł: — Wiedziałem, nie leży nad Renem!

— Co się stało, panie wachmistrzuniu? — odrzekła kobieta. — On nigdy w nocy w lesie nie był, jak Boga kocham!¹

Dopiero po chwili Korsanke roześmiał się. Położył jej rękę na ramieniu i skinął głową, by ją udobruchać. — Nie musisz przysięgać — rzekł. — To nie o twojego męża chodzi. Tylko w tej cholерnej pieśni coś z geografją nie w porządku, i przynajmniej on, ten nasz nowy uszczęśliwiacz, powinien o tym wiedzieć.

Po czym wskoczył znowu na siodło i wyjechał klusem poza wieś, nie zważając już na śpiew dzieci, który znów rozległ się na dwa głosy z okien szkoły.

Korsanke jechał dookoła jeziora, ciągle ostrym klusem, nie czując już nawet lekkiego bólu. Dopiero gdy ocieniła go grabina, którą ludzie nazywali „Rajem” i gdzie przed laty padł od kuli Fryderyk Jeromin, ściągnął uzdę i zdjął kask na miejscu, gdzie stara kobieta z „Biednej Grzesznicy” czuwała przy zabitym. Tyle się nazbierało w jego pamięci i nic nie przepadało: ani postacie ludzi, ani słowa, ani pieśni. Nawet kupa brunatnych liści leżąca między dwoma pniakami i słońce złocące zeschłe liście. Dobra pamięć była błogosławieństwem w jego zawodzie, ale dla ludzkiego serca lepsze byłoby zapomnienie.

Teraz jechał do wsi, skąd pochodziła dziewczyna, która dała zmarłemu „ostatnią radość”, jak to Jakub nad trumną powiedział, a on sam nigdy nie mógł się pozbyć podejrzenia, że jej brat wiedział o zbrodni. Na tę rodzinę wpłynął znowu do

¹ Na skutek jednakowego brzmienia nazwy rzeki (Rhein) ze słowem „rein” — czysty, kobieta zrozumiała słowa żandarma, że „sprawa jest nieczysta” [przyp. tłum.].

niego donos, jedna z tak dobrze mu znanych pomiętych kartek, na której czarnymi literami było wypisane, że na strychu domu przechowuje się skórę sarnią i rogi.

Ruszając w dalszą drogę westchnął, stęskniony za paru cichymi latami pokoju. Za pracą koło uli, nad pachnącą grządką goździków, za cichą godziną wieczorną u starego nauczyciela Stillinga, który drżącą ręką cicho obraca globus stojący przed książkami i umie przemawiać tak wnikliwymi słowami mądrości. Znużony już był poszukiwaniem sarnich skór i wnyków, worków ze zbożem i dezerterów.

Wiedział, co to niedostatek, niedostatek ciała i serca, a kto zło wyciąga na światło, łatwo na własnej duszy szkodę ponosi, choćby roniąc coś niecoś z tej radości, którą Bóg w każdej duszy umieścił.

Wjechał wolno w małe obejście, przywiązał konia do rozwalonego płotu i wszedł do kuchni. Stojąca przy ogniu kobieta skinęła mu tylko drwiąco. Pod niskim oknem siedział syn, co do którego Korsanke miał poważne podejrzenie, lewy rękaw kurtki zwisał mu bezwładny i pusty. O tym Korsanke nie wiedział. Ani że wrócił z wojny. Mowę mu na chwilę odjęło i wpatrywał się bez słowa w ten pusty rękaw, a przez pomięte, martwe sukno zobaczył znowu brunatną kupę listowia z „Raju”, oczy zabitego i rozpostarte nad nimi pomarszczone ręce kobiety z „Biednej Grzesznicy”.

— No, to nie ma o czym mówić — rzekł wreszcie. — Chyba że umiesz strzelać tylko lewą ręką.

Twarz zagadniętego ani drgnęła i było cicho jak w kościele, póki kobieta nie rzuciła z brzękiem fajerki na kuchnię.

Korsanke ocknął się, wziął krótką drabinkę opartą o ścianę i powoli wspiął się do włazu strychu. Oświetlił latarką kieszonkową porozrzucone wkoło rupiecie, tu przesunął na bok rozwaloną skrzynię, tam podniósł zmurszałą deskę z podłogi. Wiedział, jak to bywa przy takich rewizjach.

— Uważajcie! — rzekł na dole. — Czasami Bóg czyha i na drugą rękę.

A potem bez pośpiechu dosiadł konia i pojechał dalej drogą przez wieś, nie patrząc ani w prawo, ani w lewo. Czuł się, jakby wyszedł z sali sądowej.

Nie powracał tą samą drogą. Jechał dookoła jeziora, powoli, zatopiony w myślach i tylko gdy perkozy wszczywały wrzawę na zarosłym trzciną brzegu, unosił wzrok i wodził oczyma po szerokiej powierzchni wody. Tyle ludzi, tyle losów, tyle, tyle... Oto wyspa, gdzie żył nieszczęsny pastor, skąd dziadek Jeromin uniósł się w ogniu do nieba, jak Elias. A jego wnuki i prawnuki chodzą dalej po tej samej ziemi...

Taka wioszczyzna, znękana cierpieniem, a jakże głęboko wtulona w wieczność. Przemijali ludzie i domy, wymierały lasy, a dzwony roztapiały się w ogniu. Ale wieś, praźródło społeczności ludzkiej, trwała. Pasterz wypędzał stada i przyganiał je znowu wieczorem do domu. Siewca z płachtą kroczył przez piaszczyste pola, ramiona żurawia u studni podnosiły się i opadały, dym unosił się nad szarymi dachami, a wiatr porywał go i gnał w dal. Pokolenie za pokoleniem, stulecie za stuleciem.

A tu on sobie jedzie po piaszczystej ulicy, skromny człeczyna w barwnym mundurze i myśli, że to on utrzymuje porządek, strzeże prawa i sprawiedliwości. Ileż głupoty pod błyszczącym kaskiem! Pod wszystkimi błyszczącymi kaskami w historii świata!

Powrócił do wsi z drugiego końca, a przedtem zboczył z drogi na wąską ścieżkę wiodącą do opuszczonego mielerza. Bywają dni, kiedy człowiek ciągle cofa się, nawet jeśli koń stawia kopyta jedno przed drugim, jak należy.

Na polanie było tak cicho, jak zapewne przed tysiącem lat. Mech porastał zielonymi plamami wygasły mielerz, a obok stał jeszcze osmolony drąg, którym Jakub próbował żaru.

Korsanke ściągnął uzdę i spojrzął na próg chaty, na którym umarł Michał. Siedziała tam teraz pani Marta w czarnej sukni, z rękoma splecionymi na kolanach i patrzyła wskroś niego w słoneczne pola. Dreszcz go przejął, jak w krainie zmarłych, podjechał jednak, podniósł rękę do kasku i spytał ją o zdrowie.

Odwróciła z wolna ku niemu oczy, zagasłe i wyschłe do cna ze zgryzoty, budzące we wsi lęk, ale nie odpowiedziała. Nie wiedział nawet, czy go poznała, czy w ogóle go dostrzegła. A może był dla niej tylko bezkształtną mgłą zasłaniającą jej szeroką ziemię, a nikt nie wiedział, co ona na tej ziemi widzi.

Serce mu się ścisnęło, gdy spojrzął w jej oczy, które były jak oczy niewidomej. Jakże ciężka bywa ręka Boża, nawet w cichym, skromnym życiu.

Skinął jej, jak dziecku i z wolna pojechał cichą polanką na porośniętym jałowcem wznesienie, skąd widać było bagnistą rolę Czai i ujrzał białego konia pasącego się pomiędzy karłowatymi brzózkami. Konia, o którym żartem mówiono, że już święty Jan widział go na wyspie Patmos, ale nikt nie chciałby spotkać się z nim samotnie o zmroku, bo unosił nagle głowę i patrzył wielkimi oczyma w niezmierną dal, a wiatr rozwiewał jego płową grzywę, która wiła się jak kłębowisko węzłów.

Czai nie było widać, Korsanke jednak wcale tego nie żałował.

Odetchnął głęboko, gdy wydostał się spomiędzy ostatnich sosen i znowu przed nim rozpościerała się wieś. Biaława zasłona chmur zasnęła słońce zapowiadając wczesną burzę. „Skąd się to wszystko bierze”, pomyślał Korsanke, „ta osobliwa jazda i cichy ból pod klamrą pasa i spotkania z terażniejszością, ale terażniejszość była właściwie przeszłością, a w przeszłość wdzierali się umarli. W takie dni powinno się kwiatków pilnować, a nie nachodzić ludzi po domach z rewizjami. Nachodzić — to brzmiało tak, jak nawiedzić, a nawiedzić — to słowo z Biblii, wielkie i ważne słowo, i prawie zawsze Bóg szedł razem na poszukiwanie.”

W dole stał dom Jerominów, a stary klon ciągle jeszcze rósł nad brzegiem jeziora. Dom wyglądał znowu tak jak dawniej i z daleka nikt by nie poznał, że płomień wojny przeszedł przez tę zagrodę. Domy nie chciały pozostać młode, jak ludzie, i dopiero pod stary dach przybywały sowy i podziemne stwory. Sowiróg zwała się wieś — i był to rzeczywiście Sowi Zakątek. Dobrą nazwę wymyślili starzy i dobrze by było, gdyby w akcie zgonu wypisano: „Zmarł w Sowirogu”. Jakby umarli mogli mieć swój rodzinny zakątek, gdzie by im było dobrze.

Ale Korsanke potrząsnął głową z dezaprobatą i rzeczywiście pojechał wąską dróżką do domu Jerominów. Wydawało mu się, że poza sosnami coś huczy z cicha, a błydy blask pada na powierzchnię jeziora. Ale pora była zbyt wczesna i na pewno się mylił. To był właśnie odpowiedni dzień, by widzieć i słyszeć rzeczy, których nie ma. Zatrzymał się przy płocie otaczającym ogród, między dwoma krzakami bzu, przyglądając się dwojgu dzieciom, grzebiącym małego, ciemnego kreta. Małemu Jonsowi, synowi Michała, i Barbarce, córce Marii. Jeden ojciec leżał kiedyś ugodzony kulą na progu chaty węglarza, drugi zaginął gdzieś na równinach Wschodu, a matka ciągle jeszcze siada każdego wieczoru na brzegu moczaru, gdzie przez wysokopienny las wiedzie droga na wschód i czeka, aż spomiędzy pni wynurzy się szara postać, może oślepiiony lub na kulach, a może tylko ugodzony ręką Bożą, tak jak tego drugiego ugodził żandarm, jeden z towarzyszy Korsankego, który w błyszczącym kasku chodzi na rewizję.

Stał cicho, przyglądając się dzieciom. Jedno było milczące, ze śmiertelną powagą na młodej twarzyczce. Taki właśnie był Michał, czy to wówczas kiedy chodził za pługiem i przeorywał rolę sołtysa, czy gdy leżał na progu z kulą w piersi i wsłuchiwał, się poza siebie, czy mu się syn urodzi, zanim ciemna zasłona zakryje nieustraszone oczy.

Drugie było jak jego matka w dzieciństwie, gdy w kuchni Jerominów gotowała zupę na wieczrę, mówiąc oczekującemu rodzeństwu wiersze z bajki.

Manntje, Manntje w ciemnym borze

Buttje, Buttje, odpłyn w morze...

Lniane włosy spadały jej na czoło, a ona odgarniała je w tył grzbietem dłoni, jak niegdyś jej matka. — Wpierw kwiatki — rzekła łagodnie — by go ziemia nie uciskała...

Jons podał jej stokrotki, leżące w trawie jak gwiazdki, ale widać było po jego — twarzy, że nie pochwała tego i uważa za niewłaściwe.

— Ziemia to ziemia — rzekł wreszcie. — Mój ojciec tak mówił.

Spojrzała na niego z ukosa, zdziwiona, nie przestając wyścielać grobku kwiatkami. — Ojcowie nieraz mówią coś takiego — odpowiedziała mądrze.

Wzięła jednak od niego trochę ciemnej ziemi ogrodowej i posypała ostrożnie w wąskie zagłębienie. — Co zasiane, zgnilizna toczy — rzekła wysokim dziecięcym głosem — ale gdy zmartwychwstanie, nie zazna zgnilizny.

Jons przysłuchiwał się z niewzruszoną twarzą, nie patrzył jednak na jej ręce obkładające mchem wzgórek, lecz zrazu na jezioro, jak ciemny kruszec leżące u stóp lasów, a potem powiódł niespokojnymi oczyma wzdłuż ogrodowego płotu ukwieconego bzem. I na pierwszy lekki brzęk uździenicy konia Korsankego poderwał się, jak młode zwierzątko z legowiska, rzucił w stronę jeźdźca długie, milczące spojrzenie i odszedł ku domowi z rękoma założonymi w tył, jak człowiek zatopiony w myślach.

Za to mała Barbara z radosnym okrzykiem wdrapała się na płot pozwalając Korsankemu unieść się na siodło, ale zanim jeszcze pozostawili dom poza sobą, odwróciła głowę i powiodła oczyma po krzakach. — Zawsze ucieka, gdy ktoś przyjdzie — powiedziała.

— A przecie nikt mu nic złego nie robi...

„Jeszcze nie”, pomyślał Korsanke, „jeszcze nie”. I pogładził w myśli jasne włoski dziecka tulącego się do jego piersi. — Trzymaj z nim zawsze, to będzie mu dobrze po wsze czasy.

Zabrał dziewczynkę ze sobą aż do domu, dał jej szklanekę miodu dla matki i patrzył za nią, jak biegła po wiejskiej drodze, jakby w tańcu.

— Był Stilling — powiedziała żona. — Ma kłopoty, bo marka spada, a przecie Jons musi się uczyć.

Korsanke przytaknął i odsunął talerz. Nie smakowało mu, chociaż był głodny. — Będzie i dalej spadać — rzekł. — Republika też nie wszystko podtrzyma, co spada. Niech się tylko trochę prześpię, to pójde do niego.

W zacienionej komorze wsłuchiwał się chwilę w lekki boi, który się wzmógł, ale potem zaczęły się przed nim przesuwac sprawy z przedpołudnia, ludzie, słowa i drzewa, a gdy zapadał w sen, zdawało mu się, że w tym dniu przeszedł całe swe życie, głęboko w przeszłość i daleko w przyszłość. Jakby go Bóg po cichu nawiedził, gdy on się wybrał innych z rewizją nachodzić. A ostatnią niepokojącą twarzą była postać małego Jonsa, jak uciekał od niego z rękami założonymi na szczupłych plecach dziecięcych i mądre ponad wiek słowa dziecka: „Ziemia to ziemia”, co zaczęły wypełniać jego pierwszy sen, ciągle się powtarzając, z jednostajną udręką, która była jak udręka gorączki.

Wieczorem wolno wspinał się po zboczu do „Domku Krasnoludków”, gdzie mieszkał Stilling z siostrą. Słońce rzucało blask na stojący przed książkami globus, a Ocean Wielki, czyli Spokojny, zwracał w stronę Korsanego swój błękitny bezmiar.

Ale stary nauczyciel nie siedział przed globusem, lecz przed wąskim biurkiem założonym papierami, wspierając siwą głowę na rękach.

— Spada, Korsanke — rzekł, skinąwszy gościowi głową. — Spada, a razem z nią upadnie i Jons Ehrenreich, bo skądże weźmie pieniądze na opłacenie czesnego? Czyżbym był niesolidnym gospodarzem, Korsanke?

Jego niebieskie oczy, które z wiekiem całkiem wyblakły, błędziły zatroskane po rzędach książek, jakby dojrzywało w nim wyznanie, że nie rozumiał tej mądrości wszystkich wieków, skoro nie ustrzegła go od omyłki, że pieniądz jest czymś trwałym, niewzruszonym.

Lecz Korsanke zrobił tylko uspokajający ruch prawą ręką i dalej oglądał Ocean Spokojny, po którym biegły delikatne linie siatki geograficznej.

— Nie martw się, Stilling — rzekł. — Czy myślisz, że Eliza złoży broń wobec inflacji? Nie widziałem jeszcze, żeby ona wobec czegokolwiek broń złożyła. I chyba przecie nie wyrzucą wszystkich studentów, którzy im kieszeni nie napęnią pieniędzmi.

— O, oni wszystko potrafią, Korsanke — odparł Stilling układając papiery pokryte liczbami. — Mogą za jednym pociągnięciem pióra przekreślić pożyczkę wojenną, a jutro nałożyć nową. Wiesz, państwo nie ma sumienia. Wszystkie anonimowe potęgi, za którymi nie stoi jednostka, nie mają sumienia. Już tam, gdzie się zbierze dwóch lub trzech, jest firma lub związek, ale sumienia nie ma. Tylko jednostka ma sumienie, ty albo ja... Pójdę jutro do pana von Balka, on zawsze myśli po swojemu, nie tak jak gazety, które także nie mają sumienia. On ma krowy i pola, a na krowy nie ma inflacji.

Korsanke przytaknął, ale myślami był daleko.

— Jak myślisz, Stilling — rzekł po chwili, wskazując na Ocean Spokojny — czy i tam ludzie tak żyją? Po wioskach, myślę. Że zmarli dosięgają nas za dnia, niemal na progu domu, a prawie wszystko jest marne i daremne?

Stilling spojrział nań badawczo z ukosa i podsunął tabakierkę. — Daj temu spokój, Korsanke — rzekł życzliwie. — I nie mędrkuj na starość. Troszcz się coś niecoś o sprawiedliwość, a resztę zostawmy panu Bogu.

— Tak — odpowiedział Korsanke nabijając powoli fajeczkę. — Ale, widzisz, jechałem dzisiaj koło jeziora i to był taki jakiś dziwny dzień. Wiesz, to było tak, jakby się ziemia na rozcież otwarła i mogłem widzieć wszystko, co ukryte. Wiesz, ludzi, przebieg ich życia, nawiedzenia... tak, zwłaszcza nawiedzenia...

I powtórzył z wolna pieśń, którą dzieci rano w szkole śpiewały.

— I to one śpiewają, Stilling — rzekł zakłopotany. — Pacierza się wpierw naucz, obrzydły Kuternogo!

Nauczyciel uśmiechnął się tylko zza chmury dymu.

— Daj spokój, Korsanke — powtórzył. — Oni zawsze myślą, że są jak Bóg, a taka mała wioska, to jak „ciemność” w dziejach stworzenia, z której mogą stworzyć nowy świat. Ale, wiesz, małe wioski są zawsze silniejsze niż ci nowi tuzinkowi prorocy. Bo wieś, to nie tylko dzieci, które można wyuczyć piosenki. Wieś, to starzy i młodzi, zmarli i jeszcze nie urodzeni, piasek, woda i las, przeszłość i przyszłość. Wieś wtuliła się w wieczność, jak dziecko w matkę, a taka pieśń, Korsanke, nic wieczności nie robi.

To tylko jedno drgnienie powiek w całym długim ludzkim życiu.

— No, tak — rzekł Korsanke. — Ale potem był człowiek z pustym rękawem u kapoty... a potem Jerominowa przed mielerzem... i koń Czai... a wreszcie mały Jons,

co się odwrócił i uciekł przede mną, jak przed mordercą, a przecie to nie ja zastrzeliłem Michała... powiem ci, Stilling, jak to było. Było to tak, jakby dziś rano Bóg mnie wziął za rękę, by mi pokazać, że nie powinniśmy robić rewizji po domach. Bo to Jego dom, Stilling, nie nasz!

— Musisz się trochę odprężyć, Korsanke — rzekł Stilling, kładąc mu rękę na ramieniu, — Przychodzą, widzisz, takie czasy, kiedy opada z nas mundur, niekoniecznie taki barwny i błyszczący jak twój. Całe przybranie z nas spada, rozumiesz? Cała ludzka małostkowość. A kiedy już jesteśmy nadzy, wydaje nam się nagle, że po raz pierwszy dotyka nas palec Boży. Ale on zawsze nas dotykał, tylko myśmy przez mundur tego nie zauważali.

— I czegoż on chce? Dlaczego nas dotyka?

— Może tylko chce, byśmy otworzyli oczy, Korsanke, tak jak dotykamy lekko palcem śpiącego. Chce, byśmy zobaczyli jego stopy, jak kroczą przez czas i wieczność. Nie nowe nauki i nowe pieśni, ani puste rękawy i zagasłe oczy, ale właśnie jego stopy, co podążają przed nami, jak złoty ślad.

— No, może masz rację — rzekł Korsanke po długiej chwili, obracając lekko globus dookoła osi. — I może właśnie dlatego trochę boli.

Stilling spojrzał na niego zatroskany. — Dlaczego nie pójdziesz do lekarza, Korsanke? Może to drobnostka. Po tych latach głodu takie rzeczy muszą się zdarzać, a ty byś się trochę uspokoił.

Żandarm potrząsnął głową i wstał. — Czekam, Stilling — rzekł. — Czekam na Jonsa Ehrenreicha. Zawsze sobie myślę, że on przybędzie do nas jak zbawca. I, widzisz, może to u mnie trochę komiczne, ale nie mógłbym się rozebrać przed ludźmi z miasta. Dwanaście lat byłem żołnierzem i musiałem to robić dość często. Ale teraz odraza mnie bierze i czuję, że mógłbym to zrobić tylko tu, w Sowirogu, przed swojakiem. Dziękuję ci serdecznie, Stilling. Lżej mi jakoś na sercu. A na śpiewającego o Kuternodze zwrócę nieco uwagi, by nie urósł zbyt szybko.

— Można — rzekł dobrotliwie Stilling odprowadzając go do drzwi.

— Ale dobry Bóg już sam się o to zatroszczy, by zbyt szybko nie urósł. Pan Bóg ma dobrą miarękę.

Patrzył za nim przez chwilę, jak powoli schodzi ze zbocza, cokolwiek przygarbiwszy ramiona, czego do tej pory nikt u niego nie zauważył. Potem wrócił do biurka i zaniknął papiery do szuflady.

— Ale on kopci, jak biedak gdy chleb piecze — rzekła Eliza otwierając okno. — Chociaż Bóg go już naznaczył.

— Kogo On nie naznaczył, siostrze? — odpowiedział Stilling. — Od kolebki jesteśmy naznaczeni, tylko nie widzimy tego. I daruj mu palenie. Dla wielu palenie jest równie dobre jak modlitwa.

— Nieraz mówisz jak Nebokadnezar — rzekła Eliza zagniewana.

— Wielu mężczyznom tylko przez omyłkę siwieją włosy.

Po wieczery Stilling usiadł na małym balkoniku, osłoniętym daszkiem i wyglądającym jak klatka dla ptaków. Wystarczyło tu zaledwie miejsca na stary zielony szezlong, ale za to wieś, las i jezioro rozpościerały się przed nim jak na mapie, i miło było staremu człowiekowi, który życie tu przepędził, siedzieć tak, przyglądać się i przysłuchiwać, jak spokój wieczorny schodzi na ziemię. Nie było muru, żeby nie wiedział, co się za nim kryje, ani głosu we wsi, żeby nie wiedział, dokąd on przynależy i co oznacza. Zorza wieczorna stała nad wodą, wielka i uroczysta, a świat wyglądał jakby utkany ze szkła. Przejrzysta i krucha istota, a sznur żurawi nad moczarami wydawał się delikatną skazą na szkle, z cichym brzękiem wżerającą się coraz głębiej w horyzont.

Ostry, łający głos przedarł się z jednego obejścia aż do „Domku Krasnoludków”, a Stilling wiedział, że to stara Krollowa broni swego dożywocia. Złe serce wsi, ani wojna, ani głód nie potrafiły jej poskromić. Od brzegu jeziora niosła się pieśń na dwa głosy, przeciągła i smutna, a ponad nimi unosił się dźwięczny głosik dziecięcy, jak trzepot ptaszęcych skrzydeł. To kobiety z domu Jerominów, a głosik dziecięcy należał do małej Barbary. „Już ściemnia się na błoniu” — śpiewały. „Idziemy już do domu”. Dziewczyna z sąsiedniej wsi, przez którą zginął Fryderyk, nie śpiewa już więcej. Siedzi teraz zapewne w milczeniu, jak zwykle gdy jest między ludźmi, złożywszy ręce na piersiach i patrzy ku wyspie. Słyszała kiedyś flet, co rzucał czary na ludzi i zwierzęta, i od tej pory nie śpiewa już więcej. „Co za dziwny dom...”, myślał stary nauczyciel, a przecie jeszcze nie koniec tych dziwów.

A potem szedł ktoś przez moczary przyciskając coś obiema rękoma do piersi. To syn Goguna. Syn rabusia żurawi, co utonął w moczarach ze sztyletem w radosnej piersi, a kozacy strzelali do niego jak do celu. Najbardziej milczące dziecko w całej wsi, bardziej milczący niż mały Jons, a los włókł się za nim jak zardzewiały łańcuch u stóp.

„Boże drogi”, myślał Stilling, „jak Ty otwierasz przed moimi oczyma tę swoją ziemię, a przecież jestem przed Tobą tylko ślepym, starym człowiekiem”.

Spoglądał ku wysokiemu lasowi, za którego błękitną ścianą stał opuszczony mielerz, a przy mielerzu opuszczona kobieta, której serce skamieniało. Ale Stilling wiedział, że to kamień rozpalony, a jak coś takiego boli, tego nikt nie wie, nawet on. I że polana przed jej chatą jest pełna postaci, żywych i umarłych, a ona załamuje ręce w milczeniu.

Ale od niej uszły jego myśli do wielkiego miasta, do Ehrenreicha, który zapewne siedzi nad grubymi, ciężkimi księgami, a w księgach jest wymalowany obraz i podobieństwo boże, bez osłon, nagi i odkryty, a młode oczy przebiegają po czerwonych i niebieskich liniach żył, mięśni i nerwów, a w środku jest wielki cud, wieczna tajemnica, serce ludzkie. Stilling widział go, jak siedzi tam, w blasku lampy padającym na jasne włosy, a z tyłu za nim stoi poważna ściana książek należących kiedyś do zmarłego Jumby. Cisza panuje w wielkim domu, nawet zięba wtuliła główkę pod skrzydełko i śpi pod swym nakryciem. Czuwa tylko młody człowiek, którego twarz jednak nie jest już młoda, bo wyszedł z mrocznego domu, przeszedł przez wojnę i śmierć, i rzeczy cięższe niż wojna i śmierć. Ale przeszedł przez to wszystko, bo za nim stali ojciec i dziad, wznosząc w spracowanych rękach tablicę, a na tej tablicy było wypisane prawo biednych a prawych ludzi, „sprawiedliwość na roli”, czy jakby to nazwać chciano. A za ojcami stała wieś, mała, nieznana wioska Sowiróg, w której będzie walczył ze śmiercią. A za wsią, wszystkie małe i nieznane wioski ziemi, wielka, nieskończona społeczność ludzi biednych i krzywdzonych, i gdyby czytający oderwał na chwilę oczy od kart i rycin, ujrzałby na pewno ich wszystkich, jak stoją w cieniu i czekają, od Korsankego z jego cichym bólem pod kłamrą pasa, aż do zbolalej kobiety przed wygasłym mielerzem, a wahadło starego, stoczonego przez robaki zegara, który Jumbo nabył od handlarza, przypominałoby mu każdym swym szybkim i cokolwiek ochryplym uderzeniem, że dla niego nie ma zmęczenia ani płytkiej rozkoszy, ani zatrzymania się na miejscu. Czeką gorycz ziemi, by ją złagodził, jak mówił stary oberżysta, i nie może spać ten, koło którego posłania padają łzy.

Stilling siedział z założonymi rękoma wspierając głowę o zielony rypś poręczy fotela. Nad sosnowym lasem świeciła już gwiazda wieczorna, dachy stały się ciemnymi plazmami, głosy zamilkły, a kilka zagubionych światełek wyłaniało się z zapadającej nocy. Pachniały krzaki bżów, a od mgieł znad moczarów szedł na wieś ciężkimi falami zapach brzoź. Ziemia oddychała, bezgłośnie i niby ufność nieskoń-

czona, stary człowiek siedział wśród mgły i mroku, ciche sumienie wsi, a jego siedemdziesiąta czy siedemdziesiąta piąta wiosna była dla niego równie piękna, jak którakolwiek z czasów jego dzieciństwa. Co też Pan zamierza uczynić z tą wioską, którą zowią Sowim Zakątkiem, kiedy gwiazdy zapalają się z wolna i wschodzą ponad lasem?

 Nie wiedział, ale siedział tak z założonymi rękoma, czując wielką wyrozumiałość, w którą wtuliło się jego serce jak gwiazdy w ciemne sklepienie niebios.

Rozdział 2

„ Jak ci mijają dni, Jonsie Ehrenreichtu?” — pytał Stilling w jednym ze swych listów, a Jons spoglądał na małe, nieco rozdygotane literki, co wyglądały jak wykłute a potem znad kartki papieru przenosił wzrok na okno, przed którym siedziała stara zięba i dalej na szary mur, z którego tynk opadał kawałami. A poza murem widział wieś Sowiróg, z jeziorem, lasem i polem Piontka za małym ogniskiem pasterskim, na piaszczystej ulicy bawiące się dzieci, a przy mielerzu matkę siedzącą w czarnej, wysoko zapiętej sukni i okopcony drąg sosnowy, ciągle jeszcze oparty o wygasły wzgórek.

Jakże to taki świat mógł wyrosnąć za poplamioną ścianą, tak blisko, że wystarczyło ręką sięgnąć, by dotknąć szarego płotu biegnącego wokół domu Jerominów... Oko — to *retina*, słupki i czopki, i *nervus opticus*, i *lens crystallina*, i sto innych imion i cudów, a gdy złożyć razem te wszystkie imiona i cuda, jeszcze pozostaje wielka tajemnica: jak to wszystko zawiera się w jednym maleńkim zarodku i rozwija się, napęlniając nagi obraz barwami, wyobrażeniami, bólem i cierpieniem, aż do idei wieczności.

Westchnął cicho i potrząsnął głową, a jego nieprzytomne oczy zaczęły znowu wypełniać się rzeczywistością. Tak, jak mijają mu dni? Zaczynają się wczesnym rankiem, gdy pierwszy promień słońca zaczerwieni zielony szczyt wieży kościelnej, a kończą późną nocą, gdy gwiazdzisty obraz Wielkiej Niedźwiedzicy pochyła się nad murem. Dni długie, gdy mierzyć je ochrypłym biciem wahadła zegara, krótkie, mierząc świadomością, którą wypełniały. Dni wypełnione, gdy je złożyć na szali pracy, ubogie, jeśli mierzyć owoc, jaki przynoszą. Z rana filiżanka herbaty, przyrządzonej na małej maszynie spirytusowej i kawałek chleba z domu Jerominów. A potem jedna z krótkich fajeczek Jumby, napęlniona z pudełka, które po sobie zostawił, i parę minut przed ścianą książek, które Jonsowi w spadku przekazał. Od czasu do czasu sięgnie ostrożnie po któryś z wytartych tomów, przerzuci parę stron, by odczytać uwagi, kreślone ołówkiem, drobnym pismem zmarłego. „Nie biegnij” — było tam — „bo nie prześcigniesz losu!” Albo: „Gdy śmierć przyjdzie, podaj jej oselkę, by wiedziała, żeś gotów”. Lub podobne wczesne płody cichego, mężnego i rozważnego życia.

Jonsowi wydawało się, że to dla niego napisano, jakby zmarły wiedział na długo przedtem, że on tu będzie kiedyś stać, „braciszek” bez doradcy i przyjaciela, i swą ciężką codzienną pracę taką myślą przewodnią rozpocznie. Ileż on wiedział, ten syn restauratora, co teraz śpi pod sosnami w Rosji, ze zbutwiałą krótką fajeczką w zbutwiałej dłoni. Tak, wiedział już Jons o tej nieśmiertelności, nieśmiertelności słowa cicho i przezornie posianego w bruzdy serca.

Wstawia powoli tom z powrotem między rzędy książek, daje ziębie ziarna i wody, a potem otwiera książkę i notatki z wykładów i siedzi podparłszy głowę obu rękoma, jak kiedyś jego ojciec nad Biblią.

„Jak ci mijają dni, Jonsie?” Tak się przynajmniej zaczynają, w dzień powszedni czy w niedzielę, i jeszcze tysiąc lub dwa tysiące dni tak się będą zaczynać, zmieniać się tylko książki i położenie słońca nad uspiętym miastem. O tym, co serce wypełnia, nie ma co mówić, choć Stilling to raczej chyba miał na myśli niż notatki z wykładów. Serce jest zamknięte na głucho, przez długie lata. Serce jest dla bogatych i beztrudnych, dla poetów i zakochanych, nie dla tego, co żyje z oszczędności starca, jak chory z zaofiarowanej krwi. On musi żyć tylko umysłem, tym, czego kruchość i niedoskonałość wcześniej poznał, tym, ku czemu ludzkość na Zachodzie gna coraz szybciej, niby w wir szalejący i nie wie nikt, co się tam dzieje na utajonym dnie. A chodzi tylko o to, by co innego w cichości zachować, to, co miał ojciec i dziad, co wieś posiada: pierwotną prostotę serca. A gdy już zdobędzie ryzsztunek, na nowo oboje ze sobą połączyć, jednego dla drugiego nie utracić, zachować całość, choćby latami chodziło tylko o rzemiosło, o nazwy i wiadomości, o przyrządy i metody, o przechytrzenie tego, co nazywają śmiercią. A nędzne jest to przechytrzenie, jeśli się nie wie, że jest ona tylko drugą stroną życia. Ten dopiero może być lekarzem, kto jest przyjacielem życia, a nie ten, kto jest tylko wrogiem śmierci.

Dom powoli budził się: ciche szmery za zasłoną, gdzie ciągle jeszcze spały siostry Holstein, pierwszy ostry krzyk bojowy pensjonariuszy ze wsi, pierwsza szlagierowa melodia z zachrypłego młodego gardła. Lecz do niego dochodzi to tylko jakby zza grubego muru, z dalekiego, nieprzynależnego doń świata. Nie tak budzą się pole, las, wieś. Budził się tylko człowiek, więzień oderwany od wielkiej istności i takie mogłoby być przebudzenie w więzieniu: cichy szczeł łańcuchów, zasuw, odgłos wielu stóp, a ponad tym dzika, ale całkiem daremna pieśń.

A potem przychodziła najstarsza z sióstr, która okazywała mu życzliwość w swym pozbawionym radości życiu, choć nie całkiem przewyciężyła dziewiczy lęk

wobec niego, ciemnych i krwawych losów jego domu, wobec śmiertelnej powagi jego drogi. Przynosiła mu dzbanuszek z kawą zbożową i dwie bułeczki, jeśli piekarze akurat nie strajkowali. Stawiała to wszystko na obrusie, upewniwszy się bojaźliwie, czy książki nie są akurat otwarte na któreś z tych okropnych ilustracji, gdzie człowiek, obraz i podobieństwo boże, leżał przed nią w jaskrawych barwach, jak ubite i wypatroszone zwierzę. A potem siadała na brzegu starej sofy z białymi porcelanowymi guzikami, złożywszy bezkrwiste ręce na czarnym łonie i patrzyła na Jonsa. Wdowa Holstein już zmarła z wojennych wyrzeczeń, z głodu, zimna i szarej bezcelowości swego życia, a trzy Parki, jak zawsze nazywali siostry miejscowi dowcipnisie, toczyły teraz samotnie zaciętą walkę z krnąbrnością swych pensjonariuszy, z kartkami żywnościowymi i podatkami, ze strajkami i rewolucjami, z nieskończoną i straszliwą samotnością życia i z cichą, trawiącą nienawiścią, jaką ciągle jeszcze żywiły do siebie nawzajem.

Dla tej jednak, która przynajmniej ze względu na łagodny smutek była dostępna, ten kwadrans na brzegu sofy był jak ranna msza osamotnionego wiernego. Jons nie był tym, kto chciał stawiać opór lub dręczyć, kto pogardzał lub znajdował upodobanie w grubych żartach. Tu był ktoś, kto przyszedł z ciężkiego życia, i siedł w jeszcze cięższe. Który nosił jeszcze ziemię wsi na podszwach swych czystych butów, a prawość swego ojca zachował jeszcze w swych rękach. Który nie handlował cukrem, kawą i papierosami, jak inni. Którego widziała, jak siedł na wojnę i jak z niej powracał — bez wrzawy i przechwałek, bez rozgoryczenia i bez buntu, lecz z cichą wcześniej naznaczoną twarzą — i o którego trwożyła się jak o dziecko, noszone pod własnym sercem. Odszedł ten drugi, co tu żył, jak uśmiechnięty mnich, a uśmiech jego był niesamowity, jak niesamowita była jego śmierć, o której Jons jej opowiadał, i jak jego ojciec, pijak, wyglądający drżącą ręką swój cylinder.

Ale ten pozostał i stał się prawie częścią jej biednego serca, od chwili, gdy ze starym zabawnym nauczycielem stanął po raz pierwszy na jej progu trzymając w ręku klatkę z ptakiem i spoglądając na pannę Holstein szeroko otwartymi poważnymi oczyma, jasnymi i nie kryjącymi fałszu — aż do tych godzin porannych, kiedy na chwilę siadywała przy nim przyglądając się, jak je i pije, daleki myślami od chwili obecnej, wczesny pracownik, którego oczy były już przy następnej pracy, a o którego nadziejach i cierpieniach wiedziała równie mało co o przeżyciach górnika lub króla.

— Marka spada, panie Jons — mówiła cichym, zatroskanym głosem wodząc wzrokiem po rzędach książek, gdzie zgromadzona była daremna mądrość, co nie potrafi zapobiec głodowi, wojnie i inflacji.

— I co będzie, panie Jons?

Jons oderwał się od tajemnic nerwów wzrokowych, czopków i słupków, i spojrział na nią. Dobrotliwy, powściągliwy uśmiech ojca pojawił się na jego wargach, gdy zwrócił się do niej z krzepiącymi słowami: — To, co zawsze było, panno Holstein, jak już w Starym Testamencie zapisano: „Siew i żniwa, mróz i upał, lato i zima, dzień i noc”. Tym żyli ludzie w Sowirogu sto i tysiąc lat i my także tym żyjemy. Dopóki marka spada, nie ma nic straconego. Dopiero gdy ziemia straci na wartości, będzie źle. Ale ona jeszcze trzyma się i pani powinna zrobić jedno: przyjmować młodych ludzi tylko za produkty żywnościowe i kazać sobie płacić za swą pracę żytem lub pszenicą. Tak mi napisał pan von Balk, a on wie więcej niż wszyscy ekonomiści.

Panna Holstein skinęła lekko głową, a potem spojrzała na niego z nieśmiałym uśmiechem. Był to zaledwie cień uśmiechu, jaki jej pozostał po pięćdziesięciu latach, a przecie wypiękniał on jej bladą, pociągłą twarz. — Pan zawsze potrafi pocieszyć, panie Jons — rzekła — gdy wszędzie tylko nienawiść i łzy. Na pewno zostanie pan wielkim lekarzem.

— Zostanę? — zapytał Jons spoglądając przez okno na szarą ścianę.

— Będę się starał, panno Holstein.

Wtedy ona cicho wstała, bo oczy jego znowu odbiegły daleko, bez słowa zebrała naczynia z rogu stołu i poszła ku drzwiom. Ale tam odwróciła się raz jeszcze, by ogarnąć smutnymi oczyma obraz pokoju i pochylonego nad książkami chłopca i poczuła, że umrzeć jej chyba przyjdzie, gdy nie będzie już tu siedziała ta postać, co była jak cichy blask wieczoru w jej pozbawionym radości bytowaniu, jak bezgłośny strumyk na szarej pustyni jej życia.

A Jons spoglądał na stary, stoczony przez robaki zegar. Pakował z westchnieniem zeszyty, powiedział cicho parę słów do zięby i szedł ulicą do Instytutu Botanicznego, gdzie zaczynała się jego codzienna praca. Biodro ciągle go jeszcze bolało, w dni deszczowe pomagał sobie laską.

Szedł wolno, chłonąc oczyma to, co droga mu nastęczała. A że w jego młodym życiu wszystko było uporządkowane i przemyślane, zaraz na początku semestru postanowił sobie, że podążając od instytutu do instytutu zapomni o książkach i będzie

wędrować przez to kamieniste życie równie uważnie, jak w dzieciństwie wędrował przez las. Wiedział, że książki mogą być jak mury zamykające świat, a że poznawszy zawnazasu niebezpieczeństwa swego usposobienia stał się czujny, nietrudno, mu przyszło żyć według swego planu, jak to nazwał, choć z ironicznym uśmiechem uświadomił sobie, że plan również jest niebezpieczeństwem. Jego ojciec i dziad nie żyli według planu, starali się wypełnić tylko ten plan, co Bóg miał dla nich, ale wśród jego rodzeństwa były ostrzeżenia, o których nie zapomniał.

I oto oczy jego cicho biegły ku ludziom i domom, wciąż jeszcze nie—przekupne oczy, i nie uszło jego uwagi, że i oni i one wiele utracili z dawnej świetności, a nowa wolność więcej się do tego przyczyniła niż twarda ręka wojny. Przez dziesięć lat poznał oblicze małych sklepików i wielkie pyszne wystawy, człowieka, zamiatającego rozjeżdżone bruki, czy starych rencistów, przemyskających, się z ostatnimi kosztownościami do handlarza, by opędzić głód. Praktykantkę, co w fabryce amunicji zarabiała pieniądze, a utraciła coś bardziej cennego, i syna praczki, stojącego w zbyt jaskrawym krawacie przed czarną tablicą z wypisanym na niej kursem dolara. Zdawało mu się, że ze wszystkich tych niezliczonych okien spogląda los, twardy los, nie wzruszający się artykułami gazetowymi, pochodami i wiecami, los, który zawisł nad tymi, co oderwali się od ziemi, i że ludzie w Sowirogu pewniejszym żyją życiem, mimo swej biedy, bo na skraju moczaru rosną im ziemniaki, na piaszczystych polach nędzne żyto, a po miedzach małe, kwaśne gruszki. Rewolucje nie dosięgły ziemi, a jedyne pochody, jakie znali, podążały z dzieckiem do kościoła na chrzest lub z sosnową trumną na cmentarz, albo Piontek ciągnął ze swym stadem ku lasowi lub pod wieczór do domu. Nie było już cesarza, tylko prezydent Rzeszy, ale oni ani jednego, ani drugiego nie widzieli. Widzieli tylko Korsankego, dawnego lub nowego nauczyciela, bardzo rzadko landrata. Słyszeli, że robotnik stoi tuż przy tronie Boga, ale niczego takiego nie zauważyli. Nie dotyczyło to widocznie Sowiego Zakątka.

Jons przyłapał się na tym, że znowu marzy i uśmiechnął się do siebie dobrotliwie. Zauważył, że tramwaj nie jedzie i musi przeczekać przy głównej ulicy, bo przechodził właśnie długi pochód mężczyzn, kobiet, a nawet dzieci. Nieśli czerwone plakaty z wieloma napisami, a mała dziewczynka z dwoma mocno zaplecionymi, odstającymi warkoczykami patrzyła z nabożeństwem na tablicę, którą niosła w rękach.

„Precz z reakcją”, było tam wypisane niezgrabnie wymalowanymi literami, a kiedy dziecko przechodziło koło Jonsa, poglądził je z uśmiechem po gładko

uczesanych z przedziałkiem włosów. Ale ono odsunęło się od niego i spojrzało nań gniewnie przez ramię, jako że nie pojął, iż chodzi o rzeczy wielkie, i że te wielkie rzeczy na szwank będą narażone, jeśli jej słabe rączyny nie będą dźwżyć prosto i pieczołowicie cienkiego drążka.

Jons czekał, aż przejdzie długi pochód. Twarze idących były harde i próżne, zgorzkniałe i rozjaśnione, ale wszystkie wygłodzone i wycieńczone; myśli jego z nagłym, ciężkim smutkiem pobiegły ku tamtej dziewczynie — Małgorzacie, której sercu był tak bliski, zanim zabrała go wojna, i której młode, wdzięczne ciało rozerwał wybuch, zanim zdążyło rozkwitnąć ku swemu z woli bożej przeznaczeniu.

— Cóż, Jeromin, dolar coś za bardzo poszedł w górę? — zapytał go sąsiad w audytorium, syn nauczyciela, chodzący jeszcze o kulach.

Ale Jons spojrzał na niego jak na obcego, i można było zauważyć, że nawet nie wiedział, kto koło niego siedzi. Dopiero po chwili odwrócił oczy i próbował się uśmiechnąć. — Nie — odparł, otwierając zeszyt z notatkami — myślałem tylko o pieśni: „Kroczy cicho poprzez lasy, na swój sposób, miły Bóg”.

Tamten spojrzał na niego z boku z rezerwą. — Z was jednak zabawny gość, Jeromin — rzekł. Wszedł profesor, wzięli ołówki do ręki. Jons już w pierwszym semestrze nie musiał wiele zapisywać. Uchroniła go od tego pamięć o mądrościach Jumby, a wiedział, że wszystko, o czym mówi profesor, jest o wiele jaśniej i zwięźlej ujęte w ciężkich tomach, które pozostawił mu Jumbo. Notował więc niewiele więcej jak sam tylko „przebieg działania”, ale lubił rysować to, co drżąca ręka wykładowcy z zadziwiającą pewnością kreśliła na tablicy. Mówiono, że profesor jest morfinistą, i myśli Jonsa zaczęły krążyć wokół tych pogłosek. Wokół szarych i spękanych rysów odpychającej twarzy, szczupłych drżących rąk, wokół życia tego obcego człowieka, jak od pewności i wiedzy przeszedł drogę do otepiałego odurzenia i jak to jednak umysł jest zbyt słaby, by rozwiązać zagadkę istnienia.

A potem myśli jego przeniosły się na liczne twarze pochylone nad zeszytami, zmęczone i rozpromienione, dzikie i pokorne, i próbował sobie wyobrazić, jak za pięć lub siedem lat będą się one pochylać nad umierającym, może nad dziewczynką, tak dzielnie kroczącą po ulicy z plakatem przeciw reakcji, nad starym nauczycielem Stillin—giem, a może nawet nad nieustraszonym panem von Balkiem. A potem powracał do człowieka przy tablicy, ukradkiem spoglądającego na zegarek, i niejednokrotnie zdawało mu się, że coś jest nie w porządku z tym, co tu się dzieje, że brakuje czegoś, czego się nie da wyrazić słowami, ale nie wiedział, co to takiego. Tyle

tylko, że musiał myśleć od czasu do czasu o młodym studencie Tobiaszu, jak stał nocą nad skrajem okopu z hełmem w ubrudzonych rękach, odmawiając błogosławieństwa nad spaloną ziemią. Jakby w tym właśnie kryło się rozwiązanie, ale wiele czasu trzeba będzie, aby je znaleźć.

Potem skinął sąsiadowi o kulach i szedł wolno przez ciche, szare ulice do Instytutu Chemicznego, albo do Anatomii, czy tam, gdzie mu nakazywał plan zajęć.

Najbardziej jednak gnębiła go nie wielorakość pracy, lecz powolne, odporne posuwanie się naprzód. To że wybiegający w przód umysł musiał wciąż zawracać do rzeczy podstawowych, a ręka ciągle jeszcze musiała pisać i rysować, zamiast ująć skalpel, by ostrożnym cięciem przeniknąć do wnętrza żywego stworzenia, oddzielić co chore od zdrowego, torując drogę pierwiastkom życia, by mogły rosnąć swobodnie i oddychać. A tymczasem marka spadała, jak mówiła panna Holstein, pochody były coraz częstsze i dłuższe, nienawiść w gazetach coraz zajadlejsza, a studenci coraz głośniejsze dawali wyraz swemu niezadowoleniu, gdy któryś z profesorów pozwalał sobie na tanie drwiny z nowych ludzi, co próbowali wydzwignąć państwo z ruiny.

„Tak, wojna także stała się ich zawodem”, myślał Jons, spoglądając na twarze w salach wykładowych, „takim samym zawodem, jak te studia, i obojętne im już, czy zadają śmierć, czy od niej ratują. Nie odrodzili się w ogniu bitew, tak jak jego ojciec lub Jumbo; powrócili tylko i nałożyli inny ubiór. Ubiór codzienny, ale w szczególnie pamiętne dni przypinali sobie do niego ordery, porównując ukradkiem, czy ich ordery są liczniejsze i znaczniejsze niż innych”.

Koło południa Jons siadał na półtorej godziny na starej sofie z porcelanowymi guzikami, jadł szybko, co mu przyniosła panna Holstein, a potem brał którąś książkę z długich poważnych rzędów. To był jedyny czas w ciągu dnia i nocy, kiedy nie myślał o swoich studiach. Czytał wtedy wiersze, poznawał mądrość życiową starożytnych, albo co inne narody myślały lub myślą o drodze ludzkości. Była to godzina „bezczelowa”, jak ją nazywał, albo „zakazana”, ale czerpał z niej najgłębszą pociechę dnia i nocy, oderwanie się od celów, poznanie mocy prawdziwego umysłu, która jest równocześnie mocą serca, lekki wstrząs pod urokiem piękna nie związanego z ludzką formą, ani nawet z samym tylko językiem, bo język był tylko środkiem, jednym z wielu otwierających bramę cudów. Ale najdziwniejsze było dla niego doznanie, że na dnie tej godziny, a właściwie poza jej dnem był obraz jego wsi w cichym blasku, jaką ją znały stare i nowe pokolenia. Od łagodnych linii lasów i pagórków, aż do nędznych zaprzęgów jadących po roli, a dalej do cichych twarzy pochylonych nad pługiem lub

kądziałą. Jakby także tam i właśnie tam miało swoje siedlisko to tajemnicze piękno, splatające się z codziennej pracy i nabożeństwa, które tylko tam mogło rozkwitnąć, gdzie nie oderwało się od praźródła ani przez bunt, ani przez wzlot umysłu.

A potem idąc znowu wczesnym popołudniem na następny wykład niósł z sobą wspomnienie tej godziny niczym cichy talizman, tak jak cieniutki srebrny łańcuszek, który czuł na szyi, a który zawiesiła mu Małgorzata, gdy szedł na wojnę.

A kiedy wieczorem zapalała się mała lampka naftowa na jego stole, gdy zięba była przykryta, a okno zniknęło za zasłoną, jednym ruchem ręki ścierał ze stołu czas, przeszłość jak i teraźniejszość i przyszłość, a na twarzy pojawiał się rys zaciętości i napięcia, jak u jego ojca, kiedy mielerz zaczynał się żarzyć; rys człowieka, co zaczyna zdawać sprawę nie przed sądem ludzkim, ale przed swymi przodkami lub dziećmi i w tych godzinach uczył się aż do północy, co to jest praca, ciężka praca ku ludziom zwrócona, bez zapłaty, bez chwały, ale wypełniona śmiertelną powagą, mogąca zwrócić rękę ludzką do błogosławieństwa lub do przekleństwa.

W tych godzinach kształtowało się bez jego wiedzy oblicze, na które studenci spoglądali po upływie paru semestrów nieufnie lub drwiąco, profesorowie z zaskoczeniem i zaciekawieniem, panna Holstein zaś z niepokojem.

„Jak ci mijają dni, Jonsie Ehrenreichu?”, pytał Stilling w listach, ale niewiele można było na to odpowiedzieć. Układały się rzędem, jak perły na sznurku, ale gdy je pojedynczo brać do ręki, każda jest szara i niepozorna, i nie wiadomo, czy całość kiedyś jaśnieć będzie. Niewiele było wiadomo o wiosnie i jesieni, o głodzie i chłodzie, były to tylko łuski, w których rosło ziarno, a rosło ono nieskończenie wolno.

Często wieczorem w niedzielę przesiadywał u Charlemagne'a, rozmawiał o ludziach i czasach, albo raczej sam się przysłuchiwał, a nieraz prosił żonę starego nauczyciela, by znowu zaśpiewała pieśń: „Szczekają psy we wsi, szczekają łańcuchy, a ludzie w swych łóżach posnęli” lub „Śmiertelny strach ogarnął mnie dziś z rana”. I wzlatywał głos promiennymi akordami, aż do słów: „Aż zwycięstwa nadszedł dzień” i wtedy czuł takie samo cudowne oczyszczenie swej istoty, jak wówczas, gdy brzmiały organy lub gdy cudowne dziecko siedziało przed białymi i czarnymi klawiszami. A więc i tak można było dojść do źródeł, ale trzeba było na to łaski, nie potu, łaski, jaką miał Fryderyk, i przez którą został zamordowany.

— Pan za wiele pracuje, panie Jonsie — mówiła kobieta, gdy odchodził. — I odmawia pan sobie wszelkiej radości.

Ale on potrząsał głową. — U nas nie wiedzą, co to znaczy „zbyt wiele pracy”, w każdym razie nie ci, na których się zapatruję. A radość miał mój ojciec chyba tylko przy mielerzu.

Nieraz także przesiadywał wieczorem w niedzielę u starego szewca, od którego niegdyś pożyczał wózek dziecienny jadąc po węgiel, patrząc w stłumione światło szklanej umbry słuchał, jak stary człowiek mówi o państwie przyszłości, o panowaniu ludu, o batalionach robotniczych, a ręce jego, które wznosił jak zaklinający prorok, rzucały dzikie zniekształcone cienie na białą otynkowaną ścianę.

— Kapitał, to przekleństwo ludzkości — mówił swym ochryplym, zaklinającym głosem. — Przekleństwo, co nam szpik z kości wysysa.

A Jons słuchał z wyrazem napięcia na twarzy, jak zawsze gdy chodziło o drogę ludzkości. Wiedział, że to nie tylko kapitał, że korzenie sięgały do gruntu, który od lat tysiąca był ogarnięty rozkładem, nieodwracalnym, śmiertelnym rozkładem. Ale słuchał cierpliwie, uważnie i w skupieniu, a gdy znowu wychodził na ulicę i patrzył na zamglone gwiazdy, nie był mądrzejszy, ale bardziej ochoczy. Jeszcze bardziej ochoczy, by łagodzić gorycz życia i z cierpkim uśmiechem myślał o krzyżach, które murszały po całym świecie, a pod nimi próchniały ręce i serca tych, co równie skwapliwie jak on przystąpili do tego trudnego dzieła. Tylko że państwo uważało za bardziej konieczne posłać ich na śmierć niż życie. I było obojętne, czy wysyłał ich absolutyzm, czy demokracja. W tych rzeczach ci i ci mieli jeden pogląd.

Niekiedy także, ale bardzo rzadko, schodził w niedzielę wieczorem ku rzece, skąd woził węgiel z Małgorzatą. Nie szedł tam, dopóki nie zapadł zmierzch, i to tylko wtedy, gdy chmura deszczowa zasnuwała horyzont, a nad ziemią było owo tłumione, smętne światło, zupełnie inne niż światło gwiazd. Nazywał je światłem umarłych, bo przywoływało wspomnienie, lękało się światła słońca i gwiazd, i myślał, że gdyby był poetą, przy takim świetle nawiedzałoby go natchnienie. Na zachodzie, gdzie rozciągał się daleki zalew, czerwony blask utrzymywał się jeszcze nad ziemią, ale wszystko poza tym było bezbarwne, tylko szare i ciemne, osłonięte listowiem wierzchołki drzew stały niby samotne kopuły ponad blado lśniąca rzeką, odpływającą bez szmeru w dal, niby rzeka umarłych.

Tu siadał na brzegu, złożywszy ręce na kolanach, przytulając głowę do gorącej kory wierzby i patrzył ponad trzcina i wodą w ciemną dal. O niczym nie myślał, nic mu się nie wydawało, ani nawet nie przypominało. Widział tylko obrazy, jak wyrastały przed nim i zapadały się w głąb, zanim je zdążył ze sobą powiązać, obrazy z jego

młodego życia, dotąd jeszcze nie przeżyte, najczęściej jednak przedwcześnie świadomą twarzyczkę Małgorzaty, opromienioną poświęceniem i czułością, pochylającą się nad nim po macierzyńsku i po dziewczęcemu zarazem; głęboki smutek jej miłości spływał przecie na niego jak złoty strumień, w którym szara przyszłość wydawała się jakby okolona tęczą, barwnymi krańcami opierającą się o ziemię.

Wtedy dopiero z palącym żalem odczuwał, co bezpowrotnie utracił: drugą stronę życia, więź z wiecznością, zaciszne miejsce w pianie stworzenia, rękę, co jak ręka anioła niosła mu pociechę w jego straszliwej samotności. Tu, w bladej poświacie płynącej w dole rzeki i wobec bezgranicznej samotności splekanego nieba nad głową zdarzało się, że płakał. Ale nie wiedział o tym. Łzy spływały mu z otwartych oczu, i dopiero podnosząc rękę, by przepędzić jakiegoś komara, czuł, że jego policzki są mokre. Wtedy zrywał się szybko, przerażony. Było tak ciemno, że ledwo rozpoznawał zarys drzewa, pod którym siedział, ale oglądał się bojaźliwie dookoła, jakby ktoś mu się przyglądał.

Powracał wzdłuż wybrzeża, tamtędy, gdzie po powrocie z wojny widział łódź z dziećmi, próbującymi łowić ryby porwaną siecią. Nie chodził jednak ulicą, gdzie znajdował się dom Małgorzaty. Na pierwszej takiej przechadzce zobaczył z daleka, że sklep z manekinami — golaskami znowu był oświetlony jak dawniej, bo czasy wcale nie były spokojniejsze i zawrócił, jakby ktoś zamierzył się na niego do bicia. Były rzeczy, którym nie potrafił jeszcze wyjść naprzeciw.

Jeśli w ciemnych uliczkach portowych zagadnęła go dziewczyna, przerażał się, jakby ujrzał upiora, i dopiero gdy zapalał lampkę w pokoju Jumby, poczuł, że powrócił między żyjących. Ale ręce drżały mu jeszcze i serce mu biło, jakby po uciążliwej ucieczce.

Tak, Jonsie Ehrenreichu, „jak upływają ci dni?”. Dni człowieka, co wyruszył w drogę, by łagodzić gorycz ziemi, ale własnej goryczy jeszcze nie złagodził, i teraz wżerała się w kąciki oczu i ciężko bijące serce. Trudny był krok od siebie do innych, cięższy, niż Stilling wiedział, bo jemu przypadło to jako łaska. Lecz Jons nie zaznał łaski. Toczył walkę, i kolana mu drżały, jakby po zmaganiach z aniołem.

Nie miał przyjaciół. Dla studentów był dziwakiem lub karierowiczem, a kiedy oczy jego poprzez nich patrzyły w nieznaną dal, spoglądali nań z ukosa, jakby przychwycili Jonsa na czymś niewłaściwym. A przecie wcześniej zyskał sobie sławę, której bynajmniej nie pragnął.

Już wówczas bowiem studiowało wiele młodych dziewcząt, a przegrana wojna, a z nią głód i kalectwo, ściągnęły je jeszcze liczniej niż poprzednio do audytoriów medycznych. Były ciche, poważne i pracowite, a profesorowie jak i studenci spoglądali na nie z pewnego rodzaju niezadowoleniem. Nie podobało im się, że nie są już w swoim gronie, przy swym szorstkim, a niekiedy brutalnym męskim rzemiośle, że muszą okazywać względy, jakich wymaga dobre wychowanie, czego jednak nie lubili; i że poważne oczy tych dziewcząt mogą z żenującą wyrazistością obserwować ich rozmowy, ich wstążki korporacyjne i odznaczenia.

Profesorom nie brakło sposobności, by w drastyczny sposób wyklądać i demonstrować rzeczy, które mogliby wyłożyć inaczej, a dobitne uznanie męskich słuchaczy było tanią zapłatą za zuchwałość ich cynicznych żartów. Wielu powstrzymywało się od tego, zadowolając się niedostrzeganiem żeńskiego audytorium. Ale niektórzy nie pomijali żadnej sposobności dręczenia bezbronnych, by potem wśród grubiańskich śmiechów rozradowanych słuchaczy spoglądać ze zdziwioną miną, jakby całkiem wbrew ich woli źle ich rozumiano. Zwłaszcza ginekolog, zażywny mężczyzna z twarzą pooraną bliznami, celował w takich mrozących dowcipach, jakby chciał na całej płci żeńskiej powetować sobie trud, jakiego mu przyczyniała w jego klinice.

Jons początkowo w ogóle nie rozumiał, o co w takich wypadkach chodzi. Spoglądał sponad swego rysunku, jakby ominęło go coś, co innym sprawiano radość i dopiero gdy zobaczył, jak siedząca przy nim cicha dziewczyna zaciska kurczowo ręce pod ławką, a jej udreżone oczy napłynęły łzami, zrozumiał, co się dzieje i spojrzał gniewnym wzrokiem na profesora. Nosił to w sobie przez parę dni, po prostu przytłumiony gniew człowieka, któremu wrzucają śmieci do czystego domu i gotów był ten objaw bezmyślnego grubiaństwa dołączyć do pozostałych objawów.

Ale kiedy w parę dni później, przy omawianiu miednicy kobiecej, z uśmiechniętych ust profesora padł szczególnie drastyczny dwuznacznik — łatwo było zauważyć, że z góry przygotowany — a sąsiadka Jonsa odruchowo uniosła ręce do twarzy, jakby zasłaniając się przed rzuconym kamieniem — odezwała się w nim odziedziczona po matce gwałtowność i oto wśród zgiewku śmiechów i kpin poderwał się, zgarnął zeszyty i wyszedł z ławki, wśród ustępujących mu z drogi zaskoczonych kolegów. Na sali zapanowała nagle niezmacona cisza. Spojrzał ponurym wzrokiem na pobladłego wykładowcę i rzekł głośno tak, że nawet w najodleglejszym kącie było słyhać: — Bądź posłuszny ojcu twemu, co cię spłodził, a nie pogardzaj matką twoją w

starości. — Nie wiedział nawet, jak ten wiersz z przypowieści Salomona znalazł się na jego wargach. Później dopiero pojął, że słyszał go przed wielu laty przy mielerzu, i że wypowiedział go ojciec, gdy Gotthold wyprawiał się do miasta.

A potem, nie oglądając się, opuścił salę.

Był przygnębiony. Nie dlatego, że postąpił wbrew regulaminowi, lecz że działał w porywie gniewu, jak matka gdy porywała się do bicia.

Już następnego dnia otrzymał wezwanie do sędziego uniwersyteckiego. Był on znany jako poważny, surowy człowiek. Wiedziano, że stracił dwóch synów na wojnie. Ruchem ręki nakazał Jonsowi, aby usiadł. Patrzył nań w milczeniu. Poza niebieskawo zabarwionymi okularami oczy jego były nieprzeniknione i Jons nie wiedział, jakie spojrzenie ku niemu kierowały. Ale czuł, że te wąskie wargi nie wyrażają gniewu, jedynie boleść sprawiającą, że twarz jego wydawała się jakby zmrożona. Bezkrwiste ręce bawiły się ołówkiem.

Sędzia odsunął część akt na bok i nachylając się ku niemu zapytał:

— A gdzie to napisane? To o ojcu i o matce?

— W przypowieściach Salomona, panie tajny radco² — odpowiedział Jons.

Sędzia skinął kilkakrotnie i wyjrzał przez wielkie okno, gdzie gałęzie starej brzozy chwiały się na wietrze.

— A skąd pan to zna? — pytał dalej.

— Mój ojciec powiedział to przed wielu laty, gdy mój brat jechał do miasta.

— A kim był pański ojciec?

— Mój ojciec był węglarzem i zajmował się mielerzem u pana von Balka.

— Węglarzem... — powtórzył sędzia, nieco zaskoczony. — Czytał Biblię?

— Tak, panie tajny radco.

— A co teraz robi?

— Spoczywa w Rosji.

Leciutkie drgnienie warg, jakby kto ukradkiem ukłuł igłą nieruchome ciało. A potem zdjął okulary i na Jonsa spojrzała para łagodnych oczu, pogrążonych w utajonym smutku. — Muszę panu udzielić nagany — rzekł cicho — nie za to, co pan powiedział, lecz za zakłócenie wykładu, ale chciałbym, żeby pan był moim synem.

² W oryginale: Geheimrat — tytuł dworski, udzielany często profesorom uniwersytetu [przyp. tłum.].

Cichy ruch ręki i Jons wyszedł. Głos mu uwiązał w gardle i nie mógł słowa przemówić.

Napisał o tym do Stillinga, a ten odpowiedział, żeby sobie przypomniał przypowieść o niemiłosiernym słudze. Kto w sprawiedliwości poczyna, dalej także w sprawiedliwości podąża, tylko że obrazy majestatu stają się z wolna coraz cięższe. Ale kto nastaje na bezbronnych, musi ponieść karę. To różni człowieka szlachetnego od pacholka i tego Jons powinien dalej się trzymać.

Na wykładach nigdy już więcej nic takiego się nie zdarzyło, a jedna z dziewczyn na oczach wszystkich podała mu rękę. Profesor nie patrzył w jego stronę, a studenci zbyli to rodzajem pełnego uznania chichotu. Wielu spoglądało na niego, gdy w czasie przerw przechadzał się po korytarzu.

Jego początkowe przygnębienie przechodziło powoli w cichą i uszczęśliwiającą wesołość. Nie przez to, co sam powiedział, lecz przez to, co powiedział sędzia uniwersytecki. Było mu lekko na sercu, a równocześnie z ufnością patrzył w przyszłość. Egzaminy semestralne zdał ze szczególnym wyróżnieniem, wiedział przecie, że już cięższy egzamin miał za sobą.

Z radością pojechał na swoje pierwsze wakacje.

Rozdział 3

Były to wielkie wakacje, bo na Wielkanoc pozostał w mieście. Instytut Anatomiczny przeprowadzał się oraz reorganizował i Jonsowi udało się uzyskać zajęcie pomocnika. Zarobił trochę pieniędzy, parę starych preparatów, kilka zacytanych tomów. Pewnego razu zatrzymał się przy nim tajny radca, rozpytywał o jego pracę i warunki domowe, a potem patrzył chwilę przez zakurzone okna.

— I u nas są taczkarze — rzekł potem — ale przyglądam się panu już od paru tygodni. Niewielu jest takich, którym się lubię przyglądać. Kiedyś pańska wieś będzie miała z pana pociechę... jak to się ona nazywa...?

— Sowiróg, panie tajny radco.

— Sowiróg, tak... same słowiańskie nazwy... a co to znaczy?

— „Sowi zakątek”, panie tajny radco.

— Sowi zakątek — powtórzył tajny radca — tak... tam żaden z tych paniczów nie pójdzie... Będzie pan tam sam, kolego Jeromin, sam ze swą sztuką i swoim sumieniem.

Bo tam chyba jest jeszcze sumienie, nieprawdaż?

— Jest, panie tajny radco.

Stary człowiek przytaknął mu nieznacznie i poszedł swym ciężkim, posuwistym krokiem do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie śmiechy pomocników nagle zamilkły.

O tej rozmowie myślał Jons, gdy stojąc na skraju lasu spoglądał na pole Czai. Nie zawiadomił o swoim przyjeździe, poszedł więc piechotą. W czasie żniw nie ma furmanek w Sowirogu.

Stał przez chwilę, oparty na lasce i patrzył, jak Czaja nakłada na wóz mizerne snopki. Siwy koń, odwróciwszy głowę, spojrzał w stronę Jonsa. Był czujniejszy niż pies owczarek.

„Tak, tu jest jeszcze”, pomyślał Jons, „i pozostanie tu jeszcze trochę czasu”.

Nikogo nie było, by pomóc Czai, ale on nakładał snopy tak schludnie, że i nie potrzebował pomocy. Wszystko sam zrobić potrafi, gotować, siać i orać, i sam umrzeć też na pewno potrafi.

Ale Jons szybko ruszył na pole. — Mogę na wóz, Czaja? — zapytał.

— Będę porządnie nakładać.

Ramiona Czai drgnęły, gdyż nie słyszał, jak Jons podszedł, ale potem, opierając się na długich widłach, pokiwał głową. — Pan student — rzekł patrząc na niego w zamyśleniu. — Pan Bóg naprostował je, Jons? — Myślę, że tak — odpowiedział Jons. — Ma On zresztą coś więcej do roboty, niż troszczyć się o moje biodro.

Czaja powiódł swymi jasnymi oczyma po polu, a potem w kierunku mielerza. — Wiele ma do roboty — rzekł. — Oto nadchodzi w chmurach i ujrzą go wszystkie oczy, i ci co w niego godzili; i będą jęczeć wszystkie pokolenia ziemi. Tak, amen.

Jons nie wiedział, co właściwie ma odpowiedzieć. Słońce świeciło nad nagrzanym polem, a od jeziora słycać było krzyk orła. Te „gromkie słowa” z ust Czai zaskoczyły go nieco.

— To z Objawienia? — spytał nieśmiało.

Czaja przytaknął. — Nie — rzekł następnie — zostaw, Jons. I tak dam sobie radę. Czeka ją na ciebie... Umiesz już pomagać i leczyć?

— Zaczynam, Czaja, od samego początku. To długo jeszcze potrwa, całe lata.

Czaja jeszcze raz skinął, a potem powoli wbił widły w następny snopek. Słońce już chyliło się ku zachodowi. Ale nim Jons odszedł, zawołał za nim raz jeszcze, wskazując ku mielerzowi. — Nie ma już dymu nad lasem — rzekł — ale nie zapominaj, Jons... jest także napisane: „Temu co zwycięży, dam jeść z onej manny ukrytej i dam mu kamyk biały, a na owym kamyku imię nowe napisane, którego nikt nie zna tylko ten, kto je przyjmuje”.

I nałożył następny snopek na wóz.

Nie, Jons nie zapomniał. Ani mielerza, ani pana Stillinga, ani Korsan—kego i starego Piontka, ani żywych, ani umarłych. Zdawało mu się, że dłużej go nie było niż podczas wojny, ale że teraz powrót do domu jest lepszy.

— Jerominie, pomóż nam, patrz, zielony język mam... — mówiły dzieci na wiejskiej ulicy. Żuły zajęczy szczaw, a potem pokazywały mu zazielenione usta. Wtedy Jons uśmiechał się jak za czasów dzieciństwa, targał dzieciaki za jasne czupryny i myślał, że to są jego pierwsi pacjenci. Ale nie chciały powiedzieć, od kogo pochodzą te niezręczne rymy, a Jons i bez tego był pewien, że jest to sprawka swawolnej Barbary.

Przez pierwsze dni, zanim zaczął pracować, był jakby oczarowany. Od wczesnego ranka, gdy budził go róg starego Piontka, aż do nocy, kiedy czerwony księżyc stał ponad szczytami dachów, a nietoperze snuły się bezgłośnie dokoła klonu. Nie tylko

dlatego, że znowu był w domu; że izba, w której spał i żył, była tak samo zbudowana jak ta, w której żyli jako dzieci; że kamienie i ulice pozapadały się. Lecz dlatego, że nie był już sam. Że znowu był wpleciony w dolę wsi, dolę skromną, ale która go obchodziła. Obchodziła go krowa Giny Bojar, chorująca na krwiomocz. Obchodziły ropienie ręki Piontka, które otworzył cięciem noża. Tabele obliczeniowe Stillinga i lekki ból Korsankego. Burza, co przeciągnęła ponad zbiorami owsa i ogień na skraju moczaru, który zwalczali wiadrami wody i łopatami piachu aż do nocy. Nie do wiary, jak wiele rozgrywało się w takiej wiosce. A wszystko to działo się także wobec niego, i wielu wierzyło, że tylko on pomoc może. Poważanie dla wszelkiej wiedzy głęboko zapadło w ich ufne serca.

Poszedł do chaty przy mielerzu, zanim jeszcze wstąpił do wsi, a matka stała na progu i patrzyła mu naprzeciw. I znowu na jej twarzy był rys cichej obawy, który go kiedyś tak wzruszył przy rozstaniu. Nie mówiła wiele, a głos jej stał się zupełnie cichy jak głos człowieka, którego otaczają duchy. — Jesteś zdrow, Jons? — zapytała. I: — Długo jeszcze zostaniesz, Jons? — I to wszystko. Ale na pożegnanie twarzą, chłodną ręką musnęła jego policzek tam, gdzie go kiedyś uderzyła, nieśmiało i jakby przez zapomnienie, i natychmiast znowu ją cofnęła. — Idź do swoich, Jons — rzekła. — Czekają na ciebie. — I zanim zdążył coś odpowiedzieć, cofnęła się zamykając cicho drzwi za sobą.

A on musiał jeszcze długą chwilę stać na skraju lasu, zanim był zdolny pójść do „swoich”. „A na kamyku nowe imię napisane”, pomyślał. Tak, oni wszyscy chyba nie wiedzą, że Czaja z nich najmądrzejszy. I nie tylko dlatego, że dał się drugi raz ochrzcić.

Siedział także u Stillinga, i tu do głębi zatracił świadomość czasu. Dotykał lekko globusa, aż lądy i morza bez szmeru zaczynały się obracać. — Czy to nie wczoraj, panie Stilling — pytał cicho — siedziałem jeszcze tutaj, ucząc się pięknych amerykańskich nazw? Minnesota i Minnehaha? — A stary nauczyciel patrzył wraz z nim na powoli obracającą się ziemię, na której gdzieś jest punkt, na zawsze nieznanym, gdzie może teraz wędruje lub śpi syn marnotrawny, i przytakiwał swojemu uczniowi. — Wszystko to było wczoraj, Jonsie Ehrenreichu — mówił — a jutro także już wszystko będzie „wczoraj”. Ale ty, Jonsie Ehrenreichu, musisz żyć dla „jutra”, zwłaszcza ty, i nie wolno ci o tym zapominać.

A potem pytał o markę, a Jons uspokajał go. — Wierzę — rzekł — że lekarze troszczą się o markę, ale medycyna nie troszczy się o nią. Także dla niej będzie to kiedyś „wczoraj”.

Ale Stilling ciągle potrząsał głową, spoglądając na kręcącą się ziemię, jakby ciągnęła za sobą wszystkie oszczędności świata, strącając je poza zakrzywienie kuli w bezdenną otchłań.

Weszła Eliza i spojrzała na niego z łagodnym pobłażaniem, jakie zawsze zachowywała dla „pracowników umysłowych”. — Czy to prawda — zapytała — że macie prezydenta policji, który jest czerwony, a dawniej był czeladnikiem murarskim?

— Tak, to prawda — odpowiedział Jons z uśmiechem — i jest nie gorszy niż panowie z „von” i „zu”, jakich mieli przedtem.

— Ale on ma podobno jedno oko — trzeźwo i chłodno rzekła Eliza.

— Drugie Bóg mu zabrał za jego niewiarę.

Spojrzała na Jonsa badawczo, czy aby on sam ma jeszcze dwoje oczu, czy może już na któreś zamierza oślepnąć.

— Niemądra jesteś, Elizo — rzekł łagodnie Stilling.

Ale ona podniosła groźnie rękę z drutem do robienia pończoch, kierując szare ostrze ku nim obu. — A kto powie bratu swemu „głupcze”, winien jest ognia piekielnego — rzekła, jakby ich obu skazywała na śmierć.

Stilling uśmiechnął się tylko, ale Jons ujął żartobliwie drut i zauważył: — Ciotko Elizo, ciocia zna Biblię równie dobrze jak mój ojciec. Tylko że on mówił inne słowa, dobre i niosące pociechę.

— On był Jerominem — rzekła niewzruszona — a i ty niczym innym nie będziesz, chociaż nazywasz się Ehrenreich.

Siedział także u pana von Balka, przed kominkiem, i także tutaj myślał, że czas nie istnieje. Czas był tylko w miastach, gdzie już nie było ziemi. Długie szeregi książek błyszczały w blasku ognia, a papuga cicho poruszała się w złoconej klatce. „Allons enfants” mówiła ochrypłym, zaspanym głosem.

— To nowa? — zapytał Jons uśmiechając się.

— Nowusieńka — odpowiedział Balk. — Nie wiedziałeś, że nazywają mnie Czerwonym Balkiem, moi „równi stanem”?

Nie, tego Jons nie wiedział, i nie bardzo wierzy, by to była prawda.

I Balk także tak nie myślał. Ale dla wielu ludzi ten już jest czerwony, kto zamiast laski nosi szpicrutę. — Nowe czasy, Jonsie — rzekł.

— I do nas także przyszły. Nie do wiary, że też one wszędzie trafią. Nawet do Sowiego Zakątka!

Ale Jons odpowiedział, że dotąd nic takiego nie zauważył.

— Oczy medyka dostrzegają dopiero pod mikroskopem — rzekł Balk ironicznie.
— Przyjrzyj się waszemu nowemu Pestalozzemu. To roz—sadnik nowych kultur. Nauczyciele wiejscy zawsze byli rozsad—nikami, tak czy inaczej. Był tu i uskarżał się, że dzieci muszą pomagać przy ziemniakach. Uważał, że to pomiatanie umysłem. Zniewol—niczenie nieletnich. Potrafił wypowiadać piękne zdania, naciskać na wysokie C. Zapytałem go, czy woli na kolację ziemniaki, czy nieletnich. Nastroszył rude brwi, jakbym mu wprost pod nogi z księżycy spadł.

— I co z tego wyszło? — zapytał Jons ubawiony.

— Nie wyszło, tylko wyszła — odpowiedział Balk.

Papuga mianowicie. Widocznie coś jej się wydawało podejrzanego, bo nagle siadła na głowie Pestalozzemu i porwała mu perukę. Nawet on sam ledwie to zauważył. Wszystko było u tego typu takie gładkie, że nawet to spłynęło po nim jak woda. Było wielkie polowanie, bo siadła ze swym łupem na popiersiu Platona. Widocznie wzięła go za platońską ideę. Zwołałem cały dwór na pomoc. Przy świadkach jeszcze większa uciecha. A on stał jak foka przy kuchni. Z pokruszoną godnością. Pocieszałam go, że papugi są małoletnie, jak dzieci. W końcu wręczyliśmy mu perukę cokolwiek zdefasonowaną. Nasadził ją i wyleciał jak strzała z biblioteki. Ludzie chichotali, a papuga skrzeczała oczywiście „idiota!”. Zawsze znajdzie coś odpowiedniego... Nie przyszedł już więcej.

Jons śmiał się, a panu von Balkowi przyszło nagle na myśl, że już dawno nie widział go śmiejącego się, lata chyba.

— A innych — zapytał Jons — i Daidę, Gonsiora i samą wieś, czy także nazywają „czerwonymi”?

Pan von Balk ściągnął brwi. — Zawsze byłem zdania, że studiowanie to niebezpieczne rzemiosło. Lekarze nie mogą być ślepi na barwy. Nie wiesz jeszcze, Jonsie, że bieda jest szara? Zachłanność jest czerwona, głupota czarna, ale bieda, przyjacielu, jest zawsze szara i ta barwa utrzyma się w Sowirogu. Nie, uszczęśliwicz ludu i Czwał—linna są na razie jedyni. Naturalnie, inni też chcieliby mieć masę rzeczy, większy zarobek, więcej łąki czy więcej zajęcy, ale oni nie ufają historii. Widzisz, dla takiej wsi cesarz nie może opuścić tronu. Oni nie pojmują, że odebrali mu koronę ludzie, o których nic nie słyszeli. Myślą, że przyjdzie kiedyś za to odpowiadać przed sądem, jak za podpalenie lub koniokradztwo i dlatego wolą starać się na własną rękę o

więcej łąki i więcej zajęcy na przykład. Przyzwyczaili się do tego i jakoś to po cichu idzie. Tamci za wiele im gadają.

— A tu, u pana, panie von Balk?

— Tak, tu już jest cokolwiek inaczej. Nie u starych ludzi, ale u tych, co byli parę lat w niewoli. Wtedy nie ma innej rady, jak odebrać im ordynarię, gdy chcą strajkować. Ziemniaki i żyto, to rzeczy realne, bardziej realne niż pieniądze. A ostatecznie na frazes jest tylko jedno lekarstwo — słowo. Właściwe, jasne, spokojne słowo. Ono jest rzeczywiście ciągle jeszcze potęgą. Silniejszą niż żandarmi. I przykład, Jons! Czwallinna i uszczęśliwiacz ludu dają zły przykład, i dlatego barwa tu nie chwyta, tę prawdziwą mam na myśli, bo na prawdziwą już najwyższy czas na tym tak zwanym „Załabiu”.

Potem Jons zapytał, czy pan von Balk uważałby za słuszne, by teraz na czas wakacji poszedł do fabryki, aby zarobić trochę pieniędzy i otrząsnąć się nieco z „akademickiej godności”.

Ale pan von Balk uważał to za z gruntu niewłaściwe. — To jakieś nowoczesne fanaberie, Jons — rzekł. — O pieniądze ja się postaram, bo Stilling, o ile się orientuję, wkrótce będzie musiał z tym skończyć. On ma swoją emeryturę i oszczędności, ale ja mam pola, bydło i las, a to wielka różnica. To jest zapłata ziemi, że tak powiem, która zostaje niezmienna... A wszystko inne to po prostu bzdura. Godności masz dosyć, ale nie akademickiej, a tego rodzaju godności nie otrząsniesz z siebie, miejmy nadzieję. Kto wyrósł w Sowirogu, a do tego w domu Jerominów, wie tyle o Bogu i biedzie, że profesorowie uniwersytetów z całych Niemiec mogliby się od niego uczyć... ale może znowu przejedziesz się ze mną trochę konno?

Jons potrząsnął głową. — Po pierwsze, mam pracę, panie von Balk — rzekł — od rana do północy. A po drugie, nie wypada mi konno jeździć, gdy inni o kulach chodzą. Panu to wypada, i Korsankemu także, ale nie mnie.

Siedział także Jons u Piontka, wieczorem, zanim bydło zapędził. Piontek ciągle jeszcze nosił srebrne kolczyki, a ręce jego, którymi nakładał grzyby na węgiel drzewny, wyglądały jak kora drzewna. Niewiele opowiadał, bo o tym, co się nie zmienia, niewiele jest do powiedzenia, ale był z tych, co jak najwięcej chcą wiedzieć o wszystkim. Czy profesorowie jeżdżą na uniwersytet czwórką koni, czy mówi się do nich „wielmożny panie”? Czy prawda, że kroją tam nieboszczyków na wielkim stole, a

potem przywracają do życia, i wtedy okazuje się, że jakiegoś kawałka brakuje, nogi, ręki, czy nawet serca? Czy to prawda, że tam każdy musi wstawać przed wyrobnicą?

Jons próbował opowiadać mu o swej pracy i życiu, ale nie bardzo mu to wychodziło. Piontek znał wieś i moczary, pory roku i swoje stado. Znał przyczynę stworzenia i bieg prastarych praw. Ale nie potrafił sobie przedstawić, jak to tam ludzie żyją, gdy wychodzą z rana poza próg swego domu, a wielki wóz bez koni mija ich ze szczękiem. Albo dziesięć tysięcy ludzi ciągnie w jednym pochodzie przez kamienne ulice trzymając w rękach drągi, a na tych drągach jest coś do czytania. A najtrudniej mu było pojąć, że obok Jonsa w wielkich salach siedzą dziewczęta, prawdziwe dziewczęta, „w chusteczkach na głowie i zapaskach”, jak mówił, i uważał to za oczywiste kłamstwo.

— Cyganisz, Jons — mówił potrząsając z dezaprobatą swymi kolczykami. — Ta stara baronowa, co to u niej dziewczyna mojej siostry jest na służbie, ta spoza jeziora, to jej ponoć też niejednej klepki brakuje. Gra na skrzypkach i pali cygara, jak pan von Balk. Ale żeby ona między chłopakami siedziała i szatkowała trupy, tego o niej nikt jeszcze gadać nie śmiał.

I to próbował mu Jons wyjaśnić, ale Piontek tylko uśmiechał się chytrze. — Ty masz to po Jakubie — rzekł wreszcie jakby z ulgą.

— Porządny był z niego chłop, ale nieraz takie rzeczy potrafił opowiadać, że aż ci oczy na wierzch wyłaziły. Coś nachodziło go widać, bo to i mielerz i ciemny las, i to, że z nikim nie gadał tylko sam ze sobą. I ciebie pewnie też tak nachodzi, tylko że ty o tym nie wiesz.

Przy tym pozostało, ale zanim zgasili ogień, stary pastuch wziął Jonsa ostrożnie za rękę. Bąk huczał w mokradłach i Piontek wskazał siwą głową w kierunku głuchego huczenia. Jego twarz przybierała tajemniczy wyraz, jaki zwykle towarzyszył jego starym opowieściom, i Jonsowi zdawało się, że nagle pojawiła mu się przed oczyma stuletnia przeszłość, która była w oczach dziada i spała głęboko pod piaskami wsi, w trumnach stojących jedna nad drugą i rozpadających się w proch.

— Coś się zbliża, Jons — rzekł Piontek cicho, a jego jasnoszare oczy napełniły się niesamowitym światłem. — Huczają, jak już od siedemdziesięciu lat nie huczały, a to coś oznacza...

— Co ma oznaczać? — zapytał Jons również przyciszonym głosem.

Ale Piontek potrząsnął głową. — To tylko pan Bóg wie — rzekł po prostu.

A potem wstał, spędził bydło i jakby zupełnie zapomniał o Jonsie.

A potem były wieczory przy wielkim ognisku w domu Jerominów, i Maria stała jak wprzód przy ogniu, a mały Jons i Barbara słuchali, jak opowiada bajką o rybaku i jego żonie, a Jons słuchał z jeszcze większym skupieniem niż dzieci. Głos był jeszcze ten sam, głęboki, kojący, macierzyński, jak za jego dzieciństwa, tylko oczy inne i pośród wierszy o złotej rybce spoglądały na brata z zagubioną czułością i boleścią ściskającą mu serce. A kiedy mijając go przenosiła wzrok ku oknu, wiedział, że rozpościerają się przed nią niezmierzone równiny, po których maszerował Jumbo, i on, i zaginiony. — Droga siostró — rzekł cichutko. Lecz ona wstrząsnęła głową i dalej opowiadała, jak kobieta została cesarzem.

Kiedy jednak wracała ze swej wieczornej przechadzki nad brzeg oczar, pozostawiała poza domem wszystko, co by jej brata przygnębić mogło i jako młoda matka rodziny siadała przy stole, gdzie kiedyś Jakub siadywał, lub przy kądzieli. — Opowiadaj, Jons — mówiła. — O profesorach i o czarnej pannie. O strajkach i o szewcu. Wszystko, o życiu i śmierci...

Erdmutha przycupnęła przed płomieniem ogniska, ciągle jeszcze niby zbłąkane ptaszę, a dziewczyna z sąsiedniej wioski, nad robótką szydełkową, złożywszy ręce na łonie oparła głowę o ścianę i patrzyła szeroko rozwartymi oczyma na czerwone światła snujące się po belkowaniu stropu. Widziała zapewne wyspę na jeziorze lub „Raj”, słyszała zapewne melodię fletu, co czarowała ludzi i zwierzęta. A w nie najmniejszym stopniu jej własne serce.

W najciemniejszym kącie siedział Christean, trzymając kule obok siebie, i spoglądał ukradkiem na Jonsa, jakby go od dziesięciu lat nie widział. Ze wszystkich ludzi we wsi Christean był najbardziej lękliwy i zwracał się do brata tak jakby ten już nosił na czole laury swego zawodu, podczas gdy on sam przywierał do ziemi z przeciętymi ścięgnami i nie oczekiwał niczego prócz szyderstwa wszystkich zwycięzców.

Dotknęło to Jonsa jak niezasłużony wyrok. Odczuł ciężar ceny, za jaką człowiek wywyższa się nad swoich braci. Dopiero na trzeci dzień, stojąc z Christeanem w małej pracowni, gdzie prawie przemocą musiał się wedrzeć, znalazł pomost do tego bezradnego serca. Od razu poznał, że w tej czystej izdebce działa się coś, co tylko z samotności i cierpienia zrodzić się mogło: że zniknęło z jego sztuki.

Wszystko, co było dziecięcą zabawą i zaczęła się zaznaczać prawdziwa twórczość, zwycięstwo nad martwym drewnem, tchnienie duszy w nieożywioną masę, by zbudziła się do nowego, wyższego życia. Było to popiersie ojca, jeszcze nie wykończone, ale już z nie wykończonego spoglądała na Jonsa wieczność. Nie doczesny wizerunek ojca, jak go widział przy mielerzu lub później, gdy się żegnał, aby już więcej nie wrócić. Ów doczesny obraz, zawarty w rysach i postawie, w ruchu warg, spojrzeniu oczu. Lecz właśnie coś wiecznego, co za tym wszystkim się kryło,, a czego oni nie poznali: właśnie niewypowiedziane słowa, niepomyślane myśli, przemienienie, leżące poza granicami cielesności, zawsze obecne, zawsze gotowe, lecz dopiero śmierć je wyzwoliła, a Christean to wyzwolone rozpoznał i potrafił przywrócić mu namacalny kształt.

Długo stał, jak przed zmartwychwstałym, a potem położył rękę na ramieniu Christeana. — Myślałeś, drogi bracie — rzekł cicho — że ja pomknąłem naprzód, szybko i w wielkiej chwale. Myślałeś, że tobie wypada ukryć się w cieniu, tak bardzo mnie kochałeś. Tak, właśnie dlatego, że tak bardzo mnie kochałeś. A tymczasem nie wiesz, jak bardzo mnie wyprzedziłeś, i że nigdy za tobą nie nadążę. Bo ty jesteś twórcą, a ja tylko rzemieślnikiem. Za rok będę umiał wymienić każde włókno i każdą kość, i każdą funkcję tej głowy, ale nic więcej. Nazwy i obrazy, nic więcej. Lecz ty wskrzesiłeś ją z martwych, co tylko Chrystus potrafił i wskrzesisz wszystko, co tylko weźmiesz do ręki i do serca. Nie jesteś tak marny, bracie, byś musiał się kryć przede mną, jesteś największy w naszym domu i proszę cię, byś był wyrozumiały dla mnie, jeśli potrzeba mi tyle miejsca i czasu do życia.

Długo musiał płaczącego pocieszać, lecz wiedział doskonale, że Christean tylko z radości płacze.

Dzieci zaś opierały się o kolana Jonsa i nie odwracały rozpromienionych oczu od jego warg, a gdy spoglądał na dziecko Erdmuthy, wszystko wydawało mu się jak we śnie i widział twarz brata, jakby znowu na ziemię powrócił, surową, poważną, prawie ponurą, twarz tego, dla którego nie było przekupnych słów, i przed którym leżało życie niby kamieniste i niebezpieczne pole.

Czyżby był już stary, że tak siedzi z dziećmi na kolanach i opowiada historie, z których niby ze zmroku wyłania się twarz zmarłego? Czy to tylko tak go nastroiły dom i wieś, z których wyszedł i do których powrócił? A przy mielerzu siedzi matka, bez bajek i opowieści, i niesie swój świat do grobu...

Dreszcz go nagle przeszedł po ramionach i spojrzął w okno, czy tam kto nie stoi. Ale za szybą była tylko czerń nocy i Barbara zapytała, czy tam coś jest.

— Nie — rzekł — nic nie ma... to był tylko czas...

Ale na opowiadanie historii pozostał tylko ten ostatni wieczór. W nocy ułożył Jons jeden ze swych planów, ustalając pracę dzienną na trzy miesiące. Zaczynał ze wschodem słońca, a kończył przed północą. Przywiózł ze sobą cztery tomy anatomii i zamierzał je pochłonąć, tak by na początek nowego semestru tylko w myśli przewracać kartkę za kartką i mieć je przed sobą. A potem były jeszcze podstawy botaniki, zoologii i chemii, historia medycyny i notatki z dwóch semestrów.

Leżał w izbie, która była zbudowana tak jak izba dziecinna w spalonym domu. Widział gwiazdy przeciągające powoli za krzyżem okiennej ramy i zdawało mu się, że słyszy w izbie oddech rodzeństwa, łagodny lub niespokojny. Tak, to czas stał za oknem kuchni, a z parteru słyszał cichy głos starego zegara, którego wahadło dzieliło i odmierzało czas. Czekały drzewa, ciemne szczyty domów, uśpiona wieś. A najwięcej czekał ojciec, który tyle cichego niepokoju nosił w sobie, czy syn pozostanie — jeniec wsi — czy też wyruszy w świat, wielki i groźny, aby przynieść światło dla biedaków. „Sprawiedliwość na roli”, czy tylko pociechę dla obciążonych.

Kiedyś na posłaniu z liści przyrzekł to jako dziecko i niczego nie zapomniał, a już najmniej głębokiego westchnienia, z jakim ojciec przyjął jego przyrzeczenie.

Leżał cicho i nasłuchiwał, jak noc szła nad wsią. Gdzieś daleko, za „Rajem”, szczekał pies, a sowy hukwały z lasu nad moczarami. A od czasu do czasu szło nad ziemią głucho huczenie, o którym Piontek powiedział, że coś oznacza. Ale oznaczało tylko, że nowa noc zapadła nad okolicą, i że czas czeka.

Rozwarł ręce i znowu je zacisnął, i zdawało mu się, że ujął w nie wszystko, z czego się ułoży jego życie: siłę, radość i ową wielką tajemnicę, którą człowiek może warzyć sól ziemi.

Ale teraz było jednak inaczej niż w wielkim mieście. Gdy słońce wzeszło wydobywając z nocy wieś i jezioro, słyszał jak Maria ostrożnie podnosi fajerki na kuchni. Wtedy schodził cicho po schodach i siadał obok niej przy trzaskającym ogniu. Jedli tę samą kaszę gryczaną, co za czasów dzieciństwa, i czarny chleb. Jons opowiadał o panie Holstein, jak to ona teraz w samotności, smutna i opuszczona, będzie siedzieć na sofie i myśleć o końcu wakacji. Siostra tak dobrze umiała słuchać, a po jej znękanej twarzy przemykał się niekiedy dawny dziecięcy uśmiech. — Zawsze

znajdziemy kogoś, kto nas lubi, Jons — rzekła. — A przecie wszyscy pochodzimy z domu, gdzie ludzie trudni są we współzyciu. Nawet zakrystian mnie lubił na swój sposób, gdy byłam na służbie, tylko jej serca nie mogłam pozyskać. Bo ona miała pieniądze zamiast serca.

Kiedyś, gdy minął już tydzień, Jons stając już w drzwiach, by pójść na górę do pracy, odwrócił się raz jeszcze i zapytał cicho: — Z tobą zawsze to samo, kochana siostró?

Zrozumiała go od razu, poznała to po gorączkowym blasku, jaki pojawił się w jej oczach. Odwróciła twarz ku oknu, jakby już zaraz za nim rozpościerały się dalekie równiny, przez które podąża zaginiony. — Wiem, Jons — odpowiedziała cichym, nieprzytomnym głosem. — Boję się, ale wiem. — I więcej już nigdy o tym nie mówił.

Aż do południa pozostawał w izbie, której okna wychodziły na las i cichą zatokę nad jeziorem. Raz tylko czy dwa schodził do ogródka, by pobawić się z dziećmi przez kwadrans. Po obiedzie leżał przez godzinę na brzegu lub płynął łódką na wyspę, gdzie nad wodą stał wielki, samotny krzyż dziadka. I co popołudnia, w słońce czy w deszcz, szedł na parę godzin do lasu lub nad moczary, zbierał zioła lecznicze, których znajomość leżała mu teraz—bardzo na sercu; przynosił potajemnie do domu żabę, jaszczurkę lub żmiję, którą w nocy tak samo potajemnie brał pod nóż, aż każdą kostkę mógł wyliczyć z pamięci. Czynił to potajemnie, bo nie chciał, by dzieci o tym wiedziały. Od czasu do czasu Maria gładziła go ręką po włosach.

Czy to nie za dużo, Jons? — pytała. — Czy nie za mało masz snu?

Ale on uśmiechał się. — Młody jestem — mówił — a po tylu pokoleniach musi ktoś czuwać. A wiesz, siostró, co jest moim najlepszym dziedzictwem? Niezawodna pamięć, wiecznie głodna, gromadząca wszystko niby w magazynie. Ojciec zwrócił ją ku Biblii, a ja muszę ją zwrócić ku ludziom.

Ale najpiękniejsze były sobotnie popołudnia. Wtedy miał prawdziwe wakacje, nawet dla swej pamięci, a gdy schodził schodami na dół, stali już w otwartych drzwiach domu z rozjaśnionymi twarzami: mały Jons, Barbara, Jan, milczący syn Goguna, co widział niewidoczny grób swego ojca, a często i Christean siedzący na wózku, z kulami opartymi o drabinki, zawsze z udręczonym zapytaniem, czy nie będzie dla nich za ciężki. Ale Jons mówił, że dla dzieci Jerominów nic nie jest za ciężkie, a gdy ciągnęli przez wieś, ludzie stawali we drzwiach przypominając sobie czas, kiedy to Christeana wożono do szkoły i myśli ich biegły do reszty rodzeństwa, do

zmarłych i tych co żyją gdzieś daleko w świętości lub w grzechu. I myśleli, że dobry doktor będzie z Jonsa Ehrenreicha, z pomocnymi rękami i pomocnym sercem.

A oni ciągnęli z wolna przez słoneczną lub zaciemioną ulicę ku zboczom zarosłym poziomkami, później na maliny i na jeżyny. Jons i Janek trzymali dyszel, dziewczynka biegła parę kroków za nimi, a mały Jons, którego teraz nazwali Michą, szedł za wózkiem jako poważna milcząca tylna straż, oczy zaś jego były zupełnie jak u ojca, jakby po lewej lub po prawej stronie drogi ciągle między krzakami stał wróg.

Jan przez cały prawie czas to tu, to tam wskazywał ręką na las, a oni podziwiali, jak on się na wszystkim rozumie. Wiedział, gdzie gniazdo kani, wysoko w koronie sosny, a gdzie jastrzębia-gołębiarza, śmiertelnego wroga wsi. To znów prowadził ich do ustronnej jamy lisiej i pokazywał ślady młodych lisiąt na mokrym piasku. Tu znów było mrowisko, a gdy usunął wierzchnią warstwę plewy, ukazywał się śnieżnobiały, błyszczący twór, głowa ptaka drapieżnika objedzona doszczętnie z mięsa i pierza. Wiedział, gdzie siedzi na jajach wrona, dudek, czarny bocian. Jego cicha, pociągła twarz jaśniała, gdy inni mieli radość z tych tajemnic, a jego melancholijne oczy były tak piękne jak wiernego psa.

O żurawie Jons go nie pytał.

Potem pod starą sosną zostawili Christeana z kawałkiem drewna i nożem do strugania w rękę i zaczęli zbierać owoce. Wielkie białe chmury ciągnęły nad lasem, a gdy Jons ukradkiem prostował się, by doglądać swoich podopiecznych, wdychał powietrze igieł i żywicy, i zdawało mu się, że to właśnie jest szczęście: zbierać z dziećmi poziomki, wiedzieć, że za czerwono oświetlonymi pniami jest wieś, wieczór, płomień ogniska i czas za ciemnym oknem. Ale wiedział, że przy mielerzu stoi postać ojca, opartego na żerdzi i daje mu znaki. — To nie wystarczy, Jons — mówi, i Jons wie. Potem siadali wokół Christeana na wrzosowisku, z pełnymi koszami pośrodku, jedli czarny chleb, pili mleko z dużej, ciemnozielonej butelki, często Jan kładł grzyby na ogieniek i opowiadał o błędnych ognikach na moczarach, ropusze w złotej koronie, o bąku, co był czarownikiem. Budziły się w nich stare, głębokie wierzenia zamierzchłych pokoleń, wypełniając pierwszy zmierzch pod cicho szemrzącymi wierzchołkami drzew. Dzika naparstnica jaśniała na polach jak czarodziejskie ziele, nawoływała jeszcze wilga, ptak wypędzony z rajcu, co nie mógł odnaleźć swej pieśni i ciągle ją na nowo rozpoczynał; a czarny dzieciół niosący czarodziejski korzeń, otwierający wszelkie drzwi, wołał żałośnie z ponurych otchłani.

Siedzieli nieruchomo, nasłuchując, a każdy dźwięk wielkiego lasu pozostawił na twarzyczkach dziecięcych wyraźny ślad: zaciekawienia, lęku lub tylko słodkiego oczarowania. Drobna, ubrudzona rączka Barbary cicho wślizgiwała się ukradkiem w dłoń Jonsa, a on czuł na jej przegubie bicie jej tętna. Ogarniała go bezgraniczna czułość dla tego dziecka z jego krwi i jego ziemi, dla milczącego lasu i bezmiaru wschodniego nieba, dla życia, pulsującego mu pod ręką, dla wszelkiego życia, które chciał chronić i ratować. A gdy już musieli wyruszyć, przywołał ich cicho i cicho ciągnęli z lasu, aż wielka, płonąca zorza wieczorna nad wsią ogarnęła ich kojąco.

Ale najpiękniej, „najprzepiękniej”, jak mówiła Barbara, było, gdy raz w miesiącu szli na połów raków. Wtedy Jan zatykał wszelkie szczeliny w dużej szarej łodzi, dno wyścielał trzcina, łapał małe białe rybki i żaby, których ciała jaśniały potem białawo pod wodą, przeglądał siatki do połowu, zestawiał kije leszczynowe rozszczipione na jednym końcu, do których przymocowywano przynętę. Potem wnoszono Christeana do łodzi i odjeżdżali żegnani spojrzzeniami kobiet z brzegu.

Za wyspą wychodzili na brzeg, wszyscy rozgorączkowani podnieceniem, a Christean kierował powoli łódź na czarny strumień, co mroczny i nieruchliwy płynął pod strzelającymi w górę olchami, gdzie w czarnych jamach i pod szarymi korzeniami mieszkały raki. Tu był blady, tajemniczy krajobraz, zakosy moczarów z pagórkami, na których rosły stare dęby, lasy sitowia, którego łodygi poruszały się zawsze niesamowicie za sprawą niewidocznych stworów, co ukradkiem o nie się ocierały; kanie wodne snujące się nisko i bez szmeru nad trzciniami, żurawie, nagle z grmiącym krzykiem unoszące się niebieskawą smugą znad porosłej trzcina wyspy. Z szarych gałęzi u wierzchołków dębów podrywał się krzyżący orzeł lub wędrowny sokół z żalonym wołaniem, spadający jakby z innego nieba i dzieci stały z zapartym oddechem, dźwigając swe siatki i wędkę, szeroko rozwartymi oczyma pochłaniając ten obcy, groźny krajobraz, jakby z innej części świata i nawet wołanie dudka, budzące je przecie co rano, brzmiało tu jak zawołanie czarownika, wabiącego je na ścieżki, co może wiodły do szczęśliwości, a może na zgubę.

Tylko syn Goguna patrzył cicho melancholijnymi oczyma w brunatną, migocącą dal, chcąc zapewne dostrzec ciemne plamy na moczarach, na których brzegu leżał jarząbek, a obok puste, żółto błyszczące łuski nabołów znaczyły koniec drogi życia.

Wtedy Jons przywołał ich wesołym słowem do rzeczywistości i rozstawiali się cicho nad brzegiem strumienia, zakładali przynętę na kije, które wtykali w nabrzeżne

krzaki pod czarną wodę, tak że białawe ciało jaśniało na szerokość dłoni pod powierzchnią. Potem przycupywali w wysokiej trawie, z siatką na długim kiju w drżącej ręce i czekali. Wtedy rączka Barbary wsuwała się znowu w dłoń opiekuna i znów czuł bicie jej tętna, gdy z jam pod korzeniami olch wychodziły pierwsze czarne wielocłonowe cienie, posuwające się z wolna ku błyszczącemu specjałowi.

Nawet Jonsa przechodził lekki dreszcz, gdy spoglądał na upiorne i bezgłośnie ruchy pożeraczy trupów, lewą ręką ujmując mocno i kojąco przegub rączki dziecka, prawą lekko i nieznacznie podsuwał siatkę pod ciemne kłębowisko obmacujące przynętę, i wstrzymawszy na chwilę oddech gwałtownym ruchem podrywał w górę wszystko; siatkę, przynętę, bańki wody i z tuzin ciężkich, mokrych i opancerzonych raków, podczas gdy zbiegłe w dzikiej ucieczce zaszywały się znowu w ciemną głębię.

Wtedy dziecko, jakby zbudzone ze złego snu, nabierało oddechu, radosnym okrzykiem pokrywając ciche przerażenie, choć szybko cofało się parę kroków, gdy Jons wytrząsał zdobycz do plecionego koszyka i nakrywał świeżymi pokrzywami.

— Ładnie było, Barbaro? — pytał gładząc ją po włosach.

A ona przytulała przez chwilę jego rękę do piersi i z głębokim westchnieniem odpowiadała: — Okropnie pięknie, wujku Jons!

Był to wielki połów raków, szalona przygoda ich młodych serc i nawet Micha wodził rozpromienionymi oczyma od jednego do drugiego pokazując swą zdobycz. Nikt jednak nie dorównał synowi Goguna, który jak czarodziej moczarów wabił do siebie, co tylko chciał, a wszystko, na ziemi czy pod ziemią, wydawało mu się posłuszne.

Potem pomagali Christeanowi wydobyć się z łodzi i siadali pod którymś ze starych dębów, z czarnym chlebem posmarowanym konfiturami poziomkowymi w rękę i długo trwało, nim minęło podniecenie i wielkie milczenie przyrody ogarnęło ich na nowo. Coraz to nowy dziw pojawiał się na wysokim, parnym niebie: czarny bocian zataczający nad moczarami wielkie, spokojne koła; para kruków, wyglądających jak ciemne orły, a Jan znał ich ukryte gniazdo; rybołów wracający z jeziora, ze zgiętą w łuk rybą w szponach, co błyszczała jak srebrna obręcz, a raz ciął słońce, których wysoki, żaloszny krzyk dolatywał jakby z najdalszych kręgów nieba, pozostawiając nasłuchujących w samotności i zagubieniu.

— Co tu się nie dzieje... — mówił mały Micha, odrywając oczy od nieba, by znów je zwrócić ku brunatnawym moczarom.

— Tam jest droga — zaczął Jan po chwili, wskazując na zarośla sitowia — znalazłem ją i nikt o niej nie wie prócz mnie. Na prawo i na lewo grób.

„Mówi jak stary” — pomyślał Jons spoglądając na niego z ukosa.

— Powinieneś być ostrożniejszy, Janie — rzekł.

Lecz Jan patrzył dalej swymi melancholijnymi oczyma na las sitowia.

— Zaznaczyłem ją małymi gałązkami — mówił dalej. — Zdjąłem z nich korę, by i w nocy widać było. Nie wiadomo, na co to się jeszcze przyda... wiedzie głęboko w moczary. Nikt tam cię nie wypatrzy. Zbudowałem tam chatkę z darni i trzciny. Deszcz nie przejdzie przez dach. Gdy się wyciągnie ostatnie gałązki, jest się samemu.

Wszyscy utkwili w nim wzrok.

— Ale po co? — zapytał Jons.

Jan spojrział swoimi smutnymi oczyma ponad moczarami ku wschodowi. — Kiedy oni przyjdą — odpowiedział jak we śnie.

— Kto ma przyjść? — zapytał Christean.

— Ci na małych konikach...

Wąska chmura przesunęła się przez słońce przyćmiewając światło. Nie pierwszy raz odkąd siedzieli, ale jakby tego nie zauważyli. Wąski cień prześliznął się po moczarach, po trzcinie i sitowiu, zaciemnił na chwilę strumień i podążył ku wysokopiennemu lasowi.

Zamilkli przygnębieni i wszyscy prócz Jana powiedli oczyma za wąskim, bezgłośnym śladem. Jakby ktoś bez nóg szedł przez moczary.

Wtedy Christean położył rękę Janowi na ramieniu uśmiechając się do niego. — Ten także znajdzie drogi, gdzie twoja noga może przejść — rzekł cicho.

Siedzieli tam, aż cienie się wydłużyły, a potem przenieśli się do szarej łodzi. Na chwilę przedtem wziął Jan wielki garnek i poszedł wzdłuż strumienia ku brzegowi jeziora. Widzieli z dala, jak ściągał spodnie i koszulę i wszedł do wody. Jego smukłe ciało jasno połyskiwało na ciemnym tle. Jedną ręką trzymał wielki, błyszczący garnek przed sobą w wodzie, drugą płynął powoli ku wyspie, by rozpaścić ogień i nastawić kocioł z wodą. O wszystkim myślał, choć tej wiosny skończył dopiero siedemnaście lat Ruszyli za nim. Woda była teraz cicha i ciemna, u ujścia strumienia rosły białe lilie wodne jak wielkie gwiazdy na czerni.

— Na noc w każdej z nich dziecię elfów układa się do snu — powiedziała Barbara przechylając się za burtę łodzi. — A potem płatki się zamykają... to tak jak w domku.

— A gdy księżyc świeci? — zapytał Christean.

— Gdy księżyc świeci, to tak, jakby mama siedziała obok i lampa się jeszcze paliła.

Słońce zachodziło już za lasem, a krzyż dziadka na wyspie odcinał się dwiema czarnymi belkami w pierwszych blaskach zorzy wieczornej. Ryby wyskakiwały, jasne zaś migotliwe kręgi biegały aż pod ich ster. Dym unosił się ponad kominami wsi, a echo rogu Piontka biegło wkoło po lasach.

— Siedem razy! — rzekła Barbara z namaszczeniem i podniosła palce do góry. — Taka jestem szczęśliwa...

Uśmiechnęli się wszyscy, ale kryli się z tym. Jons na chwilę kazał opuścić wiosła i nasłuchiwali, jak woda, po której łódź znaczyła swój ślad, przepływa cicho pod ich stopami.

Ogień, już płonął bez dymu, kocioł stał na żarze, a Janek jeszcze dorzucał drewna. Stali chwilę przed krzyżem dziadka, ale dla Michy i Barbary był to już tylko zmarły stary człowiek. Niewiele o nim wiedzieli.

Z daleka spostrzegli Marię wracającą znad brzegu moczarów, małą i niepozorną wobec wielkiego wieczornego nieba. Wtedy Jan popłynął, by przywieźć kobiety.

Gwiazda wieczorna stała już wysoko nad sosnami, gdy wydobyli z wody czerwone raki. Łamali kleszcze palcami i mówili jeden do drugiego, że wspaniale smakują. Ale raki, to nie jedzenie dla chałupnika i Barbara odwróciła się. — Śmierdzą — powiedziała wstrząsając ramionami, jakby jej było zimno.

Dla wszystkich jednak piękniejszy niż raki był ogień, i ten cały dzień z radością oczekiwania i przygodą, z wodą, trzcina i wołaniem wielkich, obcych ptaków. Z odrobiną smutku, co zjawił się nagle i zniknął, jak znika chmura. Z odrobiną lęku wschodzącego znad milczącego moczaru jak chłodna mara i takim wielkim poczuciem bezpieczeństwa, gdy się patrzyło na Jonsa. Z odrobiną znużenia, co do żaru ognia na nich szło. Ale wszystko razem zebrawszy, z ogromnym szczęściem, co ciężko kładło się na sercu. Wypełniony dzień, po brzegi wypełnione życie i nieświadome przecucie smutku czekającego za czarną wodą. Jak człowiek za zamkniętymi drzwiami.

Znów się położyli i patrzyli w górę na gwiazdy. Od czasu do czasu strzelał złoty szlak z nieskończoności na ziemię, płonąca smuga, a oni czekali, czy nie zasyczy w wodzie w chmurze pary. Początkowo wykrzykiwali za nią swe życzenia, ale ciągle się spóźniali, a cisza była taka ogromna, więc zamilkli. Mały piesek szczekał znowu za „Rajem”, bąk huczał z moczarów. Ziemia i woda oddychały, a niekiedy z lasu szło ciepło — prąd powietrza, lekko uchylający płomień na bok; pachniało poziomkami.

Potem śpiewali cicho, i nawet śpiew był tylko częścią ziemi i nocy. Ogień oświetlał czerwono ich twarze, żółta trawy, nadbrzeżne trzciny. A za nimi była niezgłębiona czern i tylko u zachodniego nieba ziemia rozkładała się znowu na niebo i las. Jons patrzył, jak gwiazdy chyła się ku zachodowi, a inne światła wznoszą się nad wschodnim krańcem ziemi. Czy ten zakątek nie starczy za świat? Krzyż na grobie dziadka, a pod nim dzieci patrzące na płomień roziskrzonymi oczyma? Gwiazdy i ich odbicie w wodzie? O, wiedział, że to nie wystarczy, ale jakże błogo było to pomyśleć. Czy był kiedy tak młody, jak te dzieci, których oddech muskał jego policzki. Na pewno tak było, ale on o tym zapomniał. Trudny, samotny bieg młodych lat, i oto teraz leży i oddycha, długo i głęboko, jak ziemia.

Wyciągnął cicho rękę i położył ją na ręce Marii. Zadrżała ledwo wyczuwalnie pod dotknięciem i legła cicho. Płynęła w nich ta sama krew, ten sam los, ci sami zmarli.

Nowa gwiazda stoczyła się na dół, a mała Barbara złożyła z westchnieniem główkę na ramieniu Jonsa. Usnęła, nim ruch dobiegł końca.

Późną jesienią Jons wracał do miasta. Kobiety z Sowirogu stały we drzwiach żegnając go skinieniem. — Jedź z Bogiem, Jons! — wołały. — Jedź z Bogiem!

Matka nie pocałowała go, ale skinęła mu głową. Zastał ją przy mielerzu, trzymającą rękę na okopconym drągu sosnowym Jakuba. Stała jak we śnie. — Nieraz zdaje mi się — rzekła — że on trzyma za drugi koniec.

Rozdział 4

Rara avis — rzeki dziekan Wydziału Lekarskiego wręczając Jonsowi świadectwo po złożeniu egzaminu z nauk podstawowych. Jego gładka, dumna twarz nie była pozbawiona życzliwości, ale nawet w tej życzliwości było nieco drwiny. — *Rara avis*, jeśli jednocześnie można być luminarzem i w medycynie i w naukach moralnych. Jons patrzył spokojnie w jego chłodne, szare oczy. — No i co dalej, kolego? Wygląda na to, że przyszłość przed panem...

I on, Jons, także tak myślał. Przyszłość w jego wsi, zwanej Sowirogiem.

Profesor potrząsnął głową. Według niego, w medycynie jedno tylko ma przyszłość, chirurgia. Wszystko inne to akuszeria. — Wystarczy, panie profesorze — rzekł Jons, składając świadectwo.

Dzekan uśmiechnął się, jak na odpowiedź dziecka. — Na naszych ideałach także pył osiada — odpowiedział. — Za dziesięć lat będzie pan wiedział, co to przyszłość i pomyśli wówczas o mnie.

Ale Jons nie myślał o nim więcej niż o innych, nawet wtedy, gdy ujrzał przed kliniką jego lśniący wóz z szoferem; człowiek ten patrzył na studentów, jakby to były drzewa przy prostej drodze.

Nie posłał telegramu do Sowirogu, bo to już kosztowało tysiące, a tysiąc ciągle jeszcze wydawał mu się ogromną liczbą, nawet jeśli kupić można było za niego tylko znaczek pocztowy. Nie wiedział, czy ojciec znał kiedy taką liczbę. Ale napisał kilka pocztówek i siedział pół godziny beczynnym w pokoju Jumby z oczami zwróconymi ku rzędom książek i temu, co widział poza nimi. Był zmęczony, ale zmęczenie jest strawą biedaków, a wielu takich znał w Sowirogu, co byli bardziej zmęczeni niż on.

Panna Holstein zapukała cicho do drzwi i przyniosła mu doniczkę z kwiatami. Czerwone fiołki alpejskie, i teraz stały one jaśniejac przed szarym oknem. — Wiedziałam, że tak będzie, panie Jons — powiedziała — ale na co panu zda się to wszystko, kiedy marka ciągle spada?

— W końcu przestanie spadać — odpowiedział Jons — a wielki profesor ciągle jeszcze ma swój błyszczący wóz.

Więc chyba jakoś to idzie.

Potrząsnęła przecząco głową od dawna już posiwiąłą. — Czy pan także będzie brał tysiąc marek za operację, panie Jons? — zapytała.

— Albo może sto tysięcy, albo milion?

Odpowiedział z uśmiechem, że zapewne będzie brał funt masła i wędzoną kielbasę, i że zawsze były czasy, kiedy to było więcej warte niż milion.

— Tak, pan jest też człowiekiem, panie Jons — rzekła — nie krwiopijcą. „To zmartwiłoby profesora, a ucieszyło szewca”, pomyślał Jons.

Ale ona westchnęła i zmiotła ziarenko pyłu ze stołu. — Wszystko jedno, republika czy monarchia. Ubogiemu zawsze wiatr w oczy. I komuniści nic innego by nie zrobili. Tylko wtedy kobiety należałyby do każdego.

Jons uśmiechnął się znowu, myśląc, że nie zna komunisty, który by się targnął na pannę Holstein. Nawet stary szewc by tego nie zrobił.

— Pozostawmy innym ich troski, panno Holstein — rzekł. — „Ty zaś idź i głos królestwo boże”, mówił mój ojciec.

— Od razu powiedziałam, że pan jest człowiekiem, panie Jons — powtórzyła. Poprawiła raz jeszcze doniczkę i jak cień wysunęła się z pokoju.

A Jons siedział jeszcze chwilę złożony głowę w ciemnym kącie sofy i myślał o królestwie bożym. Coraz więcej było strajków, pochodów, bezrobotnych, bójek, odznak w klapach marynarki. Studenci urządzili pochód z pochodniami na cześć generała, do którego Jons nie odnosił się ze szczególnym poważaniem i z płonącymi pochodniami natarli na tych, którzy dla generała pragnęli wszystkiego innego, tylko nie pochodu z pochodniami. Jons też miał iść z nimi, choć nie chciał. Powiedział tylko, że na trzy lata ma dość pochodów z pochodniami. Patrzono na niego z gniewem, a potem wzruszono ramionami. „Gdzie chodzi o światopoglądy, tam zawsze lubią wzruszać ramionami”, pomyślał wtedy Jons.

To przynajmniej zdawało się prawdą niewzruszoną, że królestwo boże nie jest z tego świata. Znowu patrzył na książki Jumby i słyszał łagodny, kpiący, miły głos. „Trzydzieści morgów, Jons, słyszysz? Trzydzieści morgów”. Nie, nie miał jeszcze umowy dzierżawnej, ale papier na nią może miał już w rękach. I może coś więcej niż papier. Jego serce nie zaznało jeszcze rozczarowania. Nie dokazał tego ani profesor, którego wykład opuścił, ani dowcipy studentów towarzyszące sekcji, ani wielki chirurg mówiący o przyszłości. Wszyscy oni mieli przed sobą gabinet lekarski i małą lub dużą

tabliczkę mosiężną na drzwiach. A za sobą mieli szkołę albo korporację, albo pełną trosk ciasnotę mieszczańskiego życia. Opinie, prawa, tradycje. Właśnie światopogląd.

Ale Jons nie miał światopoglądu poza zdaniem o trzydziestu morgach. Zamiast światopoglądu miał wieś zwaną Sowim Zakątkiem i wspomnienie nocnego ognia płonącego na wyspie. Miał ciężką Biblię ojca z niezgrabnymi literami, a poza nią obraz ojca stojącego przy mielerzu lub po raz ostatni odchodzącego ze wsi. Miał matkę, która kładła rękę na drąg sosnowy, Marię i dwoje dzieci, a jedno z nich złożyło główkę do snu na jego ramieniu. Miał pana Stillinga i pana von Balka, i kobiety z Sowirogu, co zęgały go skinieniem ręki. „Jedź z Bogiem, Jons!” I miał „biały kamyk, a na kamyku napisane nowe imię”. Był tak bogaty, że nie potrzebował pochodów z pochodniami ani światopoglądu.

Ale nie można było zapomnieć, że głodował i marzył. Że wyszczotkował do cna swe ubranie, że skoro tylko wpadł mu w ręce jakiś banknot, musiał gonić do sklepiku, by kupić siemienia lnianego dla zięby, zanim pieniądz nie stanie się znowu strzępkiem papieru. Długo nie było go w domu, a oni tam z pewnością nie wiedzieli, jak to się po miastach żyje. Nawet pan von Balk, który tyle wiedział.

Ale życie potoczy się dalej, jak „grad po lesie”, a jemu pozostaje tylko starać się, by być gotowym. Nie tak gotowym jak myślą inni z egzaminem i jaką taką praktyką kliniczną, ale tak, by ze spokojnym sercem i spokojną ręką mógł jechać do Sowirogu. Człowiek bez przyszłości, ale „akuszer” — dawca życia. Człowiek bez trwogi, co nie musi ukradkiem i z zapartym oddechem przerzucać kartki książek, by rozpoznać chorobę. Który ma wyczucie, gdzie wkrada się śmierć, który równie pewnie potrafi usunąć połkniętą ość jak ropiejącą ślepą kiszkę. Który nie stoi bezradny, gdy buhaj Grünheida weźmie kogo na rogi lub ciężka sosna zwali się na plecy robotnika leśnego. Wiele dzieje się w małej wiosce, gdzie ludzie żyją według praw natury, nie mniej, niż w wielkim mieście, a oni będą patrzeć tylko na tego jednego, na którego czekali, któremu „z Bogiem” jechać kazali, wierząc z niezachwianą pewnością, że także z Bogiem powróci.

Oczy mu się zwarły i kiedy panna Holstein przyniosła mu obiad, zatrzymała się przy drzwiach bez ruchu wstrzymując oddech. Dopiero teraz, we śnie, twarz ta wyzwoliła się z wszelkiego napięcia woli i ciężkie wyczerpanie wszystkich lat wryło się głębokimi znakami na jego młodych rysach. Pierś oddychała spokojnie, ale ręce były rozłożone na czarnej skórze gestem śmiertelnego znużenia, a twarz była jak u dziecka, co usnęło ze łzami.

Pannie Holstein ręce zadrżały tak, że szklanka z sokiem jagodowym trąciła o brzeg talerzyka. Jons obudził się natychmiast, ale trwało chwilę, nim ją poznał. Próbował się uśmiechnąć, jakby w poczuciu winy, a jej zdawało się, że widzi go po raz pierwszy, z kłatką zięby w ręku, dziecko prostoduszne i szczere, co przywędrowało z wielkich lasów.

— Panie Jons — rzekła cicho — widziałam bruzdy biedaków...

Musiał się chwilę zastanowić, lecz potem zerwał się i położył rękę na jej drżącym ramieniu. — Napisano tam, panno Holstein, że jest w nich wiele strawy. A to jest dla mnie pociechą, że i ziarno musi spać, zanim je przemielą.

Otrzymał powinszowania z Sowirogu, a od Giny list polecony, w którym był plik banknotów dolarowych. Obracał je w ręku powoli, a potem odłożył cicho na bok i otworzył paczkę otrzymaną od matki. Była wypełniona mchem i nie mógł się powstrzymać, by nie podnieść go do twarzy, wdychając jego woń. Potem odłożył na bok, a na dnie, pod arkuszem szorstkiego papieru listowego leżał pomalowany na czerwono konik, zabawka dziecięca, z wyrzeźbionymi nogami i zbyt dużą głową. Ogon i grzywa były przyklepione z końskiego włosia. Część farby wytarta i obłupana, a pod spodem widoczne było jasne, błyszczące drewno lipowe. A całość tej wielkości, że można zabawkę ukryć w dłoni.

Długo patrzył Jons na ten niezgrabny twór. Przypomniawszy sobie urodziny, kiedy to ojciec mu go podarował i widział szorstką, czerniawą rękę z zakłopotaną nieśmiałością wsuwającą go na grubą koldrę.

— Sam go zrobiłem, Jons — mówił. — Nie jest bardzo piękny, ale można go jednak chyba rozpoznać. — A przy tym ten cudowny cichy uśmiech na jego wargach, o którym Jons wiedział teraz, że był to uśmiech świętego. Wtedy jeszcze tego nie wiedział, ale uznał, że konik jest wspaniały i latami brał go ze sobą na noc na posłanie z liści w chatce przy mielerzu. Potem inne rzeczy zajęły jego miejsce i zabawka popadła w zapomnienie.

Ciągle jeszcze wpatrywał się w zamyśleniu w ten ślad po życiu, które przeminęło. Widział twarde ręce matki, jak zbierają mech z ziemi koło mielerza, jak pieczołowicie obkładają nim zabawkę. Jak patrzyły na nią jej oczy, jak biło przy tym jej serce? Nie wiedział i zapewne nigdy się nie dowie.

Potem otworzył złożony papier i zobaczył drżące litery. Wąskie, wysokie pismo, ale każda kreska miała piętno bolesnego zmęczenia. Pismo „chylące się do dołu”.

„Ojciec miał to ze sobą idąc na wojnę”, było tam napisane bez nagłówka. „Przysłali mi. Leżało w tornistrze, na samym dnie, zawinięte w jedwabną chustkę”.

Nic więcej. Ani pozdrowień, ani powinszowania, ani podpisu.

Ale i bez tego był to jakby testament. Testament serca, któremu tylko skąpa mowa dana była.

Jons postawił konika na stole, obok banknotów dolarowych, lśniących pięknymi kolorami, i patrzył to na jedno, to na drugie. Pochodzili z jednej krwi, a krew jest „tajemniczym płynem”. W końcu postawił konika na środkowej półce regału na książki, nad czterema tomami „Mów Gotamy Buddy”, by stał tam jak zalękniony symbol magiczny, mały fetysz małej wioski i talizman wielkiego serca.

Od pana von Balka przyszedł nowy, matowo połyskujący mikroskop. Na podstawie było wypisane motto z „Natana Mędrca” Lessinga: *Introite, nam et heic Dii sunt*.³ Jons musiał się uśmiechnąć i widział ironiczne zmarszczki wokół oczu Balka, gdy zamawiał napis. Dla niego w każdej pracy byli bogowie i dlatego każda mu się udawała. Dla większości ludzi jednak w pracy były tylko pieniądze, i dlatego im nie wychodziła.

Tak, musiał iść dalej i ułożyć nowy plan. Bo prócz semestrów i ćwiczeń musiały być pieniądze. Nie miało znaczenia, czy to, z czego żył, było łaską czy przyjaźnią. Stillingowi włosy zbieleły, a coś z tego stało się także własnym, Jonsa, udziałem.

Nie wiedział jeszcze, że ten jego udział miał się właśnie powiększyć. Tyłu ludzi uczestniczyło w losie Jonsa: oczekiwaniem, troską, dumą, a przecie spośród nich właśnie stary nauczyciel był tym, którego szlak życiowy najgłębiej przeniknął w jego własny, odkąd Jakub spał w rosyjskiej ziemi. Nie tylko dlatego, że on przez całe życie dla niego oszczędzał i biedę klepał. Ale dlatego, że Jons był światłem, co zapłonęło nad jego sercem i sercami całej wsi. Światłem, które on zapalił, wierząc, że musi je rękami osłaniać, nawet wtedy, gdy już nie było potrzeby. Wszelki błąd życia, wszelkie zaniedbanie i niepowodzenie będzie odkupione — gdy się to uda, że dziecię wsi podniesie się z ośpienia i poddaństwa i z wyrobnika stanie się błogosławieństwem. Nic nie wyszło ze sprawiedliwości na roli i pewnie nigdy na tej ziemi nic nie wyjdzie. Nie wyszło także z tym namiestnikiem bożym, co jechał przez ubogie wioski, zabierając cierpienie, jak zbiera się grabiami siano. Ale wyszło coś z tego, że w

³ „Wejdźcie, bo i tu są bogowie” [przyp. tłum.].

dusznym i przeciążonym domu wyważono okno, a przez to okno ręka, co przez stulecia zawsze tylko brała, podała chleb głodnym.

A wraz z tą ręką uczczony był cały ród, a z rodem wieś Sowiróg, a z nią wszystkie ubogie wioski tej ziemi. Jeśli to się udało, nie zmarnował starego życia. Pięćdziesiąt lat przepędził pomiędzy elementarzem i Księżą Ksiąg, między tym co najbłahsze i co najwyższe. To niewiele, że spracowanymi rękoma potrafią napisać swe nazwisko, zmęczonymi oczyma odczytać obwieszczenie, że poradlone czoło potrafi wyliczyć, ile dostanie się za pięć korców owsa, jeśli jeden korzec kosztuje trzy marki.

To nie było wiele, bo przecie ich ojcowie i pradziadowie nic z tego nie umieli, a przecie poświęcona ziemia spoczywa na ich powiekach. Ale to już coś było, że wiedzieli, co słuszne a co niesłuszne, co ład, a co nieład i że wiedzieli lub przeczuwali, że kazanie na górze było głoszone i przepowiadane także pod pokrzywioną gruszą na piaszczystym pagórku ponad ich wioską. A w tym wszystkim miały swój odmierzony udział ręce i białe włosy Stillinga.

Pierwszy egzamin Jonsa przeżywał ciężiej niż on sam. Przypomnił sobie zdumione lub zarozumiałe twarze, co wtedy patrzyły na jego hohenzollernowski płaszcz i podkute żelazem trzewiki małego Jonsa. A profesorowie na uniwersytecie też nie będą lepsi, prawdopodobnie staną się jeszcze bardziej niebezpieczni. To królowie nauki, a królowie rzadko mają cierpliwość. Węglarze są tylko w bajkach, dla syna węglarza zaś nikt nie będzie miał szczególnego poważania. Ale nawet jeśli to się udało, to zawsze jeszcze pozostawało to, że człowiek z Kasy Oszczędności współczująco wzruszał ramionami mówiąc: — Nic więcej nie ma, panie Stilling. Przykro mi, ale za resztę może sobie pan kupić siedem bochenków chleba. Dokładnie siedem. O ile, oczywiście, kupi je pan dzisiaj. To wszystkich spotyka, naprawdę bardzo mi przykro.

Stilling wziął drżącymi rękoma wielkie banknoty, resztkę swej „Fundacji Nobla” i szedł powoli przez ulice powiatowego miasta, od wystawy sklepowej do wystawy. Kamiennie płyty chodnika mocno leżały pod jego ciężkimi butami, a przecie czuł, że się chwieją. „Jak podczas trzęsienia ziemi”, pomyślał.

Wreszcie zatrzymał się przed małą księgarenką i przywarł oczyma do wystawy. Były tam przeważnie wielkie tytuły wypisane jaskrawymi barwami na marnym papierze, mówiące o piekle ostatnich lat i rajy przyszłości. Hełmy stalowe, pochodnie albo miecze całe lub złamane patrzyły mu naprzeciw niby symbole, i był to jakby żaloszny i głośny sąd między ludźmi, z oskarżeniem i obroną, gdzie brat stawał przeciw bratu.

Oczy jego w zamyśleniu przebiegały po rzędach książek, a ciągle drżące ręce ścisnęły kurczowo wielkie banknoty. Książka, to więcej niż siedem bochenków chleba. Siedem bochenków chleba wystarczy na jeden lub dwa tygodnie, a książka może wystarczyć na całe życie.

I wtedy zobaczył gdzieś z tyłu, zaćmiony całym blaskiem i wszelką chwałką wielkich tytułów, stary tomik w pięknej oprawie z minionych spokojnych czasów, który zwał się „Biedny człowiek z Toggenburgu”⁴ i przypomniał sobie, że kiedyś o tym słyszał, czy może czytał, że to słynny opis prostego, uczciwego życia. Wszedł i nabył książkę. Tak się złożyło, że wystarczyło akurat na nią pieniędzy.

Kiedy odbywał długą drogę powrotną do wsi, dwie mile pod pobrużdżonym wiatrem niebem, po którym klucze żurawi przeorywały się ku południowi, zatrzymywał się często i coraz częściej, i odczytywał mężne, proste, pełne pociechy słowa. Wiatr rozwiewał pelerynę i fałdy jego hohenzollernowskiego płaszcza, zwiędłe liście brzozy spadały na jego białe włosy i kartki książki, a gdy zatrzymał się na piaszczystym pagórku — samotna ciemna postać na tle ogromnej przestrzeni nieba — wyglądał jak mag, co wyszedł zaklinać burzę, albo odnaleźć łyżę tej biednej ziemi lub kamień mądrości pod szumiącymi wierzchołkami drzew.

Tak też i było w rzeczywistości, że przynajmniej własne łyżę potrafił zakląć. Bo „biedny człowiek” złożył stroskane i wierzące ręce na cierpieniu pana Stillinga, chwiejna ziemia znowu stanęła mocno, ocalałe szczątki dźwignęły się z gruzów i gdy w głęboki zmierzch stanął na skraju wsi i ujrzał ramię żurawia od studni i „Zmarłego Pastora” na tle gorejącej zorzy wieczornej, a gdzieś tam nagle światło za zaciemnionymi oknami, złożył ręce na książeczce i pomyślał, że jest jak Noe na górze Ararat, i że żaden potop nie dosięgnie wierzącego serca, jeśli z jednego z tych serc wyrosła taka książka.

Tak to Jons obok dziecinnego konika i barwnych dolarowych banknotów, obok błyszczącego mikroskopu i czerwonych fiołków alpejskich otrzymał także tę książeczkę o biednym człowieku i czuł, że jest ponad wszelką miarę bogaty w chwałę.

Ale dla pana Stillinga sprawa nie była jeszcze załatwiona. Zdobył podarek na wielki dzień egzaminu i na długo jeszcze potem, ale nie zyskał nic, co by mógł posłać Jonsowi na zaspokojenie potrzeb ciała, a to przyrzekł przecie, kiedy po raz pierwszy zaprowadził go za rękę do wielkiego miasta. Wiele dni stał w zamyśleniu przed

⁴ Powieść pisarza szwajcarskiego z XVIII w., U. Bräkeia, pierwsza w literaturze niemieckiej autobiografia proletariusza. Wznowiona w Niemczech w 1922 r. [przyp. tłum.].

szafami i książkami w „Domku Krasnoludków”, brał coś w rękę i odkładał z powrotem, aż w końcu Eliza ostrym głosem zapytała, czy czego nie zgubił lub może zamierza urządzić przetarg?

Potrząsnął głową i w poczuciu winy powrócił do globusa, który wciąż jeszcze obracał się posłusznie, gdy się dotknęło palcem niezawodnej wypukłości. A wieczorem poszedł tajemnie do Korsankego. — Wiele wiesz, Korsanke — rzekł bez wstępu. — Wiesz też, jak jest z Jonsem Ehrenreichem i z marką. Jak myślisz, czy mam u siebie coś takiego, za co by można dostać dolary? To przecie dziś jedyny urok jaki istnieje na świecie. Jakże on będzie żył i uczył się, gdy dostanie do ręki te malowanki, które nazywamy pieniędzmi. Spać nie mogę, Korsanke.

Żandarm pokiwał powoli głową za chmurami dymu ze swej długiej fajki. — Lepiej nie wtykaj w to palca, Stilling — rzekł. — Powiadają, że za landaturą jest taki sklepik ze starymi spodniami i kotłami miedzianymi, a ten za ladą kupuje brylanty, złoto i platynę i daje za to dolary. Ale ja w to nie wierzę, a przy tym ten człowiek nie ma dobrej opinii. Nasz cudowny doktor da sobie jakoś radę, Stilling, a tyś za stary na to. Oszukają cię tylko.

Nauczyciel przytaknął i wkrótce potem wstał. — Skąd ja wezmę brylanty? — rzekł tylko niepewnie się uśmiechając.

Ale następnego popołudnia, gdy przez rześistą ulewę ukazał się między domami pierwszy zmierzch, Stilling, rozejrzawszy się trwożnie dokoła, nacisnął klamkę drzwi sklepu i wystraszony blaszanym, szczękającym głosem dzwonka u drzwi, drżącymi palcami wyciągnął z kieszeni złoty zegarek, który po z górą pięćdziesięciu latach pracy otrzymał przy przejściu na emeryturę od nauczycieli okręgu jako zaszczytny podarunek. Był to kosztowny zegarek, stary; zupełnie płaski, o matowej tarczy, a gdy się przycisnęło sprężynę, ukryty mechanizm zapowiadał delikatnymi, dźwięcznymi tonami kwadransy i godzinę, która właśnie minęła. Na wewnętrznej stronie koperty była wryta nazwa słynnej wsi szwajcarskiej, a poniżej wypisano drobniutkim pismem: „Adalbertowi Stillingowi za pięćdziesiąt lat wiernej i uczciwej pracy”. Wysoko go sobie cenił i w niejedną noc, kiedy leżąc bezsennie myślał o dziecku śpiącym w wielkim mieście w swojej izdebce, naciskał sprężynę i wsłuchiwał się w ciche tony dzwonek zapowiadających godzinę, która wschodziła nad wsią Sowi—rogiem i uśpioną ziemią.

Człowiek za brudnym kontuarem pochylił jastrzębią głowę nad zegarkiem, otworzył go, zajrzał przez lupę do środka i stosownie do wskazówki podszeptanej

przez Stillinga nacisnął sprężynę. Nasłuchiwał, a potem podniósł zegarek do wielkiego, owłosionego ucha.

Po chwil przyjrzał się zmęczonej postaci pana Stillinga, pochylonej nad ladą, okutanej w ciężkie fałdy ociekającego deszczem hohenzollernowskiego płaszcza. Poprosił, aby chwilę zaczekał, aż zbada mechanizm w swej pracowni. Wskazał ręką krzesło, a Stilling mimo gorączkowego podniecenia zauważył, że paznokcie tej ręki mają czarne brzegi. I przyszło mu na myśl, iż zaszczytny dar „za wierną i uczciwą pracę” w nie najlepszych znalazł się rękach.

Pan Stilling nie mógł wiedzieć, że trzy noce temu dokonano w powiatowym mieście włamania do sklepu zegarmistrzowskiego, ale człowiek o głowie jastrzębia wiedział o tym bardzo dobrze. Znał także wysokość wyznaczonej nagrody, a że w ostatnich czasach zaczęto w nieprzyjemny, urzędowy sposób zajmować się jego sklepikiem, uznał za mądrzejsze tym razem zrezygnować z dobrego interesu, a za to poprawić sobie opinię. Nawet jeśli ten stary dziwak nie ukradł zegarka, to zrobi to jednak dobre wrażenie, że on, prosty, skromny obywatel pomyślał o tej możliwości. Pan Stilling zaś przeraził się śmiertelnie, gdy blaszany dzwonek, jakby poruszony ręką ducha, napełnił hałasem na wpół ciemne, opuszczone pomieszczenie i we drzwiach ukazała się zwałista postać policjanta w mokrej od deszczu pelerynie i błyszczącym czaku ponad czerwoną, dobrze odżywioną twarzą. Za nim widać było przez chwilę burzliwy zmierzch, strugi deszczu i grzechoczący szyld golibrody po przeciwnej stronie ulicy.

— To ten? zapytał policjant, wskazując kciukiem Stillinga.

Człowiek z twarzą jastrzębia, który nagle znowu stanął za ladą, jakby cały czas był w jamie pod podłogą, przytaknął z ponurym wyrazem twarzy i przesunął złoty zegarek po płycie lady. — A oto zegarek. — rzekł. — Kosztowny mechanizm. Wyrób szwajcarski.

Policjant pochwycił zegarek, przybliżył do oczu, a potem spojrzął na Stillinga i znów na zegarek.

— Papiery? — zapytał krótko, wsuwając zegarek do kieszeni.

— Ależ... — zaczął pan Stilling, a sklep zawirował mu przed wystraszonymi oczyma. — Ależ ja jestem... Stilling moje nazwisko... szanowane...

— Papiery? — powtórzył funkcjonariusz, a głos jego stał się ostrzejszy i głośniejszy.

Stilling zaczął szukać po kieszeniach, ale ciężki płaszcz ciągle mu się plątał między palcami, aż wreszcie wydobyl na światło dzienne przedawnioną książeczkę oszczędnościową. — Szanowane nazwisko... — rzekł, rozglądając się dookoła, jakby z ciemnych kątów, spoza starych wyświechtanych ubrań, co wisiały puste na hakach, jak wisielcy, mieli wystąpić świadkowie.

Ale policjant błędnie zrozumiał jego spojrzenie, wyciągnął z pochwy pałkę gumową i dwoma szybkimi krokami znalazł się obok Stillinga.

— Nie wymkniesz się, przyjacielu! — rzekł groźnie, a jego oczy niebieskie jak woda stały się złe i napełniły się blaskiem potęgi, wobec której stoi bezbronny.

— Ale tak być nie może! — zawołał teraz Stilling rozgniewany. — To już nie prawo, to...

— Stul pysk! — rozkazał brutalnie policjant. — I za mną.

Handlarz otworzył uprzejmie drzwi i znowu odezwał się dzwonek.

— Takie czasy... — powiedział z troską w głosie człowiek o głowie jastrzębia. — Takie czasy... taki stary, człowiek z siwymi włosami...

Zaprowadzono Stillinga na obskurny posterunek i tam przesłuchiowano. Ale on nie dawał odpowiedzi. Spozierał poprzez pytających na zakratowane okno, za którym stała już łaskawa noc i milczał. „Powiniennem był to jeszcze raz przeczytać”, myślał zmartwiony, „o tej wiernej i uczciwej pracy... to niezupełnie uczciwie wymieniać podarunek na dolary. Choćby nawet dla Jonsa”.

Był już zupełnie spokojny, tylko zmęczony jakby po przejściu przez moczary i nawet nie widział twarzy dwóch ludzi. „Inne czasy przyszły”, myślał, „nic już nie pozostało dla starego człowieka, co wyrósł z patriarchami i zawsze wstawał ze spokojem, gdy Bóg wywołał go z ławki. Czasy pałki gumowej i brutalnych słów, czasy, w których nie wstaje się przed siwymi włosami”.

Jeden z dwóch funkcjonariuszy, gdy już wszelkie ich próby spelzły na niczym, zapukał do drzwi sąsiedniego pokoju i powrócił z komisarzem, starszym człowiekiem, patrzącym na Stillinga obojętnymi oczyma. Lecz nagle jego twarz nabrała innego wyrazu, na ustach pojawił się wystraszony uśmiech, wyciągnął rękę do stojącego bez ruchu. — Tak, pan Stilling — rzekł — co się stało? To pan?

Nauczyciel spojrział na niego i poznał go po chwili. Często rozmawiali ze sobą w Związku Pszczelarzy. — Tak, panie komisarzu — rzekł powoli — to ja, a teraz w oczach pańskich ludzi jestem złodziejem, albo czymś jeszcze gorszym.

— Co się stało? — zapytał surowo komisarz, a funkcjonariusz z niebieskimi jak woda oczyma, teraz jękając się w zakłopotaniu, złożył wyjaśnienie. Podał zwierzchnikowi zegarek, a ten otworzył kopertę, odczytał napis i spojrzał gniewnie na nadgorliwca. — Bydlak — rzekł dobitnie.

Potem położył Stillingowi rękę na ramieniu. — Chodź pan, panie Stilling — rzekł serdecznie. — Proszę zapomnieć o tym... niespokojne czasy mącą ludziom w głowach... szczęście, że ja tu byłem... no, proszę odebrać swój zegarek... piękna rzecz... dobrze, że go pan nie sprzedał temu łajdakowi.

Stilling wziął zegarek i powoli wstał.

— Teraz to już nie ma znaczenia — rzekł. — Boli trochę i jeszcze będzie jakiś czas bolało. Nie omyłka, ale co innego. — I patrząc przez chwilę na funkcjonariusza, który go aresztował, powiedział: — Bronić prawa, to piękny zawód. Ale gdy go się broni brutalnie, zatracą się całe jego piękno. Wszystko co bezbronne jest pod opieką Boga...

Komisarz słuchał go z pewnym zakłopotaniem. — Czy było coś nie w porządku, panie Stilling? — zapytał. — Surowo ukarzę...

Ale Stilling skinął mu tylko i już trzymał ręką za klamkę. — Dajmy już temu spokój — rzekł cicho.

Długa stała się powrotna droga dla starego człowieka, ale na dworze była łaskawa noc i deszcz przestał padać. Tylko wiatr wiał jeszcze, szarpiąc niebo, rozszczepiając wielkie kawały chmur, przez których szpary wychylał się czerwonawy półksiężyc. Niepokój był ponad samotną okolicą, a w wielkich lasach pachniało zwiędłymi liśćmi i ostatnimi grzybami, na których siedziały ślimaki.

Ale serce Stillinga znajdowało się w spokoju. Był jeszcze trochę oburzony tym co się stało, jakby od niespodziewanego ciosu, ale myśli jego starały się jakoś uporządkować zagmatwany i ponury przebieg tego zdarzenia. Trzech ludzi w nim uczestniczyło, a wszyscy spełniali swój obowiązek, lub przynajmniej to, co za ten obowiązek uważali. Jeden był podstępny, drugi brutalny, ale może wiązało się to z niespokojnymi czasami i może już teraz będą tego żałować. Człowiek—jastrząb, że wymknął mu się zegarek, a ten drugi, że oberwał burę i został nazwany bydlakiem. Ciekawe, dlaczego ludzie w gniewie zawsze sięgają po nazwy zwierząt, i to, jak w tym wypadku tych, co są wzorem łagodności. I tu było coś nie w porządku, zarozumiałość naruszająca milczące prawo natury i patrząca z pogardą na bratnią istotę.

Tak, z Jonsem Ehrenreichem był już koniec, ale skoro Bóg tak chciał, to znaczyło, że już inną drogę dla niego przyszykował i tylko Stilling jeszcze jej nie poznał. Był niecierpliwy i zbyt pośpieszny, więc otrzymał nauczkę.

Chmury gnały nad lasem sosnowym, ale wyglądało tak, jakby to księżyc mijał w pędzie chmury, jak sierp gotowy do żniwa. Stilling zatrzymał się i zdjął kapelusz. Mokry płaszcz ciążył mu na ramionach, a tak rozkosznie było czuć chłodny wiatr we włosach. „Przyjacielu”, powiedział policjant, ale i to było nadużyciem języka. Stracili szacunek dla pierwotnego znaczenia słów. Podstawili pod słowa inne wyobrażenia. Robili, co im się podoba. Samowola opanowała świat i dlatego Stilling czuł się w nim nieswojo. Dla prostego człowieka samowola zawsze była tym samym, co grzech.

Wyciągnął zegarek z kieszeni i nacisnął sprężynę. Delikatne, kruche tony godziny i kwadransa rozwiały się na wietrze, ale dźwięk ich pozostawił cudowne ukojenie. Ręka ludzka, co mierzyła czas, ukryła je w wąskim złotym puzderku. „Wierność i uczciwość” ...nie chciał słyszeć tego głosu, ale przecie powrócił. Wystarczyło dotknąć palcem złotego brzegu, by powrócił. Są rzeczy, których ani samowola, ani policją ludziom nie odbierze.

Było bardzo późno, gdy wrócił do „Domku Krasnoludków”. Eliza, szcękając drutami do dziergania, spojrzała na niego spoza okularów.

— Jak kapłan Baala — powiedziała — co nocą modły zanosz do swych bożyszcz!

Ale Stilling uśmiechnął się, jak zawsze. — Zatrzymano mnie — rzekł cicho, jak zawsze. — Przykro mi, żeś się niepokoiła.

— Dzieci i głupców Bóg ma w swej opiece — rzekła niewzruszona i przyniosła mu wieczerzę.

Gdy został sam, siedział chwilę przed globusem ze starą Biblią na kolanach. Otworzył na księdze Hioba, a oczy jego powoli z niebieskich milczących mórz przeniosły się na wielkie, starodawne litery czarnej księgi. „Bo jesteśmy tu od wczora”, przeczytał, „i nie wiemy nic, albowiem dni nasze są tylko cieniem na ziemi”.

Tamci także nie wiedzieli, że są od wczoraj... ale i oni się dowiedzą... Piękny jest dzień, któremu wieczór pociechę przynosi.

Pozostało to jakiś czas w ukryciu, ale potem poszło oczywiście między ludzi. Kpiarze naśmiewali się, ale wielu innym było przykro. W Sowirogu zaciskano pięści, jak na obelgę, a Korsankemu było wstyd. Pan Balk śmiał się wprawdzie, ale i on także napisał do landrata list nasiąknięty drwiną jak gąbka, który landrat zmiął w rękę,

zanim wrzucił do pieca. Eliza pieniała się z gniewu i zwała odtąd każdy mundur „szatą Sodomitów”.

Tylko Jons dowiedział się o tym o wiele później, bo wszyscy czuli, że jego by to najbardziej dotknęło.

Rozdział 5

Gdy doktor Lawrenz i Jons spotkali się po raz pierwszy, lekarz był już starym człowiekiem i na pierwszy rzut oka niczym szczególnym się nie odznaczał. Wyglądał jak stary nauczyciel lub człowiek korygujący w drukarni mokre szpalty i stawiający cokolwiek drżącą ręką swe zagadkowe znaczki na brzegu arkuszy. Twarz jego była żółtawa i nalana, z woreczkami pod zmęczonymi oczyma, a binokle na czarnym sznurku ciągle mu spadały z nieco nieforemnego nosa, gdy pochylał się nad kobietą leżącą w mokrym śniegu na bruku w środku wyblakłej kałuży krwi szybko rozlewającej się we wszystkie strony. Jego znoszony płaszcz zimowy był rozpięty i Jons widział, że brakowało mu ostatniego guzika u dołu, zamiast niego reszotka czarnej nici zaznaczała miejsce, gdzie był przymocowany. Ale miał bardzo piękne szczupłe ręce o delikatnych, niebieskawych żyłach, na których osiadły mokre płatki śniegu.

Była to biednie ubrana kobieta przejechana przez naładowaną ciężarówkę. Koła przeszły poniżej prawego kolana, odcinając prawie jej nogę. Była nieprzytomna. Jons szedł z wykładu i właśnie skręcał w swoją uliczkę, gdy to się stało. Położył teczkę na bruku i swym skórzanym paskiem przewiązał nogę powyżej kolana. Kierowca stał obok w skórzanej kurtce i bezustannie prawił o swej niewinności.

Wtedy doktor pochylił się nad kobietą starając się wyczuć puls.

— Cokolwiek luźniej — rzekł do Jonsa.

Potem podnieśli kobietę na kocu i wnieśli do domu. Zdarzyło się to przed samymi drzwiami doktora. — Proszę zanotować numer — rzekł do jednego z otaczających, którego widocznie znał.

— Może wezwać pogotowie? — zapytał Jons, gdy wchodzili na schody.

Stali już przed drzwiami i Jons odczytał nazwisko.

Lekarz wyjął z teczki pęk kluczy i nie odwracając się zapytał:

— Gdyby pan widział, że straci pan rękę albo nogę, to wolałby się pan obudzić w karetce czy w łóżku?

Przyszła siostra i Jons poznał po jej czepku, że była katoliczką. Nic nie powiedziała, spojrzała tylko szybko na nieprzytomną, a potem otworzyła podwójne drzwi. Poruszała się bezgłośnie, szeleścił tylko jej nakrochmalony fartuch.

Ku swemu zdziwieniu Jons zobaczył, że była to sala operacyjna, malutka, ale zaopatrzona we wszystko, co znał z wielkich klinik. Położyli kobietę na ruchome nosze w korytarzu, a lekarz podziękował nosicielom. — Zna ją kto? — zapytał szybko zdejmując płaszcz. Zdawało się, że zrzuca go po prostu z pochyłonych ramion.

Tak, ktoś ją znał. — Zawiadomić dopiero za godzinę — rzekł doktor Lawrenz. — Teraz nie potrzebuje nikogo.

— Pan pozostanie tutaj — powiedział mimochodem do Jonsa.

Podał mu kitel, maskę i rękawice i wskazał na miednicę. — Uwaga, woda prawie gotująca — rzekł. Sam podszedł do drugiej i włożył do gorącej wody wyjęte z jednej z szaf instrumenty. Wszystko odbywało się tak szybko, jakby ciężkie a zwinne zwierzę przemykało bezgłośnie z jednego pomieszczenia do drugiego.

Jons spełnił polecenie i czuł się jakby zauroczony. — Ale... — zaczął, opuszczając szczotkę.

Lekarz tylko potrząsnął głową, a binokle znowu mu spadły z nosa.

— Ile semestrów? — zapytał krótko.

— Na piątym — odpowiedział Jons.

Lekarz przytaknął i zwrócił swe piękne, smutne oczy ku Jonsowi.

— Widywałem pana często — rzekł. — Przez wiele lat. Na takiej cichej ulicy wszystko się widzi. Dawniej nosił pan blaszki na obcasach.

Siostra wsunęła nosze. Kobieta była już rozebrana i pod prześcieradłem rysowały się jej chude członki.

— *Signum pauperitatis*¹ - rzekł cicho lekarz. Twarz jego była zmęczona, a gdy zniknęła pod maską, wydawało się, że dopiero teraz jest u siebie. Zanim Jons przygotował strzykawkę do miejscowego znieczulenia, siostra zrobiła nad nieprzytomną znak krzyża. Zrobiła to tak ostrożnie, jakby się bała obudzić uśpioną.

Z zapartym oddechem podziwiał Jons ręce lekarza. Jak we śnie wypełniał wszystkie podszeptywane rozkazy i czuł, że nic nie potrafi uczynić źle. Było to jakby oświecenie, i dopiero gdy lekarz podsunął mu piłkę do kości, przeraził się i ręce zaczęły mu drżeć. — Tu! — szepnął lekarz wskazując miejsce.

Jons przyłożył błyszczącą stal i skoro tylko narzędzie dotknęło nieruchomego ciała, ręce jego znów były spokojne. Na moment, odmierzony jednym uderzeniem serca, stanął przed nim jak wizja mielerz i kozioł dębowy, na którym piłował drewno,

¹ Znak ubóstwa [przyp. tłum.].

a potem i to minęło, ręka jego posuwała się ostrożnie i nieprzerwanie tam i z powrotem. Lekarz patrzył na niego z ręką na pulsie kobiety i skinął tylko, kiedy było już po wszystkim.

Gdy po nałożeniu opatrunku zdjęli maski, Jons poczuł, że chłodna wilgoć wystąpiła mu na czoło. — Tak bywa za pierwszym razem — rzekł cicho doktor Lawrenz.

Operowaną przesunięto znowu na korytarz, a lekarz stał przy niej przez chwilę. — Zadzwoń pani do kliniki, siostrzo Moniko? — zapytał.

Ona skinęła tylko nie odwracając cichych oczu od białej twarzy.

— Dopiero tam ją obudzimy — rzekł doktor Lawrenz. — Jeśli ona jest posługaczką albo praczką — ciągnął dalej po chwili — marnie będzie z nią i jej dziećmi. Dla biedaków noga to dużo... to wielki majątek...

— I pogładził delikatną ręką miejsce, gdzie pod przykryciem zaznaczał się gruby opatrunek. — Tam u was jest tak samo... jakże pańskie nazwisko? Jeromin... prawda... w pańskiej wsi, nieprawdaż? Jons potwierdził.

— W klinice, to w takim wypadku byłoby już po wszystkim — mówił dalej, zupełnie tak, jakby mówił sam do siebie. — Bez komplikacji, rachunek, koniec! U nas dopiero się zaczyna! — Spojrzał zmęczony na zegarek. — Gdy przyjdą, siostra skieruje ich do mnie. To pewnie będą dzieci. Mąż jest w pracy. Nie daje się wolnego, gdy tylko nogi brakuje... a jak z panem, kolego Jeromin? Odpowiada panu dziś wieczór o ósmej?

Jons potwierdził, zabrał swoją teczkę i jak we śnie wyszedł przez drzwi i zszedł schodami na dół. Na najniższym stopniu spotkał wyrośniętą, bladą dziewczynkę, cicho popłakującą. Kobieta w czarnej chustce prowadziła ją za rękę.

Wciąż jeszcze padał śnieg, a kilkoro dzieci stało na ulicy z rękami w kieszeni, wpatrując się w czerwoną plamę zmieszaną z białym śniegiem.

Tak zaczęła się przyjaźń Jonsa Ehrenreicha ze starym człowiekiem, towarzysząca mu przez wiele lat jego życia, które wypełniała i unosiła, jak cichy potok unosi kruchą łódkę. Później widział w niej jedno z tych cudownych zrządeń losu, co w określonym miejscu podchodzi do drogi życia i łagodnym, ledwie wyczuwalnym ruchem zmienia wytyczony kierunek. Z początku zmiana ta wydaje się tak nieznaczna, jakby cel na horyzoncie leżał oddalony zaledwie o włos od pierwotnego. Lecz im dalej biegą lata, tym bardziej punkty docelowe rozchodzą się, posłuszne prawom

perspektywy i na ostatnim horyzoncie życia są tak odległe od siebie jak dwie gwiazdy, między którymi leży ćwierć kręgu wszechświata.

Doktor miał małą biblioteczkę wypełnioną pod sufit książkami, a w kącie okrągły stół z sofą obitą na zielono i dwoma krzesłami. W pokoju tym był jeden tylko obraz otoczony dokoła książkami, niby ramami. Był to portret kobiety o białych włosach trzymającej w uniesionej lewej ręce szczygła, na którego zwracała z łagodną czułością ciemne oczy. Na tle stłumionych barw obrazu drobne ciało ptaszka mieniło się taką zawrotną różnorodnością blasków, jakby malarz całą swą paletę chciał na nim wypróbować. Ten ptak nieustannie ścigał na siebie wzrok patrzącego i po chwili Jons zauważył, że chyba malarz niezbyt słusznie postąpił, skoro ptak był dla niego ważniejszy niż kobieta.

— Zupełnie słusznie — rzekł Lewrenz — bo to wyraża samą istotę jej charakteru. Ona żyła zawsze dla, innych, nigdy dla siebie. Nic wyższego człowiek osiągnąć nie zdoła.

— To moja matka — ciągnął dalej po chwili. — Była Żydówką i ja także jestem jej wiary.

Jons patrzył na niego jak na zjawisko. Ciągle jeszcze był dzieckiem z mielerza, wstrzymującym krok wobec wszelkich niespodzianek.

— Tak, mój ojciec nazywał się Lawrenz — mówił doktor obojętnie.

— Miał fabrykę guzików i każdy guzik był dla niego objawieniem. Nic innego dla niego nie istniało. Jest mi obojętny. Nie dał mi nic prócz nazwiska. Ona była cudowną kobietą. Stare rasy wydają nieraz coś takiego. Spoczywała w Bogu, tak to należy powiedzieć. Nie dopiero po śmierci, ale już za życia, a to jest wiele, przyjacielu, bardzo wiele. Prawie wszystko, co mam, mam od niej, ciężką miała śmierć, carcinoma heparis, czyli rak wątroby... mówią, że skłonności do tego mogą być dziedziczne... a co tam teraz słyhać na ten temat na uczelniach?

Jons nie wiedział, a Lawrenz uśmiechnął się swym cichym uśmiechem. Tylko usta się uśmiechały, oczy pozostawały smutne, nieporuszone.

Tak, doktor żył w zupełnej ciszy. — Jak mnich — mówił. — *Ora et labora*. Wiele się modłę, kolego Jeromin. To także dziedzictwo. Nigdy nie mogłem w pełni zrozumieć, jak można być lekarzem i nie modlić się. Gdy bierze pan piłkę do ręki, na przykład tak jak dziś. Gwałt na istocie, stworzonej na obraz i podobieństwo boże, okaleczenie, i nawet pan nie wie, co z tego wyniknie. Wielcy profesorowie, jak ten

nasz, myślą: „tysiąc marek” lub może „dwa tysiące marek”, jeśli to jest fabrykant guzików. Ja myślę o Izaaku, jak leżał pod nożem. Gdyby oni to wiedzieli, prawdopodobnie ubezwłasnowolniliby mnie. Zbyt wiele wynaleźliśmy, kolego Jeromin. Mikroskopy i promienie Roentgena. Podnieśliśmy zasłonę, którą Bóg naszych ojców rozpostarł nad stworzeniem, a gdy pod zasłoną leży nagi człowiek, myślimy, że mamy tajemnicę. Ale mamy tylko nagość, nie tajemnicę. Jesteśmy jak dzieci rozbierające zegarek. Rozebrać umiemy, ale nie umiemy z powrotem złożyć.

Nalał do szklanek mocnego wina porto i wyjął jedno z czarnych cygar ze starej skrzynki ze staroświecko wykładanym wieczkiem.

— To moja danina dla ułomności ludzkiej, kolego Jeromin — rzekł.

— Jedno i drugie jest dla mnie trucizną, ale życie jest takie uciążliwe. Wie pan o tym, że jest uciążliwe?

Jons uważał, że wie. Palił jedno z mocnych cygar Virginia otrzymanych od doktora i pił wino małymi łykami. Nie mógł oderwać oczu od poważnej, zmęczonej twarzy, a przecie jaśniejącej łagodną wewnętrzną wesołością, jakby dalekim światłem.

— Jak już mówiłem, obserwuję pana od lat, kolego Jeromin — mówił dalej Lawrenz. — Co rano przed godzinami przyjąć siedzę trochę przy oknie i wyglądam. Tam przepływa życie, a lekarz także chce coś niecoś widzieć z życia. Nie tylko ze śmierci. Pierwszy raz widziałem pana, gdy człowiek w hohenzollernowskim płaszczu prowadził pana za rękę. Musiałem to widzieć, bo na tej ulicy było to coś niesłychanego. Odtąd już nie traciłem pana z oczu. Był pan jak Józef w barwnej szacie. Pomyślałem, że na pewno ma pan wielu braci. Ma pan braci?

Jons potwierdził.

— Widzi pan, ja jestem zupełnie sam. Moja matka tylko mnie urodziła, a Lawrenzowie to obca krew. Wypełniają świat, ale to nie mój świat. A człowiek musi się czegoś uchwycić. Paru książek, albo paru zwierząt. Ale nieraz także dziecka. Dzieci nie patrzyły jeszcze przez mikroskop. Dla nich natura nie jest jeszcze rozłożona. One niekiedy zachodzą do rajskiego ogrodu. Takim dzieckiem był pan. Pomyślałem sobie, że pan przychodzi z lasu. Inaczej się chodzi, gdy się przychodzi z lasu. Ma się także inne oczy. Podczas wojny straciłem pana na kilka lat z oczu. Mnie także nie było. Żydowscy lekarze także potrzebni są na wojnie. Ale potem pan powrócił. Wiedziałem, że nie na darmo pan tam był. Większość ludzi nosi mundur, nawet jeśli od dawna noszą garnitur sportowy. Pan nigdy nie nosił munduru. Bóg nie przydziela

mundurów, tylko państwo je przydziela. Wiedziałem, że pan chce być lekarzem, a nawet słyszałem o sprawie z wielkim ginekologiem. Takie rzeczy rozchodzą się szybko, bo to jeden z rzadkich wypadków, kiedy człowiek rozsadza mundur. A nic nie jest rzadsze u nas niż człowiek. Ale teraz niech pan opowiada. O swoim lesie, i o swoich braciach. I o wszystkim innym.

I Jons opowiadał. Książki stały milczące i nieruchome jak u Jumby, tylko że tu zamiast konika z mielerza był wielobarwny ptaszek. Ale Jons widział, że pomiędzy nimi snuje się nieć losu, a w górze widział piękną, starą i smutną twarz kobiety, co spoczywała w Bogu i nieraz zdawało mu się, że ta nieć przebiega przez jej blade ręce, odziedziczone przez doktora.

Niewiele wiedział o jego żydowskich współwyznawcach, ale wiele o Starym Testamencie. Prześięknięte nim było jego dzieciństwo, a najbardziej przyczynił się do tego ojciec. Ojciec nie znał nienawiści ani rasowej, ani wyznaniowej. Ojciec także spoczywał w Bogu.

Od niego zaczął swe opowiadanie. A potem opowiadał o wszystkim innym, co mu na myśl przyszło. Była to jakby spowiedź, i nawet Małgorzaty nie pominął. Lawrenz nie odrywał wzroku od jego twarzy, i nawet kiedy sięgał po szklanke, macał tylko ostrożnie ręką po płycie stołu, nie spuszczać oczu z Jonsa.

Dopiero gdy mały, złoty wahadłowy zegar, stojący w rogu na stole, wydzwonił dwanaście szybkich srebrzystych, dźwięków, lekarz podniósł rękę. — Dość na dziś, kolego Jeromin — rzekł. — Czas jest także panem lekarzy. Niech się pan zawsze stara go słuchać. Wiele operacji się nie udaje, bo się go nie słucha.

Wstał i spojrzał w zamyśleniu na obraz matki. — To niebezpieczny szew w pańskim życiu — rzekł. — Wydaje się panu, że nici już nie ma, ale w rzeczywistości zapomniano je wyciągnąć... Z pana jest uwikłany człowiek. Ciągnie pan za sobą cały las i całą wieś. I dlatego podąża pan z takim trudem.

Sprowadził go schodami w dół i stał jeszcze chwilę z nim przed drzwiami. Padał śnieg, powietrze pochłodziło. Czerwona plama już znikła, lecz doktor wpatrywał się w to miejsce, jakby ją jeszcze widział. — Będzie potrzebowała tylko jednego buta — rzekł z westchnieniem. — Ale to jej nic nie pomoże. Sklepy sprzedają tylko parami... Do jutra, kolego Jeromin, i przyjemnego snu.

— Do jutra... — tak było prawie co wieczór. Uniwersytet usunął się dla Jonsa gdzieś w głąb, jakby za chmurę. Nie znaczy to, by go zaniedbywał. Nie opuszczał

wykładów ani ćwiczeń, przerabiał je równie pilnie jak dawniej. Ale nie był on już glebą, na której wzrastał. Nowe pole się otwarło i Jons porwał się do pracy na jego zagonach, jakby to był ich pierwszy i ostatni plon.

Lawrenz miał małą klinikę prywatną z katolickimi siostrami w ubogiej dzielnicy; była to też klinika dla ubogich. Gdy ktoś inny starał się tu dostać, lekarz z żalem wzruszał ramionami: — Wszystko zajęte — kłamał z niewzruszonym wyrazem twarzy, ze względu na biednych. — Widzi pan, kolego Jeromin — mówił — to okropność, ta ich wiara, że za pieniądze można się wykupić od śmierci, a lekarze jeszcze ich w tym utwierdzają. Nasza ręka, nasze oko, to piękne rzeczy, cudowne nawet, ale gdy brak serca, przekleństwa sławy i złota znajdują do nich dostęp. Powinniśmy wszyscy nauczać i pomagać za darmo, lekarze i nauczyciele, poeci i pisarze, a zwłaszcza księża. A obok tego uprawiać jakieś skromne rzemiosło lub doglądać trzody, jak Dawid lub patriarchowie. Lub jak pański ojciec przy mielerzu. Umysł deprawuje nas, kolego Jeromin, ratio. Jesteśmy jak niekształtna, ciągle rodząca królowa termitów. Nienawidzimy natury, bo nie ma w niej umysłu i jak robotnice termitów drążymy belki wszechświata, by nakarmić królową. Ludzie pierwotni wiedzą jeszcze, co to magia, może także ludy Wschodu. Ale Zachód jest już jak powłoka poczwar, z której uleciał motyl. Może go pan jeszcze zobaczyć tam — wskazał na ciemne rzędy książek — pod szkłem i na szpilce, a dla wielu z nas żyje on jeszcze. Ale i na jego skrzydła z wolna opada kurz. To wszystko, co pan widzi dokoła, kolego Jeromin, robotnicy i studenci, urzędnicy i oficerowie, nie żyją już dla świata magii. Żyją dla materii, kariery, pieniądza. Może oni nazywają to jeszcze życiem, ale to jest życie pozbawione czaru. U was we wsi może jeszcze to pozostało. Znał to jeszcze pański dziadek, nie, nie znał, on to posiadał, i może wasz stary pastuch, a także Czaja. Tutejsi mędrcy powiedzieliby, że to świat niezdrowy, świat ograniczenia i pokory, właśnie świat Wschodu. Ale co wiedzą ci mędrcy o prawdziwym świecie? Wiedzą Chińczycy, znają jeszcze bajki. Ale o Chińczykach wiedzą mędrcy tylko tyle, że noszą czy też nosili warkocze, że wynaleźli porcelanę i proch, i że palą opium. A o baśniach wiedzą, że to dla dzieci. Żyją gazetami, artykułami czy felietonami, kinem i radiem. Lemury na tonącym kontynencie, dla których nie będzie góry Ararat.

— Ale gdy się tak myśli, panie doktorze — rzekł Jons — to jak można żyć i pracować?

— Właśnie wtedy, kolego Jeromin — odpowiedział Lawrenz — i właściwie tylko wtedy. Człowiek żyjący karierą, w warunkach pewnych i zagwarantowanych, żyje

tylko biernie. Kariera żyje za niego, dopiero rezygnacją człowiek żyje. Poznanie toruje jej drogę. Niszczy mamidła i daje poczucie prawdziwego męstwa. Bez rozkazu i bez odurzenia. Człowiek pozostaje na tonącym okręcie, bo to jego obowiązek. Niech inni gadają o postępie i kulturze. Pańskie życie musi być pracowite, czyste i męzne. Dla pana postęp, to lepsza diagnoza, lepsza operacja, bardziej rozmiłowane serce. Pańska kultura, to wypełnić formę przekazaną przez pańskiego ojca, pański ród. Pancerniki i czołgi, to nie postęp ani kultura. To rojenia lemurów przy odmieniającym się księżycu. Kiedyś były dinozaury, dziś są czołgi. Ale serce mężczyzny i lekarza nie jest dziś już jak serce Dawida, co grał na harfie, lub Mojżesza, gdy stał na górze Nebo.

— A młodzi, panie doktorze? Bezrobotni, jeńcy wojenni, których klęska wydziedziczyła?

— Kto jest wydziedziczony? — zapytał Lawrenz, pochylając się na krześle. — Kto jest bezrobotny? Że też język jest tak posłusznym narzędziem naszych pomyłek. Czy widział pan człowieka, którego by Bóg wydziedziczył? Może wydziedziczyć ojciec, matka, i tylko z pieniędzy i majątku. Z krwi już nie. Ale Bóg nie wydziedzicza. Nawet niewierzących. On nie usuwa nam ziemi spod nóg, nie odbiera światła słońca, ani cichego widoku kwiatów. A jeśli każe nam chodzić o kulach lub zniechęcić, zawsze jeszcze daje nam dość sił, by stworzyć nowy świat. W naszym umyśle. Gdy tracimy majątek mówimy, że jesteśmy wydziedziczeni. Tak mówią gazety. Ale kiedy utracimy miłość z serca, to mówią, że mieliśmy powodzenie i jesteśmy ludźmi czynu. A kto jest bezrobotny, kolego Jeromin? Bywają czasy, kiedy jest za wiele rąk, a za mało serc. Czasy, kiedy brak serc, ale nie pracy. Kiedy czas jest chory i nie ma pracy dla wszystkich rąk, wtedy napomina nas cicho, by pracować nie rękami, lecz sercami. Nie znam czasu, kiedy nie byłoby pracy dla wszystkich serc. Nie to zresztą mają oni na myśli, gdy mówią „bezrobotny”. Myślą: bez pieniędzy, bez zarobku. Praca stała się dla nas pieniądzem, a to jest nierządna praca, tak jak miłość można zamienić w pieniądź. Mało człowiek potrzebuje i tak mu było przeznaczone. Nie pałac, nie auto było mu przeznaczone, lecz niski dach nad głową, ubiór dla ochrony przed zimmem i strawa, by nie był głodny. Izajasz nie miał więcej, a przecie jego piorunujące słowa rozbrzmiewają do dziś. Czy oni, ci bezrobotni, przyjdą do was, do Sowirodu i powiedzą: „Pozwólcie nam skopać wasze pola, bo pragniemy pracy”? Czy przyjdą do kliniki myć nogi ubogim? Czy przyjdą i powiedzą dzieciom: „Słuchajcie, opowiem wam bajkę”, albo „odrobie z wami lekcję na jutro”? Oni patrzą wam na rękę i gdy w niej coś jest, to pracują. Tak jak ulicznica patrzy na rękę, ile w niej jest.

Nie ma bogów, nie ma nadziei — mówił Lawrenz — nie ma przyszłości, nie ma pracy. Oto pieśń nowych czasów. Ale to stara pieśń. Śpiewał ją już Hiob i Żydzi nad rzekami Babilonu. Ale to pieśń nie starych czasów, lecz starych serc. To nie czasy są bez Boga, bez nadziei, bez przyszłości, bez pracy, lecz serca, i przeważnie wtedy, gdy im się rozbije coś, z czego stworzyły sobie bogów. Tak zwana ojczyzna, tak zwany honor, tak zwane ideały. Ale czy widział pan, aby ojczyzna została rozbita? Może załamać się jej potęga, jej granice, i wtedy jest to przeważnie znak, że nie była to prawdziwa potęga, ani prawdziwe granice. Że trzeba tę ojczyznę, z rozbitą potęgą i rozbitymi granicami, napełnić nową treścią. Nie nowymi pancernikami, lecz nowymi sercami. Ale spójrz pan na swoich kolegów z ich pojedynkami i pochodami. Przeczytali oni napis na białej ścianie: *mane, tekel...* ale zawieszają na nim stare obrazy i rozstawiają kamienie do nowej partii. A zanim się ona zacznie, skarżą się, że nie mają pracy ani przyszłości. Ale kto da im przykład? Kto wyciągnie do nich rękę? Ten, kto się potknął, nie potrzebuje wyrzutów, lecz pomocnej ręki. A oni potknęli się, bo potknęli się ich wychowawcy, ich nauczyciele, księża, zwierzchnicy, nawet ojcowie: A za ojcami państwo, a za państwem cały Zachód. Kto da przykład, kolego Jeromin? Są niektórzy tacy pośród biedaków, pośród bogobojnych. Pański ojciec był przykładem, bo on był człowiekiem rozsiewającym światło, przy mielerzu czy w swojej kompanii. Landrat będzie się zapewne z niego podśmiewał i nasi profesorowie też by to samo zrobili, bo uważają, że to oni są wyznaczeni do rozsiewania światła. I dziennikarze by się z niego podśmiewali i wykazywali, że to nieprawdziwe światło, zbyt skromne, zbyt staromodne, zbyt wschodnie, właśnie nienowoczesne. Ale pan nie podśmiewał się, gdy przed panem otwierał Stary Testament lub gdy odsłaniał piękno swego ubożego a mężnego życia, albo kiedy odchodził ze wsi, świadomy już swej śmierci.

I tym samym pan powinien stać się, kolego Jeromin — ciągnął.

— I to właśnie pomyślałem sobie, gdy zobaczyłem pana po raz pierwszy, z blaszkami na obcasach i głodem w oczach. Mógłby pan prawdopodobnie zostać wielkim lekarzem, wiem o tym już dziś. „Znakomitością”, jak to się dziś mówi. Ale mam nadzieję, że pan będzie tylko skromnym lekarzem, tak jak ja. Skromnym chirurgiem, skromnym internistą i skromnym położnikiem. I kimś, u którego ludzie spokojnie umierają, gdy im powiem, że muszą umrzeć. W wielkich klinikach ludzie nie lubią umierać. Tam jest w pewnej mierze produkcja masowa, od dyrektora do najmłodszej siostry. Spółdzielnia pracy „Exitus”. Gdy przychodzę do takiego

„instytutu” zawsze oglądałam trupiarnie. Trupiarnie i polikliniki, to szale wagowe naszej nauki, kolego Jeromin! I lekarze urzędowi! Ta trójca! Odwiedzę pana, kolego Jeromin, gdy pan wywiesi tabliczkę w Sowirogu. Będę się przyglądał, jak ludzie wchodzą i jak wychodzą. Więcej wiedzieć nie potrzebuję. Lekarz jest mostem, kolego Jeromin. Wszystkie nauki są mostami, ale ten lekarski jest najbardziej łąmliwy. Prowadzi do uśmiechu lub do rozpacz. To znaczy do Boga lub do diabła.

Wypił szklankę i przez chwilę trzymał ją w ręku. — Za wiele myślimy, kolego Jeromin — rzekł ze swym pięknym smutnym uśmiechem.

— Cięży na nas przekleństwo czasu. Nie jesteśmy odporni na rany...

Tu także, pod obrazem kobiety z barwnym ptakiem na ręku, w ubożuchnej klinice w dzielnicy ubogich zdobywał Jons dzień po, dniu to, na co na ćwiczeniach profesorowie i studenci patrzyli z zaskoczeniem i z zazdrością. Nie tylko to, co się nazywa przygotowaniem lekarskim, lecz także owo tajemnicze wyczucie w oku i w ręku, z jakim patrzył na odsłaniające się i objawiające chore ciało. Zdobywał tam także jeszcze coś cenniejszego: zawsze czujną i niemal nabożną ciekawość serca wobec każdej przemiany w naturze. Obronę przed otepiającą potęgą powtarzania, przyzwyczajenia, a także zabezpieczenie przed zarozumiałością czeladnika, myślącego, że jest mistrzem. U Lawrenza nie było mistrzostwa. Tylko służba była u niego, a wszelka służba jest niedoskonała. Posłuszna i pełna oddania, ale niedoskonała. Kombinacja, którą można było zestawiać w ciągu długiego życia, a przecie nigdy nie powstanie z niej jednolita całość. Zawsze pozostanie czymś „od wczora”, jak mówi księga Hioba.

Tam wśród cichych sióstr, co jak łagodne i radosne samotnice snuły się od łóżka do łóżka, uczył się Jons tego, czego w wielkich audytoriach i klinikach tylko w niedoskonały sposób nauczyć się można: stawiać diagnozę, operować i siedzieć przy białych łózkach. Uczył się wśród pomyłek, rozczarowań i zwątpienia, ale uczył się. Patrzyły na niego ciche oczy lekarza, zawsze cierpliwe, zawsze nieprzekupne, zawsze niosące pociechę. A gdy się coś nie powiodło, zawsze był przy nim, by nieść pomoc i naprawić błąd, i zawsze była przy nim któraś z sióstr, której ręka muskała lekko jego biały kitel, bez słowa, lecz pełna serdecznej pociechy. Długi czas nie mógł odróżnić ich starych i czcigodnych imion łacińskich, Maksyma i Perpetua, długo także nie potrafił rozróżnić ich twarzy, których wszelkie odrębności przeobraziły się według jednego wspólnego wzoru. Przez tę samą wiarę, tę samą działalność, to samo oddanie i miłość. Na łagodne, ciche, niemal zwiewne oblicza, których usta wyrażały rezygnację, a tylko

oczy zachowały i pogłębiły blask życia. Życia służebnego, co upływało w poświęceniu i samozaparciu, ponieważ Chrystus lub Najświętsza Panna tak chcieli.

Tam siadywał Jons przy wąskich łózkach, patrząc na zgnębione i wybladłe twarze kobiet i dzieci, a gdy nóż zrobił swoje, sercem starał się uleczyć to, co nóż rozranił. Patrzył na bezkrwiste ręce kobiet, których palce poruszały się często tak, jakby zliczały grosze stracone w tygodniach choroby, albo które im jeszcze przepadną, bo ciało, zmęczone, wyczerpane i wyzute z wszelkiej radości, nie będzie już zdolne do tego, do czego dotąd było zdolne. I zaczynał opowiadać o swej wsi, o biednej wiosce Sowiurogu na wschodnich krańcach Rzeszy, o kobietach i dzieciach, co przez stulecia żyły w pańszczyź-nie, przygięte i nękanie wielkimi kataklizmami dziejów, a przecie niezłomne i zawsze pewne swej skromnej przyszłości. O swym ojcu, co wypalał węgiel, o Czai i jego starym, siwym koniu, o Stillingu, Balku i Jumbie, i o całym ograniczonym, a przecie wielkim świecie wsi, gdzie matki znoszą los wszystkich matek, ciężki, zawsze jednostajny, zawsze pełen cierpień, a przecie wielki: zachować wieś, życie, ba, świat i pomimo ubóstwa i cierpień umrzeć z uśmiechem, wiedząc, że z ich śmiercią przemija tylko jedno kruche ogniwo nierozzerwalnego łańcucha.

Lubiły go słuchać. Z jego zmęczonych pracą i niedostatkiem oczu płynęło tyle pociechy, że czuły, iż pomimo studiów i umiejętności pozostał dla nich kimś, komu potęgą własnego serca udało podźwignąć się z otepienia i ucisku, a ze zdobytą wiedzą poszedł nie do bogatych, by samemu bogatym zostać, ale dla nich ją zdobył. A najbardziej wiązało ich z nim to, że chciał wrócić do tej biednej zapadłej wioski, by pomagać i leczyć, w świecie, gdzie ich rodzeni synowie i córki myśleli tylko o sobie, by wydrzeć innym to, co posiadają, a czego oni sami byli spragnieni: pieniądze, stroje i to, co nazywają blaskiem życia.

Raz tylko mówił Lawrenz z Jonsem o swej przynależności do innej rasy. Stał przed książkami Jumby przerzucając kartki jednego z cienkich tomików zawierających dzieła młodego Hofmannsthala. — Spójrz pan, kolego Jeromin — rzekł nie podtrzymując spadających na czarnym sznurku binokli — to tylko jeden z przykładów, z których można odczytać całe prawo dziejów. Droga bezdomnego narodu pod władzą obietnicy i klątwy. Jedni szukają ratunku w pięknie, inni w potędze. A przekleństwem ich jest to, że niemal wszelką potęgę zamieniają w złoto. Nawet potęgę ducha. Była to decydująca chwila w dziejach Zachodu, kiedy po raz pierwszy ducha przemieniono w złoto. Nie znali tego prorocy, a Salomon nie brał pieniędzy za swoje wyroki. Ale za to robią to żydowscy prawnicy. Inni też, ale ci

bardziej wpadają w oczy, bo są mądrzejsi. A także mają mniej skrupułów. I tak samo jest z wieloma lekarzami, bankowcami i dziennikarzami. Czy zastanawiał się pan nad tym, panie Jeromin? Nie, Jons nie zastanawiał się nad tym. Ze studentami i profesorami nic go nie łączyło, prócz pracy, a w Sowirogu był tylko jeden Żyd, stary domokrażca z siwymi pejsami, który dwa razy do roku chodził od domu do domu sprzedając wstążki, pierścionki, noże, a niekiedy jakiś zegarek. A że sprzedawał uczciwiej niż karczmarz Czwallinna i zawsze z godzinę przesiadywał przy mielerzu u ojca, który nieznużenie wypytywał go o ludzi i zdarzenia ze Starego Testamentu, pozostawił u Jonsa jedynie ciche wspomnienie czegoś rzadkiego i nieco obcego, a choć niejedno pobudzało go do śmiechu, poważne oczy ojca mówiły mu, że to nie przystoi, i zawsze dostawał Jons z cudownej skrzynki coś osobliwego, jakiś tajemniczy podarek, a stary Hirsch kładł mu rękę na włosach i mówił: — Czcij go i szanuj, synku, bo w oczach Pana Zastępów jest on czymś więcej, niż cała wieś.

Nie, nie zastanawiał się nad tym. Patrzył co jakiś czas na brutalność i nikczemność wobec żydowskich studentów, przeważnie ze strony noszących barwy korporantów, ale patrzył na nie jak na wiele innych brutalności i podłości, jako na coś z obcego mu świata i nie miał czasu troszczyć się o te sprawy. Zresztą i państwo zajmowało się prześladowaniami więcej niż poprzednio, i Jonsowi wydawało się, że to wystarczy.

— Trzeba się nad tym zastanowić, kolego Jeromin — mówił dalej Lawrenz, zagłębiając się w róg starej sofy. — Nie ze względu na nas, ale ponieważ dotyczy to całego narodu, a może nie tylko narodu. Ja jestem, jak to się mówi, mieszaniec i wszystko co się mówi, to nieprawda. Wierzę, że mam tylko jej krew, a nie jego. Ale może się myłę. Niemniej wiele zastanawiałem się nad tymi rzeczami. Spotykałem się z nimi na wizytach u chorych, na kongresach, w gazetach, na ulicy. I mam uczucie, że z dnia na dzień nabierają ostrości, że stają się groźne. Chorzy ludzie są pobudliwi, tym więcej chore narody. Rozczarowania, cierpienia, klęski chętnie przerzuca się na barki innych. I pytanie, czy słusznie, czy niesłusznie, „*Odium generis humani*”... przedmiot nienawiści całej ludzkości: oto jak mówił o nas Tacyt już przed dwoma tysiącami lat. I musi to mieć swoje podstawy. Tysiącletnie sądy nigdy nie są bezpodstawne. Czy nie zwrócił pan uwagi, że jesteśmy mądrzy, kolego Jeromin? Tak, Jons zwrócił na to uwagę, oczywiście.

— A czy zwrócił pan uwagę, że nie mamy fantazji? Na to Jons nie mógł już odpowiedzieć.

— A jednak tak jest — rzekł Lawrenz. — Tak zwana *communio aeterna*, wieczysta więź między rozumem i fantazją, została u nas zniszczona albo zagrożona i nie jest dla nas wieczysta. Pan taki pilny, porządny, sumienny,, a przecie w królestwie fantazji czuje się pan tak samo u siebie, jak w królestwie rozumu. Nie mówiąc o pańskim ojcu, pańskim dziadku, pańskiej wsi. Pańskie życie czerpie pokarm innymi korzeniami niż moje, i z tych innych korzeni wyrastają inne owoce. Pan potrząsa głową, ale tak jest, i tylko pańska życzliwość ku mnie sprawia, że pan tego nie dostrzega. Ale gdyby zamiast przychylności była odraza, dostrzegłby pan to bardzo wyraźnie. Nie mamy także żadnego związku z naturą, kolego Jeromin. A przynajmniej nasi przodkowie go nie mieli. Na próżno by go pan szukał w Starym Testamencie. Moja matka miała go, wielu ma go dzisiaj, ale to coś nabytego, sztucznego. Mamy rozum, mamy ogromną żywotność, pomimo pogromów i masowych mordów, ale nie mamy fantazji. Stworzyliśmy jedną wspaniałą księgę i wspaniałą religię, i już nasza siła twórcza jest wyczerpana. Jesteśmy dobrymi matematykami, dobrymi szachistami, dobrymi kupcami, lekarzami, adwokatami, aktorami. A ponieważ to wszystko tak dobrze potrafimy, nienawidzą nas. Nie tylko dlatego, ale to dla istot prymitywnych wystarczy. A nieraz i dla tych, co wcale nie są prymitywni. Ryszard Wagner na przykład. Widzę, jak sprawy dalej się potoczą. Po rewolucji toczą się one szczególnie szybko. A powiedziałem to panu właściwie tylko po to, by mógł pan zerwać swoje stosunki ze mną, gdy się to panu wyda obciążające.

Zamilkł, śledząc chmury swego czarnego cygara, ale Jons zauważył, że ręce jego drżały prawie niedostrzegalnie, i że uczynił coś więcej niż parę uwag na temat różnicy ras. Jons patrzył na książki Jumby, bo przykro mu było oglądać ocienioną cierpieniem twarz i nagle, gdy oczy jego zatrzymały się na dziecinnym koniku, zdawało mu się, że w tej milczącej postaci zmartwychwstała jakaś część jego ojca, wszelka dobroć, cichość i prawość tego samotnego człowieka, człowieka szlachetnego, jak nazwał go pan von Balk. Którego mędrkowie wykpiwali i wyśmiewali, ale który dla królestwa bożego więcej prawdopodobnie zrobił niż większość ich książek i gazet głoszących postęp.

Ale jak kiedyś, czując wzrok ojca na sobie, nie był zdolny powiedzieć, co się dzieje w jego sercu, tak samo było i teraz, gdy patrzył na niego ten człowiek, co zdawał się nie oczekiwać odpowiedzi, a przecie wiadomo było, że serce jego na nią czeka.

— Na wszystko, co pan powie i uczyni — rzekł wreszcie cicho — będę zawsze tak patrzył, jakby to mój ojciec powiedział lub uczynił.

Doktor skinął tylko nie patrząc na niego, a po chwili milczenia wstał, ubrał się w podany mu płaszcz i zmieszany wyciągnął do Jonsa rękę.

— Zapomniałem jeszcze powiedzieć — rzekł z uśmiechem — że w naszej rasie za wiele się mówi... musi się pan z tym pogodzić, jak ze wszystkim innym.

Rozdział 6

Chore czasy rozchodzą się po kraju jak wypryski. Nie oszczędzają nawet wiosek wśród lasów. Gdy już przeżarły miasta, mniemają, że i poza miastami też coś niecoś można będzie zagarnąć, tam gdzie ludzie żyją w prostocie i niewiedzy. Gdziekolwiek są ludzie, tam bywa niezgoda, zawiść, zachłanność lub choćby tylko głupota, gdzie zaś głupota, tam zysk, omamienie, oszustwo. Miasta głodują i marzną, można więc poza miastem kupować bydło lub drewno, lub chociażby masło, jaja i ziemniaki, płacąc za nie grubymi banknotami, a po co komu opowiadać, że jutro te banknoty tyle będą warte, co znaczek na list. Prosty człowiek ciągle jeszcze pozostaje pod urokiem liczby i dla niego milion, to to samo co dla dziecka skarb z bajki, za który złote zamki można budować.

A poza miastem jeszcze niejedno można zagarnąć. Chwieje się grunt, na którym opiera się gospodarka. Wraz z nim chwieją się zagrody i majątki, a że chodzi o to, by zdobyć to co przetrwa, na czas, gdy znowu coś będzie trwałe, trzeba być jak lekarz trzymający rękę na pulsie umierającego. Gdy tętno gubi rytm, wtedy pora na wielkie obietnice i mamidła, na opowieści o rajach. O rajach pieniędzy, gdzie migocą miliony i miliardy, a nikomu nie potrzeba tłumaczyć, że to tylko migotanie barwnie zadrukowanych papierków.

Sowiróg także nie leży aż tak gdzieś za światem, by tam kiedy niekiedy nie wstąpił jaki podróżny. Jeden pieszo, w zakurzonych butach, inny na błyszczącym rowerze, wreszcie ten i ów w lśniącej alicji wzniesionym za sobą długim, białym tuman kurzu, z którego wynurza się przed karczmą Czwallinny niczym bóstwo z dawnych czasów wyłaniające się z chmur. Wychodzi zeń mężczyzna w prochowcu lub płaszczu skórzanym, sam lub z królewną z bajki, co ma włosy, jakby je kto uprzędł ze złota, koralowe usta o czarującym uśmiechu, a na rękach pierścienie, których kamienie rzucają blask tęczy na gościniec.

Wielki to dzień dla dzieci i psów z Sowirogu. Psy gonią za wozem aż ochrypną, a dzieci cisną się dookoła lśniącego potwora, niby dookoła ptaka z bajki, co ze zwiniętymi skrzydłami przysiadł na chwileczkę na ich pustkowiu, by zaraz znów odlecieć w dal, w słoneczne czy rajskie regiony.

Dziewczyna ze złocistymi włosami rozdaje dzieciom czekoladę, tak jak ją pouczył mężczyzna w skórzanym płaszczu. Długo trwa, zanim otworzy się pierwsza zabrudzona rączka dziecięca, bo w Sowirogu dzieci są nieufne wobec dziewcząt z obcych stron, ale potem coraz więcej rąk się otwiera, a gdy się napełnią, dzieci, zamiast zabrać się do jedzenia, bez słowa podziękowania czy pożegnania biegną do domów lub chat, by pokazać matkom swe skarby. Tak je nauczono i tego się trzymają, chociaż królewna z bajki nęci je i stara się zatrzymać, a jej czerwone usta uśmiechają się do nich. Uśmiechem pobłażliwym, a może kpiącym lub lekceważącym..

A mężczyzna rozmawia głośno lub cicho z Czwalliną, poczęstowawszy go przedtem wielkim, wspaniałym cygarem w błyszczącej opasce. Spogląda przy tym na opustoszały gościniec i w dal ponad niskimi dachami. Zwykle wzrusza ramionami lub z niezadowoleniem potrząsa głową i od czasu do czasu zapisuje coś w czerwono oprawnej książeczce srebrnym ołówkiem, z obojętnością wyciągniętym z którejś z głębokich kieszeni płaszcza.

Potem zaczyna chodzić od domu do domu, sam, a tymczasem dziewczyna z nudów wypisuje końcem bucika znaki na piasku gościńca lub przechadza się kawałek między domami, starając się zajrzeć do okienek, za którymi nieznacznie porusza się firanka. Aż jaki rozszczekany kundel zapędzi ją znowu do wozu, gdzie siedzi sobie cichutko i grzecznie na lśniących poduszkach, całą uwagę poświęcając lusterku, kredce do ust lub innym błyszczącym, instrumentom, wyciągniętym z torebki uplecionej ze srebrnych łusek. Wreszcie mężczyzna powraca. Jest zwykle rozdrażniony, niekiedy nawet klnie, rzadko tylko niesie w ręku paczuszkę lub wypełnioną do połowy teczkę. Ponurym spojrzeniem żegna okolicę i nie zważając na zgięty grzbiet Czwallinny gna gościńcem z dzikim rykiem motoru próbując w ostatniej chwili przejechać jaką kurę lub kaczkę, które z krzykiem rozbiegają się na wszystkie strony.

Są wsie położone gdzieś hen za światem, gdzie nie tylko szyby okien, ale i oczy wydają się ślepe, i taką wsią jest chyba Sowi Zakątek. Zapadła wioszczyna, niechętna temu, co gazety nazywają postępem i kulturą, wioska pełna „pachołków”², jak podczas poświęcenia kościoła nazwał jej mieszkańców młody radca rejencji. Wioska, gdzie modlą się do Jehowy „lub któregoś innego z tych szejków”, jak lubią się wyrażać kierowcy.

² W oryginale „Pachulken” [przyp. tłum].

Raz tylko w tych niepewnych latach zdarzyło się, że jednemu z tych ptaszków z bajki zgotowano marny koniec i oczywiście pan von Balk był tam jastrzębiem, co nieustraszonymi szponami natarł na niego z góry. Wóz stał przed drzwiami Czwallinny, wyjątkowo wypełniony po brzegi boczkami, masłem i mąką, a jeden z wielu ludzi w płaszczu skórzanym i jedna z wielu złotowłosych królewien z bajki właśnie mościli się na poduszkach, kiedy pan von Balk i Korsanke nadjechali konno z ulicy. Jeździli teraz niekiedy razem, bo Balkowi to wszystko wcale się nie podobało, gdyż wsie leżały mu na sercu, nie tak wprawdzie jak jego ojcu, ale właśnie na sercu i ponieważ zawsze jeszcze uważał, że szlachcic powinien tarczą osłaniać biedaków. A Korsankemu było to bardzo na rękę. Nie zawsze orientował się w rozlicznych ustawach i rozporządzeniach. Nie zawsze też umiał sprostać bezczelności i wymowie tych kierowców. Z panem von Balkiem jednak było zupełnie inaczej. Może i on nie zawsze orientował się w prawach republiki, ale tym więcej w zasadach prawości i rozumu ludzkiego. Nie znał wątpliwości ani wahania. Dość mu było spojrzeć na „facjatę”, jak mówił, i już było dla niego jasne jak postąpić. Nie miał skrupułów, gdy chodziło o hieny, a jego lodowate spojrzenie spoza monokla mroziło zarówno wymowę czy bezczelność, jak i czarujący uśmiech dziewcząt, niczym pierwszy przymrozek zapóźnione kwiaty.

Jechali więc stępą gościńcem, jeden obok drugiego; Korsanke na swej starej, gniadej kobyle, a Balk na młodym, karym ogierze, którego długi ogon rozwiewał się na wietrze, i który równie dumnie nosił swą niewielką głowę, jak jego pan. Podczas gdy Korsanke kazał sobie pokazać papiery, Balk nie schodząc z konia podniósł ciekawie szary pokrowiec, rozpostarty nad tylną połową wozu dla ochrony przed kurzem. A gdy człowiek w płaszczu skórzanym, wołając — przepraszam bardzo! — wyciągnął prawą rękę za siebie, by przytrzymać pokrowiec, Balk uderzył go lekko po tej ręce srebrną gałką swej szpicruty, całkiem łagodnie, wcale niezbyt mocno, tak jednak, że ten cofnął rękę i Balk zobaczył w wozie szereg rzeczy budzących jego najwyższe zainteresowanie.

— Zajmij pan wóz, Korsanke — rzekł przyjaźnie. — A faceta zatrzymaj!

Człowiek zaczął kłąć tak, że aż Czwallinna cofnął się za próg swego domu, widząc jednak, że Balk nie ustępuje, lecz zaczyna szperać gałką szpicruty w ukrytych skarbach, wpadł na nowy pomysł i zanim tamci dwaj pojęli jego zamiar, motor zaryczał jak rozszalałe zwierzę, wóz zarzucił tak gwałtownie, że Balk i Korsanke ledwie mieli czas powściągnąć swe konie, i pomknął sypiąc piaskiem ku wsi Sowiróg.

Ale dla pana von Balka był to tylko błyskotliwy manewr wroga, i zanim człowiek przy kierownicy włączył trzeci bieg, kary ogier znalazł się już w tumanie kurzu i pary benzyny, padł krótki, lecz głośny rozkaz Balka, a potem zabrzmiały dwa donośne i ostre strzały i prawie równocześnie gruchnęły dwa inne, jak z armaty. Wóz zarzucił raz z prawej strony ulicy na lewą, a potem buksował chwilę na miejscu w głębokim piasku, aż przed chłodnicą wynurzył się Korsanke na swej gniadej z ciężkim rewolwerem służbowym wymierzonym w przednie opony. Wtedy człowiek przy kierownicy, pobladły nieco wobec nieoczekiwanego obrotu rzeczy, dał za wygraną, podczas gdy dziewczyna z krzykiem uczepiła się jego ramienia, a ze wszech stron z krzykiem zbiegali się mężczyźni, kobiety, dzieci i psy, z niestosowną wesołością otaczając piękny wrak, albo, jeśli chodzi o psy, podnosząc łapę, jako że na oponach zachował się jeszcze dla nich tylko wyczuwalny zapach ich licznych czworonożnych współbraci.

Podczas gdy Korsanke spisywał protokół, pan von Balk wyjaśnił całkiem już przybitemu człowiekowi w skórzanym płaszczu, że pozostały mu dwie drogi: albo przebędzie dwie mile drogi do miasta przytroczony do siodła Korsanckiego, albo zdejmie swój piękny płaszcz i nie oglądając się na nikogo sam własnoręcznie załata obie opony, a wtedy będzie mógł odbyć tę samą drogę wozem, w odpowiednim, towarzystwie. Balk przemawiał bardzo swobodnie, z wysokości siodła, człowiek ściągnął w milczeniu płaszcz i zabrał się do żmudnej pracy, zdradzając przy tym, że jego ręce trudniły się poprzednio na pewno innym zawodem niż kierowcy.

Ale pan von Balk nie mógł przez cały dzień jeździć od wsi do wsi, i dlatego ta interwencja pozostała przez dłuższy czas jedyną. Zwiększyła ona jednak jego mir w okolicy i gdy wieść o zdarzeniu rozeszła się, skromni podróżnicy na samotnych gościńcach, widząc z daleka jeźdźca, zawracali wóz choćby na najwęższej drodze i znikali w tumanie kurzu, gdzie tylko samotny pług sunął wolno przez pola i znikąd, jak okiem sięgnąć, nie można było dojrzeć wytwornego wierzchowca.

Ale nie byli to jedyni obcy ludzie na tych ustronnych gościńcach. Zjawili się i inni, przemykający się chyłkiem od wsi do wsi, ubrani jak robotnicy leśni, lub co najwyżej jak nędzni przekupnie wędrowni, wyciągający z walizek próbki materiałów lub bielizny i zachwalający ich gatunek. I oni zwykle zatrzymywali się na chwile u Czwallinny, czynili notatki w małej książeczce i tak jak ich poprzednicy spoglądali ponad strzechami w dal. Tym jednak nie chodziło o masło, jaja czy mąkę, ale o głosy, o głosy ludzi, a poprzez głosy ludzi, o kraj. O pola i lasy, moczary i jeziora, o ten

odcięty od świata, zapuszczony i biedny kraj, a przecie bogatszy, schludniejszy i piękniejszy niż ich własny, i gdzie prości ludzie mówili tym samym językiem co oni, może cokolwiek zepsutym, ale ich własnym językiem.

Z małych teczek i walizek, które ze sobą mieli, wydobywali papiery. Zadrukowane kartki, gdzie były liczby i zdjęcia, nadzieje i obietnice, ponęty i proroctwa, jakie się wszędzie w świecie drukuje na cichym, cierpliwym papierze, gdy chodzi o to, by przekonać szarego człowieka, że dotychczas nie żył tak, jak należało, i że odtąd powinien żyć lepiej i jak trzeba.

Wtedy bowiem postanowiono w historii świata, że kraina ta rozstrzygnie głosami swych mieszkańców, czy zostanie przy pokonanym państwie, czy też należeć będzie do sąsiada. Przynależność zmieniała się tu już parę razy, choć odległe to były czasy, a mowa codzienna zdawała się świadczyć o słuszności tych, którzy domagali się, by raz jeszcze zbadać prawo posiadania.

Tak to historia zapukała nagle i do niskich drzwi Sowi-rogu, chyłkiem zaś przemykający się wędrowcy byli tajemnymi wysłannikami ościennego państwa, któremu zlecono skierować ten skromny rozdział historii na właściwe tory.

Mężczyźni i kobiety z Sowirogu przysłuchiwali się w milczeniu, co też oni mówili o świetnej przyszłości, i o czym usiłowali ich przekonać z zadrukowanych papierów. A byli tak milczący, że wymownych wysłanników z wolna ogarniał niepokój, a kiedy wreszcie opuszczali domy i wieś, kiwali tylko głowami, nie wiedząc, co się właściwie dzieje, czy dzieć będzie. Nigdy jeszcze w życiu nie spotkali tak małomównych ludzi. Tymczasem cała rzecz była w tym, czego oni nie dostrzegli: że dla tych małych nędznych wiosek dotąd jeszcze nie rozpadł się w gruzy stary porządek świata. Że dla nich ciągle jeszcze cesarz siedział na niewidzialnym tronie. A jeśli nie cesarz, to odwieczny, przez Boga wszczepiony w duszę obraz króla, któremu ślubowali wierność. Króla, który ich przez stulecia gnębił i obdzierał, żądał podatków i synów, i brał co chciał, ale przecie czuwał nad nimi jak surowy ojciec, a teraz popadł w nieszczęście, tak jak oni mogą popaść w nieszczęście przez pożar lub nieurodzaj.

Jeśli nawet myśleli o sąsiednim państwie, to niewiele o nim wiedzieli. Ale widzieli co roku, jak synowie i córki tego kraju ciągnęli w pielgrzymkach do katolickich miejsc świętych, położonych w ich rodzinnych stronach i widzieli, że była to gromada ubogich, zaniedbanych ludzi, przed którymi lepiej było drzwi i bramy zamykać, jak przed Cyganami, i do których należeć całkowicie i na zawsze sprzeciwiało się ich ubogiej i cichej godności.

Dlatego bez słowa przyjmowali zachwalania, nie wyrażając ani zgody, ani sprzeciwu, tylko w domu Gogunów zdarzyło się coś szczególnego, Jan bowiem przy pierwszych tego rodzaju odwiedzinach wyszedł z izby cichy i ponury, a wróciwszy z siekierą w ręku, ruchem aż nadto wymownym wskazał na drzwi, które zostawił otwarte. Zapewne przypomniał sobie miejsce na moczarach, gdzie jako dziecko stał długo w zamyśleniu i wszystko, co przychodziło ze Wschodu, było dla jego prostaczego umysłu złe i niebezpieczne.

Był jeszcze trzeci rodzaj obcych, którzy od czasu do czasu przyjeżdżali do Sowiego Zakątka. Ci siedzieli wyprostowani i dumni w swych błyszczących wozach, w brązowych lub błękitnych mundurach, przepasani lśniąco skórzanymi pasami, w białych rękawiczkach. Zatrzymywali się nie przed karczmą Czwallinny, lecz przed domem sołtysa Grünheida, a sołtys z nieruchomą twarzą odpowiadał na ich niezrozumiałe pytania. Wiedział, że byli to Anglicy lub Francuzi, oficerowie Komisji Alianckiej, która miała czuwać nad głosowaniem, ale dla niego stanowili tylko parę nowych obrazów w długim szeregu tych, które widział w ciągu całego długiego życia. A gdy odjeżdżali, i kurz za ich wozem snuł się z wolna po polach, on stał jeszcze i patrzył za nimi i może zastanawiał się, co też oni wiedzą o tym biednym kraju i o tym, co się dzieje w sercach jego mieszkańców.

Zbielały mu już włosy ponad jasnymi smutnymi oczyma i co wieczór siadywał przed domem Jerominów z dwojgiem dzieci na kolanach, a patrząc na małego Michę widział daleką przeszłość, kiedy to ojciec tego dziecka znalazł drogę do jego serca.

Tego lata, kiedy Jons Ehrenreich operował w małej klinice i siadywał przy białych łózkach, zaczęły ze wszystkich stron Rzeszy toczyć się ku wschodowi przystrojone pociągi, wypełnione starymi i młodymi ludźmi, którzy się niegdyś tu urodzili wśród jezior i lasów, by świadczyli za swą ziemią ojczystą, tylko że teraz było to obliczenie serc i przekonań.

Nie wszystko jednak odbyło się tak cicho i po prostu, jak być powinno. Ze sprawy serca zrobiono sprawę polityki, z plakatami i odznakami, z orkiestrami i przemówieniami. A przecie w każdym gęsto zapchanym przedziale kolejowym siedział jakiś staruszek lub staruszka, którzy nie wiedzieli nic o polityce i o komisjach alianckich, ale którzy od dziesiątków lat nie oglądali swych ubogich stron rodzinnych i teraz stawała im przed zmoczonymi oczyma mała wioska, jezioro leśne lub brzozy nad moczarem, zapadnięte krzyże na małych cmentarzach, gdzie kwiecie bzu opada na

mur kamienny, gdzie nocą śpiewają słowiki, a czerwony księżyc, wielki i samotny, wschodzi nad mroczną ziemią.

Do Sowirodu przybyli także mężczyźni i kobiety, którzy siedzieli w tych pociągach. I o Sowirodu nie zapomniano na listach historii świata. Większość przybyła z kopalni Zachodu, ze smętnych, czarnych od dymu okolic i niejedne oczy patrzyły ze smutnym wzruszeniem na szeroki, milczący kraj, który się przed nimi rozpościerał, na ciemne lasy, na kwitnący jałowiec i łubin porastający nasypy kolejowe, na ciche jeziora o brzegach trzciną zarosłych, nad którymi unosiły się ociążale czaple lub żurawie.

Zajeżdżał także przez piaszczyste gościńce do Sowiego Zakątka lśniący wóz, a na jego trójgłosową trąbkę rozbrzmiało echo z leśnych głębi. A gdy zatrzymał się przed domem Jerominów, wyszedł z niego Gotthold, syn marnotrawny, ale wcale tego marnotrawstwa nie było po nim widać, gdy ściągnąwszy rękawiczki głośno i wesoło witał się z rodzeństwem. „Służba ojczyźnie jest zaszczytną służbą”, rzekł rozglądając się z lekko przymrużonymi oczyma po swej rodzinnej okolicy.

Przybyła również do Sowirodu hrabina, kobieta z bajki, co nigdy tu nie wracała, ale zostawiwszy wóz w domu przebyła na piechotę dwie mile drogi z miasta powiatowego, starej drogi, którą kobiety z Sowirodu zwykły chodzić na targ do miasta, i którą jechał Jakub, mając za plecami trumny synów na słomie w wozie drabiniastym. Trzymała się z dala od mielerza i tylko przez chwilę stała między krzakami jałowca, jak kiedyś pani Marta, patrząc z daleka na polanę, gdzie żegnała się z ojcem nie poprosiwszy go o błogosławieństwo. Ale widać było tylko zapadający się pagórek, o który opierał się drąg i chatkę, w której nic się nie poruszało. Tylko dzięcioł wołał długo i żałośnie, a echo niosło się od boru do boru.

Dzieci w domu Jerominów były zalęknione, a kobiety przygnębione, tylko Maria stała jak dawniej przy ognisku, z cichym uśmiechem na ustach, z oczami pełnymi ciepłego blasku i zdawało się, że zaraz zacznie bajkę o złotej rybce lub o siedmiu łabędziach.

Christean siedział cicho w swym kątku, cokolwiek oszołomiony głośnymi i podniosłymi mowami brata i surową urodą Giny, i było jak we śnie, że niby wszystko powróciło do dawnego, a przecie jakże było inaczej niż kiedyś. Ale oto przyszedł Jons Ehrenreich, a z nim Lawrenz. — Chętnie bym pojechał z panem na parę dni, kolego Jero-min — rzekł. — Mniej się wpada w oczy tam, gdzie będzie tylu ludzi, a pan wie, że nie lubię wpadać w oczy. Jons bardzo się ucieszył, i oni także przebyli pieszo dwie

mile drogi, tyle że nie ominęli Czai ani mielerza. Czaja zwoził swe skąpe siano i przyglądał się chwilę doktorowi. — Ucz go dobrze — powiedział. — I nie zwichnij mu serca.

Zaskoczyło to wprawdzie nieco Lawrenza, lecz po chwili uśmiechnął się i powiedział: — To był dobry wstęp, kolego Jeromin.

Ujrawszy matkę Jons przeraził się bardzo. Siedziała na ławce przed chatą, obok leżała jej laska. Kobieta patrzyła im naprzeciw. Ale na jej twarzy była woskowa bladość, poprzecinana niebieskawymi żyłkami i widać było, że cierpi na duszność. — To nic, Jons — mówiła spokojnie. — To tylko dech słabnie. Ustaje na tamtym krańcu.

Lekki dreszcz przejął Lawrenza, gdy nań spojrzała, ale opanował się i powiedział tylko, że Jons będzie wielkim lekarzem.

Trudno było poznać, czy Marta go słyszała, ale kiedy się żegnali, rzekła: — Pomagaj teraz innym, Jons.

Lawrenz milczał, aż doszli do skraju lasu i ujrzeli wieś przystrojoną flagami i gałęziami brzozy. — Czy ona nie miała czegoś z sercem? — zapytał wówczas.

Jons nie wiedział. — Nigdy zbyt wiele nie wiedzieliśmy o niej — odrzekł.

Lawrenz potwierdził. — Tu jest szew, kolego Jeromin — rzekł. — Wiele się o panu dowiedziałem, odkąd wyszliśmy z pociągu.

Naprzód zobaczył doktor wyspę na jeziorze, ze starymi dębami, krzyżem dziadka i nowym szałasem, który Balk kazał zbudować. Tu chciał zamieszkać i usilnie się o to napraszał. — Tam u was będzie pełno, kolego Jeromin — mówił. — I to byłoby ponad moje siły. Będę przychodził tam do was, kiedy pan tylko zechce, ale tu, to dla starego człowieka jak w raj. Niechże mi pan nie odmawia tej przyjemności, kolego Jeromin.

Jons z ochotą na to przystał, ale do wieczora doktor pozostał jeszcze w domu i we wsi. Interesowali go ludzie: synowie, córki i wnuczeta. Jedna z nich była może świętą, inna hrabiną, jeden wielkim drzeworytnikiem, a inny według wszelkiego prawdopodobieństwa wielkim kombinatorem. A wszystko to pod jedną niską strzechą, przy jednym ognisku podsycanym torfem, a dalej chora kobieta przy mielerzu i duchy zmarłych we wszystkich kątach domu. Palił swe czarne cygara jedno za drugim, słuchając jednym uchem olśniewających wypowiedzi Gottholda i śledząc swymi cichymi smutnymi oczyma każdy ruch innych.

— Co za ród, kolego Jeromin — mówił wsiadając do łodzi. — Co za kraj.

We wsi gościniec był już pusty, a ze wszystkich kominów unosił się dym. Od łąk szedł zapach skoszonej trawy, niebiesko lśniące kraski siadały na kopach siana, a ogromna zorza wieczorna jaśniała nad lasem. Pod wyniosłym niebem flagi zwisały jak dziecinne zabawki, a wielka i pewna była tylko ziemia, lasy i jeziora, zamglona dal moczarów.

Lawrenz zatrzymał się i wsparty na wiosle patrzył w dal. — Stąd pan wyszedł, kolego Jeromin, z blaszkami na obcasach — mówił wolno — i tu pan powróci. Piękny krąg życia i pragnąłbym, aby i mnie przypadł w udziale...

Jons długo patrzył za nim, jak odbicie łodzi i wiosła w wodzie wraz z nim oddalały się ku wyspie, na której kiedyś żył tamten, zwaśniony z Bogiem, co bluźnił, a przecie tak bardzo chciał wierzyć. Ale ten nie był zwaśniony, lecz spoczywał w Bogu, tak jak jego matka i Jonsowi wydało się, że tu nastąpiło ciche pojednanie wiążące przeszłość z teraźniejszością. O przyszłości wszyscy oni nic nie wiedzieli.

Nazajutrz cała wieś kipiała życiem, jakiego dotąd nie znała. Nie było domu, gdzie by nie przyjechali krewni, a wielu zabrało ze sobą dzieci. Mężczyźni, w ciemnych miejskich ubraniach, przechadzali się po polach i nad jeziorem, i zawsze wyglądało na to, jakby coś zgubili i teraz tego czegoś po kryjomu szukali. Kobiety siedziały przed drzwiami, czując się cokolwiek nieswojo i cokolwiek obco, skinieniem ręki pozdrawiały auta przejeżdżające od czasu do czasu gościńcem. Tylko starzy chodzili powolutku od domu do domu, zasiadali przy ognisku i z mroków pamięci wygrzebywali przeróżne historie. A potem widziano ich jak siedzieli na niskim murku cmentarza lub nad brzegiem jeziora na przewróconej łodzi, skąd spoglądali w milczeniu z nieruchomą twarzą na ziemię i wodę, gdzie wzrok ich spotykał się z ludźmi i rzeczami, co już zapadały się w otchłań, lecz dla nich wszystko to było tak żywe i bliskie, że rękami mogliby uchwycić.

Gotthold i Gina poszli do mielerza, a dla obojga ciężka to była droga. Nie zastanawiali się zapewne nad tym, czy matce nie będzie może jeszcze ciężiej, gdy ich ujrzy wychodzących z świerkowego lasu.

Ale Marta Jeromin nic nie dała po sobie poznać, chyba tylko, że ręce jej, złożone na lasce, cokolwiek więcej drżały niż zwykle. — Więc to ty, Gino — rzekła, dopuszczając bez sprzeciwu, by córka złożyła pocałunek na jej siwych włosach.

Potem zwróciła ciemne oczy na Gottholda, który wbrew swej woli z głębokim onieśmieniem odpowiedział na jej spojrzenie i z wolna wzrok jej błędził od jego

zaondulowanych włosów do lśniących butów. Potem zwróciła znowu oczy ku mielerzowi i dopiero po długim, przygnębiającym milczeniu rzekła: — Masz moją krew... ale nie masz mojej godności...

Ale nie było surowości w jej słowach. Mówiła to ot tak, mimochodem i mogłaby także powiedzieć: „On ma moją krew...”, tak jakby go tu wcale nie było, a ona tylko o nim myślała.

Rozmawiali przez chwilę, z trudem, jakby z dwóch krańców długiego przewodu, na koniec Gotthold zapytał, czy nie mógłby czego dla niej zrobić, wybudować jej mały przytulny domek z geraniami w oknach i ładną, jasną łazienką.

Po raz pierwszy wydało się rodzeństwu, że się uśmiecha, i że jest to w ogóle pierwszy uśmiech, jaki widzieli w jej życiu. Ale było to chyba tylko drgnienie warg, a może nawet uśmiech bólu. — Łazienkę — powtórzyła bez zrozumienia. — Uważaj tylko, Gottholdzie, by była biała, biała jak śnieg...

Zapomniała wyjaśnić, co mianowicie ma być białe³.

Ale Gotthold miał przykre uczucie, że rozumie, a wkrótce potem wstał i przypomniał, że jutro spotkają się wszyscy przy głosowaniu.

Odeszli, a pani Marta patrzyła za nimi, aż ich wysokie postacie skrył las.

Był jeszcze wczesny ranek, kiedy Jons Ehrenreich poszedł do mielerza, by zabrać matkę do głosowania. Ale słońce paliło, a bąki były niespokojne jak na parny dzień; „Trzeba było wziąć Jana z wozem”, pomyślał Jons, „ale ona by nie pojechała. Nie chciała wydatków”.

Marta Jeromin siedziała na ławce, jak zwykle wyprostowana i nieruchoma, ale miała na sobie odświętną czarną suknię, złoty łańcuszek, a w ręku trzymała kancjonał. Wiele kobiet miało tego dnia śpiewniki.

— To pójdziemy razem, Jons? — zapytała i znowu jakby odbłask uśmiechu ukazał się na jej wargach.

— Myślę, że to nie ostatni raz, matko — odpowiedział Jons i gdy tak szli przez gorący las, wolno, powolutku, opowiadał jej o swej pracy, jak to jest teraz na nauce u doktora, a nauka to doskonała, więc prędzej będzie mógł wrócić do domu niż myślał.

³ Również w oryginale Marta użyta rodzaju żeńskiego, nie mogło się więc to odnosić do łazienki, której nazwa jest po niemiecku rodzaju nijakiego (das Badezimmer) [przyp. tłum.].

Ona słuchała go w milczeniu, z wielkim trudem chwyając oddech i Jons z troską obserwował ją ukradkiem — Opowiadali ci — zapytała po chwili — co Gotthold chce dla mnie zbudować? Dom z łazienką!

— I teraz uśmiech pojawił się naprawdę na jej zaciśniętych ustach.

— Wielki pan teraz z niego — dodała. — No cóż, on najwcześniej z was zaczął...

Zatrzymali się na chwilę na skraju lasu i spojrzeli na wieś, która teraz mieniła się różnymi barwami. W ciszy poranku Jons mógł słyszeć ciężkie bicie serca matki i ogarnięty nagłym niepokojem prosił ją, by powróciła do domu i odpoczęła choć chwilę.

Ale ona potrząsnęła głową. — To teraz wasz dom — rzekła bez goryczy. — On nigdy nie czuł się tam jak w domu.

Jako pierwsi oddali kartki w kancelarii Grünheida, gdzie był lokal plebiscytowy, a gdy znowu przekraczała próg, jej dzieci otoczyły ją dokoła, a na samym końcu Christean na kulach.

Mężczyźni i kobiety z Sowirogu, i ci którzy przybyli z daleka, patrzyli na nią strwożeni, taka jakaś dziwna im się wydała, a gdy z wolna powiodła po tłumie swymi ciemnymi oczyma, od jednej twarzy do drugiej, wielu odwracało oczy, jakby nie mogli wytrzymać tego milczącego badania.

I wtedy, nagle i niespodziewanie, stało się: przyciskając lewą rękę z kancjonałem do serca, z cichym westchnieniem osunęła się w ramiona Jonsa.

Położyli ją przed progiem na czysto wygarbionym piasku, a Lawrenz klęknął obok niej przykładając ucho do jej piersi. — Już przeszło, Jons — rzekł cicho. — *Endocarditis*⁴. Poszukaj pan, czy nie ma trochę szampana... Eter mam w teczce.

Jons wiedział, że śmierć nie powali jej za jednym ciosem. Ponieśli ją na noszach do domu Jerominów, a kiedy przed progiem postawili nosze na ziemi, ocknęła się. Powiodła wolno oczyma po ludziach i rzeczach, aż zatrzymała się na Jonsie. Próbowwała podnieść rękę, i Jons od razu zrozumiał znaczenie jej mozolnych ruchów. Chciała do mielerza.

— To za daleko, matko — rzekł cicho. — Nie zostałabyś tutaj?

Ale ona potrząsnęła głową. — On tu nie czuł się w domu — rzekła spokojnie. Jej głos był cichy, ale wyraźny.

⁴ Zapalenie wsierdzia [przyp. tłum.].

Rodzeństwo bardziej było tym wstrząśnięte niż czymkolwiek, co by mogła powiedzieć.

Lawrenz skinął na Jonsa i znowu ponieśli nosze. Zebrało się teraz wielu ludzi, którzy im pomogli. Na skraju wsi widać już było tuman pyłu; Gotthold jechał do miasta powiatowego z kartką wypisaną przez doktora Lawrenza. Powoli, jak wielki chory ptak, podążał Christean o kulach na końcu pochodu, a po obu jego stronach szły dzieci.

W chacie powietrze było duszne i gorące, ułożono więc Martę Jero-min na progu, tam gdzie leżał Michał, kiedy umierał. Lawrenz odprawił wszystkich obcych, Czaja tylko siedział dalej na progu. Nie był on obcy dla nikogo, kto z tej wsi wyruszał w ostatnią drogę.

Jons prosił matkę, by pozwoliła mu się zbadać, ale ona potrząsnęła głową. — Dziecko nie powinno oglądać ciała swej matki — rzekła, a każde jej słowo można było teraz bez trudu zrozumieć. Siedzieli na mchu u stóp noszy, a oczy pani Marty powoli błędziły od jednego do drugiego, aż zwróciły się ku mielerzowi. I tak pozostały.

Tylko Jons ukląkł koło niej, trzymając ją za rękę.

Słońce kryło się z wolna za białawą zasłoną, wilgi wołały nieustannie, zwiastując deszcz. Poza tym było tu zupełnie cicho, jak zawsze. Jonsowi zdawało się, że z każdym ciężkim uderzeniem serca matki czas zapada się w głąb, i że wszystko jest znowu jak za dawnych, dawnych lat, kiedy ojciec stał przy mielerzu, a wokół jego samotni rósł wysoki las. Pojął, że śmierć zaciera czas.

Gdy pierwszy głuchy grzmot przeszedł za lasem ponad ziemią, Marta zaniepokoiła się. Powietrze było nieruchome i ciężkie, a pod wypłowiałymi wierzchołkami drzew słychać było brzęczenie owadów, nastrojone na wysoki ton, zwiastujące burzę. Czarny dzięcioł długo i żałośnie wołał z głębi lasu.

Jons patrzył z niepokojem na doktora, ten jednak tylko potrząsnął nieznacznie głową. Jego smutne i spokojne oczy były zwrócone ku twarzy Marty, a strzykawka z eterem leżała w jego rękach, jak bezużyteczna zabawka.

Potem pani Marta chciała mieć przy sobie dzieci. Po kolei klękali przy niej, kładąc głowę na jej czarnej sukni, by uczuć jej chłodną rękę na ciemieniu. Klękali także Christean z pomocą innych, a także Micha i Barbara.

Potem spojrzała niespokojnie w bok i znowu Jons pierwszy ją zrozumiał. Przyprowadził Erdmuthę i dziewczynę z „Raju”, które drzące szły za nim, by także

otrzymać błogosławieństwo. Pani Marta nie mówiła ani słowa, tylko jej ciemne oczy, patrzyły, jak podchodzili i odchodzili jeden za drugim. Nikt nie wiedział, co myśli lub odczuwa. Dopiero gdy jej ręka z trudem pogładziła lewy policzek Jonsa, raz tylko i bardzo lekko, zrozumiał, co myśli, i łzy polały mu się z oczu.

Gotthold jeszcze nie wrócił, ona zaś o niego nie pytała.

Kiedy przyszedł młody pastor, po którego posłali, potrząsnęła tylko głową, a Jonsowi zdawało się, jakby odbłask uśmiechu przemknął po jej ustach. — Jest tutaj — rzekła, i wszyscy zrozumieli, że myślała o ojcu.

Wtem na czoło jej wystąpiły zmarszczki, a usta poruszyły się lekko. Widać było, że czegoś pragnie i wszyscy pochylili się ku niej. — Zawró...cił — wyszeptała. — Zawró...cił...

Zrozumiała ją Maria. Ona najlepiej z nich wszystkich знаła bajki i pieśni. Była to litewska pieśń ludowa, i matka śpiewała ją niegdyś z dziećmi, kiedy były jeszcze małe. Zaczynała się: „Ach, wszędzie jutrzeńko...” i opowiadała, jak to dziewczyna czekała na ukochanego, który przez pola jechał do niej na koniu. Ale ona zażartowała sobie z niego i nie wpuściła go, a on „zawrócił konia i odjechał”. Ona żali się; pragnie, by wrócił, ale on już nigdy nie powróci.

— Zawrócił konia i odjechał — rzekła cicho Maria swym pięknym, niskim głosem.

Marta Jeromin przytaknęła, jej czoło wygładziło się, i tak z oczyma utkwionymi w zapuszczony mielerz umarła. Gdy wstali i wnieśli nosze do chaty, las stał w błękitnym świetle i spadły pierwsze krople. Teraz dopiero zobaczyli, że pod krzakiem jałowca siedział Czaja, w ciemnej, długiej, starodawnej sukmanie sięgającej mu poniżej kolan. Z ciężkiego ubioru wyglądała twarz mała i wysuszona.

— Byliśmy sąsiadami — rzekł dla wyjaśnienia i ruszył poprzez polanę z powrotem na swe moczary.

Śmierć stłumiła radość ze zwycięstwa w głosowaniu, i zdawało się, że wszyscy obcy, którzy pozostali jeszcze, przyjechali na pogrzeb Marty Jeromin. Wielki to był pogrzeb, już następnego dnia, bo burza dzień i noc stała nad lasem. Stilling miał mowę nad grobem, bo tak chciało rodzeństwo. Zaczął fragmentem z księgi Hioba: „Bo jesteśmy tu od wczora i nie wiemy nic, bo dni nasze są jeno cieniem na ziemi”.

Rozumiał, co znaczą te słowa, i że oni nic nie wiedzą. Duszny wiatr poruszał jego długie, białe włosy, a wieś słuchała go, tak jak słuchała go przez całe życie.

Kiedy cmentarz opustoszał, na piaszczystym pagórku pozostali tylko Jons i pan von Balk. Balk, oparty oburącz na głowicy szabli, patrzył szarymi oczyma na leżące wieńce.

— Wielka kobieta, Jons — rzekł. — Ona jedna się nie ugięła.

W skrzyni w mielerzu znaleźli wszystko, co Jakub po sobie zostawił: kilka jego listów, jego podarunki i to, co odesłali z Rosji. Wszystko jak najstaranniej ułożone. Parę zasuszonych kwiatów, które leżały w środku, rozsypało im się w rękę.

Jons zabrał wszystko ze sobą, powracając z Lawrenzem do miasta.

We wsi Sowiróg oddano tylko jeden głos „przeciw ojczyźnie”. Sołtys Grünheid długo trzymał kartkę w dłoni, przyglądając się krzyżykowi.

A potem odłożył ją do pozostałych i niewprawnym pismem wpisał liczby do urzędowego rejestru.

Rozdział 7

Śmierć tę odczuł Jons inaczej niż śmierć ojca. Wobec ojca niczego nie zaniedbał, a przynajmniej tak mu się wydawało. Nie wypowiedział całej miłości, jaka wypełniała mu serce, ale i ojciec też tego nie uczynił. To nie leżało w ich usposobieniu i wcale nie było potrzebne.

Wobec ojca Jons spełnił swój obowiązek. Od owej nocy, kiedy przyrzekł, że zajmie się losem obcej dziewczyny, aż do owej godziny, kiedy się rozstali na zawsze. Wiele było chwil ciężkich, nocą i dniem, ale nigdy nie stał się dezserterem. Nigdy do uszu ojca nie doszła żadna przygana, nic, co by mogło zachwiać jego wiarę i zaufanie, a gdy ginął na obczyźnie, umierał ze świadomością, że życie jego nie poszło na marne i że z mrocznego domu wyjdzie światło, o którym marzyły pokolenia, że kiedyś zaświeci ponad wioską.

Ale wobec matki zaniedbali wiele, i w niczym to nie ujmowało ich winy, że i matka wszystkiego nie dopełniła. Śmierć pokazała im, że serce jej było wypełnione miłością, tak wypełnione, że aż serce przeżarła. Bo usta jej były zamknięte przez całe życie, i miłość, co milczeć musiała, szukała drogi wyjścia z komór serca, aż je rozsadziła. „Zawrócił konia i odjechał...”. Nigdy już tego nie zapomną.

Jeden z nich ofiarował jej łazienkę, ale nawet śmiertelnie chora mogła odpowiedzieć na to tylko uśmiechem. Ale inni niczego nie ofiarowali. Mieli już tego dość, a i Jons także wiele zapomniał. Myślał o swoich operacjach i nadchodzących sesjach egzaminu państwowego, i poznał, że każdy zawód niesie w sobie grzech, grzech zapomnienia o innych. Był to powolny, nieustanny pochód od innej generacji do własnej, stare brzegi zapadały się w głąb, wynurzały się nowe. Życie nie urywało się, postępowało dalej naprzód dzień i noc, lecz w mroku tonęło niejedno, co kiedyś było w słońcu: rodzice, rodzeństwo, ciche pole, które się opuściło, i na którym cicho zaczynało więdnąć. Trzeba uprawiać nową rolę, każdej godziny, a sprawy osobiste ustępowały powoli sprawom ogólnym: wieś, kraj, świat.

Praca jest błogosławieństwem, nie przekleństwem. Nikt nie wiedział tego lepiej niż Jons. Ale serce zawsze pozostawało cokolwiek w cieniu. Dla serca nie było czasu. Miało ono parę minut na wspomnienia i czułe myśli, ale potem przychodziła kolej na rękę lub oko, na badawczy umysł, na decyzję, od której często zawisło życie lub

śmierć. Było to życie zagrożone, i poznał to Jons po śmierci matki, bez upiększeń. Musi się więc jeszcze bardziej śpieszyć, jeszcze szybciej podążać, by wrócić do wsi. A tam oddech stanie się spokojniejszy. Zostanie mistrzem, o ile tacy istnieją w sztuce lekarskiej, a mistrz ma czas. Mistrz może sobie wyważyć rozum i serce. Może pół godziny bawić się z dziećmi, pół godziny leżeć nad moczarem i pół godziny siedzieć u rodzeństwa. Może mieć święta, a święto, to nie dzień przyjemności i użycia. Dla kogoś tak ciężko spracowanego jak Jons święto, to dzień, kiedy szale znowu znajdą się w równowadze. Jak u ojca i dziadka, których życie nie było zagrożone, bo żyli jeszcze według starego porządku. W świecie, co trwa, a nie w świecie, który się już rozpada.

Rozmawiał o tym z Giną, która przyjechała do niego w drodze do domu. Siedziała w rogu na sofie Jumby z założonymi rękami, jak posąg obcego bóstwa, który zdjęto z piedestału i umieszczono w ubożuchnej izdebce. Uśmiechała się lekko i spoglądała na konika, stojącego na dziełach Buddy. — Nie możesz tego zatrzymać, Jons — mówiła. — Nie możesz się już nim bawić. Możesz sobie co najwyżej przypominać, że się nim bawiłeś. Możesz nawet ze wzruszeniem przypominać, ale tylko przypominać. Kiedyś pokolenie dołączało do pokolenia. Pozostawali w tym samym kręgu. Dziś pomiędzy dwoma kolejnymi pokoleniami jest głęboka przepaść, niekiedy tak głęboka, jakby minęło sto lat. Ojciec i dziadek byli jeszcze jednym, my i ojciec jesteśmy dwoma światami. Tak, ty także. Kto dziś wychodzi z wioski, trafia na inną gwiazdę. Nie wiem, co w tym jest, i nie łamię sobie nad tym głowy. Może to, że straciliśmy Boga, a może żeśmy rozwinęli „umysł”. Jedno i drugie jest złe i pociąga za sobą następstwa. Gdy patrzę na ludzi w moim barze, wydaje mi się, że oni gnają przez czas. Ani oni nie idą z czasem, ani czas z nimi. I nie mam wątpliwości, że pędzą do otchłani, Ale nie wiem, jaka to otchłań, co za otchłań. To coś lodowatego, bezlitosnego, morderczego. I zbieram złoto i dewizy, by kiedyś wyjechać. Tam, gdzie jeszcze nie ma otchłani. Nie do Sowirogu, bo ona i tam przyjdzie, ale może na Ocean Spokojny, albo na jakąś wyspę, gdzie kwitną wielkie kwiaty, a ptaki jak klejnoty siedzą na kwiatkach.

Teraz Jons musiał się uśmiechnąć. — Droga siostró — rzekł — gdzie to cię gna z naszej cichej krainy dzieciństwa? Pamiętasz jeszcze, jak to on tu siedział i pytał cię, czego szukasz? I odpowiedziałas: „władzy”?

Potwierdziła, a twarz jej pozostała w pełni poważna. — I to była prawda, Jons. Ale na pewno przypominasz sobie to, co on dalej powiedział. Że kto ma władzę,

przestaje się uśmiechać. Zdobyłam władzę, ale nic poza tym. I mam jej dość, aż nadto dość...

Spojrzał pełen litości na tę piękną istotę ludzką, w której dziedzictwo matki zboczyło na tak trudną drogę. — Powinnaś była zostać chłopką. Już wtedy Jumbo to wiedział. Musimy, siostró, mieć o co się troszczyć, o ludzi, zwierzęta lub pole, inaczej pozostajemy bezpłodni. Musimy mieć coś takiego, bo nasi ludzie od wieków tym żyli. To nam pozostanie we krwi, i może twoi goście barowi dlatego gnają ku przepaści, że nic takiego nie mają. Umysł nas niszczy, to, co oni pełni dumy nazywają „Zachodem”. Są nieufni wobec wszystkiego, co „wschodnie”, bo widzą tylko powierzchnię: tępotę, chaos, a często i krew, ale oślepli już na to, co jest na dnie. A może „bezbożnicy” Wschodu są bliżej stóp Boga niż wszystkie kościoły. Nie wiem, ale często, gdy wali się na mnie ta cała osławiona kultura, myślę o tym, jak mnie dziadek błogosławił przed wyruszeniem i jak mówił: „Idź, wnuku!”. I może jego proste oczy więcej wiedziały o przyszłości, niż my z naszymi lunetami, mikroskopami i badaniami atomowymi. Czytałaś, że ktoś tam rozbił rtęć, ale jedyną ich troską jest to, czy uzyskają z tego złoto. Dziadek nigdy nie wiedział, co to atom. On wiedział tylko, że jest dzieckiem bożym, a to wielka mądrość.

Gina odwróciła oczy od konika ku oknu, za którym widniał blask słońca. — My, ludzie z lasu, jesteśmy już tacy jacyś dziwni, Jons — rzekła z uśmiechem. — Budzimy w innych grozę, chcieliby, by nas nie było lub, byśmy byli widmem czy marzeniem, wytworem poetów. Ale my jesteśmy, istniejemy, chociaż słabo jeszcze dajemy znać o sobie. Przypominamy im dawno minione czasy, a oni tego nie lubią; ojca przy mielerzu albo matkę, której pękło serce, albo dziadka, jak cię błogosławił. A to odbiera im cokolwiek zarozumiałą pewność. To są dla nich upiory, ale upiory, które podnoszą rękę, aż strach bierze spojrzeć na tę rękę. Ona wskazuje na bezsensowność, którą oddychają, na zło, w którym czują się jak w domu, a upiory nigdy nie czują się wśród zła jak w domu. Była wokół nich ponurość, także surowość i gwałtowność, jak na twoim Wschodzie, ale nie zło. Oni spoczywali w Bogu jak twój doktor, a to jest straszne dla dzisiejszych ludzi. Zarówno spoczynek jak i Bóg... Miałam jednego, któremu pozwoliłam przekroczyć granicę. Nie, to nie był hrabia w cylindrze. To był jeden z ambasady włoskiej. Był młody, mądry i bardzo przystojny. Ale on był złem. On był w jednej osobie tym wszystkim, czym inni byli razem. Ani spokoju, ani Boga, ani najprostszej przyzwoitości, jaką ma choćby Piontek. Nie wierzył w nic. Myślę, że nawet w słońce nie wierzył. Ale był w nim blask. Właśnie blask zła. Całkowite

wyuzdanie, a żadnej więzi, jaka zwykle krępuje ludzi. Wciągał jak wir. Rok cały trzeba mi było, by wyrwać go z serca, i wtedy postanowiłam wyjechać na Ocean Spokojny...

Spojrzała na zegarek i westchnęła. — Już czas, Jons — rzekła.

— Pójdziemy piechotą... to mi przypomni dawne czasy. Wstała i zabrała swe rzeczy. Stanąwszy przed książkami Jumby, spojrzała na milczące rzędy i potrząsnęła lekko głową. — Powinieneś mieć dziewczynę, Jons — rzekła poważnie. — Prosta dziewczynę z ludu, co by troszczyła się coś niecoś o ciebie i dawała ci co może. W tym życiu nie ma równowagi, bracie. U nikogo z nas. Ale u ciebie najbardziej.

Wyraz bólu pojawił się nagle na jego twarzy. — Później, siostró — rzekł cicho. — Później... nie mam czasu.

Spojrzała nań szybko z ukosa, a potem wzięła płaszcz.

Kiedy stał pod wysokim, szarym, szklanym dachem i rozmawiał z nią przez okno wagonu, zdawało mu się, że słyszy, jak pod jego stopami czas z głuchym hukiem zapada się w odmęt. Cienie przychodziły i odchodziły, oświetlone bladym, sennym blaskiem; on sam z drewnianą skrzynką, przy nim Stilling w płaszczu hohenzollernowskim i cylindrze, z klatką zięby w rękę; siostra i brat odjeżdżający w wielki, nieznany świat, i on, co pozostał jak grzybek leśny pod wysokim dachem; poważna twarz Jumby, już ocieniona przyszłością, jak wychyla się do niego z okna i woła, by nie zapomniał o trzydziestu morgach; i znowu on sam, jak przyszedł ze sklepu z woskowymi manekinami, bez dziewczyny, bez szczęścia, a Bóg wywichnął mu biodro...

— Bądź zdrow, bracie kochany — rzekła Gina. Jeszcze raz wyszła z przedziału i zarzuciła mu ręce na ramiona. Poczul jej delikatne wargi i znowu ogarnął go egzotyczny zapach, jak tchnienie otulający jej ciało. „Jak na Oceanie Spokojnym...”, pomyślał. A potem sznur wagonów przemknął z wolna obok niego przez jasną bramę oszklonej hali, on zaś stał jeszcze chwilę, aż wszystko zniknęło, a potrójna dźwignia słupa sygnałowego z lekkim drzeniem opadła z powrotem do pozycji poziomej.

We wszystkich wolnych chwilach, jakie pozostawiała mu praca, myślał o matce. Nie chciał tego, bo wiedział, że spoczywa w pokoju, ciało powoli rozkłada się i rozpada, a o jej duszy nie wie nikt. Można wierzyć, ale wiedzieć nikt nie będzie. A przecież musiał o niej myśleć, nawet w marzeniach, co przemykały ponad wyczerpanym snem, jak mgła nad spokojną wodą. Ciężkie było jej życie i wszyscy oni ponosili za to winę: ojciec, rodzeństwo, on sam. I ona także. Splątane i zagmatwane

jak zamotana tkanina. A przecież na koniec była pieśń o ukochanym, co „zawrócił konia i odjechał”. I dotknięcie ziębnącej ręki na jego lewym policzku. Śmierć je wyzwoliła. Pieśń i dotknięcie. Podniosła zasłonę i ujawniła się tajemnica. Jak wielka musiała być jej siła, że mogła unieść tę zasłonę z dumy i męki, błędu i winy... a cóż on wiedział o życiu i śmierci, jeśli nawet tego nie wiedział? On, sposobiący się na mistrza nad nimi obojgiem?

Znowu pochłonęła go praca, dniem i nocą. Lawrenz spoglądał tylko na niego w milczeniu, kiedy ostrożnie i bez drżenia wiodł nóż po powłoce chorego ciała, ale łagodne oczy siostry Moniki śledziły go pełne troski, a kiedy raz podniósł się od łoża zmarłego, z rozpaczą w oczach, pogładziła dłonią rękaw jego białego kitla i rzekła swym cichym, prawie niezwykłym głosem: — Ona nas nigdy nie wypuszcza z ręki, panie Jons, zawsze pozostajemy w jej uścisku.

Spojrzał na nią zmęczonymi oczyma, na regularne rysy jej cichej, pełnej pokoju twarzy, osłoniętej skrzydłami dużego, białego czepca, i pomyślał, że na pewno błogo by było złożyć policzek na piersi, co nie zaznała miłości, ale znała pracę, miłosierdzie i Boga, jak on znał nerwy i mięśnie ciała, które usiłował leczyć i ratować.

Wkrótce potem, za radą Lawrenza, zaczął przygotowywać swą pracę doktorską i profesor potrząsał głową nad wybranym tematem: „O różnicach w reakcji psychicznej na narkozę ogólną i miejscową”. Rzekł wreszcie, że to rozprawa dla ludzi z długą praktyką kliniczną, ale powiedział to z pewną rezerwą, jako że nigdy nie było wiadomo, czego można się spodziewać po tym nadzwyczajnym synu węglarza.

Jons odpowiedział, iż notował uwagi z wszystkich operacji, w których uczestniczył lub które sam przeprowadzał i że tabele te zawierają dosyć materiału, by stanowić podstawę do samodzielnej pracy.

— Więc pan operuje? — zapytał zdumiony profesor.

Jons odpowiedział, że miał ku temu sposobność w prywatnej klinice; pod nadzorem, ale wolalby, by o tym nie mówiono.

— Zadziwiający z pana człowiek, kolego Jeromin — rzekł profesor, bawiąc się ołówkiem — i pańska praca będzie też z pewnością zadziwiająca. Ale godzę się. A co z lekarzem ubogich? Czy ciągle chce pan jeszcze do tego swego Sowiego Zakątka, czy jak się tam ten zapadły zakamarek nazywa?

— Tak, chcę.

Profesor spojrział na zegarek i westchnął. — Może pan obrał lepszą drogę, kolego Jeromin — rzekł. — Gdy się człowiek zestarzeje, niejedno, co kiedyś uważał za kamienny fundament, wydaje mu się kruche.

Tak to Jons przystąpił do swojej pracy i dopiero pracując zauważył, że właściwie wszystko było gotowe i trzeba było tylko uporządkować i nadać ostateczny kształt. Po raz pierwszy zdawało mu się, że owoc sam opadł mu na kolana, a on nawet nie widział, jak dojrzał.

Lawrenz lubił od czasu do czasu wieczorem przeczytać gotowe arkusze, zaopatrując je własnymi uwagami. — Proszę nie myśleć, że panu pomagam, kolego Jeromin — mówił opuszczając binokle zwykłym ruchem. — To raczej pan mi pomaga. Długo się panu przyglądałem, jak przyglądałem się panu poprzednio, kiedy chodził pan do szkoły, dokładny i dzielny, jak człowiek co wyrusza, by zrównać górę. I takim pan pozostał. Ale z wolna ukazuje się panu twardy grunt pod nogami, pragrunt, że tak powiem, a odkąd byłem w pańskiej wsi, wiem coś niecoś więcej. Jest mianowicie różnica, czy rośniemy w cieplarni cywilizacji, czy też tam. Cieplarnia wiele nam daje za darmo tego, czego wy nie macie i musicie dopiero zdobywać. Ale zdobyte, to nie to samo co darowane. Dziedzictwo, które pan na drogę otrzymał, nie da się porównać z naszym. Ze mną jest jeszcze inaczej, bo ja pochodzę ze starej rasy mojej matki. Ale to, co tu wyrasta, w rodzinach urzędniczych i profesorskich, a potem wślizguje się do zawodu lekarza, nie jest już rzetelne, kolego Jeromin. Przeszli przez środowisko, które łamie, i nawet chory ukazuje im się w załamany światło.

— A czy ja jestem rzetelny? — spytał Jons.

— Jest pan przede wszystkim inny, kolego Jeromin, zupełnie inny. „Od wczora”, jak mówił stary człowiek nad grobem, i pod tym względem jest pan rzetelny. Niezlomny, mimo szkoły, uniwersytetu i wojny, bo umysł nie złamie tego, co stare. Wraca pan do swego Sowiego Zakątka nie dlatego, że nakazuje panu serce lub sumienie, ale że nakazuje panu pańskie daimonion. Wie ono, że pan zostałby tu wielkim lekarzem, ale że załamałoby się w panu coś, co pana podtrzymuje. Syn pański może już na tyle przesiąknąć współczesnością, że nie wróciłby. Ale pan musi. Ono wzywa pana, a pan jeszcze go słucha. I dlatego musi pan także przyjąć ze spokojem, gdy tam za panem zatrzaśnie się brama. Nie zawsze będzie panu lekko, gdy będzie pan czytał o odkryciach i tak zwanym postępie. Wiem o tym. Odczuje pan pewnego rodzaju nostalgię. Za powietrzem laboratoriów lub za wielkimi salami operacyjnymi. Ale dla pana to złudna nostalgia. Co jest do odkrycia, będzie odkryte, o to może być

pan spokojny. Już się natura o to postara, by właściwa ręka była na miejscu we właściwym czasie, na dobro, jak i na zło. Bo i złych odkryć nie brakuje. Ale ona nie chce, by pan to robił. Ona jest mądra i chce, by pan płonął w swej wsi jak światło wśród nocy na przykład, aby pan tam był, gdy pańska matka umierała. Zastrzyk eteru może dać byle konował, co się coś niecoś nauczył. Ale dać coś innego, co sprawia, że twarz po śmierci tchnie pokojem, tego on już nie potrafi. A tego potrzebujemy więcej niż wszelkiej nauki. I to nie wyrasta tutaj, to wyrasta tylko na starym gruncie. Na „Wschodzie”, bo Zachód to już utracił.

Znowu obracał nóżkę swego kieliszka, a Jons widział, że postarzał się bardzo, i często zdawało mu się, że twarz lekarza jest jak maska skrywająca otchłań bólu. — Powinien pan pójść na ogólne badanie, panie doktorze — rzekł. — Nieraz myślę, że z panem nie wszystko w porządku.

Lawrenz uśmiechnął się i spojrzał na obraz swej matki. — Nieraz? — powtórzył. — Ja to zawsze myślę, nie nieraz... ale to pochodzi także z zewnątrz, z poczucia niebezpieczeństwa, które zagraża. Bezmyślność zdobywa panowanie. Szaleństwo narusza porządek moralny i ogłasza się nową moralnością. Ujawniło się to już wtedy, gdy zastrzelili pierwszego ministra. A potem był pucz, jak oni to nazywają, i wystarczyłoby panu spojrzeć na twarze pańskich kolegów, jak maszerowali ze sztandarem. I medycy byli wśród nich, wielu takich, których znałem. A teraz drugi minister, i to jest przewrotność, bandytyzm, usprawiedliwianie mordu moralnymi formułkami. I że to są młodzi ludzie, wszystko młodzi ludzie, których matka urodziła, tak jak matka urodziła ministra. Życie, kolego Jeromin, co nie ma poszanowania dla życia. Dla tej najcudowniejszej tajemnicy wszechświata. I nauka nie jest tu bez winy. Zmiana pojęć, oto grzech umysłu. I temu będzie pan stawiać czoło w Sowirogu, temu przede wszystkim.

Wszystko to przyjmował Jons tak, jak było powiedziane. Nigdy nie miał wątpliwości co do tego, co powiedział Lawrenz. Ani przy diagnozie, ani przy stole operacyjnym, ani w cichym pokoju z zielonymi krzesłami. A jeśli niekiedy był skłonny się sprzeciwić, co zwłaszcza zdarzało się czasem przy diagnozie, za każdym razem musiał przyznać, że się mylił. On widział to co wyraźne — powierzchwnie — ale doktor patrzył na wskroś aż do dna tkanki, niby jakimś innym zmysłem i okazywało się, że wyrazistość była złudzeniem, zasłoną, którą natura spowijała chorobę. Siostra Monika przyjmowała to jako objawienie, a Jons z podziwem potrząsał głową. — Zawsze będę partaczem, panie doktorze — mówił.

— O nie, kolego Jeromin — odpowiadał Lawrenz. — Gdy ja miałem tyle lat co pan, częściej się myliłem niż pan. Wie pan, co człowiek zdobywa najdłużej? Sceptycyzm. Nie wobec porządku świata, ale wobec tego, co. oczywiste, widoczne, wyraźne. I bardzo długo uczymy się, że jest pewien rodzaj wyrazistości, któremu nie wolno ufać, i dlatego jest tyle błędnych diagnoz, że ludzie nie lubią wątpić w to, co oczywiste...

A mimo wszystko pozostawał u Jonsa pewien niepokój. Jak dawniej, całą noc rozważał, czy właściwie zszył szew lub czy nie należało wziąć pod nóż nieznaczenie tylko podejrzanego miejsce na dwunastnicy. Ale Lawrenz jedynie potrząsnął głową, ujął za puls nieprzytomną kobietę i pochylił się nad coraz to wolniejszym oddechem. Siostra Monika zdjęła maskę, a dla Jonsa nastąpiła chwila mrocznego, dzikiego lęku, gdy Lawrenz wyszeptał: — Prędej! — A potem wszystko minęło i było dobrze.

Prawdopodobnie przyczyniła się do tego śmierć matki i Jons często myślał o tym, co Lawrenz mówił o szwie.

We wrześniu pojechali znowu na dwa tygodnie do Sowirodu. Jons chciał trochę pobyc u rodzeństwa, a doktor rad dotrzymywał mu towarzystwa. — Dosyć już zwaliło się nam na głowę — mówił — a przed zimą chciałbym mieć trochę spokoju. Dotąd jeździłem nad morze, zwykle na mierzeję, ale tam melancholia, a to niebezpieczne, kolego Jeromin. Bezgraniczność, rozumie pan. Już morze ma to w sobie, morze, żyjące samo z siebie, dla którego my jesteśmy tylko zabawką. Ale jest jeszcze piasek i światło latarni morskiej na brzegu kuryjskim. A gdy pan tak siedzi na wydmie pod wieczór i piasek przesypuje się ze szmerem po nogach, a ogniste ramiona latarni morskiej zamiatają po panu, wtedy zawsze zdaje mi się, że wymiatają z mego życia resztki pewności i zaufania. Bezlitosna przyroda, mógłby tam doskonale stać sfinks zamiast łosia patrzącego na wschód. U was wszystko jest bliższe, cieplejsze i wilga woła zamiast ochryplej mowy. A że jest ciemniej, nie szkodzi. My wszyscy przecie spoczywamy w ciemności, jak lotos Hindusów.

— A przecie powinno to panu wejść w krew — rzekł Jons w zamyśleniu. — Bezmiar pustyni, gdzie ukazują się aniołowie i słupy ogniste.

Ale doktor zaprzeczył. — Zapomina pan o czterech czy pięciu tysiącach lat, kolego Jeromin — rzekł. — Długi czas, nawet dla rasy. Zwłaszcza bezdomnej. Wszyscy wędrowcy tracą korzenie i stają się zmienni. Przystosowanie się — to wielkie zjawisko. Tylko Bóg zawsze z nami podąża, a Bóg nie jest związany z okolicą. Dla niego synagoga, to tyle co namiot na pustyni. Tylko że głupcy, naszego stulecia myślą, że

wraz z synagogą można zniszczyć Boga. Wszyscy zresztą głupcy tak myśleli już za czasów aleksandryjskich. Tylko że wtedy to było bardziej usprawiedliwione, bo wywodziło się z prymitywu, z czasów bożyszcz pogańskich. A te przecie dziś zniknęły, kolego Jeromin, nieprawdaż?

Spoglądał z uśmiechem spoza dymu cygara i Jons również się uśmiechnął. — Stały się bardziej przystępne — odpowiedział. — Dawniej stawiano je na cokole lub na szczycie świątyni, dziś nosi się je w klapie marynarki.

Obaj wiedzieli, o czym myślą.

Piękna była jesień w Sowirogu i Lawrenz sądził, że nigdzie na świecie nie mogłoby być spokojniej. Mieszkał znowu na wyspie, ale w ciągu dnia wiele godzin był w drodze. Niekiedy szukał roślin, niekiedy grzybów lub jeżyn, ale często po prostu szedł przed siebie, wędrowiec bez celu, to przysiadł na chwilę przy moczarach, to na skraju wysokopiennego lasu, nad zatoką trzcina zarosła, to znów ruszał w drogę w krainę milczenia, w głąsę, gdzie tylko hukały czarne dzięcioły lub żurawie zbierające się na ścierniskach.

Ludzie z Sowirogu wiedzieli, że to nauczyciel Jonsa, lekarz biedaków i patrzyli na niego z podziwem i szacunkiem, gdy siadywał na skraju ich pól, wpatrzony w ogniste listowie dzikich grusz, paląc jedno ze swych czarnych cygar. Nie wiedzieli, co się dzieje w jego duszy, ale myśleli, że to na pewno coś szczególnego, bo nikt z nich jeszcze ani dnia swego życia nie przesiedział tak beczynn timer, patrząc na okolicę.

Najczęściej jednak siadywał u Piontka na skraju moczarów, przy ogieńku, na którym pastuch kładł późne grzyby i przysłuchiwał się jego starym opowieściom. W tych ciemnych relacjach nie było dla niego nic ze zmyśleń ani nawet zabobonu, tylko głęboka mądrość, przysypana już piaskiem i zmieniona, ale on potrafił jeszcze ją rozpoznać, prastary magiczny obraz, co nie naruszony spoczywał na dnie. Nigdy nie wątpił, przytakiwał tylko, gdy był już koniec, a Piontek rozpowiadał po wsi, że nie spotkał jeszcze takiego mądrego chłopa, i że wszyscy uczeni są niczym wobec niego. I jest on jakby czarodziejem, bo pytał go o bóle w prawym boku i wszystko mu opisał, choć on sam ani słowa mu o tych bólach nie powiedział.

Pod szarymi strzechami Lawrenz także czuł się jak w domu. Siadywał na krzesłach czysto wytartych fartuchem, rozglądał się dookoła, gładził dzieci po włosach, a potem znów przychodził, niosąc w ręku trochę ziół lub butelkę

własnoręcznie sporządzonego lekarstwa, na której drobnym, wyraźnym pismem wypisywał zalecenia.

Nawet Korsanke opowiadał mu o swoim bólu pod kłamrą pasa, a Lawrenz spoglądał na niego pocieszająco swymi smutnymi oczyma. Powiedział, że za rok może, gdy Jons już tu będzie, wtedy obaj się nim zajmą. Przetrzyma jakoś do tej pory, a jeśli będzie mu gorzej, niech weźmie urlop i przyjedzie do jego kliniki.

Ale kiedy opuścił mały domek, westchnął cicho przy płocie ogrodu, gdzie rosły dalej, i patrzył na gościniec, gdzie koło niskich płotów kwitły jeszcze goździki, nasturcje i złocienie. Nawet do najcichszych wiosek przychodzi śmierć, cichutko i wolno, i nawet w samej głębi lasu ziele na nią nie wyrosło.

Najbardziej jednak lubił przesiadywać u Stillinga, gdy późne słońce oświetlało globus złocąc błękitne oceany. Wiedział o nim wiele i nie mógł bez wzruszenia patrzeć na wytarte tomy, z których przyszła do Jonsa pierwsza wieść o świecie innym, niż ten wioskowy. — Wyruszył jak Saul — rzekł nauczyciel — a teraz wiemy, że zdobędzie królestwo.

Lawrenz cicho potrząsnął głową.— Nie królestwo, panie Stilling — odpowiedział. — Tylko głupcy pośród nas uważają się za królów. Ale wielkim i wiernym sługą może zostać. Kto zamiast na katedrę idzie do Sowiego Zakątka, ten jest wielki w moich oczach, bo myśmy się już oduczylibyśmy dla siebie nawzajem. Zwłaszcza młodzi.

— Czy to nowe czasy, panie doktorze?

— Nie wiem, panie Stilling, czy istnieją nowe czasy.

W świecie ludzkim wszystko rośnie jak w ciemnym lesie. I tylko niekiedy, gdy przejdzie burza, wali się odkryte zbocze i widać korzenie. Wyrwane i porozszarpywane. Nie zawsze to piękny widok. Taką nawałnicą może być wojna, rewolucja, walka religii. Ale ona tylko przyśpiesza. To na pewno trwa już od dawna. Od średniowiecza. Kościół dobrze wiedzieli. Ze wszystkich zagadek najciemniejszą jest umysł, że to niezupełnie zgadzało się z Biblią. To można było jakoś doprowadzić do porządku. Dogmatycy wszystko doprowadzają do porządku. Ale to było principium — początek, praprzyczyna. Umysł włamał się do tajemnic. *Scientes bonum et malum*. Wiedzieć, co dobre, a co złe. Mądry był mój naród, że włożył te słowa w usta węża. Już przed tysiącami lat. Bo na wiedzy się nie kończy. Z wiedzą łączy się brak poważania. Każda odrobina wiedzy, to nowe czasy, panie Stilling. Dawniej synowie wierzyli w to,

w co wierzyli ojcowie. Dziś synowie wiedzą, czego ojcowie nie wiedzieli. Ze wszystkich zagadek najciemniejszą jest umysł. Badanie i niszczenie. Dziecko, któremu daje się do ręki dynamit.

— Więc postąpiłem niesłusznie? — zapytał cicho Stilling.

— Bynajmniej, panie Stilling. — Po pierwsze, to wszystko nie jest w naszym ręku. My zawsze jesteśmy skłonni myśleć, że tak jest. Że nawet natura jest w naszym ręku. Zawsze bowiem jest jakaś ręka, i jeśli to nie byłaby pańska, to byłaby inna. Kto chce latać, zawsze znajdzie pagórek. Z Jonsem jest co innego. On ma równowagę, rozumie pan? Ma coś, co go wiąże. Inni są nie związani i to jest niebezpieczne. To, co za jednym uderzeniem serca może skierować ku zniszczeniu. Ale on ma ojca i matkę. Ma dziadka i wielu przed nim. I ma wieś. To jest dziedzictwo, które wiąże. Prości ludzie nigdy nie niszczyli, oni tylko karczowali, orali i siali. I ma starą Księgę. Gdy go się pan zapyta, może wzruszy ramionami, ale wie, że ją ma. Kto ją dostanie na sali confirmacyjnej, łatwo ją zgubi, ale kto dostaje ją przy mielerzu, ten ją zachowa. On nie potrzebuje o tym wiedzieć, ale Księga wie. I gdy trzeba, otwiera się zawsze na właściwej stronie. My nie potrafimy sztydzić z tego, przed czym nasi ojcowie zginali kolana, panie Stilling. Inni są do tego zdolni i myślą, że to jest „wolność umysłu”, ale my nie potrafimy.

— Tam także sztydzą — rzekł Stilling zmartwiony, wskazując szkołę. Lawrenz już powstał i znowu w zamyśleniu spojrział na globus.

— Z nich jeszcze bardziej sztydzić będą — odpowiedział powoli.

— Ławka, na której siedzą sztydery, urządzi dobry kawał na tym globie.

Nie ominęli także pana von Balka i Lawrenz wyznał, że ma pewną słabość do tego rodzaju szlachty. — Widzi pan, kolego Jeromin — mówił, gdy przez rozległe obszary pól zbliżali się do parku, rzucającego cień na linię horyzontu. — Kto może wiedzieć, czy w dawnych wiekach nie szedł tą drogą któryś z moich przodków, z tłumokiem na plecach, podpierając się kijem z żelaznym okuciem. Wówczas były tu na pewno wilki, także wśród ludzi, a on musiał handlować, by zarobić na chleb. Wtedy szlachcic stał na stopniach ganku, otoczony psami, a pradziad chylił się głęboko ku ziemi i zdejmował jarmułkę. Nie dlatego, że był czymś gorszym wobec Boga, ale że był biedniejszy. I gdy my dziś tak chodzimy sobie bez laski z żelaznym końcem i bez tłumoka na plecach, nieraz jestem skłonny wierzyć w to, co nazywamy postęmem. Ale

tylko niekiedy, kolego Jeromin. Jutro może znowu będą stać na ganku i boki zrywać, gdy my na ich oczach za pięćdziesiąt fenigów zezjemy kawałek mydła.

— Ale nie pan von Balk — zaprzeczył Jons.

— Z pewnością nie pan von Balk. Ale pan von X i pan von Y. I także panowie bez „von” i „zu”. Właśnie panowie. Dziwię się, że językoznawcy na takie rzeczy mało zwracają uwagi. Niegdyś tylko jeden nazywał się panem — Bóg. Czy może pan sobie pomyśleć, żeby mówiono „pan Mojżesz” lub „pan Abraham”? A potem przeszło to na królów, później na szlachtę, a dziś pedel na Alma Mater jest panem. A jeśli pan jest tajnym radcą, koryfeuszem, może go pan nazwać po nazwisku i „pan” opuścić. A i wtedy będzie on prawdopodobnie myśleć, że pan coś niecoś przeholował. Zbyt wielu jest panów na tej ziemi. Dlatego jest ona taka wspaniała, i dlatego nie będzie mieć dobrego końca.

Siedzieli na tarasie nad parkiem, a wrześnie słońce prażyło krzewy na wielkich klombach. „Marka trzyma się”, krzyczała papuga z biblioteki, a Lawrenz opuścił binokle i słuchał.

— Uczony ptak — rzekł pan von Balk, podsuwając doktorowi staroświecki pucharek ze złocistym winem.

Próbowałem skłonić ją do zmiany rodzaju, „Marek” zamiast „marka”, ale nie chce. Doszła do wieku, w którym nawet ptaki stają się nieufne.

— Cała historia ostatnich lat w tym się mieści — rzekł Lawrenz w zamyśleniu. — Ile o tym musiano mówić, jeśli to u niej znalazło odbicie.

— Owszem, sporo — odpowiedział Balk z uśmiechem. — Zamiast dzień dobry, każdy, kto tu wchodził mówił „Marka trzyma się”. Niepewna jest ziemia, na której takie rzeczy trzeba podkreślać, nieprawdaż, Jons?

Jons westchnął lekko. — Dzięki panu mogłem o tym zapomnieć, panie von Balk — rzekł.

Balk machnął ręką. — Chciałbyś, by pan Stilling sprzedał swój globus? Mnie wystarczyło sprzedać żyto lub las, a jedno i drugie odrasta. Z globusami jest inaczej... no, ale teraz to już ona trzyma się i obywatel może spać spokojnie. Jego pieczeń cieleca mu nie ucieknie. Może ją zjeść i jutro, bo jutro nie będzie droższa. Ale my nie jesteśmy uspokojeni, co doktorze?

Nie, Lawrenz wcale nie był uspokoiony.

— Kiedy rozglądam się dokoła po równych mi stanem, dziwię się cokolwiek. Na każdym folwarczku znajdzie pan pół tuzina albo i tuzin artamanów⁵, czy szamanów, czy jak tam się braciszkuje nazywają. Chwackie chłopaki, jak to się dziś mówi, a każdy bez mrugnięcia okiem „załatwiłby” pana, gdyby mu kazano. Co oni robią, tego nikt nie wie. Prawdopodobnie jedzą groch cukrowy. Nie zauważyłem dawniej, że w naszej młodzieży tkwi taka tęsknota ku Wschodowi.

— Wiele się mówi — rzekł Lawrenz z wahaniem.

— Jasne. Gdzie trzeba coś przemilczeć, tam zawsze dużo się mówi. Z pierwszego puczu nic nie wyszło. Przeszło bokiem. Ale dlatego z drugiego może coś wyjść, albo z trzeciego. Twarda tu rasa, doktorze. Chować policzek do kieszeni, to dla studentów brak honoru. Nawet zasłużony. To samo w historii świata. I republika jest tu czymś, na co można kichać. Znam kogoś, co przykleił sobie na wewnętrznej stronie pokrywy od klozetu portret ministra spraw zagranicznych. Ludzie tutejsi uważają to za dowcipne.

— Za czasów Sokratesa też uważaliby to za dowcipne — rzekł Lawrenz — gdyby już wtedy istniały splukiwane klozety.

Balk przytaknął. — Ale czy pan uważa, że w Anglii ludzie uważaliby to za dowcipne? Albo w Ameryce? Myślę, że panu Bogu pokostu zabrakło, gdy powlekał nim naród niemiecki. Za cienko wypadło. To co pod pokostem, może być wszędzie jednakowe, choć nie zawsze mi się chce w to wierzyć. Ale u innych jakoś trudniej przychodzi staremu Adamowi przebić się na wierzch. Przypuszczam, że kultura nie jest niczym innym, tylko powściągnięciem pierwotnej bestii. Uważa się zawsze, że postara się o to tak zwana cywilizacja, ale ona stara się tylko o 42-centymetrowe moździerz i żółty krzyż. Ojciec tego młodego człowieka nie wiedział, co to telefon, lecz gdyby mu pan pewnego dnia powiedział, że nie ma już żadnych praw ani dziesięciorga przykazań, ani kodeksu karnego, żyłby dalej akurat tak samo jak dotychczas. Bez najmniejszej różnicy. Natomiast nasi równi stanem wraz ze swymi szamanami przestaliby jeść groszek, by zwrócić się do innego zajęcia.

— A wieś Sowiróg, panie von Balk?

— Trudno powiedzieć, panie doktorze, co by się zaczęło w takich wsiach, gdyby Prateutonom przyszło do głowy rozcieńczyć pokost. Miałem tu wyrobnicę, nie gorszą ani lepszą od innych. Jedną z tych, co nigdy nie wpadają w oczy ani szczególnie

⁵ Członkowie prawicowych związków młodzieżowych, werbujących młodzież do pracy ochotniczej w rolnictwie zwłaszcza u junkrów [przyp. tłum.].

lenistwem, ani szczególnym pyskowaniem. Straciła dwóch synów, tak jak i inne, i miała męża, co się upijał w sobotę, zupełnie tak, jak i inni. Ale gdy skończyła się Święta Rzesza Niemiecka — wtedy w listopadzie — i gdy wróciłem jeszcze z ręką na temblaku, ona grabiła właśnie liście na tarasie. Tak komicznie na mnie spojrzała, jak na przybłąkanego kundla. — No, Bałdunowa — mówię — nie powiesz mi „dzień dobry”? A ta poczciwina opiera się na grabisku, mierzy mnie od stóp do głów i mówi: Teraz niech mi pan powie pierwszy „dzień dobry”, panie von Balk. Teraz tu my jesteśmy panami! Tak, to była Bałdunowa, tu wyrosła i od czterdziestu lat u mnie na służbie...

— I co? — zapytał Lawrenz.

— No, a co by pan chciał, doktorze? Przywołałem babę i kazałem jej nałożyć jedną z paradnych sukien zmarłej jaśnie pani. Siłą. Wsadziłem ją do otwartej kolaski, przywiązałem ją leciutko i kazałem wozić ją w koło po gumnie. Krzysztof włożył paradną liberię, a na kolasce wisiała ogromna tablica: „Oto Bałdunowa i ona jest tu teraz panią”. Zebrała się liczna publiczność, wdzięczna publiczność, a gdy objazd się skończył, Bałdun odpiął pasek i objawił swoje zdanie w tej sprawie. Trudno powiedzieć, drogi doktorze, co by zaczęło się w takich wioskach. Myślę, że to zależy od tego, jakiego miały nauczyciela albo pastora, albo czy miały takiego człowieka, jak Jakub Jeromin.

Właśnie dozorcę nad starym Adamem. Bałdunowa miała złego dozorcę. Nie bardzo mam ochotę troszczyć się o zbawienie dusz innych ludzi.

Doktor skinął na Jonsa. — Tak, kolego Jeromin — rzekł. — Małe wioski też mogą być królestwem... Nie przypuszczam, by nasz wielki chirurg troszczył się o zbawienie duszy swych studentów.

Balk odprowadził ich aż na wzgórze, skąd widać było wszystkie jego pola. Płonęły już pierwsze ogniska, gdzie piekły się ziemniaki, a dzikie gęsi ciągnęły długimi kluczami na południe. Balk oparł się na lasce i patrzył tęsknymi oczyma na dalekie, mieniące się barwami lasy. — Ziemia się chwieje, doktorze — rzekł — a wygląda taka niewzruszona...

Gdy znowu siedzieli w pociągu i jesienny krajobraz migał za oknami, Lawrenz wyciągnął z teczki złożony papier i podał Jonsowi. — Napisałem tu coś niecoś dla pana, kolego Jeromin — rzekł — co mi wpadło w oczy. Całkiem pobieżne rozpoznania, ot tak, z daleka, że tak powiem. Ludzie z Sowirogu, u których od czasu do czasu

przesiadywałem. Stara Krollowa, Gina Bojar, Korsanke i tak dalej. By było panu łatwiej, gdy pan tu powróci za rok lub dwa, i zjawią się u pana pierwsi pacjenci. Dobrze jest na początek uchodzić za nieomylnego. A potem to się już jakoś ułoży...

Wzruszony Jons chciał coś powiedzieć, ale Lawrenz skrył się już za obłokiem dymu i nałożywszy binokle zaczął jeszcze raz czytać sprawozdanie siostry Moniki.

Z dworca odjechał prosto do kliniki.

Rozdział 8

Nie mam nic do zarzucenia, kolego Jeromin — rzekł tajny radca przerzucając kartki trzymane w lewej ręce.

Imprimatur... Zadziwiająco, że panu w ogóle nic nie można zarzucić. — I spojrział na Jonsa z życzliwością pomieszaną z zażenowaniem.

— Moja matka miała mi wiele do zarzucenia — odpowiedział Jons.

— To już inna sprawa, kolego Jeromin. Moja uważała, że diabeł mnie porwie, i chodzi tylko o to, co się przez to rozumie. Nie myśli pan, że jest on nam lekarzom szczególnie bliski?

— Tak, wierzę w to, panie tajny radco. Zwłaszcza na uniwersytetach. Próbujemy zatrzymać rękę bożą.

— Otóż to, kolego Jeromin — rzekł profesor składając arkusz. — Często mówią o panu, nie zawsze życzliwie, a większość myśli, że pan urodził się na Marsie, albo gdzieś w sąsiedztwie. Myśli pan nie tylko zbyt wiele, ale myśli pan inaczej. Kilku kolegów twierdzi, że nie myśli pan po zachodniemu. Rozumie pan, co mają na myśli?

Jons rozumiał to bardzo dobrze. — Może to za sprawą mego dziadka. On spoczywał w Bogu, a to obecnie nie jest po zachodniemu.

Profesor potrząsnął głową. — To także, kolego Jeromin... Pan nie tylko myśli inaczej, pan mówi inaczej. I tu także — stuknął ołówkiem po arkuszach rozprawy. — A to jest niebezpieczne. Przynajmniej większości wydaje się niebezpieczne. Zwłaszcza docentom. Są zawsze pełni nieufności, bo myślą o karierze.

— Nie będę nikomu przeszkadzał w karierze, panie tajny radco.

— Wiem, kolego Jeromin, wiem. I to jest dla nich najbardziej niesamowite. Właśnie to. Nie są oni miłośnikami świętego Franciszka. On bowiem wszystko robił za darmo. A co byłoby z docentami, gdyby wszystko mieli robić za darmo?

— Zbliżyliby się do tego, co ostateczne, panie tajny radco.

— Może tak. Ale oni właśnie wolą być bliżej tego, co pierwsze, a nie co ostateczne. Zwłaszcza jeden szczególnie zajmował się panem. Jako detektyw, nie jako docent. Może te dwa zawody są pokrewne. Wyciągnął sprawę pańskich dwóch czy

trzech braci i pańskiej siostry także. Był z tego bardzo dumny i gdy zechce pan się habilitować, złoży zapewne „płomienny protest” — jak to się dziś mówi.

— Nie będzie tego potrzebował — odpowiedział Jons. Twarz jego sp o chmurniała, a profesor ostrożnie wyciągnął do niego rękę.

— Powiedziałem to panu tylko po to, by był pan przygotowany — rzekł dobrotliwie. — Nasz wydział nie jest od tego, by uczyć rzucania kamieniami. Nie omieszkałem przedstawić mego zdania.

— Dziękuję panu, panie tajny radco — rzekł Jons. — Mój ojciec wiele przecierpiał i wiem, że muszę być bardziej rzetelny, niż inni.

Profesor skinął i wstał. — Wydział nie jest ślepy, kolego Jeromin. Ma i on swoje wady, ale ślepy nie jest. Koledzy od chirurgii i ginekologii będą się panem szczególnie zajmować, pan wie o tym?

Tak, Jons wiedział o tym.

— Ale będziemy mieć znowu prawdziwe „rigorosum”, nie teatr. Cieszę się z tego i pan powinien się cieszyć, kolego Jeromin.

Jons obiecał i zszedł wolno po schodach. Profesor miał słuszność. Zajęli się nim, jak powiedział, i nawet doszło do starcia. Kiedy Jons z niewzruszoną twarzą oznajmił, że profesor ma niewątpliwie prawo wymagać, by egzaminowany znał wszystkie hipotezy o dziedziczności, ale nie ma prawa wymagać, by egzaminowany uważał hipotezę egzaminatora za jedynie słuszną.

Protokolant zapisał to z wyraźnym zadowoleniem, ale ginekolog zapytał ostro, czy Jons zamierza go pouczać o jego prawach.

— Owszem — odpowiedział Jons, patrząc mu prosto w oczy. O ile zamierza te prawa naruszać. Tak uważał jego ojciec i on też tak uważa.

Profesor po dłuższej przerwie powiedział, że zwyczajnie ojców nie są przedmiotem dyskusji, i że pójdą dalej. Trudno było wyczytać z jego twarzy, co myślał o tym synu węglarza, który po raz drugi stanął mu na drodze. Ale prawdopodobnie miał nadzieję, że to już ostatni raz.

— *Rara avis* — rzekł znowu dziekan, uśmiechając się, jak zwykle wyniośle, gdy Jons zakończył swój wykład o usuwaniu nowotworu na mózgu. Ale jego oczy nie bez dumy patrzyły na egzaminowanego.

— W medycynie jak i w postawie moralnej — dodał, a Jons widział, że o niczym nie zapomniał.

Ale gdy wstał, wielki chirurg podał mu rękę i rzekł bez ironii.

— I niech pan dalej tak uważa, jak pański ojciec.

To była jedyna chwila podczas całego egzaminu, kiedy Jons był zmieszany.

Lawrenz urządził mu oblewanie doktoratu w pokoju z zielonymi krzesłami — *Summa cum laude* to nic, kolego Jeromin. Pan wie o tym — rzekł, nalewając porto do szklanek. — Ale *summa cum modestate*, to jest coś, i tak też uważałby pański ojciec. Za pamięć jego i tych wszystkich, których kochał.

Tego wieczoru Lawrenz nie wyglądał dobrze i wielokrotnie macał się chyłkiem ręką po lewej stronie, gdzie w kieszeni kamizelki nosił staromodny zegarek. Ale gdy raz oczy Jonsa pośpieszyły za jego ruchem, uśmiechnął się tylko zakłopotany i spojrzał roztargnionym wzrokiem na tarczę. — *Memento horae* — rzekł. — Rad bym widział, by pan przejął moją kliniczkę, ale wiem, że nic z tego. Stąd mogą ostatecznie pójść gdzie indziej. Nie jestem chyba jedynym przyzwoitym lekarzem o życzliwym sercu. Ale gdzie pójda ci z Sowirogu? Do kolegi Lustiga, którego wesołość nie jest dla każdego.

Jons opowiadał mu kiedyś, jak to podczas letnich ferii próbował hospitować w dużej wsi kościelnej u doktora Lustiga, ale doktor wyliczył mu na palcach, czego za to musi wymagać: utrzymania, odszkodowania za konia i furmankę — „dwie osoby to zawsze nie to samo, co jedna, nieprawdaż?” Opłata za naukę i cały szereg innych opłat.

Jons podziękował. — Na uniwersytecie taniej — rzekł tylko.

Nie, do Lustiga nie mogą pójść, rozumiał to Lawrenz. — Otruć pana to on nie będzie próbować, kolego Jeromin — mówił dalej — tylko będzie delikatnie podkopywał pańską renomę jako lekarza. Samowładcy mają w tym bogate doświadczenie, prawdopodobnie zaczną też czynić aluzje do pańskiej rodziny. Lekarze wiejscy nie we wszystkim są konowałami.

Ale Jons się nie martwił. Już on będzie robił, co do niego należy.

— Tak — mówił dalej Lawrenz — a jutro niech się pan zgłosi do egzaminu państwowego. Czas na pana, jeśli nikt tego nie wie, ja wiem. A potem musi pan jeszcze z pół roku koło tego pochodzić. Musi pan do okulisty i do tego od nosa, uszu i tak dalej. Rozejrzałem się coś niecoś tam u was i sędzę, że będą tego potrzebować. Musi pan być dobrze przygotowany, kolego Jeromin, a niedobrze byłoby połowę ludzi wysłać do specjalistów. Po pierwsze, ludzie nie mają pieniędzy, po drugie, boją się, i z

tym się trzeba pogodzić. A po trzecie, to świat zamknięty, a w świecie zamkniętym nie ma specjalistów. Nie byli nimi patriarchowie ani mnisi, ani pański ojciec.

Jons uważał, że jeszcze za wcześnie iść na egzamin, ale Lawrenz tylko machnął ręką. — I jeszcze jedno, kolego Jeromin — rzekł powoli, spoglądając w górę na portret swej matki. — Może się pan oczywiście ożenić. Nawet skromna praktyka na to wystarczy i wszyscy będą panu doradzać. Ale chciałbym, aby się pan zastanowił. Nie wierzę, by prorocy się żenili, wielcy, czy mniejsi, a Salomonowi nie zawsze wychodziło to na dobre. Mądry jest Kościół katolicki, wie, dlaczego księżom zabrania się żenić. Wasz Luter zmienił to, ale on zawsze wydawał mi się nieco podejrzanym. Zawsze było w nim sporo z plebejusza, to że wymyślał i inne rzeczy. A także jego uniżoność wobec zwierzchności, nieszczęsna uniżoność. Wasi ludzie mogą o tym niejedno powiedzieć, chociaż nie zdają sobie sprawy. On przygiął ich do ziemi i tacy pozostali. Nawet ta Bałdunowa u pana von Balka. Tak, a z małżeństwem jest tak, kolego Jeromin, że dla pastorów protestanckich nie ma ono wielkiego znaczenia. Oni w połowie należą do Boga, a w połowie do państwa, a państwo zawsze potrzebuje dzieci. Ale z lekarzami, prawdziwymi lekarzami, jest inaczej. Oni poświęcili się nie państwu, lecz chorym. Tak przynajmniej mówili starożytni nauczyciele. A kto poświęca się chorym, nie ma czasu na inne poświęcenia. To jest tak, jak z tymi dwoma panami, o których mówi wasz Zbawiciel. Małżeństwo to też poświęcenie, nie dla terażniejszości, ale dla przyszłości. Terażniejszość jest tylko pozorem lub omamieniem. Pierścień — to poważny symbol, coś co jest najbardziej zamknięte w sobie i skąd nie ma ucieczki. Dlatego nie mówię, by pan tego nie robił. Mówię tylko, by pan się zastanowił.

Jons potrząsnął głową. — Nie myślę — rzekł z uśmiechem — żenić się.

— Zwykle co innego myślimy, gdy mamy lat trzydzieści, niż wówczas gdy mamy dwadzieścia pięć — odpowiedział Lawrenz. — Miłość to co innego. Ona nie dba o przyszłość. To próba wyrwania się ze straszliwej samotności jednostki, by przez dwoistość uzyskać wyzwolenie. To powrót do wszechbytu, skąd wytrąca każde stworzenie. To wyminięcie śmierci. To ciężka koła zamiast okręgu. Wiedział o tym Goethe, w „Prozerpinie”, jak sądzę.

Pan może myślał, że kiedy ja siedzę tu wieczorami, zanim pan przyjdzie i słucham tylko, jak zegar chodzi w kącie, to myślę tylko o swej klinice? Tak pragnąłem mieć syna. Ale potem pomyślałem sobie, że to, co dałbym małżeństwu, musiałbym chorym odebrać. Posiadamy tylko pewną określoną substancję, którą żyjemy, i z której możemy wydzielać. A teraz myślę nieraz, że może tak jest dobrze... Jeśli by on

został graczem albo takim, co pochody z pochodniami urzędza, „szamanem”, jak mówi pan von Balk, to może na myśl o nim ręka by mi kiedy zadrżała przy operacji. Przy cesarskim cięciu, na przykład i to mogłoby kosztować czyjeś życie? Może los jest mądrzejszy niż myślimy, kolego Jeromin...

Rozlał resztę z butelki do szklanek i spojrzał na Jonsa ze wzruszającym onieśmieniem. — Chciałbym bardzo o coś pana prosić — rzekł — ale może to niezręcznie ze strony starego człowieka... Pragnąłbym, bym mógł mówić do pana: Jons.

Spojrzał szybko w bok, a gdy Jons uściśnął mu rękę, uśmiechnął się tylko. Cichym, wdzięcznym i cokolwiek smutnym uśmiechem. Przez pierwsze sesje egzaminacyjne Jons przeszedł jak „łódź gnana wiatrem”. Tak nazwał to Lawrenz. Był cokolwiek zmęczony i po każdym egzaminie trochę niespokojny. Zbyt łatwo mu to przychodziło, a Jerominowie nie byli przyzwyczajeni do łatwizny. Już nie przesiadywał przed każdą nową sesją nad książkami aż do północy, lecz chodził powoli i bez celu godzinę lub dwie przez wieczorne ulice albo poza bramy miasta. W tym roku wiosna przyszła wcześniej, pługi wyszły już na pola i nieraz słyszał krzyk dzikich gęsi, co rozchodził się wysoko nad nim po ciemnym niebie. Wtedy przystawał nasłuchując i widział przed sobą wieś, gdzie go czekają, i ogarniała go z lekka obawa, że teraz zacznie się prawdziwe życie, do którego tyle rąk się przyłożyło, i że musi teraz usprawiedliwić wszelkie poświęcenie, jakie przypadło mu w udziale. Nie będzie już stał przy nim Lawrenz spoglądający na jego ręce dodającymi otuchy oczyma, pozostanie daleko także twarz siostry Moniki. Pozostanie sam, a gdy się coś nie powiedzie, tylko w sobie będzie musiał szukać pociechy i pokrzepienia.

Stał na cichej uliczce przedmieścia, patrzył na jasny blask ponad miastem, a wyżej pierwsze blade gwiazdy. Westchnął lekko, ale potem przyszło mu na myśl, ile to razy ojciec patrzył tak w górę w swe niezliczone samotne wieczory, z sercem pełnym spokojnej pewności wierzącego i wierzył w swego syna, Ehrenreicha, chyba równie mocno jak w Boga.

Potem wracał powoli do domu, do cichego pokoju Jumby, patrzył na konika stojącego nad książkami, otwierał jeszcze stronicę w podręczniku anatomii, a potem zasypiał twardo, bez marzeń sennych, jak w dzieciństwie przed klasówką.

Ale pewnego wieczoru, przechodząc tak w zamyśleniu koło wielkiej miejskiej sali koncertowej, zobaczył wielu ludzi wstępujących pośpiesznie w górę po szerokich schodach i odczytał na wielkim afiszu nazwisko, z którym na pewno już kiedyś się

spotkał, związane z jego życiem jakąś tajemniczą więzią, której w danej chwili nie potrafił sobie uświadomić. I dopiero gdy odczytywał na programie nazwisko wielkiego wieszacza tonów, padło nagle oślepiające światło na pograżoną w mroku scenę i ujrzał czarny fortepian, z wiekiem uniesionym jak skrzydło ogromnego ptaka, ujrzał chłopca w marynarskim ubranku przed lśniącem rzędem białych i czarnych klawiszy i siebie samego, jak podrywa się z krzesła, aż go jakaś starsza pani życzliwie i delikatnie pociągnęła za marynarkę.

Znowu było tu cudowne dziecko, którego smutne i zmęczone oczy musnęły kiedyś jego twarz i tchnienie ówczesnego wzruszenia przebiegło dreszczem bijące serce.

Podążył szybko schodami wraz z innymi i dostał jeszcze miejsce na podium, zbyt blisko instrumentu, jak się obawiał, ale tak, że popod otwartym wiekiem mógł widzieć twarz grającego. Nie ręce, tym razem może ważniejsze było widzieć twarz niż ręce.

Rozejrzał się, a mnogość twarzy i barw niemal go odurzała. Poznał, jak bardzo samotnie żył dotąd, i jak bardzo z pewnością rozeszły się ich drogi: tego dziecka, które co wieczór patrzyło w tysiąc lub dwa tysiące oczu, i jego własna, co wiodła tylko od jednego cichego łóża chorego do drugiego. A przecie minęło zaledwie kilkanaście lat. Prawdopodobnie chłopiec nie był na wojnie, tylko grał w wielkich miastach, przez które on sam maszerował o chłdzie i głodzie. Zapewne nie umarło mu wszystko, co ukochał, i pewnie będzie przy nim nawet ten starszy pan, co mu kiedyś ręce położył na ramionach.

Rozejrzał się, czy w pierwszych rzędach nie zobaczy twarzy z gładkimi siwymi włosami, ale wtedy rozległ się dzwonek, drzwi się otwarły; było jednak wcale nie tak, jak Jons oczekiwał. Nie było to już dziecko w ubranku marynarskim, co nieśmiało zwracało oczy ku rozświetlonej sali. Był to młody człowiek, jak Jons sam, obcy, co wyszedł z kręgu dzieciństwa, ktoś przemieniony, ktoś, po kim przeszedł czas, jak po wszystkim. Coś dodając i coś ujmując, i to naprzód Jons zauważył, że opadł urok dziecięcy, czy nawet to co zachowało się z niego w jego pamięci, że już nie wydawało się, tak jak dawniej, że ręce aniołów łagodnie przesuwają go przez drzwi i czekają na niego za drzwiami, aż znów powróci z tej ziemi. I nie dlatego, że teraz miał na sobie frak i kłaniał się inaczej niż dawniej. Po prostu przeminął czas i nawet wobec niego okazał się zmienny i śmiertelny.

Jons złożył ręce i zdawało mu się, jakby lata przelatowały mu przez palce na deski pod stopami. Długie, żmudne i tak kosztowne lata i trzeba było tego obcego człowieka, by zdał sobie z tego sprawę. Że dzieciństwo, co go wciąż jeszcze otaczało, umierało z godziny na godziną, z roku na rok, z dala od swoich, od wsi, od mielerza, a przed nim był zawód, biały kitel, inna postać. Pozostało tylko imię, ale pod tym imieniem inny już człowiek chodził po ziemi, i inne niż dawniej wydawały mu się lampy na sali, twarze ludzi, czerń fortepianu, uderzenia godzin. Jons Ehrenreich, ale inny, i gdyby Małgorzata zmartwychwstała z głębi ziemi, może jej wzrok prześliznęłoby się po nim jak po kimś obcym lub po jednej z lalek woskowych w sklepie na cichej uliczce.

Znowu przeszedł go lekki dreszcz, jak przed afiszem, i kiedy obcy zasiadł przed klawiaturą i popod otwartym wiekiem zwrócił ku niemu oczy z przebłyskiem rozpoznania, odwrócił wzrok, przytłoczony całą przeszłością, i dopiero wtedy znów spojrział przed siebie, gdy pierwszy akord zabrzmiał wśród ciszy.

I oto jakby czar powrócił. Znów, jak wtedy, ustaje bicie serca, znów uczucie chłodu między ramionami, znów lekkie drżenie przebiega całe ciało. Ale to jednak nie to samo. Jakby czar zawierał się tylko w tonach, a tamten był jedynie posłusznym pośrednikiem. Jakby na jego miejscu mógł siedzieć ktoś jeszcze bardziej obcy, albo ktoś bliski, jak Stilling. Jakby istniała tylko sztuka, nie artysta. Jakby człowiek znów powrócił na swe dawne skromne miejsce, a bieg czasu na nowo wszystko po cichu uładził. Zmarli przemówili znowu, jak im przystoi, a żywi byli tylko i posłusznymi ustami zmarłych. Nie przygotowanym jeszcze, nie oświeconym, dane im było uchylić rąbek zasłony.

Jons słuchał w skupieniu, jak kiedyś słuchał dziecka. A przecie i tu coś się zmieniło. Także ten świat rytmów i melodii przekształcił się po cichu. Nie był już jakby echem czy odbiciem duszy. Stał się jak gdyby niezależnym, odsunął się gdzieś dalej i z daleka wydawał się drugim, innym światem z własnymi prawami. Jakby ktoś operował przy stole obok. Ta sama operacja, te same chwyt i ruchy, ale wykonuje ją ktoś inny, i ktoś inny leży pod maską i poddaje się jej. Zatraciła się jedność, dziecięca naiwność odbioru. Świat rozłożył się, i to było tylko jedno z mediów, przez które można go było oglądać. Były jeszcze inne media i wtedy wyglądał on inaczej.

Była to jedna z prób ducha ludzkiego, próba piękna, czarująca, ale nie jedyna.

Tak rozważając, Jons przestraszył się po trosze. Wydało mu się, że zestarzał się przez noc, a dzieciństwo lub młodość zapadły się w głąb. Oddając się „spekulacjom”

zapuścił się na niebezpieczne ścieżki umysłu. I gdy tak patrzył na odbite w zwierciadle wieka ręce grającego, przemykające się to w tę, to w drugą stronę, mimo woli ujrzał szczupłe ręce doktora, jak ujmują nóż i ostrożnym cięciem przecinają skórę nad komórką śmierci. Tam było inne medium, inna próba leczenia i ratowania. Nikt się nie przypatrywał, prócz twarzy dwóch czy trzech sióstr w dużych białych czepkach. Nic nie było słyhać, prócz oddechu nieprzytomnej i kropli wody, spadającej od czasu do czasu do miednicy z instrumentami. Ale i tam działał się cud, oczarowanie, bez oklasków, bez blasku, a kiedy Lawrenz zdjął maskę, twarz jego była inna niż grającego, wyczerpana, wyjałowiona, i nie chyliła się w ukłonie, lecz patrzyła cichymi oczyma na nieruchomą postać uśpionej.

Nie, nie jestem na błędnej drodze, pomyślał Jons. Dawniej myślałem, że to jedno jest życiem lub Bogiem, lub ukojeniem. Dziś nie mogę już tak myśleć. Przy zbyt wielu łóżach siedziałem, zbyt wiele biednych rąk trzymałem w moich. Co innego jest blaskiem i jasnością, a ja jestem tylko skromną świeczką i będę zadowolony, że to poznałem.

I znów spojrzął na twarz grającego, jak przy lekkim motywie z sonaty Mozarta uśmiech przemknął po jego wargach i zdawało mu się, że to wtargnięcie w świat zmarłego. Nie miał słuszności, że tak myślał, ale nie mógł uwolnić się od tej myśli. Zmarłemu wolno było się uśmiechać, kiedy to zapisywał, albo gdy po raz pierwszy chwycił uchem. On miał do tego prawo, prawo twórcy i mistrza. Ale ci, co służą, nie mieli do tego prawa. Oni powinni tylko być posłuszni i Lawrenz nigdy się nie uśmiechał, gdy odkładał nóż. On spoczywał w Bogu i wiedział, że „wykroczył”, jak on to nazywał. Nawet przy udanej operacji, bo wtargnął tajemnie do świątyni. Teraz będzie mu mówił „Jons”, a to piękniejsze, niż wszelkie *summa cum laude*, jakie można uzyskać.

Gdy grający wstał i skłonił się, nie można już było wątpić, że oczy jego znowu zwróciły się ku Jonsowi, ale ciągle jeszcze niepewnie, jakby szukały we wspomnieniu; na wpół przemocą gromada wielbicieli wciągnęła Jonsa do pokoju artysty, gdzie zatrzymał się przy drzwiach, jakby znalazł się w niewłaściwym miejscu. Słyszał urywki rozmów i zdawało mu się, że nic nie mówiły o tym, o czym tu mówić należało. Widział, jak obcy wypisywał nazwisko na kartach, które mu podawano i to także było dla niego dziwne, i jakby przynależne do innego świata. W malej klinice podpisywało się tylko recepty, a niekiedy świadectwo zgonu.

Chciał już odejść, ale wtedy młody profesor przystąpił do niego z uśmiechem i zapytał, czy się kiedyś już nie spotkali. Że trudno mu już teraz przypomnieć sobie okoliczności, ale w jakimś zakątku pamięci zachował jednak tę twarz.

Jons spojrział w przyjazną, zmęczoną twarz, jeszcze z z perełkami potu na czole i widział też, że jego biały kołnierzyk był pognieciony. Gorące uczucie przynależności wypełniło mu nagle serce, jakby poznał trud także tego świetnego życia.

— Stałem tu przed wielu laty — rzekł — kiedy i pan był jeszcze dzieckiem, i pański ojciec trzymał mnie za ramiona, by ludzie mnie nie rozgnietli.

— Już wiem — rzekł profesor. — Miał pan takie smutne oczy i to utkwilo mi w pamięci. Tak, to było dawno. A kim pan jest teraz?

Jons odpowiedział, że jest lekarzem i że zdaje teraz egzaminy.

— Tak... lekarzem... tak, to piękny zawód i zapewne niedługo zostanie wielkim specjalistą? Widać to po oczach...

Nie, odpowiedział Jons, będzie skromnym lekarzem ubogich w rodzinnej wiosce.

— Lekarzem ubogich — powtórzył profesor zdziwiony i niemal cokolwiek zakłopotany, a oczy jego podążyły za wzrokiem Jonsa, błędzącym mimo woli wśród grona wielbicieli w bogatych strojach wieczorowych. — To piękne — rzekł. — Może ubodzy potrzebują nas więcej niż tamci. A potem podał szybko rękę Jonsowi i znowu wypisał swe nazwisko na jednej z podanych kartek.

Dopiero na ulicy Jons zatrzymał się jeszcze, nabił tytoniem drewnianą fajeczkę, ale zanim zapalił, zastanawiał się, dlaczego profesor powiedział „nas”.

Panna Holstein sama otworzyła mu drzwi, zanim jeszcze przekręcił klucz w zamku. — Proszę jeszcze raz wstąpić do kliniki, panie Jons — rzekła zatroskana. — Był tu doktor. Ma być operacja. A pan na pewno zmęczony.

Jons zastanowił się chwilę, co mogło się wydarzyć, a potem odwrócił się, by odejść. — Nie, nie jestem zmęczony — powiedział. — Byłem na koncercie i znów słuchałem cudownego dziecka.

Panna Holstein wzruszyła tylko szczupłymi ramionami. — Co za cudowne dziecko? — rzekła pobłaźliwie. — Jedynym cudownym dzieckiem na tym świecie jest pan, panie Jons.

Był już na pierwszym stopniu i odwrócił się nagle raz jeszcze.

— Kiedy stałem tu po raz pierwszy, panno Holstein — rzekł z uśmiechem — miała pani o mnie inne zdanie. Pamięta pani? Nie byłem cudownym dzieckiem, ale jestem całkiem zadowolony, że mam jeszcze operację. Prawdziwe cudowne dziecko wieńczą teraz różami.

Szedł powoli cichymi ulicami. Zdarzało się czasem, że Lawrenz operował późnym wieczorem. Mówił wtedy, że ręka jego nie była pewna w dzień. Ale Jons widział, że ma bóle, a z twarzy siostry Moniki czytał, że ona to samo myślała. Za każdym razem zamierzał mówić z Lawrenzem poważnie i bez ogródek, ale za każdym razem ustępował wobec cichych oczu lekarza. Zatrzymał się przy moście, wytrząsnął fajeczkę o żelazną poręcz i patrzył w zamyśleniu na czerwone i zielone światła ponad rzeką. Jeszcze pół roku lub rok i to też pozostanie poza nim. Tam, gdzie idzie, nie płoną w nocy różnobarwne światła. Świecą gwiazdy i tylko gdzieś tam jest jasne okienko, gdzie komornica siedzi przy chorym dziecku. I on także będzie tam siedział trzymając w ręku małą rączkę, wyczuwając tętno, co świadczy o życiu. Odetchnął głęboko gorącym powietrzem znad wody, co smakowało jak powietrze znad brzegu morza. „Wszystko jest dobrze”, pomyślał, „tak jak chciał ojciec. Wszystko jest dobre, co człowiek wypełni gorącym sercem i on także wypełni: dom pod starym klonem, wioskę i nędzne trzydzieści morgów”.

Lawrenz siedział w swym małym gabinecie przy biurku, palił cygaro i pił kawę. Przez żółtawą skórę przebijała twarz szara i śmiertelnie zmęczona.

— Przykro mi, Jons — rzekł siląc się na uśmiech — ale przywieźli do nas kobietę w dziewiątym miesiącu i nie ma innej rady. Chce mieć dziecko, a pan wie, że to dla mnie rozkaz.

— Jak to nie ma innej rady? — zapytał Jons zaniepokojony.

— *Sectio caesarea* — rzekł cicho Lawrenz. — Cesarskie cięcie... Miednica ma zaledwie sześć centymetrów. Dziecko żyje i jest prawdopodobnie zdrowe. Jeśli pan tego nie zrobi, nie ma nadziei dla obojga.

Nalał do filiżanki od kawy jasnego płynu z małej buteleczki i wolno zamieszał łyżeczką.

Jons zbladł. — Chyba pan sam, panie doktorze — rzekł. — Ja nigdy jeszcze tego nie robiłem i...

Lawrenz podniósł rękę z łyżeczką. — Spójrz pan, Jons — rzekł cicho. Ręka drżała mu jak w febrze. — Zły dzień mam dziś, Jons, a „nigdy”, Jons, „nigdy”, to dla

prawdziwego lekarza tylko szczebel na długiej drabinie... Proszę przeczytać to jeszcze raz... będę przy tym i pomogę panu... pomoc przecie zawsze jeszcze mogę.

Podsunał Jonsowi podręcznik o operacjach, a Jons przebiegł stronicę i rysunki, i zamknął książkę. Mózg wiedział wszystko, ale ręka nie wiedziała. Rozejrzał się po małej izdebce, gdzie zapadło tyle wyroków, łaskawych i nieubłaganych, a w końcu spojrzał na Lawrenza, który siedział pochylony w swym krześle, ze zmrużonymi oczyma skierowanymi na mały zegar stojący za przyborami do pisania.

— W imię boże — powiedział cicho, nie wiedząc nawet, jak mu to przeszło przez wargi.

Lawrenz przytaknął i podniósł prawą rękę, jakby chciał ją podać komuś stojącemu obok. — Proszę zawołać siostrę — rzekł.

Lawrenz nie potrzebował pomagać. Wystarczyło, że był, oparłszy ręce o stół operacyjny, by nie drżały, z oczyma zwróconymi na nóż, który Jons prowadził i na kłamry odciągające na bok rozciętą skórę brzucha. — Teraz wolniutko, Jons — rzekł cicho, gdy matowa stal dotknęła macicy. — Może Jakub patrzy na nas.

Przez chwilę wydawało się, że koniec noża zadrżał, ale potem spokojnie i bez wahania sunął przepisana drogą w dół.

Gdy Lawrenz trzymał dziecko na rękach, a Jons i siostra wyprostowali się, ciężko oddychając, wydawało im się, że pod maską dostrzegają blask zmęczonej twarzy. — Coś wielkiego, Jons — rzekł doktor — coś wielkiego... — I oboje wiedzieli, co ma na myśli:

Wracając pustymi ulicami do domu nie mówili ani słowa. Dopiero przed domem lekarza Jons rzekł: — Dopiero teraz się rozstrzygnie... To było najmniej ważne...

— Wszystko jest ważne — odpowiedział Lawrenz. — musimy zobaczyć co dalej.

Jons zawahał się, gdy lekarz otworzył przed nim drzwi domu, ale potem poszedł jednak za nim na górę schodami. — Tylko na chwilę — powiedział. — Myślę, że jestem bardzo zmęczony.

Musiał sięść na rogu sofy, a Lawrenz nastawił maszynkę do kawy.

— Wiem, że pan nie jest ze mnie zadowolony, Jons — rzekł — lecz dziś nie powinien pan na to zważać. Dziś zdał pan egzamin państwowy i pewnie nie wiedział pan o tym?

Jons potrząsnął głową. — Mam jeszcze trzy sesje — odpowiedział.

Lawrenz zrobił tylko pogardliwy ruch ręką i wysypał ostrożnie kawę do lejka. — Walczył pan z Nim, jak Jakub i oto nie wywichnął panu biodra! Oto co pan zrobił! Nie, że pan operował, lecz iż był pan gotów. Że zbudził pan życie, nie wiedząc, co Bóg zamyśla z tym życiem. Czy nie leżało mu na samym sercu?

— Złemu także mogło leżeć na sercu — odpowiedział Jons znużony. — Czy my wiemy co budzimy?

— Takie zło jest ujęte w ład — rzekł Lawrenz, przysłuchując się wrzącej wodzie. — Czym byłyby nasze dni, gdyby nie było nocy. Tej na przykład, kiedy pan zdał ten egzamin.

Oparłszy się na okrągłym stole spojrzał na portret swej matki.

— Kiedy robiłem to pierwszy raz, Jons — rzekł cicho — nie powiodło mi się. Dlatego powiedziałem: „teraz wolniutko”. Nie robiłem dość wolno i nóż zranił płód. Nie zależało to jedynie ode mnie, ale jednak ode mnie zależało... Później zawsze mi się udawało, ale dziś bałem się, Jons. I dlatego zrobił pan coś wielkiego, także dla mnie. Nawet dla starego żydowskiego lekarza można uczynić coś dobrego. Nalał kawy do cienkich filiżanek i znowu zmieszał z jasnym płynem.

— Proszę mi darować, Jons — prosił. — Nie ma większej miłości niż ta, co pozwala człowiekowi odsłaniać swoje słabości.

Jons oprzytomniał już zupełnie. Czuł, że wielki dzień dla niego się kończy i opowiedział o cudownym dziecku. — Tam zrozumiałem, panie doktorze, że może mam powołanie. Czułem się biednym, ale nie lichszym.

Lawrenz przytaknął. — Każda sztuka odtwórcza, Jons, jest niebezpieczna. Jest to naśladownictwo z pretensją do oryginalności z pierwszej ręki. Ale to jest tylko oryginalność z drugiej ręki. Nie tworzenie, lecz odtwarzanie. Pisany wiersz nie jest naśladownictwem. Nie ma nic, co mógłby naśladować. W całym kosmosie nie ma nic, co by wierszami można naśladować. Czy nie zauważył pan, że moja rasa obfituje w odtwórców? Zwłaszcza aktorów i muzyków. Rasa, która się wyczerpała, czerpie z twórczości innych. I dlatego u odtwórców znajdzie pan wielką zarozumiałość. To z poczucia, że jest się pogrobowcem. Dążenie do takiego „ujęcia” roli, by uzyskać pozór pierwotnego. Łotrzykowie, wiszący na krzyżu obok wielkości.

— Ale dlaczego on powiedział „nas”, panie doktorze? „Może ubodzy potrzebują nas więcej, niż ci”, powiedział.

— W danej chwili wierzą oni w to, Jons. Ale tylko w danej chwili. Powiedz im pan, by grali tylko dla ubogich, jak święty Franciszek dla nich żył, to spojrzą na pana jak na głupca. Umysł jest na sprzedaż, ot co, Jons. I sztuka także. Sztukę najłatwiej sprzedać. Spójrz pan, pański profesor wziąłby dwa tysiące marek za cesarskie cięcie. Ja biorę trzydzieści. I muszę je wziąć, bo inaczej musiałbym zamknąć klinikę. A przecie palą mi ręce, Jons. Tak, palą jak ogień. Ale któż z nas jest Bogiem, by stworzyć nowy świat? Świat, w którym by nie było pieniędzy. A przecie kiedyś taki musiał być...

— Myślę — rzekł Jons — że i z tym łatwiej będzie w Sowirogu. Niewiele będę potrzebował, i z każdym rokiem, gdy pan mnie odwiedzi, będę się panu wydawał coraz prymitywniejszy.

Lawrenz uśmiechnął się. — Będzie pan żył w miłości, Jons, a w miłości nie ma nic prymitywnego, bo ona sama jest czymś najpierwotniejszym. I myli się pan, sądząc, że nic pan nie będzie potrzebował. Życiem umysłowym nie żyje się na darmo. Nie będzie pan potrzebował kina, ale może będzie pan potrzebował radia. A na pewno będzie pan potrzebował jednego lub dwu czasopism; a myślę, że będzie miał pań w Sowirogu szopę, jak Christean, a w niej małe laboratorium, bo pan nie jest z tych, co żyją na pierwszym piętrze, rozumie pan? Z ludzi, dla których studia to schody prowadzące tylko na pierwsze piętro — do egzaminów państwowych — i na tym koniec. Wyżej jest dach państwa i nic już więcej nie potrzebują. Ani nie chcą. Ale z pana, Jons, jest człowiek wielopiętrowy: U pana nie kończy się na pierwszym piętrze i tylko Bóg wie, ile schodów ma pan jeszcze przed sobą.

Ręce mu już nie drżały i Jons pragnąłby wiedzieć, czy drżały one mu rzeczywiście, czy też może ta sectio caesarea nie należała jedynie do jego planu wychowawczego. Nigdy nie można było po nim dokładnie wymiarkować, gdy wyciągał rękę, by lekko prowadzić.

Ale Jons czuł się zbyt zmęczony, by nad tym przemyśliwać. Zbyt wiele było tego dnia zdarzeń sięgających w przeszłość i w przyszłość. „Zdał pan egzamin”, powiedział Lawrenz. Ale co mu się powiodło?

Mogło się przecież nie udać jedno i drugie. I z cudownym dzieckiem. A operacja nie zakończyła się jeszcze powodzeniem. Już jutro może przyjść peritonitis¹, prawdopodobnie śmiertelne.

Głowa jego opadła na poręcz, oczy zamknęły się. Barwny ptak na portrecie był ostatnim wrażeniem, jakie dotarło do jego świadomości, splatając się z błogim

motywem sonaty Mozarta, kiedy cudowne dziecko uśmiechało się. „Tu nie ma się co uśmiechać”, pomyślał Jons, marszcząc czoło. „My także się nie uśmiechamy, ruszając rękami... wszyscy jesteśmy od wczora i nic nie wiemy... jak cień nad ziemią”.

Lawrenz odczekał, aż uśnie, ułożył go ostrożniej nakrył starym, wytartym futrem. A potem długo stał i patrzył na młodą zmęczoną twarz z ciągle jeszcze zmarszczonym czołem.

Dopiero gdy zegar wahadłowy na stole przerwał ciszę swymi drżącymi uderzeniami, zgasił ostrożnie światło stojącej lampy i poszedł do swej małej sypialni.

Rozdział 9

Z ostatnimi sesjami egzaminacyjnymi było tak, jak to Lawrenz wyraził ruchem ręki. Jonsa najbardziej wprawiało w podziw, a nawet zawstydzalo po trosze, że wydział nie tylko okazywał mu życzliwość, ale niewątpliwie był z niego dumny. Tak, wielki chirurg uderzył pięścią w stół i rzekł: — I coś takiego idzie na koniec świata, gdzie ludzie jeszcze przed dziesięciu laty szczekali.

— Gdyby tak było, panie profesorze — odparł Jons — mógłbym przecie nauczyć ich mówić.

Najprzyjemniej jednak wspominał później egzamin z anatomii. Tajnemu radcy egzamin był najzupełniej obojętny. Coś niecoś pytał, coś niecoś kazał rysować, ale widać było, że ledwie słucha odpowiedzi, a rysunki obejrzał pobieżnie i odłożył na bok.

— Co jest ważniejsze, kolego Jeromin — rzekł — zwalczać koklusz w jakimś tam Sowim Zakątku, czy tutaj wychowywać nowe pokolenie lekarzy, zdobywających dawną wiedzę i nowe sumienie?

— Pierwsze jest ważniejsze, panie tajny radco — odpowiedział Jons bez wahania. — Koklusz może być straszny dla dzieci, a jeszcze straszniejszy dla matek. Jeśli tam nie pojedę, nie będzie tam nikogo, albo będzie tylko doktor Lustig, który pisze rachunki i mimo swego nazwiska nie jest wesoły ani dla dzieci, ani dla matek. A nowego sumienia, panie tajny radco, nie wszczepi sam żaden człowiek. Pan von Balk mówił mi kiedyś, że chłop co nawozi swe trzydzieści morgów, więcej robi dla sprawiedliwości niż prorok Izajasz.

— No, no... pan von Balk — rzekł tajny radca spoglądając przez okno.

— Wygląda na to, że w tym waszym Sowim Zakątku jest cała masa mądrych ludzi, nawet bez uniwersytetu, pan nie ma pewnie zbyt wiele zaufania do takich jak my?

— Niezbyt wiele — odpowiedział Jons. — Może to dla tego, że ludzie ci nie myślą kategoriami idei.

Tajny radca wziął znowu jeden rysunek i oglądał go obojętnym spojrzeniem. — A jakże oni myślą? — zapytał.

— Sądzę, że oni... że oni myślą kategoriami ludzi lasów i pól.

— Myśleć kategoriami pól, niekoniecznie jest złe — rzekł tajny radca odkładając znowu rysunek. — To tak, jakby się chlebem myślało, a jest przecie jeszcze inny chleb, ostateczny poniekąd, i może oni o nim myślą...

Jons też tak uważał. A przynajmniej miał nadzieję, że tak jest.

— No, to niech pan o tym nie zapomina, kolego Jeromin — rzekł tajny radca wstając. — Ostatecznego chleba człowiek będzie kiedyś potrzebował i to może niedługo... to był piękny egzamin, dziękuję panu.

Podał Jonsowi rękę, skinął protokolantowi, który przysłuchiwał się im jak głuchoniemy i wyszedł swym ciężkim krokiem z pokoju. Wydawało się Jonsowi, że na swoich szerokich barkach dźwiga całe brzemię uniwersytetu. Uniwersytetu, który dawno już oduczył się kształcić ludzi „myślących kategoriami pól”.

Gdy Jons opuszczał stary posepny gmach i ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nim, wydawało mu się, że śni. Zatrzymał się na ulicy w swym niebieskim., czysto wyszczotkowanym ubraniu, gdyż fraka nie posiadał, nabił krótką fajeczkę, spoglądając na wiosenne niebo, którego błękit rozpościerał się wysoko nad domami. Poważna radość napępiała mu serce, bez szczególnej wesołości, radość jakby samotna, bez echa. Większość jego kolegów poszłaby pewnie na oblewanie, według tutejszego zwyczaju, albo do swych dziewcząt. A on stał na tej opustoszałej ulicy ugniatając tytoń, aż stary brukarz jedzący śniadanie na rogu ulicy zapytał go, czy beton miesza w fajce.

Jons uśmiechnął się do niego i poszedł wolno w dół ku rzece, z biegiem wody, gdzie już zieleniła się trzcina, a czajki lamentowały nad łąkami. Miał dwadzieścia pięć lat, zbyt mało jak na swój zawód, lecz gdy siadł na jednej z tam i pochylił się nad cicho płynącą wodą, zdawało mu się, że włosy mu chyba posiwiały. Surowość, ubóstwo i samotność tych wszystkich lat waliły się jeszcze na niego we wspomnieniu jak góra. Odwróciły się ku niemu nadzieja i miłość, wiele nadziei i wiele miłości, ale jego dalej coś gnało, nawet od nich. Wybrali go ludzie, cała wieś, wysłali go po wodę życia. Od dziadka, co go pobłogosławił, a przecie powiedział: „Idź wnuku!”. Od ojca, który na swym legowisku z liści mówił: „Bałem się, że pozostaniesz, Jons...”, aż do Stillinga, co chciał sprzedać swój złoty zegarek i do pana von Balka, co sprzedawał dla niego żyto i las. Długi, milczący szereg cichych mężczyzn i kobiet, co stali w dali całymi latami i przyglądali mu się, jak człowiekowi, co wchodzi na drabinę dźwigając ciężar. Którzy nie mówili nic, nic, ani słowa niecierpliwości ni rozczarowania, ale czekali, jak dzieci czekają w ciemnym domu na starszych, co pojechali na jarmark i obiecali im coś przywieźć.

A teraz wróci z jarmarku, z nauką i innymi świetnymi rzeczami. Nie zmarnował ani pieniędzy, ani czasu. Ale nie wie jeszcze, czy kawału życia nie zmarnował. Nie myślał „kategoriami chleba”, jak mówił tajny radca. Myślał łacińskimi i greckimi nazwami, rycinami i instrumentami, receptami, nożami i nożycami. Myślał w duchu Zachodu i często nie był pewien, czy to ten sam duch, co w jego wsi. Tak, czy to jest właściwy duch, czy też tylko ogólnie uznane mamidło, na którym zbudowano porządek świata i może pewnego dnia ten porządek straci całą swoją wartość i na jego miejsce pojawi się inny, ten, którym żył dziadek, albo jakiś przyszły, o którym nikt nie wie.

„Jak to jest z prawdą, Jeromin?”, pytał kiedyś porucznik w błotnistym leju. I jeszcze dzisiaj, po latach, Jons nie znał odpowiedzi. Może znało ją cudowne dziecko, a może zmarli. Może znał ją także Tobiasz, co bronił swego Boga przeciw Zachodowi, gdzie stało wiele kościołów, ale gdzie Bóg nie całkiem jednak czuł się jak w domu.

Bóg, co wolał mieszkać u prostaków niż u mądrych, który pokazał podczas ostatniej wojny, że jego ulubieńcy nie czuli się tu tak w domu.

Jons spojrział w górę rzeki, gdzie na drugim brzegu leżały pordzewiałe resztki falistej blachy. Trawa je porastała, przebrzmiały głosy ludzi, co tu spotykali się przed laty. Długi okres pracy i trudu złagodził ból, który nie gryzł już i nie przeżarł. Leżał spokojnie, często zapominany i tylko za dotknięciem ręki zjawiał się posłusznie. Milcząco towarzysz podróży, co tylko wtedy odpowiada, gdy go pytają.

Parowiec ciągniony przez holownik popłynął wolno w dół rzeki. Brytyjska flaga powiewała na rufie i Jons mógł bez trudu odczytać złote litery na dziobie: „Excelsior”. Przyszły mu na myśl wiersze pod tym tytułem, których uczył się w szkole, obyczajne i pouczające, i zaczął je cicho recytować. Ale nie wypełniły się one świeżą treścią, były piękne i martwe, jak wiersze na katafalku.

Mógł to być też statek o nazwie „Małgorzata”, stary już, z cokolwiek jęczącymi maszynami i wyblakłą flagą na rufie. Ale imię ciągle by jeszcze jaśniało, młode i świeże, nie obyczajne i pouczające, jak nazwa „Excelsior”, ale wypełnione szczęściem, jak imię bogini.

Westchnął lekko i zatrzymał się. Przyzwyczał się już niekiedy lekko wzdychać, gdy był sam, jak starzec zarzucający na plecy odstawiony worek. Ale mógł się jeszcze podśmiewać z tego, jak z głupoty, i jak dotąd nie było źle Dziedzictwo jak każde inne. Dziedzictwo rodu i ubogiej wioski, które się nosi ze sobą, niewiele o nim wiedząc.

„Tak, musi sobie jednak urządzić małe święto”, myślał, wracając powoli do miasta. Lecz jak? Nie był przyzwyczajony do świętowania. Był przyzwyczajony tylko do pracy, bez świąt, więc i tego musi się teraz nauczyć. Najpierw prześpi się, głębokim błogosławionym snem człowieka, co zbudował sobie wiązanie dachowe i pokrył strzechą.

A potem wypije kawę z panną Holestein, wieczorem zaś będzie siedział u Lawrenza. I nie spojrzy na podręcznik ani nie otworzy notatek z wykładów.

A jutro pojedzie na parę dni do Sowirogu, siądzie na polnej miedzy i będzie się przyglądał, jak orzą piaszczystą rolę. A potem podczas ferii półrocznych wybierze się w podróż. Tak rozkazał Lawrenz, on zaś posłucha. Pojedzie do Giny i do lekarza sztabowego, co wydobył zielony guzik z jego ciała i prawdopodobnie do Tobiasza, który jest pastorem w wielkim przemysłowym mieście. A po powrocie będzie hospitalizował u wielkich specjalistów i może zostanie lekarzem asystentem. A na przyszlą wiosnę na domu Jerominów zostanie przybita mosiężna tabliczka: „Dr Jons Ehrenreich Jeromin, lekarz i położnik”. Zatrzymają się przed nią ludzie z Sowirogu, nawet jeśli wcale nie będą chorzy. A zwłaszcza dzieci. Nocami zaś będą stawać przed nią zmarli, patrząc pustymi oczyma na matowy metal. Oni także mają w tym swój udział i to nie najmniejszy.

Uśmiechnął się jednak wchodząc na schody i o mało nie ucałował panny Holstein. Ale nie wiedział, jak ona to przyjmie i dał spokój.

Po południu siedziała w rogu na sofie, a on ją ugaszczał. — Jeszcze rok, panie Jons — mówiła — a co potem?

— Potem wprowadzi się tu prawdziwy student, panno Holstein, taki w kolorowej czapce, co to trzaska obcasami i nie będzie pani miała z nim żadnych kłopotów. Kiedyś pani nie chciała wierzyć, że marka się ustali, a teraz nie wierzy pani, że porządny człowiek tu się wprowadzi. Trzeba już trochę wierzyć w życie, panno Holstein.

— Myśli pan, panie Jons? — zapytała z powątpiewaniem. — Ale pana już tu nie będzie... tylko siostry i ta banda...

A potem wyciągnęła z głębokiej kieszeni swej czarnej sukni skórzane pudełeczko i wręczyła Jonsowi. — Dla pańskiej siostry, panie Jons — rzekła czerwieniąc się. Nie dla hrabiny. Dla tej drugiej, co ciągle jeszcze czeka. Myślę, że ona jest taka dobra jak pan, a to należało do mojej babki.

Na aksamitnym dnie puzderka leżała staromodna złota broszka, zmatowiała ze starości, ale o pięknej formie.

Ucieszył się bardzo.

Panna Holstein wstała już, strzepała okruszki ciasta i cicho zebrała naczynia. — One by mi to przecie zabrały, gdy umrę — rzekła bez goryczy.

W drodze do Lawrenza posiedział jeszcze pół godzinki pod szklaną umbrą szewca. Poszarzała od piwnicznego powietrza twarz z jaśniejącymi oczyma zwrócona była ku okienku, za którym widać było tylko nogi przechodniów. — Oto burżuazja, panie doktorze — rzekł z pogardą. — Spacerują sobie jeszcze. Tylko nogi i kawał żołądka. Ale przestaną spacerować. Trzy miliony bezrobotnych, a za parę lat będzie sześć. A wśród tych sześciu będzie pięć milionów rewolucjonistów.

— A potem? — spytał Jons z uśmiechem.

— Potem przyjdą nowe czasy, panie doktorze!

— Ach, Moraffke — rzekł Jons. — Mój doktor mówi, że nowe czasy to stare czasy, a kiedy przyglądam się pochodom z pochodniami, nie wiem czy się pan doliczy tych pięciu milionów. Powinien pan mieć zagon żyta, Moraffke, wtedy nie myślałby pan o nowych czasach, tylko o porach roku.

— A obszarnicy darują mi to pole żyta, co? Wywłaszczenie, panie doktorze, wywłaszczenie! Takie samo cięcie, jak wówczas kiedy pan przecina wrzód.

— My nie lubimy cię, Moraffke — rzekł Jons wstając. — Wolimy leczyć bez noża.

— Ot co, Jons — rzekł Lawrenz opierając się do tyłu i śledząc chmury swego cygara. — Oni oczekują zbawienia od światopoglądów. To tak, jakby pan oglądał las przez szkła, raz czerwone, to znów niebieskie i tak dalej. Ba, nawet jeśli je pan ogląda własnymi oczyma, to jeszcze pan nie wie, czy on jest zielony. Wie pan tylko, że na siatkówce ukazuje się nam to, co nazywamy „zielenią”, i co zysku jemy wiedząc, że on jest zielony czy niebieski? Czy to jest jego tajemnica? On ma całkiem inne tajemnice, Jons. Mordować się nawzajem dla światopoglądów, to najgorsze co jest na tej ziemi. Pomagać i leczyć, Jons, czynić sprawiedliwość i nie nienawidzić.

— Ale czy pański naród, panie doktorze, nigdy nie nienawidził?

— Więcej nienawidził niżli inne, Jons, głębiej, płomienniej i bardziej bezlitośnie. Proszę przeczytać klątwę, jaką rzucono na Spinozę! Ale przez to zyskaliśmy sobie najgłębszą nienawiść w świecie. Musimy, Jons, przewyciężyć

wczorajsze mroki. Naszych ojców, naszych narodów, naszych ras Bóg nie przykuł do pierwotnych praw. Przykuł nas do ostatecznych, leżących daleko.

— Czy pan boi się niekiedy, panie doktorze?

— Boję się zawsze, Jons. Ale tylko ze strachu rodzi się męstwo. Nie ma męstwa z niczego. Bez strachu nie ma bohaterów. Boję się, bo żyję wśród ludzi, Jons.

— Nie wracam tak, jak myślałem, panie doktorze — rzekł Jons po chwili. — Nie jestem taki pewny, jak sobie wyobrażałem.

— Co do czego chce pan być pewny?

— Nie co do zawodu, panie doktorze. Tam nie ma pewności, jest tylko zaufanie i dobra wola. Chciałem w ogóle być pewnym, panie doktorze.

— W ogóle, Jons — rzekł Lawrenz — pewni są tylko wierzący. Mogą się bać, ale są pewni. Był nim pański ojciec i pański dziad. Wnukowie już nie. Nie mogą powiedzieć, na czym to polega. To nie tylko sprawa umysłu. Mogę tylko wierzyć, że za tym stoi Bóg. Również za nie wierzącymi. On coś w tym ma, i to jest niby burza za horyzontem.

— Ale to będzie burza potężna, panie doktorze!

— Najpotężniejsza, jaka przeszła po ziemi. Nie mogę tego udowodnić, ale czuję to. Mówią także o zwierzętach, że wyczuwają trzęsienie ziemi. Są znaki, chodzi tylko o ich wytłumaczenie. Może źle je odczytuję. Może Czaja lepiej by je wyjaśnił. Bóg często szuka sobie naczyń skromnego.

Umówili się, że także po podróży Jons będzie przychodził co wieczór do kliniki na godzinę lub dwie. — Chorym będzie pana brakować — rzekł doktor — a i pan także nie powinien wyjść z wprawy. Bóg stworzył nosy i uszy, ale przede wszystkim ludzi, Jons.

Przed odejściem Jons rozejrzał się raz jeszcze po zacisznym pomieszczeniu. — Ciężko mi będzie bez tego, panie doktorze — rzekł. — Pan chyba nie wie, ile tu otrzymałem.

Lawrenz uśmiechnął się swym pięknym, melancholijnym uśmiechem i położył delikatnie rękę na ramieniu Jonsa.

Wiedziałbym to — odparł — jeśli by i pan wiedział, ile ja tu otrzymałem.

Na dworcu był Stilling, z małym wasażkiem zaprzężonym w małego konika. Był w swym hohenzollernowskim płaszczu, z odkrytą siwą głową. Uściskał Jonsa na peronie i chciał coś powiedzieć, ale nie dał rady i tylko poruszał ręką, w której trzymał

bat. Żaden woźnica wysiadając w Sowirogu nie pozostawiał bata w wozie lub sankach. Kradzież bata nie uchodziła za uwłaczającą czci.

— Pan von Balk chciał przyjechać po ciebie, Jons — rzekł Stilling.

— Czwórka koni, jak po cesarza. Ale poprosiłem go, by tego nie robił. Myślałem, że by ci to nie odpowiadało. Wielcy panowie nie zawsze wiedzą, co odpowiada biednym ludziom. A czwórką jeździ się w mieście do grobu, nieprawdaż?

— Przeważnie — odpowiedział Jons — a nam to jeszcze nie grozi.

Był cichy dzień, z białymi chmurami, pod którymi zawisły skowronki. Pola były zielone, a myszołowy unosiły się nad zasiewami. Była to stara droga, którą ludzie z Sowirogu jeździli w weselu, po pijanemu lub w żałobie. Zboże i trumny ciągnęły po jej piasku, Jons także odwoził tędy dwie trumny. Szedł tędy stary człowiek w czapce landszturmisty i wielu młodych z kwiatami na czapkach. Była to dla Sowirogu droga przeznaczenia i Jons patrzył spokojnymi oczyma na łąkę porośłą mleczem i niebieskie lasy poza nią. — Tak mi jakoś uroczyście na sercu, panie Stilling — rzekł cicho.

Stiling jeszcze bardziej popuścił lejce i przytaknął. — A mnie, Jonsie Ehrenreichu, wydaje się, że mógłbym teraz w pokoju zejść do mogiły. Nie dotrwałem do końca. Rozwierała się zbyt szybko. Jednak sporo wytrzymałem. W końcu chcieli mnie zamknąć, ale to była moja własna głupota. Korsanke mnie ostrzegali.

Ściągnął lejce, aż konik zatrzymał się usłużnie, wyciągnął zegarek z kieszeni i nacisnął sprężynę. — Wierność i uczciwość — rzekł, gdy przebrzmiały tony. — Dla takich jak my więcej nie trzeba. A jeśli dla ciebie potrzeba więcej, bo przychodzisz z wyższych szkół, to niech to pozostanie u ciebie gdzieś na dnie, tak jak konik, który leżał u Jakuba na dnie tornistra. A gdy umrę, zegarek będzie twój. Zapisalem to i powiedziałem Elizie. Ona nie sprzeciwiała się, sądzę, że chyba pierwszy raz w życiu.

Uśmiechnął się cichutko i znowu podniósł bicz.

Wjechali w las, a stoki były jeszcze niebieskie od gwiazdek przyłasczek. Kosy śpiewały jakby odurzone, a dziecięcy stukały w suchych wierzchołkach drzew. — Wszyscy byli dobrzy dla mnie, panie Stilling — rzekł Jons, kładąc rękę na jego starych dłoniach — ale nikt mi tyle dobrego nie uczynił, co pan. Chciałbym przynieść panu zaszczyt.

Nauczyciel skinął. — Wiedziała to matka, Jonsie Ehrenreichu, kiedy cię nazwała „bogaty w zaszczyty”. I ojciec. Nie zapominajmy o nich, bo sto razy tyle zrobili, co ja.

— Bałem się, panie Stilling — rzekł po chwili Jons. — Nie byłem pewien. Nie co do zawodu, ale w innych sprawach. W ogóle. W ogóle nie byłem pewien. Czas jest brzemienny. Biegają do astrologów i przepowiadaczy, puszczają wahadło i czytają Nostradamusa. Są jak błędni, wszyscy, nawet studenci. Lawrenz mówi, że to jakby burza zbierała się za horyzontem.

— Czaja też to mówi — odpowiedział Stilling. — Za stary jestem i mam Biblię, a kto ma Biblię, ten się nie boi.

— Lawrenz też tak mówi.

— Czuję, Jons, że nadeszły nowe czasy. Już pojawiły się w szkole. Dzieci jeszcze nie idą za nimi, bo mają matki, jagnięta i jagody. A niekiedy mają i mnie. Ale nowy nauczyciel przystępuje do dzieła. Podśmiewa się ze starych zwyczajów, a od tego zawsze się zaczynało. Tu jeszcze mówi się o ojcu i o matce w liczbie mnogiej. Gdy to ustanie, zaczniesz się i tutaj. Będziesz, Jons, musiał być nie tylko doktorem.

Nie, on by tego nie chciał. I już nie boi się, odkąd siedzi na tym wozie. Lawrenz powiedział, że tylko wierzący mają pewność. On ma Boga swych ojców, a Stilling ma Biblię. Tak bogaty on, Jons, chyba nie jest. Ale ma całą wieś ze wszystkimi żywymi i umarłymi, a oprócz tego jeszcze coś niecoś. Wie, że stoi na twardym gruncie, i że wielu ludzi na niego patrzy. A kto zawodzi biednego człowieka, nie jest wart złotego zegarka. Zawodzili go zawsze królowie i prezydenci, ale nie przypuszcza, że zawiedzie go ktoś z jego własnej krwi.

Przy pierwszych zagajnikach dzieci ścinały gałązki brzozy. — Podwieźmy dzieci, panie Stilling — prosił Jons. — Ja chętnie pójde piechotą.

— Często myślę — rzekł po chwili, wskazując na las — że to wszystko jedno, do kogo to należy. Do państwa, czy do pana von Balka, czy do ludzi z Sowirogu. Nie potrafię tak myśleć, jak szewc Moraffke. Ważne jest tylko, że to jest. Nie dla gospodarki, lecz dla oczu i dla duszy. Czy może sobie pan wyobrazić kraj bez lasu, panie Stilling? Wszyscy bylibyśmy inni, gdyby tego nie było.

Zatrzymał się i spojrzął na słoneczne przestrzenie ze starymi pniami. Kwitło wilcze łyko, cytrynki kołysały się nad wysoką trawą. Nie było wiatru, ale wierzchołki drzew śpiewały cicho i nieprzerwanie. — Jestem w domu, panie i Stilling — rzekł. — W domu, u siebie!

Przyozdobili wieś flagami z dnia plebiscytu, a przed drzwiami ustawili młode brzożki. Ubrali się odświętnie i wszyscy ściskali mu rękę. Był jednym z nich, z prostej

krwi, a teraz widzieli wieniec na jego włosach. A był to dla nich wieniec laurowy, czy nawet złoty. Nikt z nich nie nosił wieńca, chyba skromny wianek mirtowy w dniu wesela. Ale on wyrósł z ich przygiętej do ziemi gromady i stał się wielki. A największe ponad wszystko było to, że do nich powrócił. Mógł być sławny i bogaty, o tym byli przekonani, a jednak powrócił. U nich nie było bogactwa ani sławy, i jeśli kto był wielki i powrócił, mógł to uczynić tylko z miłości. Czuli to i dlatego przyjmowali go jak króla.

Pan von Balk rozesłał zaproszenia. Jeśli z przywiezienia czwórką nic nie wyszło, to niech przynajmniej będzie uroczystość. Nikt nie wie, jak długo jeszcze ta ziemia się ostoi, ani jak długo jeszcze on sam będzie mógł urządzać uroczystości.

Ustawili stoły pod rozkwitłym klonem, a na obrusach ułożyli kwiaty i gałązki. Jezioro błękitniało i lśniło w słońcu, a czajki wystrzelały ponad lasami trzciny w błękit nieba. Maria ucałowała go ze łzami w oczach, a on przeszedł przez dom, trzymając dzieci za ręce, do swej izby na górze. Mały stolik stał jeszcze przed wąskim okienkiem i było tak, jak przed stu laty. Dziewczyna z „Raju” postawiła właśnie na stole dzbanek z trawami i gałązkami brzoźki, i chciała cicho wymknąć się przez drzwi. Ale dzieci zatrzymały ją, a Jons pogładził po wybladłym policzku. — Dziękuję ci, Hanno — rzekł. — Chciałbym, byś i ty była dzisiaj wesola.

Jej lękliwe oczy napełniły się łzami, ale posłusznie przytaknęła i przemknęła jak cień do swej izdebki.

Przyszli wszyscy, prócz karczmarza. Był nawet nowy nauczyciel w rudej peruce. — Cieszę się — rzekł uroczyście — że i w tej wsi wyrósł heros umysłu! Nieustraszony badacz, co pomoże zrywać łańcuchy.

— Nie tak gromko, Maschlanka! — rzekł dobrotliwie Balk. — U nas łańcuchy służą tylko do wiązania krów i są nam potrzebne.

Mężczyźni zachichotali, a Jons podał mu w zakłopotaniu rękę. Nie mógł się powstrzymać, by nie spojrzeć na Stillinga, a ten skinął mu w zamyśleniu.

— Maschlanka — rzekł Jons cicho do Marii, kiedy siedli. — Maślanka, to chyba po niemiecku „Buttermilch”... Chyba nie zapomniałem jeszcze naszej mowy?

Nie, nie zapomniał. — Osobliwe nazwiska mamy tutaj — rzekł, przemilczając jednak, że nazwisko Gollimbek uważał za ładniejsze. Bo Gollimbek, to to samo co gołąbek.

Przyszedł także Czaja w długopolej, do kolan sięgającej sukmanie ze srebrnymi guzami. Siedział uroczyście na swoim miejscu i nie odrywał jasnych, przenikliwych oczu od twarzy tego, który wrócił do domu. — Naprostował je, Jons — rzekł, gdy ten odpowiedział na jego spojrzenie.

Naprostował, jak ci przepowiedziałem. — I to było wszystko, co rzekł tego wieczoru.

Przyszedł także Piontek ze swymi srebrnymi kolczykami i rogiem, bo wieczorem miał „obudzić echo”, jak mówiła Barbara, a właśnie Barbara tego sobie życzyła.

Przyszła także stara Krollowa i ze zgorzaniem patrzyła na synową ubraną w jedwabną chustkę, a Krollowa nie wiedziała, skąd się to wzięło w „młodym gospodarstwie”. Ale ona już się tego dopyta, była tego pewna.

Christean siedział po lewej stronie Jonsa i miał twarz najbardziej rozpromienioną ze wszystkich. Nie mógł mówić ze szczęścia, ale jego. piękne ręce poruszały się po białym obrusie, jakby kreśliły linie, których znaczenie jemu tylko było wiadome. Raz tylko pochylił się do Jonsa i szepnął z cichym uśmiechem na swej starej twarzy. — Wiemy obaj, bracie, jak to ciężko jest na początku, nieprawdaż?

Jons potwierdził kładąc rękę na dłoni Christeana. „Ale jak ciężko było później, tego i on nie wie”, pomyślał.

Popatrzył na rząd radosnych, uroczystych twarzy i dopiero teraz dostrzegł po raz pierwszy, jak bardzo wieś się zestarzała. Cichutko, za pługiem, w skromnej codziennej pracy. Wszyscy ci, którzy kształtowali jego życie. A ci, z którymi siedział u stóp Stillinga, nosili już ślady czasu na swych młodych twarzach. Szybko wyliczył, że Micha i Barbara mają już zapewne po dwanaście lat i zobaczył siwe pasma we włosach Marii, nie z wieku wprawdzie, ale z troski. Tak, te lata przeszły mu jak w kopalni, i nie wiedział, że wkrótce niejedną raz przyjdzie mu stanąć u śmiertelnego łoża. Biegł czas, stary czy nowy, biegł nieubłaganie i niepostrzeżenie, i zdawało mu się, że przy tym stole składa on w jego ręce, cicho i bez rozgłosu, wodze jego pokolenia. Spojrzał przez stół na Stillinga i na Balka. Twarz nauczyciela, okolona siwymi włosami, była stara i cicha, jak wieczór. Twarz pana von Balka również zestarzała się w tych latach, a nieokiełznane i samotne życie pobruździło ją głęboko. Była to twarz drapieżnego ptaka z wciąż jeszcze świecącymi nieustraszonymi oczyma, ale był to drapieżnik samotny, wokół którego milkły ptaki i koniec jego też będzie samotny.

Tak, będzie musiał stać się czymś więcej niżli lekarzem dla chorych i umierających. Nie „herosem umysłu”, jak powiedział człowiek, nazywający się „Maślanka”. Nie tym, co rozrywa łańcuchy. Ale tym, który spokojnie przejmuje wodze wymykające się ze starczych rąk. Tym, co przejmuje dziedzictwo, jakże wielkie, choć wioska taka mała. Kimś, komu przyjdzie się troskać, bo oni na niego spoglądają. I ponieważ oni wszyscy go wynieśli, nieświadomie, ale wynieśli. „Mężne życie”, powiedział Lawrenz. I Jons prawie bezwiednie objął ramionami brata i siostrę i prawie bezwiednie rzekł cicho. — Nikt nie może zginąć, nikt. Spojrzeli na niego zdziwieni, ale z wiarą w oczach, jak zawsze patrzyli na niego, odkąd wyruszył w szeroki świat — z podkówkami na obcasach i jasnymi włosami po strzyżonymi pod glinianą miskę.

Miał mowę Stilling, miał mowę Balk. Mowa starego nauczyciela była zaczerpnięta z Księgi Ksiąg i ze spokojnego, mądrego życia. Mówiła o pokorze i podzięce biednej wioski na Wschodzie, a Jons występował w niej jako młody król, który wiedzie starzejący się lud po drodze żmudnego, ale pełnego pociechy bytowania. Mowa pana von Balka była zaczerpnięta z księgi życia, z wielu bezpłodnych i samotnych lat. Mówiła o męstwie i dostojności cichych ludzi, takich jak Jakub, a Jons występował w niej jako stróż dziedzictwa wyśmiewanego przez obcych, ale którym wciąż jeszcze żyła ta ziemia. Stróż skromnych ognisk i niskich strzech. Ktoś, kto w wyższych szkołach nauczył się nie pychy, lecz tego, co stanowi istotę każdego szlachectwa: nauczył się osłaniać biedaków tarczą.

Obie mowy były piękne i po obu kobiety z Sowirodu płakały. Maria spoglądała ponad głowami uroczystych słuchaczy ku moczarom, gdzie gościniec wiódł na wschód, lecz ręka jej spoczęła cicho w ręce brata. Erdmutha pochyliła głowę tak nisko, że nie widać było jej oczu i widziała może siedzącego nad brzegiem moczarów starego nauczyciela mówiącego małemu Michałowi, by wyruszył w świat, by mógł zostać tym, czym Jons został. I widziała może, jak Micha potrząsa głową, bo przeznaczone mu w tej wsi żyć i umierać.

Wszyscy patrzyli w milczeniu przed siebie, Christean i dziewczyna z „Raju”, Czaja i Piontek i zapewne znowu stawały im przed oczyma wszystkie minione lata, wojna i pokój, zmarły pastor i pomarłe dzieci, i że teraz lepiej im się będzie wiodło, bo oto jeden z nich osłoni ich tarczą przed chorobą i gradobiciem, przed nowymi nauczycielami i landratami, przed wszystkim, co zagrażało im od Boga czy możnych.

A potem Piontek musiał „budzić echo”, jak mówiła mała Barbara, aż niosło się w krąg nad jeziorem, moczarami i lasami, a później musieli powstać z miejsc, bo była już pora dość krowy i zakończyć dzienne prace.

Pan von Balk, siedząc już w swej bryczce o wysokich kołach, w płaszczu sięgającym kostek, nachylił się do Jonsa. — Musimy zawsze tak żyć — rzekł — jakbyśmy mieli w ręku właściwy klucz. Nie wiemy, czy będzie on pasował, ale prawdopodobnie po to tylko tu jesteśmy, Jons, by próbować. I uśmiechnął się do niego, trochę kpiąco i trochę smutnie, podniósł bicz i zniknął w chmurze pyłu.

Jons przechadzał się jeszcze chwilę przy wieczornej zorzy. Wyniknął się chyłkiem z domu, postął trochę przed opuszczoną chatą przy mielerzu i przy „Zmarłym Pastorze” na kościelnym wzgórzu. Wreszcie, gdy zmierzch już zapadł i kszuki wołały znad moczarów, poszedł na mały cmentarzyk, którego mur rozpadł się jeszcze bardziej niż poprzednio i stanął na chwilę przed bramą zbitą z desek. Ponad nią umieszczono niezgrabnymi literami napis, który, jak mówiono, ułożył Gogun, i z którego podśmiewali się zwykle nieliczni obcy przechodzący przez wieś. Lecz dla Jonsa był to symbol wsi, jej ubóstwa, nieporadności, pobożności.

„Wieczysty pokój w tym miejscu ukryty, Pomyśl, człowiecze: przyjdiesz tutaj i ty”.

Stanął przed grobem matki oraz obu braci i po raz pierwszy wydało mu się całkiem normalne, że nie spoczywają tu ci dwaj, co tyle dziesiątków lat podtrzymywali ród. Że dziad uleciał z wyspy „w ogniu jak Eliasza”, i że ojciec rozpadł się w proch w dalekich obcych borach na Wschodzie. Śmierć nie zna granic. Śmierć wszędzie ściele łoże. Potem wrócił powoli do domu pogrążoną w mroku drogą.

Niewiele działo się przez tych kilka dni, chyba to, że Jons jakby na nowo objął w posiadanie świat, co mu się wymknęło jak w mroku. Umówił się z Marią, że urządzi dla siebie jedną z dużych izb, a chorzy musieli na razie czekać w kuchni. — A ty będziesz im przez ten czas bajki opowiadać, siostrze — rzekł z uśmiechem. Ona przytakiwała wszystkiemu, a jemu się zdawało, że nie bierze tego całkiem poważnie. — Jeśli sądzisz inaczej, to powiedz — rzekł w końcu.

Lecz ona tylko potrząsnęła głową z uśmiechem. — Zobaczymy, Jons — rzekła. — Wszystko będzie tak, jak zechcesz.

Ale ostatniego wieczoru, jeszcze przed zmrokiem, Christean skinął na niego ukradkiem od drzwi małego warsztatu na podwórzu, wyciągnął niezręcznie i

zmieszanym ruchem wielki klucz z kieszeni i powiedział, nie patrząc na Jonsa: — Muszę ci, bracie, coś pokazać, nad czym pracowałem tego roku... a jeśli ci się nie spodoba, to powiedz. Gdy weszli, zamknął znowu drzwi, podszedł do niskiego, ciężkiego warsztatu i zaczął powoli ściągać rozpostarte na czymś ciemne sukno. Ręce mu drżały i dwa razy musiał chwytać, zanim odsłonił dzieło. A potem odwrócił się do Jonsa plecami i wyjrzał przez okno.

Jons stanął w bezruchu, a Christean słyszał jego głęboki oddech. To co Jons zobaczył, była to wiejska pięta, ale jakby w odwrotnym układzie. Siedzący mężczyzna, z ramionami pochylonymi ku przodowi, trzymał na kolanach kobietę, skłaniając twarz ku jej czołu, spoczywającemu na jego piersi. Wyczerpana kobieta trzymała bezradne ręce na kolanach, jedną obok drugiej, a jej zbolące wargi rozchyłały się jakby w nieufnym uśmiechu. Mężczyzna ujmował ją ciężkimi rękami za ramiona, a jego twarz pochylała się tak nisko, jakby nasłuchiwał bicia serca umierającej. Jego ciało było zmęczone, ale w ruchu rąk, pochyleniu głowy, odsłaniającym ułożenie ramion, tyle było pewnej i niewypowiedzianej pociechy, że on zdawał się być matką, kobieta zaś dzieckiem, tulącym się do jego piersi.

Mężczyzną był Jakub, a kobietą Marta. Podobieństwo tak uderzające, że Jonsowi serce przestało bić. Ale ponad ziemską, przemijającą formą rozpościerało się coś wznioślejszego, co wynosiło ich ponad sferę rodzicielstwa. To już nie byli ci dwoje, co się kochali i zadawali sobie cierpienia, mężczyzna i kobieta, rodzice tych dwóch synów. To był mężczyzna ze wszystkich biednych wiosek tego kraju i wszystkich krajów, przygięty, zrezygnowany, wydziedziczony; to była matka ze wszystkich tych wiosek, wyzuta z marzeń młodości, zbląkana, o zdrętwiałym sercu. Ale mężczyzna był tym, co odniósł skromne zwycięstwo nad samotnością i rozczarowaniem, który spoczywał w Bogu i w tym spokoju mógł podtrzymywać nie znających spokoju. A tak wielki był spokój w jego ciężkiej chłopskiej twarzy, że mógłby Chrystusa trzymać na piersi zamiast tej kobiety, co chciała być królową, a została tylko zbieraczką pokłosa. Jons podszedł cicho do Christeana, niezręcznie ręką ocierając mu łzy z policzka. — Wiesz, bracie, coś zrobił? — rzekł. — Odmieniłeś wiersz, z którym ona umarła. „Zawrócił konia i odjechał”. Już nie zawróci. Nie odjedzie.

— Chcę postawić to na grobie, Jons — rzekł. — Po to to zrobiłem. A ponad tym wzniesiemy małe sklepienie z kamienia dla osłony przed deszczem. Tego nikt jeszcze nie widział.

— Wobec ciebie, Christeanie, wszyscy jesteśmy partacze — rzekł Jons, gdy wyszli z szopy. — Wszystkie cudowne dzieci i cudowni doktorzy. Zapewne dlatego, że w tobie jest miłość i tylko miłość. Zanim ją zdobyłeś, przebyłeś najtrudniejszą drogę z nas wszystkich. A że nikt tego nie zauważył, w tym jest właśnie twoja wielkość.

Rozdział 10

Jons siedział w barze „Phoenix”, za stołem lśniącym od niklu i szkła, ukryty za kotarą i przyglądał się, jak stateczny człowiek w białej kurtce miesza płyn w kieliszkach. Był to ten sam człowiek co dawniej, tylko jego twarz poszarzała cokolwiek po niezliczonych bezsennych nocach. Ale wciąż te same jeszcze powściągliwe ruchy, ukłon, jakim pozdrowił Jonsa, uszanowanie, jakie okazywał Ginie. Był to milczący i godny zaufania człowiek, a jego pełna twarz mogła z powodzeniem urodzić się pod którąś ze strzech Sowirogu.

— Zauważył pan, panie doktorze? — odpowiedział na ciche pytanie, z którym Jons zwrócił się w przerwie do niego. — Tamtym nie przychodzi to na myśl, bo nie mają żadnego porównania. To zawsze to samo stado cisnące się do wodopoju. Ale widzę ja i pani hrabina także, iż twarze te inne są niż kiedyś. Życie utarło ich coś niecoś.

Jons zaraz to spostrzegł. Dotychczas nigdy w żadnym barze nie bywał, a wówczas, gdy te twarze we wszystkich miastach wypłynęły na powierzchnię, siadywał nad książkami. — Wyglądają jak ścigani lub opętańcy — rzekł. — Nadzy opętańcy, którzy sami z siebie zdzierają przyodziewek.

— Tylko że im bez ubrania nieładnie — zauważył mikser z uprzejmym skinieniem głowy przyjmując zamówienie.

Jons spojrział na siostrę, której ozdobione pierścieniami ręce lekko poruszały się nad robótką. Nieruchoma i nieprzystępna królowała jak posąg bóstwa na wysokim krześle, pochylając od czasu do czasu piękną główkę i cicho odpowiadając na pełne szacunku powitanie. Mogłaby tak samo siedzieć w świątyni, na cokole kutym w srebrze, w otoczeniu kapłanów i wiernych klęczących u jej stóp, w dymie mirry i kadzidła wokół jej niepokalanego, spokojnego czoła. Niekiedy przesyłała milczące spojrzenie Jon-sowi, gdy zwracała głowę ku mrocznemu światłu pomieszczenia, jak kobieta spoglądająca spoza osłoniętego okna na obcą ulicę. Jons niestrudzenie śledził twarze przed stołem barowym, twarze rozpaczliwe i jakby szaleńczo żywe, i martwe, podobne do umarłych, wyrzuconych na wierzch ze swych mrocznych siedzi między trzcina i pnączami. Twarze patrzące z nienawiścią na kieliszek i na Ginę, i takie, co z namiętnością piły i pożądliwie spoglądały na nieosiągalną piękność. Ale ani jednej

twarży cichej, ani jednej pełnej spokoju, a gdy drzwi obrotowe poruszały się lekko i przez mroczny lokal przechodziło ciche, chłodne tchnienie powietrza, zdawało się Jonsowi, że wszystko się zachwieje jak zwietrzałe wstęgi u wyschniętych wieńców, gdy nocny wiatr wieje po cmentarzu.

Pewnego razu wszedł człowiek w nie zapiętym płaszczu. Miał na piersi rząd błyszczących orderów i dziwny znak w klapie fraka. Doniosłym, ostrym głosem zażądał koktajlu. Gina uniosła nieznacznie brwi, mikser z nieruchomą twarzą przygotowywał napój w wymownej ciszy, lokal ogarnęło grobowe milczenie. Człowiek rozejrzał się dookoła, jakby ktoś stał za jego stołkiem, i spojrzał na Ginę. — Prawdziwy dom żałoby — rzekł kpiąco.

Gina nie odrywała oczu od haftu, stateczny mikser przysunął bezszelestnie szklankę na stole, zapisał należność na kartce i równie bezszelestnie położył obok.

Człowiek wzruszył ramionami, wypił duszkiem napój, położył z brzękiem pieniądze na tacę i wyszedł. — Kto to taki? — zapytał cicho Jons. Stateczny człowiek spojrzał naprzód na Ginę, a potem zbliżył się do zasłony. — Jeden z nowych, panie doktorze — odpowiedział uprzejmie. — Ze złego towarzystwa.

Jons od czasu do czasu słuchał odczytów nie z dziedziny medycyny, parę razy obserwował operację u znakomitego chirurga, do którego Gina ułatwiła mu dostęp. Raz był na posiedzeniu parlamentu i raz w teatrze. Z obu tych gmachów wyszedł z powagą na twarzy. Nie czuł się dobrze w wielkim, obskurnym, hałaśliwym mieście, z jego pochodami, strajkami i bijatykami, z bezrobotnymi stojącymi przed biurami rejestracyjnymi. I tu widział złe twarze, a zło w nich bardziej nagie i niebezpieczne niżli to, które widział w swych rodzinnych stronach.

Rozmawiał wiele z Giną, po południu i wieczorem, zanim nie odeszła od swej „świątyni”. Chciał wiele wiedzieć. Ale wydawała mu się powściągliwa, patrzyła tylko nań czule i na powitanie lub pożegnanie odgarniała mu włosy z czoła. — Staraj się wszystko szybko załatwić, Jons — mówiła — i pojechać do Sowiego Zakątka. Ogół myśli, że wszystko idzie dobrze, że życie jest wesołe i takie pozostanie. Ale znam kilku bardzo mądrych ludzi, na wysokich stanowiskach i ci nie sądzą, że wszystko dzieje się dobrze. Oni myślą, że będziemy mieć rewolucję, bardzo serio, taką jak francuska lub rosyjska, i że przeżyjemy rzeczy, o których lepiej nie mówić.

— Rewolucje docierają i na wieś, siostró — rzekł Jons po chwili.

— Nie znam takiej, która by ominęła wsie. Ale może wy dostrzegacie tylko widma, jak Czaja lub mój doktor Lawrenz. Nie wiem, bo nie troszczyłem się o to. Twarze mi się nie podobają, ale nigdy mi się nie podobały. A za rok będę w Sowirogu, Gino, najpóźniej za rok. A może i ty nie pojedziesz za Ocean Spokojny, tylko do Sowiego Zakątka?

Uśmiechnęła się i położyła mu rękę na ramieniu. Stojąc za nim patrzyła przez wielkie okno na zielone wierzchołki drzew na ulicy. Nie widział jej twarzy, ale zapewne była poważna, bo poważnie brzmiał jej głos, gdy mówiła: — To zbyt blisko, Jons... na to, co może się stanie, to za blisko.

Stała na peronie, jak niegdyś przed laty. Ucałowała go i teraz, ale kiedy Jons wychylił się z okna powoli ruszającego pociągu, pomyślał, że ona nie jest już taka sama. Stała jak bezdomna, w pustym kręgu, jaki ludzie pozostawili dookoła niej, i z daleka, kiedy już nie było można dojrzeć jej futra i jej urody, wyglądała jak dziewczyna z Sowirogu, opuszczona i zagubiona na obcej ziemi, która dała jej chleb i dach nad głową, ale gdzie mowa ludzi, którą słyszy dokoła, nie jest jej mową ojczystą, a to co robi nie jest jej pracą codzienną, do której się urodziła. Późnym popołudniem znalazł się Jons w małym uniwersyteckim miasteczku. Rozkwitały wszystkie pagórki i zbocza, a gdy zatrzymał się na kamiennym moście, przecinającym cichą rzekę i spojrzął ponad krytymi łupkiem dachami, zabudowanymi gęsto i w nieładzie, na rząd starych platanów, mury i ganki pokryte bzem i złotokapem, a dalej winnice, pagórki i las, przecinające się łagodnymi liniami, stanął mu przed oczyma obraz jego wioski, niezmierny i bezgraniczny, nędzny i niemal zagubiony w innej ziemi, co była jeszcze puszcza i pustkowiec, gdy tu już kładziono kamień na kamieniu, na ulice, tamy i mosty, i zrozumiał, że ojczyzna może obejmować okolice, które wprawdzie zjednoczył język, władza króla lub Bóg, ale w których prace codzienne, wolne chwile, biegną obok siebie jak obce, i że trudno mu będzie przekonać lekarza sztabowego, lub choćby najskromniejszą siostrę, że jest dla niego nakazem, by wrócić na pustkowiec i być tam przez całe życie skromnym lekarzem i położnikiem.

Wszedł schodami na górę, skąd widok roztaczał się coraz dalej w krąg, aż do łagodnych gór, z których błękitnych zarysów wylaniały się ruiny zamków; siedział chwilę na jednej z ławek, skąd można było ogarnąć wzrokiem błyszczącą wstęgę rzeki, daleko ku źródłu i ku ujściu, a potem z lekkim biciem serca zadzwonił do drzwi pięknego domu, położonego w głębi rozkwitłego ogrodu. Wyjaśniono mu uprzejmie,

że profesor jest jeszcze w swej prywatnej klinice i opisano krótką drogę wzdłuż ogrodu.

Idąc dalej pomyślał z uśmiechem, że czegoś takiego w życiu mieć na pewno nie będzie. Jego prywatną kliniką pozostanie zapewne dom Jerominów i raz jeszcze obejrzał się, ogarniając oczyma piękną posiadłość, jakby osnutą śpiewem kosa, ciche królestwo strzeżone obrośniętymi murami, za którymi pierwsza zorza wieczorna rozwieszała w spokoju swoją zasłonę.

Gdy przybył do prywatnej kliniki, starsza pielęgniarka, która właśnie nadeszła, poruszając się z cichym szmerem jak statek pod żaglami, wyjaśniła mu, że profesor ma operację i nie można mu przeszkadzać.

Nawet jeśli nie jest lekarzem, zrozumie, że na to nie ma rady. Jons odpowiedział z uśmiechem, że jest troszkę lekarzem, a starsze pielęgniarki poznał już wystarczająco, by pojąć, że na nie nigdy nie ma rady, Ale gdy w tak niezwykły sposób zagadnięta z błyskiem gniewu w oczach szykowała odpowiedź, otworzyły się jedne z białych drzwi obok niej i profesor szybkim krokiem wyszedł na próg. „Wydaje się, jakby ciągle jeszcze nosił ostrogi”, pomyślał Jons, te same były także bystre, prawie niewzruszone oczy, przebiegające po ludziach i rzeczach jak po kraju nieprzyjacielskim, nigdy nie mające czasu, bo nie było czasu wówczas, kiedy bitwy i ambulanse następowały po sobie bez przerwy.

— Co jest? — zapytał krótko, przenosząc szybko spojrzenie z twarzy pielęgniarki na gościa.

— Jest tu niejaki... — zaczęła starsza pielęgniarka pełna urażonej godności.

— To tylko człowiek z guzikiem, panie lekarzu sztabowy — rzekł skromnie Jons. — Ale chętnie poczeka.

Profesor ściągnął brwi, jakby ktoś pozwolił sobie wobec niego na nieprzystojny żart, a stojący za nim poprawny asystent zrobił minę obrażonego syna wielkiego ojca.

— Cień skały wielkiej... w ziemi spragnionej — rzekł cicho Jons.

I ku zdumieniu osłupiałych otaczających, profesor zrobił dwa szybkie kroki, położył rękę na ramieniu obcego i przyciągnął go do swego białego kitla. — Jeromin — rzekł cicho — Jons Ehrenreich... to naprawdę pan?

Jego niewzruszone oczy napełniły się radością i dobrocią i przez chwilę nie robił nic, tylko ogarniał spojrzeniem cichą, wzruszoną twarz.

— Mogę poczekać, panie profesorze — rzekł cicho Jons jeszcze raz z trudnością ukrywając wzruszenie. Jakby zważyło się na niego całe przeszłe życie, lata wojny, trud i bitwy, deszcze i ogień, wędrówki po bezdrożach w przestrzeni i w czasie, twarze wszystkich zmarłych i ich szara nieruchomość, wśród tego wielka, biała sala tchnąca spokojem i ten człowiek siedzący u jego łoża i dotykający palcem jego serca.

— Chodź pan, kolego Jeromin — rzekł profesor ujmując go za rękę.

— Więc został pan lekarzem, lekarzem ubogich, co? Nic nie zapomniałem. Nic, kolego Jeromin.

Mam operację, a pan może przy tym być. *Resectio pylori*. Prawdopodobnie z cięciem przez jelito żołądka.

A wyszło na to, że operował Jons. Miał zrobić początek, tylko skromny początek, jak mówił z uśmiechem profesor. Chciał tylko zobaczyć, do czego Jons doszedł i stał obok z prawą ręką, jak przy dziecku, któremu powierza się na chwilę lejce lub ster. Ale potem znowu powoli opuścił dłoń i już się tylko przyglądał. Nie powiedział ani słowa przyzywając tylko od czasu do czasu poprawnego asystenta, który był podniecony i niezręczny. Siostra operacyjna nie zmieniła wyrazu twarzy, ale starsza pielęgniarka oddychała tak głośno, że jej nakrochmalony fartuch pod kitem podnosił się i opadał z chrzęstem.

Profesor popatrzył na nią z dezaprobatą, ale nic nie powiedział. Pochylił się tylko cokolwiek ku przodowi, gdy Jons przyszywał dolny koniec cienkiego jelita do ściany żołądka. — Zamykaj pan, ciołku — rzekł cicho, gdy Jons się wyprostował.

Ujął tętno nieprzytomnego, drobnego, wychudłego winogradnika z nadrzecznej wioski i przyjrzał się chudemu ciału. — Syn węglarza — rzekł zagubiony w myślach — co wyrósł z prorokiem Izajaszem.

Inni nie bardzo go zrozumieli, zrozumieli jednak, że nie chorego miał na myśli.

Lekarz sztabowy poszedł w milczeniu z Jonsem do pięknego domu już pogrążonego w mroku. Pośpiesznie zaciągał się papierosem i dopiero gdy przy bramie ogrodu rzucił go na żwir, spojrzął na Jonsa szybko odwracając głowę, jak miał w zwyczaju już w lazarecie. — To najlepszy, jakiego mogłem wystraszyć — rzekł, a Jons od razu zrozumiał, że ma na myśli asystenta. — Poprawny łatacz, jakby ktoś łątał komuś ubranie. I tak samo liczy każdą nić, każdy łokieć sukna. I myślę, że będzie się cieszył, jeśli kiedyś coś mi się nie powiedzie... Ach, Jonsie Ehrenreichtu, jakie ma pan imię budzące otuchę i jaką klinikę prowadziłbym z panem...

Zatrzymał się i spojrział w górę na dom opleciony różami. W kilku oknach było jasno, a z jednego, na wpół otwartego, dźwięczał wśród mroku głos kobiety: „Wiosno, jakie są zamiary twoje? Kiedyż serce me ukoję?”

Słuchali obaj, profesor z nieprzeniknioną twarzą. — Co też za kłopoty mają ci poeci! — rzekł kpiąco, wyciągając klucz z kieszeni marynarki.

— Ma zamiar stać się latem. Oto tajemnica. A druga? *Beneficium mortis*¹, kolego Jeromin. Ot co.

Kobieta była piękna, ubiór jej zaś kosztowny. Także dom był piękny i kosztowny, Jons stąpał ostrożnie, żeby czego nie uszkodzić.

Patrzyła na niego z ukosa, na wpół drwiąco, na wpół dobrotliwie, ale w końcu rzekła: — Może pan spokojnie coś strącić, panie Jeromin. Moje serce nie jest znów tak strasznie do tego przywiązane. — Jej górna warga była cokolwiek za krótka i kiedy uśmiechała się, pokazywała swe białe, kształtne zęby. Ale ruchy jej wydały się Jonsowi niespokojne, paliła też więcej papierosów niż profesor.

— U nas w domu marnie było, gdyśmy coś stracili — rzekł Jons.

— Mieliśmy bardzo mało rzeczy i dlatego było marnie.

Siedzieli w wielkiej bibliotece i profesor zapytał o wieś o dziwnej nazwie i jego najbliższych.

— Myślałem, że pan o wszystkim zapomniał, panie profesorze — zaczął Jons z wahaniem.

— Nic nie zapominam, z tego co pochodzi z głębi — rzekł profesor.

— Ani ludzi, ani chorób, ani słów. Nie jestem łataczem. Ciężkiej skały... prości ludzie... wszystko zapamiętałem. — Następnie opowiedział żonie o Jonsie i jego ranie, i jak go wyleczył. Ale opowiadał to tak, jakby wyjaśniał studentowi pierwszego semestru nazwę chirurgii, cokolwiek obojętnie i cokolwiek nużąco.

Słuchała uważnie, nie znudzona, ale jej górna warga odsłaniała część pięknych zębów i Jons pomyślał, że żartowała sobie z niego, ze swego męża i ze wszystkiego, co brano tak na serio. Opowiadał jednak, że matka nie żyje, i o wierszu, który szeptem wypowiedziała, o Christeanie, że posiada dar boży, i o Marii, która jeszcze ciągle chodzi nad moczary, o Stillingu i jego zegarku z napisem „Za wierną i uczciwą pracę” i o panu von Balku i jego papudze, co woła: „Allons enfants”... i o połowie raków, i jak

¹ Dobrodziejstwo śmierci [przyp. tłum.].

leżeli na wyspie pod krzyżem nagrobnym dziadka, co go pobłogosławił i rzekł: „Idź, wnuku!”.

Mały zegar na marmurowym kominku bił szybko i cicho, jakby sam dla siebie, firanki poruszały się na wietrze, a profesor oparł głowę na rękach, palił i słuchał. Z twarzą nieobecną, prawie ponurą, jakby opowiadano historię złego życia.

Także jego żona przysłuchiwała się, i już się nie uśmiechała. Głębokie, dziecięce, prawie bezradne zdumienie objęło z wolna w posiadanie jej twarz i przeobraziło ją, cofając o lata i długi szmat drogi i oto ujawniła się inna twarz, od dawna należąca do przeszłości, tak jakby obie nie należały do siebie i nigdy nie miały się ze sobą zespolić.

— Tak, prości ludzie, Jonsie Ehrenreichu... — rzekł profesor po długim milczeniu, patrząc mimo swej żony na rzędy książek, obrazy, nagromadzone kosztowności.

Takiego pomieszczenia nigdy chyba pan mieć nie będzie, kolego Jeromin? — spytał z melancholijnym uśmiechem.

Jons rozejrzał się dokoła, zanim odpowiedział. Nie, chyba nigdy go mieć nie będzie, i dobrze, bo żaden chory z Sowirogu by tu nie wstąpił, nawet zdjawszy przedtem obuwie.

— Siedmioro dzieci — rzekł profesor. — I dwoje z tego udanych, nie licząc zmarłych... To dużo, bardzo dużo, kolego Jeromin.

— I chce pan tam pozostać? Na całe życie? — zapytała kobieta, ciągle z bezradnością w oczach.

— Tak, chce, Sabino — odpowiedział za niego lekarz. — I to jest chyba los mu przeznaczony, tak jak dla nas tutaj...

Potrząsnęła głową, spojrzała na zegarek i wstała. — Pan jest cokolwiek niepokojący, panie Jeromin — rzekła z trochę niepewnym uśmiechem. — Myśliciele są zawsze niepokojący. Myśliciele i rewolucjoniści. Nigdy wtedy nie wiadomo, czy słońce jeszcze wzejdzie.

— Ono już wschodzi, Sabino — rzekł profesor. — Ono także wie, co się wam od niego należy.

Pani Sabina podała Jonsowi rękę do pocałowania, ale on tego nie zrozumiał. — Pokój gościnny jest przygotowany dla pana — rzekła, uśmiechając się znowu, jak przedtem. Ale on z podziękowaniem odmówił. Ulokował się już w małym hoteliku, tuż

nad rzeką. Tu wszystko jest dla niego zbyt piękne, ale pod wieczór chętnie wstąpi raz jeszcze.

— Dziwny z pana człowiek — rzekła z westchnieniem i skinęła im na pożegnanie. — Tak sobie myślę, że ten pański Sowiróg nie leży już w Niemczech...

— Owszem — zapewnił Jons spokojnie. — Pod 22 stopniem długości wschodniej oraz 53 i 1/2 stopnia szerokości północnej.

Profesor nie westchnął, jak Jons do tego przywykł, ale długą chwilę patrzył na drzwi, za którymi zniknęła jego żona. Następnie przyniósł z sąsiedniego pokoju butelkę i nalał czerwonego, mocnego wina do dwóch szklanek. Długo trzymał w ręku szklankę, tak by blask lampy, odbijał się od jej szkła, a potem lekko trącił o drugą. — Za pańską wieś, Jonsie Ehrenreichu — rzekł uroczyście — co leży gdzieś na krańcu świata!

Potem oparł się o poręcz krzesła patrząc na Jonsa, aż w jego oczach znów pojawił się piękny, dobrotliwy blask, jak wówczas, gdy spoglądał na gorączkującego.

— Już niedługo, Jons, minie dziesięć lat — rzekł. — Czas ucieka, a dla chirurgów ucieka podwójnie szybko. I zwykle piją zbyt wiele. Czy zauważył pan? Nie, Jons tego nie zauważył, ani tu, ani gdzie indziej, Tak, doktor Lawrenz pije trochę zbyt wiele i to mocne porto, ale on ma przecie coś więcej na karku niżli chirurgię.

— Wszyscy my mamy co nieco więcej na karku — rzekł profesor.

— Jeden krzyż, a drugi rajskiego ptaka. — A po tej ponurej uwadze zainteresował się, kto taki ten Lawrenz.

— Więc to tam się pan uczył, Jons? — rzekł następnie. — Nie na uniwersytetach, i byłoby bezcelowe, gdybym pana poprosił do siebie. Niewiele więcej się pan może nauczyć ponad udoskonalenie rzemiosła. Techniki, jak to się pięknie nazywa. A technika to diabelska sprawa. Ludzie wierzą, że wszystko potrafimy, a przynajmniej, żeby wszystkiego spróbować. Nie ma niebezpieczniejszego zawodu niż chirurgia. Jej czarna lista jest najdłuższa. Ona gra w kości ze śmiercią. Niekiedy wygrywa, najczęściej przegrywa. Ale najniebezpieczniejsze dla niej jest to, że na wszelki wypadek uważa za przegraną, jeśli nie rzuci kości. A z tym dzisiejszym człowiekiem, Jons, czy sądzi pan, że pan wygrał?

— Uchroniliśmy go od ciężkiego cierpienia i śmierci głodowej, panie profesorze — rzekł Jons spokojnie. — A to chyba nie gra w kości?

Lekarz spojrział na niego w zamyśleniu. — Owszem. Graliśmy o kilka lat. Usunęliśmy coś, co natura inaczej urządziła, i nie wiemy, czy nie miała w planie cudu. Może temu przeszkodziliśmy? W naturze pełno cudów. Czy sądzi pan, że pański dziadek zrobiłby to cięcie? Nawet pański ojciec by go nie zrobił, jeśli by będąc węglarzem był równocześnie chirurgiem. Powstrzymałby mu rękę węglarz, ta jego część, co przesiadywała u stóp Boga. Druga, siedząca u stóp wykładowców szkoły wyższej, to by cięła. Cięłaby wszystko co jest. Nazywamy postępem, Jons, to, co różni nas od ojców. Naszą technikę, naszą śmiałość, naszą odwagę, z jaką wiążemy i rozwiązujemy. Ale często ... myślę, że już ten jeden fakt jest dla nas straszliwym upomnieniem: że usypiamy naprzód ofiarę. Nie umniejszajmy żadnego błogosławieństwa, jakie odkryła ręka ludzka. Ale wszystko, co bezbronne, jest straszliwym upomnieniem. Czy może pan sobie choćby tylko wyobrazić zespolenie żołądkowo-jelitowe bez uprzedniego uspienia ofiary? Wiele o tym myślę. I to jest to, co ona nazywa „myślicielstwem”. To jest dla niej przerażające.

Jons patrzył na niego pełen współczucia. To nie sprawy lekarskie go gnębiły. Także Lawrenz miał wątpliwości i on sam. To było tym, co nazwał „ona”.

— Nieczęsto się nad tym zastanawiam, panie profesorze — odpowiedział po chwili. — Jestem przecie zbyt młody, a myślę także, że nie siedziałbym tutaj i nie słuchałbym pana, gdyby mnie pan wtedy nie uspił. I ja byłem bezbronny i sądzę, że nie powinno się tak myśleć. Może gnębi pana nieprzerwana praca. Ja będę miał operację raz na cztery tygodnie, lub może tylko raz na trzy miesiące. I myślę, że wszystko jest dobre, co bezbronnym ujmuje cierpienia. Śmierć nie pyta o cierpienie, ale piękne jest, że człowiek o to pyta... Czas, który o to pytać nie będzie, będzie złym czasem. Wszystkie rewolucje były takimi czasami.

Profesor potwierdził i przyniósł drugą butelkę. — A może i to, że każemy sobie płacić. Opłacane leczenie mieści w sobie zarodek nie-moralności. Ale wszystko jest splątane i pogmatwane.. Ten człowiek, którego pan operował, ma kilka winnic i nie da mi za darmo swojego wina, choć i ono jest dla mnie lekarstwem. Da parę butelek, w razie potrzeby, ale nie więcej. Za guzik, który wtedy wydobyłem, nie potrzebował pan płacić. To znaczy, że można także inaczej...

Prosił Jonsa, by pozostał parę dni. Może się z nim zobaczyć w ciągu dnia, a i on, profesor, też chętnie by go widział. Wieczorem zaś może posiedzieć u niego parę godzin. — Lubię rozmawiać, Jons, a nie mam z kim. Już dawniej tak było, kiedy pan opowiadał o mielerzu. Pan przychodzi z innego świata, gdzie jest inny porządek

rzeczy. Niekoniecznie lepszy, ale inny. Dawniejszy, a nie zawsze to co najnowsze jest najlepsze. U mojego asystenta też jest porządek, bardzo porządnym ład, ale to ład kupiony. Można go sobie kupić w szkołach i na uniwersytetach, gdy się ma pieniądze. I u starszej pielęgniarki jest porządek surowy i dostojny. Ale dla niej jest pan tylko kimś „niejakim”, a potem następuje jakiegokolwiek nazwisko, Jeromin na przykład. Etykieta, nie pojęcie, nie człowiek. A dla mnie już wówczas było zadziwiające, że pan był człowiekiem. Wtedy byli tylko żołnierze, wszystko jedno w jakim stopniu. Ale pan był człowiekiem. Włożył pan rękę w moją na kołdrze. W rękę lekarza sztabowego. To jest „niepokojące”, Jons...

Odprowadził go do bramy ogrodu. Gwiazdy stały spokojnie nad kwitnącą ziemią i słychać było cichy szum rzeki płynącej ku dolinie.

Jons pozostał w miasteczku kilka dni. Profesor z przykrością rozstawał się z nim i obiecał za dwa, trzy lata przyjechać do Sowirogu, gdy tylko urządzi się na całego. Jons zaprosił także panią, ale ona z uśmiechem potrząsnęła głową. — To za daleko na Wschodzie, panie Jeromin — rzekła. — Dwadzieścia dwa stopnie długości wschodniej, to dla mnie za daleko.

Teraz także nie pocałował jej w rękę, a ona patrzyła za nim z uśmiechem, jak ostrożnie szedł po dywanie i uważnie wymijał wszelkie kosztowności.

Jons wysłał walizkę do miasta, gdzie mieszkał Tobiasz. Postanowił odbyć drogę piechotą, by zobaczyć kawałek swego kraju, zanim uda się na „dwudziesty drugi stopień długości wschodniej”. Szedł przez Rauhe Alb w dół Dunaju, potem zwrócił się na północ i przez Las Czeski i samotne Fichtelgebirge przybył do równinnej i ubogiej krainy, gdzie było teraz domostwo Tobiasza. Szedł powoli jak na przechadzce, z lekkim niepokojem w sercu, ale z oczyma przepelnionymi wolnością i radością. Nigdy jeszcze w życiu tak nie wędrował. Nocował w małych gospodach, a najchętniej w jakiejś zagrodzie wiejskiej. Tam siadał przy ognisku, przypatrywał się i przysłuchiwał, i sam chętnie, opowiadał o swej wsi i życiu na wschodniej granicy. Tu dla nikogo nie był „niepokojący”. Prości ludzie nigdy nie są dla siebie niepokojący. Dowiadywał się o troskach tej okolicy, o cichych rzekach płynących pod powierzchnią i często znikających, tak jak wody Dunaju na początku swej wędrówki znikają w pewnym miejscu pod skalną ścianą. Tu i tam udzielał także porady lekarskiej i coś niecoś „leczył”, a nazajutrz wszyscy odprowadzali go aż do bramy obejścia i patrzyli za nim przez chwilę. Za wędrowcem z obcego kraju, co opowiadał zadziwiające rzeczy, a przecie był im równy, mimo nauki i doktorskiego tytułu.

Równinę przejechał koleją. Miasteczko było nędzne i żyło z węgla brunatnego. Kominy sterczały nad nim, jak nagie drzewa, a dym zaciemniał okna. Niepozorne ludzkie plemię przemykało się posepnie ulicami, a przed budynkami urzędowymi stały długie szeregi bezrobotnych. Ich ponure twarze zdawały się jakby zawieszane na niewidzialnych sznurkach.

Jons nie zdążył zawiadomić o przybyciu, ale zastał Tobiasza w domu. Szary, niczym nie przyozdobiony kościół stał na skraju miasta, a plebania wydawała się o wiele za duża wśród małych domków robotniczych. Trudno było uwierzyć, że Bóg potrzebuje tutaj tyle przestrzeni.

Tobiasz stał w oknie, wznosząc obie ręce na powitanie. Zdawało się, jakby już od lat czekał na gościa z innego świata. Jak gdyby Bóg cokolwiek o nim zapomniał i w końcu musiał mu jednak wysłać posłańca, nawet między cienie kominów.

Zadziwiające było, że nic się nie zmienił. Ciągłe jeszcze wyglądał tak, jak wśród rzędu rowów przy „Zmarłym Człowieku”, i nawet ręce składał przy mówieniu, jakby ciągle jeszcze ujmował nimi o wiele za duży na niego hełm. Lata ułożyły mu się tylko wokół ust, ale oczy wciąż jeszcze były jak u dziecka.

— Nie myśl, że Bóg mnie opuścił — rzekł, gdy zasiedli w jego wielkim, pustym pokoju do pracy. — Raczej ma wobec mnie jakieś inne plany i czeka, aż do nich dojrzeję.

— A czy jest tu praca dla ciebie? — spytał Jons pełen współczucia, spoglądając przez wielkie okna na las kominów.

— Zrazu tak myślałem, Jons, a teraz to jest okropne, że już nie myślę o tym. Widziałeś ulice idąc z dworca? I ciemny pył na nich? Widzisz, to samo jest tu z duszami.

Pani Pöttschler myje okna co tydzień, ale to nic nie pomaga. Początkowo miałem kwiaty w ogrodzie: goździki, lak żółty, nawet lewkonie, ale wiesz, to nie były kwiaty jak należy. Były sztuczne i musiałem je codziennie skrapiać, by widzieć kolor. Rosły pod popiołem. Zrazu ludzie słuchali. Było to dla nich coś nowego, urozmaicenie. Jak nowy program w kinie. Ale potem i na to zaczął padać ciemny pył. Na kazania, na ambonę, zapewne i na mnie samego. A nie ma już nikogo, co by mnie pokropił wieczorem. Ja sam trzymam jeszcze Boga za rękę, czuję to. Ale nie potrafię tego przekazać dalej. Nie widzą mnie przez ten pył, a Jego to już w ogóle nie widzą. Są

bezrobotni, wystawają tylko i przesiadują bez celu. Jak kołki w płocie, między którymi deski powypadały.

— I co będzie, Tobiaszu?— Muszę czekać. Jons. Chcieli mi dać inną parafię, ale odmówiłem. Pan Bóg nie wysła człowieka o parę domów dalej. Jego kroki są dłuższe.

— Ale jak będziesz wiedział, kiedy wyznaczy ci właściwe miejsce?

— Będę to czuł. Mówię ci przecie, że trzymam go za rękę.

Jego dziecięce oczy patrzyły na Jonsa bez smutku czy zwątpienia.

— Jesteś drugim człowiekiem, Tobiaszu — rzekł Jons — którego w tych latach spotkałem, a który opiera się na Bogu. Pierwszym był doktor Lawrenz, ale on był innej wiary.

— U Boga nie ma innej wiary, Jons. Jest tylko u ludzi. Tak jak są u nich inne miasta, inne kraje, inne języki. Ale tam jest tylko jedno miasto, jeden kraj i jeden język.

— Nigdy nie wątpiłeś, Tobiaszu?

— Często, Jons, często! Ale tylko w siebie, nie w Niego.

Jons pozostał tu przez tydzień. Nieraz chodzili „za miasto”, jak to Tobiasz z uśmiechem nazywał, a gdy odeszli dość daleko, trafili na parę zagonów pola, a nawet kawałek lasu. Jedno i drugie było mizerne, ale długo pozostawali w skąym cieniu starając się nie widzieć kominów. Widać je było jednak wszędzie, jak daleko sięgał widnokrąg.

Nikt nie przychodził do wielkiego, pustego domu, chyba w wypadku śmierci lub chrztu. I Tobiasz także nie wychodził. — Nie lubią mnie, Jons. To znaczy, mnie może by jeszcze lubili, ale Boga nie lubią. A że ja jestem zawsze w Jego towarzystwie, nie pozostaje im nic innego, jak i zamknąć przede mną drzwi.

W niedzielę Jons poszedł do kościoła i słuchał kazania. W prostych ławkach siedziało tuzin starszych kobiet i kilkoro dzieci, które popychały się nawzajem i chichotały. Kazanie było po prostu monologiem, pięknym, cichym, dziecięcym monologiem na temat słów: „Boleję nad tobą, bracie Jonatanie...”

Była to kazanie budzące otuchę, nawet dla Jonsa. Otuchę promieniującą z nieustraszonego, dziecięcego serca, dla którego rzeczywistość była cieniem, mglistą smugą, którą ludzie nazywali nędzą, głodem lub śmiercią. Ale poza tym wszystkim była wielka, złocista prawda, gotowa objawić się każdemu, kto rozproszy cień.

Byłoby to życie nierozumne? Zmarnowane? Jons nie wierzy. Było to tylko życie zabłąkane w niewłaściwym domu. Drzwi się zatrzasnęły, ale kiedyś przyjdzie ktoś, by je otworzyć i poprowadzić cicho czekającego do właściwego domu.

Gdy stali na peronie, Jons położył Tobiaszowi rękę na ramieniu.

— Kiedyś myślałeś — rzekł — że musisz iść tam, gdzie Bogu zagraża największe niebezpieczeństwo. Ale tu On nie jest w niebezpieczeństwie. Dla tutejszych ludzi stał się prochem, rozsypał się...

— On coś zamierza, Jons - rzekł cicho Tobiasz. — Tak jak mówi twój doktor. Nie wiem, co to będzie, ale coś zamierza.

— A gdyby tak zamierzał posłać cię do Sowirogu, co byś zrobił, Tobiaszu?

— Pojechałbym. Oczywiście, że bym pojechał, Jons.

Nie ze względu na ciebie... daruj, że tak mówię... ale ze względu na Niego.

— Mamy zmarłego pastora na wzgórzu kościelnym, Tobiaszu, już od wielu lat. Ale nie mamy jeszcze kościoła.

— Nie szkodzi, Jons. Nigdzie nie jest napisane, że Bóg chce kościoła. On chce tylko swego królestwa, królestwa bożego. Większość księży myśli, że potrzeba mu kościoła, ale tak nie jest. Ich powołują, albo ustanawiają. Ale wezwać, wezwać, może tylko Bóg.

Nie patrzył za pociągiem. Powrócił natychmiast, bo miał pogrzeb. Ale Jons długo jeszcze go widział jak kroczy naprzód ciemnobraunatną ulicą w szeroki krąg wysokich kominów, skromna, drobna istota ludzka mężnie i nieustraszenie wkraczająca w pusty, milczący, skamieniały las.

Pogrążony w myślach powrócił Jons w swe rodzinne strony i od razu rozpoczął pracę, jak mu doradził Lawrenz. Był na oddziale laryngologicznym, a potem na ocznym, a w drugim półroczu był asystentem w klinice dziecięcej. Miał dobrych nauczycieli, a że wiedziano, iż idzie „na pustynię”, przekazywano mu wiele z tego, co w innym wypadku dyrektorzy szpitali zachowaliby dla siebie. Nigdy nie zawiódł zaufania i gdziekolwiek się pojawił, czy przed poważną operacją czy podczas sporu sióstr lub przy wybuchu gniewu dyrektora szpitala, wszelka nerwowość i rozgoryczenie ustępowały wobec jego spokojnych, głęboko osadzonych oczu. Niekiedy przytaczał jakieś powiedzenie ze Starego Testamentu, niekiedy swego ojca lub pana von Balka, a ci którzy z początku podśmiewali się z tego, przestali się podśmiewać i słuchali cicho z odrobiną podziwu lub odrobiną smutku, a gdy wieczorem nakładał

swój znoszony płaszcz i starą czapkę futrzaną, patrzyli na niego, cicho potrząsali głowami, a potem powracali z westchnieniem do swej pracy.

— Coś marnie z panem, kolego Jeromin — rzekł laryngolog przy pożegnaniu.

— Wielu tak mówi, panie tajny radco — odpowiedział Jons — ale czy nie lepiej, że ze mną jest marnie, zamiast z moją wsią czy wielu innymi wsiami? Człowiek pracuje, ot co, panie tajny radco. A z takim człowiekiem nigdy u nas marnie nie bywa.

Z doktorem Lawrenzem też nie było marnie. Palił i pił cokolwiek więcej niż dotąd, ale to i wszystko. — Już pora, Jons, do Sowiego Zakątka — rzekł. — Tam czekają, a nawet najgrzeczniejsze dzieci niecierpliwą się, gdy nie przychodzi Dzieciątko Jezus. Są ludzie, którzy przez całe życie pozostają asystentami, nie tylko wśród medyków. Nie będziemy się żegnać, Jons. Co wieczór żegnałem się z panem.

Ale dopiero pod koniec ostatniego tygodnia zdradził się, że chce z Jonsem urządzić „wycieczkę”. Użył tego słowa z lekka drwiąco, ale można było po nim poznać, że o tym wszystkim już długi czas myślał jako o pięknym zakończeniu tego roku. Pojechali nad morze, a stamtąd do zatoki zalewu, skąd odpływał parowiec na mierzeję. Jons nie miał ani czasu, ani pieniędzy na takie przejażdżki. Raz tylko jako uczeń był u podnóża Gór Piaskowych, ale cały dzień deszcz lał strumieniami, a że Charlemagne był chory, prowadził ich inny nauczyciel. Miał on cylinder i parasol, a dla Jonsa wszystko to było jak koszmar.

— To były ubogie lata, panie doktorze — rzekł, opowiadając o tym Lawrenzowi.

— A najlepsze w nich było to, Jons — odpowiedział tenże — że teraz tyle rzeczy jest po raz pierwszy. Rzeczy pierwsze, to wielkie dary życia, Jons. Pierwsza książka z bajkami, pierwszy piesek, pierwsza operacja, pierwsza miłość. A teraz, za tydzień, pierwsza pańska godzina przyjąć.

Siedzieli na dziobie statku, każdy na zwoju lin kotwicznych przyglądając się, jak krajobraz wód, bagien i lasów z wolna przybliża się ku nim i ich mija. — Wszelki rozległy krajobraz, Jons — rzekł Lawrenz — sprawia, że serce nam rośnie i trwoży się cokolwiek. Dlatego tak hałasują za nami. Tych ludzi z wielkich miast zawsze coś niecoś strach ogarnia, gdy z nich wychodzą. Nie mają policji, co ich strzeże ani tramwajów, ani numerów na domach. Dlatego szukają dla siebie ratunku w tłumie i zgiełku. Nie mogą już znieść samotności. Spójrz pan na kapitana — ten poszukał sobie ratunku w alkoholu. Zbyt często jeździł tędy brzegiem wielkiego milczenia. Oduczył się języka, w którym można by się do niego zwrócić. I dlatego pragnę przyjeżdżać do

pana, do pańskiej wsi, Jons, prawdopodobnie co lato. Naród, który od tak dawna jest przepędzany, chętnie idzie tam, gdzie ludzie są milczący.

Pod jasnymi wiosennymi chmurami przeciągały ptaki, których Jons nigdy nie widział. Wielkie mewy z szeroko rozpostartymi skrzydłami, a niekiedy orzeł lśniaco biały, krążący nad pagórkami piasku. Przewiew był ciemnobłękitny, jak nad pustynią, a wszelkie kontury migotały jak nad płonącym piecem.

Siedzieli cichutko, spoglądając przed siebie. Nieliczne wioski wynurzały się z blasku i znikwały znowu, aż w końcu po ich lewej stronie pozostało tylko wzgórze białozółto lśniącego piasku, opadające stromo ku wodzie. Jakiś ślad biegł ukośnie po zboczu ku górze i nie można było poznać, czy to ślad zwierzęcia czy człowieka. Kończył się na widnokręgu.

Opuściwszy statek szli powoli wąskim pasmem lądu ku północy. Na wąskich skrawkach łąk rosły brzozy i wierzby, a na lewo od nich sięgający do kolan zagajnik sosnowy piął się po zboczu wydmy. Było tak cicho, że słyszeli szum morza spoza gór piasku.

— Na to wszystko — rzekł Jons — przez dwadzieścia lat patrzyła moja matka, od tamtej strony, z okna swej izby.

— Tak i dlatego taka była — odpowiedział Lawrenz po chwili.

— „Zawrócił konia i odjechał”... wspaniały kraj, Jons...

Doszli do najmniejszej wioski na mierzei, o której mówiono, że jest najbiedniejsza w całej Rzeszy, znaleźli mizerne schronienie i siedzieli cały wieczór na grzbiecie wydmy. Za nimi było morze, jak olbrzymia tarcza stalowa, nieprzystępne i nieruchome, a przed nimi, na niskim wschodnim brzegu zalewu coraz jaśniej wystrzeliwało światło latarni morskiej z narastającej czerni. Różne znaki z tajemniczymi przerwami jakby dawały sygnały gwiazdom. A po ich prawej stronie zaczynał powoli mleć młyn wielkiej latarni morskiej, białe zaś smugi światła migają w regularnych odstępach wśród ciemności niby upiorne ramiona. Obok ich rąk, ledwie dosłyszalnie, ziarno po ziarenku sączył się powoli piasek po stromym zboczu.

Lawrenz pił porto małymi łykami i palił. Jakby siedział na swoim zielonym krześle i patrzył na portret swej matki.

Nie zmalął wśród wielkiego milczenia.

— Powinien pan raz kiedyś to zobaczyć, Jons — rzekł cicho.

— Niewiele już pan ujrzy, gdy się pan zasiedzi w Sowirogu. A widok wspaniałej natury dobrze nam zrobi, gdy musimy życie nasze poświęcić ludziom, zwłaszcza chorym. Mówią, że kiedyś tu był las, puszcza, jak nad Amazonką. Aż zniszczyli ją ludzie, by zdobyć budulec na okręty. Prusacy czy Rosjanie, nie wiem dokładnie. Przed dwustu laty stały tu mielerze, jak w Sowim Zakątku. Lubię tu przebywać, Jons. Myślę, że Bóg mógłby się tu znowu ukazać w słupie ognistym. Wspaniały kraj, na Jego miarę. Jak pustynia przed czterema tysiącami lat. I ludzie tutejsi patrzyliby tu na Niego jak niegdyś. Nie letnicy, lecz rybacy. Czy pan wie, że oni tu jeszcze mówią po kuryjsku?²

Nie, tego Jons nie wiedział. Siedział jak we śnie i zrozumiał teraz, co Lawrenz kiedyś powiedział, że można się tu rozchorować z tęsknoty. Tu można by oprzeć drabiną, która, pozostawiając na uboczu wszystkie kościoły, wprost z tego piasku powiodłaby w górą ku temu, co ludzie nazywają Bogiem. Mógł sobie wyobrazić, jak Lawrenz siedząc samotnie modli się tu w starym, obcym języku, mówionym w gaju Mamre³, jak przewiązuje sobie ramię dookoła czoła i podnosi ręce ponad światło latarni morskiej ku gwiazdom.

— I jeszcze jedno jest tu — mówił dalej Lawrenz. — Często myślę, że tu mógłbym się schronić, gdy nienawiść znów zacznie nas prześladować. Bo ludzie zapragną widzieć ogień i krew. Tu tyle skrytek, Jons, pod tymi sosenkami i w piasku. Tyle, że nie dosłyszysz się bicia ludzkiego serca. A wiem, że moje będzie biło. Jestem tylko człowiekiem, Jons, biednym, bojaźliwym człowiekiem... zbyt wiele na nas ciąży. Historia, wiedza, doświadczenie. I domysły... ale prawdopodobnie i tu będą „przeczesywać”, jak to oni mówią. Raczej przyjadę do pana, Jons. Moczary mogą być pewnym gruntem w niepewnych czasach.

Jeszcze przy wątym świetle gwiazd dostrzegł Jons jego smutny, znaczący uśmiech.

— Syn Goguna przeprowadzi pana, panie doktorze — rzekł na wpół żartem. — On wie gdzie są skrzydła jutrzeńki.

Następnego wieczoru wrócili do miasta, i Jons zabrał się do pakowania swoich książek. Panna Holstein pomagała mu w milczeniu, a kiedy dwóch roslých ludzi wynosiło skrzynie, złożyła ręce i rzekła:

— Jakby same trumny, panie Jons... każda skrzynia jeden rok.

Ale Jons uśmiechnął się do niej na pocieszenie.

² Kurowie — ludność pochodzenia litewskiego zamieszkująca okolice Kłajpedy [przyp. tłum.].

³ Według Biblii pierwotne miejsce zamieszkania Abrahama [przyp. tłum.].

— Coś pani powiem, panno Holstein — odpowiedział. — W lecie przyjedzie pani do Sowiego Zakątka. Na pierwsze w pani życiu wakacje. Zamieszka pani w naszym domu, a u nas wszystkie kobiety są ciche. To nie jest w porządku, że pani troszczyła się o mnie przez dwadzieścia lat, a myśmy się o panią nigdy nie zatroszczyli.

Uśmiechnęła się przez łzy. — Już kiedy pan po raz pierwszy stanął na progu, wiedziałam, że to pan Bóg pana zesłał. Czasem nawet do takich domów zsyła. Przyjadę, jeśli nie wsiądę do niewłaściwego pociągu.

Jons podarował jej ziębę, która już się postarzała. — Żeby pani trochę o mnie przypominała — powiedział.

A potem spojrzął raz jeszcze, na pustą ścianę i na całą izdebkę, gdzie tak cichutko wzrastał jak drzewo, a gdy wychodził, skinął w jej stronę, jakby ktoś stał tam w ciemnym kącie i patrzył za nim. Trochę z uśmiechem, trochę drwiąco, a trochę w zamyśleniu, jak też on sobie będzie poczynał ze swoimi trzydziestoma morgami i wielką sprawiedliwością.

Rozdział 11

Pan von Balk siedział na ławce przed długim, niskim, krytym trzcina domem drewnianym, złożony rękę na lasce i patrzył w stronę Jonsa, który stał pod klonem osłaniając oczy ręką.

Dom był położony opodal domu Jerominów, na pagórku tuż nad jeziorem, a ostatnie sosny i dęby na skraju lasu rzucały jeszcze cień na dach. Dom był całkowicie zbudowany, z drewna, na podmurowaniu z kamienia polnego. Był parterowy, z niskimi szerokimi oknami, tylko na poddaszu wbudowano dwie izby sypialne ze skośnymi ścianami. Opodal stała wielka szopa z oknami, a dookoła małego ogródka postawiono już szczeblowy płot z ciężkimi palami dębowymi.

— Pan von Balk zbudował sobie letni dom — rzekła Maria, zatrzymując się z Jonsem.

Jons tylko skinął i poszedł ku klonowi. Dopiero co przyjechał, z sercem tak przepełnionym, że musiał tam chwilę postać w samotności, by spojrzeć na ziemię w wiosennym słońcu. Kominy dymiły już na wieczrę, a Micha powracał z zaprzęgiem z pola sołtysa. Orał już pługiem lemieszowym, przy którym nie trzeba było trzymać za rączki, bo jechał na kołach, i z daleka wyglądał jak Michał, kiedy jeszcze był chłopcem. Róg Pionka rozbrzmiewał od moczarów, a echo obiegało w krąg jezioro.

Przyszedł wreszcie czas przywitać się z panem von Balkiem i Jons ruszył powoli po niskiej trawie przez pagórek ku skrajowi lasu.

— *Introite*⁴ — rzekł Balk, wskazując na dom.

Jons widocznie zapomniał podać mu ręki, bo Balk opuścił swoją i powiódł oczyma za jego nieprzytomnym wzrokiem utkwionym w dużą mosiężną tabliczkę obok drzwi. Był na niej napis: „Jons Ehrenreich Jeromin, lekarz i położnik”. Słońce lśniło na błyszczącym metalu.

Balk wstał i położył Jonsowi rękę na ramieniu.

— Nie ma co się nad tym rozwodzić — rzekł. — Kamienie, drzewo i trzcina są moje. A co wewnątrz, to na dodatek, jako że i grosza nie brak. Lawrenz bardzo mi pomógł. Wszystko dla ciebie wyszukał. Tylko z doprowadzeniem światła było trochę

⁴ Wejście [przyp. tłum.].

kłopotu, bo nikt we wsi nie chciał podłączenia, prócz Maschlanki. Ale i to poszło, a Lawrenz uważał, że bez prądu nie ma aparatu rentgenowskiego, a bez tego jest się tylko do połowy lekarzem na takiej pustyni.

— Panie von Balk — rzekł cicho Jons.

— Co tam pan von Balk! On też przeniesie się do ojców, gdzie mu zresztą zbyt przyjemnie nie będzie. A przedtem musi coś zrobić dla ludzi, prostych czy wielkich. Z witrażami kościelnymi nic nie wyszło, wojna je zabrała. Były zresztą trochę za kolorowe, jak na mój smak. Nie lubię kolorowych bogów. Wiedziałem, że chciałeś zacząć całkiem skromnie. Jak w chatce przy mielerzu. I chorzy w kuchni, gdzie by Marii kawę wypijali. Skromnym można pozostać w sercu, *in modestia*, a przez całe lata miałeś dość skromnego życia. Ale warsztat musi być pierwszorzędny. A im skromniejsi ludzie, tym bardziej pierwszorzędny warsztat. Spójrz więc, jakeśmy to obmyślili.

Otworzył drzwi i przeprowadził go przez próg. — Na ogół na taką okazję ludzie mają jakąś sentencję — rzekł z uśmiechem.

— „Z Bogiem”... lub coś podobnego. Ale ja myślę, że sentencja na mikroskopie wystarczy. „Bo i tu są Bogowie”. Wiem, że oni ci sprzyjają i wręczyli ci puchar Eskulapa. I że go nie rozlejesz. Są dumni z ciebie i basta. Jons wciąż jeszcze się nie odzywał.

Była mała poczekalnia, a za nią duży pokój mieszkalny, gabinet przyjęć i biblioteka. Wszystkie meble pochodziły z zamku. Po drugiej stronie korytarza znajdowała się mała kuchnia. Na górze mieściły się tylko sypialnie i łazienka. Wszystkie przyrządy na napęd elektryczny. Szafy błyszczały od lśniących instrumentów. Była kamera rentgenowska. Lawrenz nie zapomniał nawet o wirówce do badań na mocznicy.

— Zatoszczyliście się jak o królewicza — rzekł wreszcie Jons.

— Rzadko słyszano, by królewicze byli wielkimi lekarzami — zauważył Balk. — Chyba że chodzi o puszczanie krwi... A tu najważniejsze, Jons. Apteka. Tak przynajmniej mówił Lawrenz, a myślą, że on się orientuje.

Otworzył drzwi szerokiej szafy w ścianie i patrzył na ciemne i szare butelki z białymi nalepkami.

— Tyle trudu dla skromnej istoty ludzkiej — rzekł w zamyśleniu.

— Stary pan von Balk znał tylko alkohol... i też odszedł.

Weszli w milczeniu po schodach na górę, gdzie przebiegały ciężkie belki dachu.

— Budowane na wieczność — rzekł Balk — lub przy najmniej tak jak my ją rozumiemy.

Sypialnia Jonsa była mała, ale wychodziła na wyspę i krzyż nagrobny dziadka wyraźnie odcinał się na tle wieczornego nieba.

Z drugiej izby wyszła dziewczyna z „Raju”, robiąc głęboki dyg, jak konfirmantka.

— Pomyśleliśmy — rzekł Balk — że ona tu zajmie się tobą. Całe życie iść śladami zmarłych, to do niczego nie prowadzi. Musi się cokolwiek przyuczyć, by ci pomóc przy chorych.

— Nie bój się, Hanna — rzekł Jons. — To domek z bajki, wszystkie dobre duchy go budowały.

— Cieśla Chuchollek też był między nimi — zauważył sucho Balk.

— Był stale pijany, ale dlaczego dobre duchy nie miałyby także być pijane?

— Chuchollek — rzekł Jons z uśmiechem, zatrzymując się na schodach. — Ach, panie von Balk, jak te lata szybko mijają.

— Taka ich natura i niech przy tym pozostaną.

Kiedy stali przed domem, Jons jeszcze raz potrząsnął głową.

— Dlatego to mnie z początku tak gnębiło, bo chciałem zacząć całkiem skromnie, panie von Balk, i całkiem o własnych siłach. Zbyt wiele mi darowano w ciągu życia.

— Na własne siły, mój kochany, masz przed sobą całe życie. Co mogłeś zdobyć samodzielnie, w dziedzinie umysłu i w niektórych innych sprawach, zdobyłeś. Wszystko inne jest sprawą pieniędzy, a więc czymś drugorzędnym. Proszę sobie tę granicę z całą wyrazistością wytyczyć. Jak wiadomo, przesuwanie kamieni granicznych podlega surowej karze. Nie chodzi o to, byś żył wygodnie, po pańsku i wystawnie, ale powinienes zacząć bez łańcucha. Taki Maschlanka coś tam już gadał na ten temat, ale jak zwykle nic z tego nie rozumiał. Gdy idziesz do chorego, nie możesz obliczać, czy wynagrodzenie wystarczy ci na nogę stołu. Bo takiego lekarza tu potrzebujemy. Jakub cieszyłby się z tego i ty powinienes. A tylko pan Bóg i Czaja wiedzą, jak długo jeszcze będziemy mogli.

Przed domem Jerominów Jons odwrócił się jeszcze. — Nie mogę pana odprowadzić, panie von Balk, muszę jeszcze raz to wszystko obejrzeć.

— Widzisz, Jons, twój szewc wzruszyłby ramionami. „Własność jest kradzieżą”, powiedziałby. Ale gdyby ktoś zabierał mu jego kulę szklaną, to by go prawdopodobnie zdzielił w łeb młotkiem szewskim. Teoria względności, to wielka teoria, Jons, i Lawrenz jest dumny, że Żyd ją wymyślił. Przynajmniej mi to powiedział. „Wiele zrobiono dobrego, panie von Balk”, rzekł, „za wygórowane procenty”. Zawsze myśli o grzechach ojców. To wpływ Starego Testamentu. Mój ojciec nigdy o tym nie myślał. Przynajmniej nie przypominam sobie tego.

Jons powrócił do domu. Na chwilę zatrzymał się przy tabliczce na drzwiach i pomyślał, że gdyby jego matka żyła, to przychodziłaby tu ukradkiem po nocy z mielerza, by przyglądać się w milczeniu. Nie było to cesarstwo, ale coś więcej: połowa życia ludzkiego.

Musiał wziąć do ręki każdy instrument i przepuścić prąd przez aparat Roentgena. Musiał sięść na każdym krześle i ostrożnie obejść dokoła wielki stół. Był jak dziecko, nie większe niż Micha, ale weselsze. „Okazało się, że lekarz sztabowy nie miał racji”, pomyślał.

Zawołał dziewczynę i pokazał jej duży pokój w świetle lampy. — Będzie nam tu dobrze i cicho, Hanno — rzekł, gładząc jej ciemne włosy. — Mamy wiele dobrego z tobą do zrobienia. Tylko się nie bój i miej ze mną cierpliwość. I ja też muszę sobie coś niecoś przypomnieć naszą mowę.

Wzięła jego rękę i pocałowała, jak się tego nauczyła w swojej wsi. Jej ciemne oczy były ciągle jeszcze takie, jak wtedy, gdy ją pani Marta przepędziła od trumny. — Wszystko zrobię, panie doktorze — rzekła cicho.

Ale uśmiechnęła się nieśmiało, gdy Jons roześmiał się — Panu von Balk możesz, Hanno, spokojnie mówić „wielmożny panie”. To już jemu wypada. Ale ja, dla ciebie i dla całej wsi nie jestem „panem doktorem”.

W małych wioskach na Wschodzie każde życie rozkręca się powoli. Jak ciężkie koło rozpędowe, które ręką trzeba rozruszać, zanim tajemnicza siła zacznie je pędzić, aż początkowe głucho dudnienie przerodzi się w wysoki, równomierny, śpiewny ton, głoszący, że każde łożysko, każdy wał, każde kółko pełni swą powinność. Tak jest ze stukiem młocarni, co w błękitne dni jesienne stoją po małych wioskach, głosząc daleko po lasach, że ze snopów wypada ziarno, a z ziarna będzie kiedyś chleb.

I tak samo jest z życiem wiejskiego lekarza Jeromina. Naprzód ukazuje się ogłoszenie w gazecie powiatowej i wieść biegnie od domu do domu, od wsi do wsi. „Więc to już tak”, mówią ludzie w zamyśleniu i z odrobiną dumy. „Jerominowie...”

Wiele o nich mówiono, z jasnej i ciemnej strony, a cienie były częstsze niż co innego. Lecz to było piękne światło dla wszystkich strzech, wznoszących się nad nędzą i chorobą. Doktor Lustig, mimo swego nazwiska, nigdy nie był wesoły dla prostych ludzi. Miał twardą rękę, a kobiety mówiły, że ma także twarde serce, a wszyscy, że jego ręka jest silniejsza w braniu niż dawaniu.

„Patrz, Jeromin...”, mówiono także po dworach. „Brat chłopaka, co to z nim była ta historia... i brat barmanki, co to ją nazywają hrabiną, maczał w tym palce ten zabawny nauczyciel wiejski, a także czerwony Balk... zobaczmy, ilu uśmierci, zawodowo, że tak powiem”...

Ale z tym pierwszym głuchym tonem koło życia zaczyna nabierać rozpędu. Rozpędza się już nazajutrz i Jons nie wie, czy to dobry czy zły znak, że stara Krollowa pierwsza puka do drzwi. Na drzwiach umieszczono ładny guziczek w małej miedzianej otoczce i nawet krótkie wyraźne objaśnienie, że to dzwonek, ale Krollowa jest nieufna wobec wszelkiego postępu, puka więc głośno i donośnie twardą kostką zdrowej ręki w dębowe drzwi.

Otwiera jej Hanna, w białym fartuchu, który jej się wydaje strojem księżniczki. — Patrzcie no — mówi Krollowa spoglądając na ten dziw małymi, czerwono podkrążonymi oczyma. — To ty tutaj? — Jakby dziewczyna jeszcze wczoraj była w Afryce lub Ameryce i w jakiś wysoce cudowny, czy nawet podejrzany sposób dostała się do tego zaczarowanego domu.

Hanna czerwieni się, lecz prowadzi w milczeniu okutaną w czarną chustę Krollowa do małej poczekalni, podsuwa jej krzesło i prosi cicho, by chwilę poczekała. Zaraz zaprowadzi ją do pana doktora.

— Do pana doktora — powtarza Krollowa w zamyśleniu. A potem mierzy swymi złymi oczyma najpierw dziewczynę, a później swoją rękę, w której bóle palą jak ogień.

To zastrzał, i to złośliwy, nie trzymany czysto i z początkami zapalenia naczyń limfatycznych. Nie przyznaje się do bólów w przedramieniu, ale Jons przemawia do niej życzliwie:

— Nie ma co ukrywać, Krollowa — mówi. — Lekarzowi trzeba mówić prawdę. Myślicie zapewne, że mógłbym spokojnie zostać w mieście, ale gdyby mnie tu nie było, stracilibyście palec, a może i rękę.

Słucha w milczeniu, ale oczy jej z nabrzmiałej i zaczerwienionej ręki przenoszą się na wielki pokój, jaśniejący w świetle poranka. Obmacują każdy obraz, każdą książkę, krzesła i dywan, i w końcu mówi swym urażonym głosem:

— To wszystko twoje? On bierze nóż z gotującej wody i daje znak dziewczynie. — Tak, Krollowa — odpowiada. — To wszystko moje. To pan von Balk mi podarował. A teraz zamknijcie oczy i nie krzyczcie. Będzie trochę bolało.

— Jeszcze nigdy nie krzyczałam — mówi twardo i łamie sobie głowę na starość, dlaczego też tu lampy wiszą u powały, zamiast stać na stole.

Poszło tak szybko, że ledwie raz zdążyła jęknąć, a Hanna widziała tylko kilka błysków noża. Trzy cięcia i materia popłynęła strumieniem. Jons rzuca okiem na dziewczynę. Zbladła, ale ręce jej nie drżą, więc daje jej znak, że dobrze.

— No, Krollowa — mówi Jons. — Teraz będzie mniej bolało. Ale przyjrzyjcie się — i pokazuje jej na końcu sondy drobną, czerwoną drzazgę.

— Co, z takiego gówna? — pyta z lekceważeniem.

— Tak, i z odrobiny braku czystości, Krollowa.

Przewiązuje ranę, zakłada rękę na temblak i nakazuje jej spokój i oszczędzanie się.

— Mogłoby się inaczej skończyć — mówi.

Patrzy na niego nieufnie z ukosa i odchodzi bez słowa. Gdy każe jej przyjść nazajutrz, kiwa tylko głową.

Ale po południu przysłała jej synowa i podała Jonsowi z zakłopotanym dygnięciem barwną, czerwoną chusteczkę, z której wydobył sześć jaj.

— Wszystkie sześć od niej? — zapytał Jons z uśmiechem.

Zaczerwieniła się i dopiero po chwili przyznała, że sama dołożyła trzy. — To było do niczego niepodobne — rzekła — jak to wyglądało?

— Wyglądało na świekrę — rzekł wesoło — a teraz wygląda na ciebie. Zaniósł je sam do kuchni, położył na białym stole i popatrzył na nie.

— Spójrz no, Hanno — rzekł — oto nasz początek, i uważam, że nie najgorszy. Mój profesor wziąłby dwieście marek, ale tego nie mogliśmy zjeść na wieczerę.

Po południu zabrał Jonsa mały waszątek do wsi za „Rajem”, do kobiety z ciężką anginą, a kiedy jeszcze otwierał wrzód, nadjechał mały rozklekotany samochodzik i przewiózł go do jednego z tartaków, gdzie piła weszła człowiekowi w rękę. Nie było tam chusteczek z jajami, ale i tu, i tam zyskał sobie szacunek i podziw spokojem, a także życzliwością z jaką przygotowywał zabieg oraz bezwarunkową pewnością, z jaką go wykonał. Nikomu nie przyszło na myśl, że mógłby się pomylić. Rzucano się w oczy, że zwyciężał cierpienia a fakt, że używał gumowych rękawiczek, był tak niewiarygodny, że już tego wieczoru obiegił wszystkie wsie dookoła jeziora. Dla wiosek było to coś takiego, jakby pastorowi na ambonie na początku kazania srebrne skrzydła z sutanny wyrosły.

Dotarł on także do lekarza we wsi kościelnej nazwiskiem Lustig. Ale ten wzruszył lekko ramionami, spojrzął obojętnie na swe niezbyt czyste paznokcie i rzekł z pogardą:

— Oto hocki-klocki, z jakimi takie typy zaczynają konkurencję.

Natomiast gruby właściciel tartaku pochłaniał swymi lekko wylupiastymi oczami strzykawkę, nóż, nożyce i igły, odetchnął ciężko, gdy było po wszystkim, i rzekł z nabożeństwem:

— Niech kto inny coś takiego pokaże, doktorze. Znam panów kolegów od trzydziestu lat, a u mnie co miesiąc coś wypadnie. Może pan liczyć, że w razie czego każdy tartak po pana pośle. Już ja się o to postaram. To co widziałem, to istny cud!

Już się ściemniało, gdy rozklekotany wóz wysadził Jonsa przed drzwiami domu. Jons był zmęczony, ale zatrzymał się chwilę, by popatrzeć na cichą zorzę wieczorną. Okiennice były zamknięte, na kominku płonął ogień, lampa stojąca rzucała blask na pokój, który wyglądał tak, jakby od dziesięciu lat cisi ludzie siadywali tu wieczorami. Dziewczyna przyniosła jedzenie, a gdy Jons nie patrzył, rozglądała się trwożnie dokoła, jakby jakiś głos jej wołał, że to ostatni dzień bajki, i że jutro obudzi się przy obcym ognisku w sukni przyprószonej popiołem.

— Dzień dobry, Hanno — rzekł Jons stając przed ogniem i nabijając swoją fajeczkę.

Dni są coraz dłuższe, a za każdym razem, gdy Jons wraca do domu, zorza wieczorna przesuwana się na palec ku północy. Są coraz dłuższe, ale upływają coraz szybciej, i Jons nieraz nie wie, jak mogą tak szybko przemijać. Kupił stary rower i krąg jego życia rozszerza się coraz bardziej, w głąb lasów i poza ich granice. Nie dokonuje

cudownych uzdrowień, nie jest panem śmierci. Ale jego oko jest nie-przekupne, ręka spokojna i łagodna, i nie zostawia serca poza drzwiami, gdy wchodzi do małych, dusznych izdebek, gdzie zwracają się ku niemu wystraszone oczy. Zapomniał o wielkich klinikach, lśniących salach operacyjnych, do których tajny radca wchodzi jak

Bóg. Ale nie zapomniał o Lawrenzu ani o swoim ojcu. W przerwie swego życia przeszedł przez królestwo czystego umysłu, a teraz nawiązuje znów do tego wątku, co zaczął się przy mielerzu. Nie prowadzi badań nad rakiem, nie szczepi świnek morskich, nie zastanawia się nad sprawiedliwością na polu. Ma przed sobą biednych, prostych ludzi, zapalenie płuc, kręgosłup naruszony przez upadające drzewo, rękę, co dostała się między pasy napędowe w tartaku. I dzieci, wiele dzieci, źle odżywionych, mało pilnowanych, z krzywicą, szkarlatyną, błonicą. Nie żyje jak Lawrenz, nie myśli o honorariach jak koryfeusze, nie ma w domu rajskiego ptaka, jak lekarz sztabowy. To są jego strony, jego ludzie; Oni go wydali choć serca ich były może ciasne i nędzne. Wiele poniesiono dla niego ofiar i wyrzeczeń, znoszono niedostatek. I wielu na niego czekało, by się nimi zajął, gdy od pokoleń nikt się nimi nie zajmował. I kiedy w jego dalekich wędrówkach za jałowymi polami wynurza się znów jedna z wiosek, otoczona lasem, osnuta ogromnym niebem, wtedy przypomina sobie słowa ojca, że w każdej z takich wiosek mógłby się Chrystus narodzić. A gdy schodzi z roweru, opiera go o drewnianą ścianę i zdejmuje z siodełka dużą teczkę z instrumentami, zdaje mu się, że śledzą go ciche oczy, gdy pochyła się pod framugą drzwi, i upominają go, by nie lekceważył nikogo z tych, co pod kratkowaną poszwą czekają na niego z rozgorączkowanymi oczyma.

Dziwi się nieco, że dotąd nie wzywano go do porodu, ale rozumie dlaczego, i to potrzebuje czasu. Przez stulecia te wielkie sprawy odbywały się po cichu, i nikt się o nie nie troszczył oprócz babek wiejskich. Pan Bóg w swym planie stworzenia nie postawił obok rodzących lekarzy, tylko boleści, a w następstwie to jest główną przyczyną, że Jons nie jest żonaty. To takie małe uprzedzenie, obawa tych, co zachowali staromodną czystość duszy, ale Jons wie, że i to minie. Potrzeba tylko czasu, a może i szczególnej okoliczności.

Przychodzi ona szybciej niż Jons myślał, potem z cichym biciem serca będzie wspominał tę noc sobótkową w pierwszym swym roku.

W Sowirogu zapalono ogień na najwyższej polnej miedzy. Jons wrócił do domu jeszcze przed północą, bo nie lubił być poza domem w porze nocnej, a Hanna stała przy telefonie i podała mu słuchawkę.

Był to jeden z dużych majątków za jeziorem, a mówił sam młody pan von Bohnen, który ożenił się przed rokiem. Głos miał ochryply i trwało chwilę, nim Jons wszystko zrozumiał. Jest doktor Lustig i oznajmił, że nie ma nadziei. Można by może dziecko zabić, ale i to prawdopodobnie nie ocali matki. Nienormalnie wąska miednica, czy coś w tym rodzaju.

„Lawrenz”, pomyślał Jons. „To Lawrenz mnie wzywa”. Zapytał, dlaczego nie przewiozą kobiety do szpitala powiatowego.

— Doktor Lusting oznajmił, że już jest na to za późno, tam także nic nie pomogą.

Jons umilkł na chwilę, wsłuchując się w ciężki oddech na drugim końcu przewodu. Był gdzieś daleko, a od czasu do czasu przerywał go lub przesłaniał cichy brzęczący ton, jak sygnały z wielkiej międzygwiazdnej przestrzeni.

— Proszę natychmiast po mnie przysłać — rzekł w końcu. — I proszę przygotować wszystko do operacji według wskazówek doktora Lustiga.

— Tak jest — odparł głos. — Tak jest i tysiącne dzięki, panie doktorze...

Jons odłożył słuchawkę na widelki, wpatrywał się w tarczę z numerami, a potem odwrócił się. Dziewczyna ciągle jeszcze stała jak przedtem.

— Boisz się? — zapytał cicho. Potrząsnęła głową.

— To będzie ciężka noc, Hanno — rzekł. — Musisz jechać ze mną i być bardzo dzielna. Obawiam się, że doktor nie będzie miał chęci nam pomóc.

Zapakowali wszystko do walizki, a Jons raz jeszcze obejrzał każdy przedmiot. Nie potrzebował już zaglądać do ilustracji, które kiedyś podsunął mu Lawrenz. Pomyślał jednak, że los nic na darmo nie czyni. Jak mądry gospodarz.

Wielki wóz jak mroczny upiór zatrzymał się przed drzwiami i tylko reflektory rzucały dwie długie smugi światła na chaty wioski. Szofer zdjął czapkę, a Jons usiadł obok niego. Ogień sobótkowy wciąż jeszcze płonął, a postaci przed nim wyglądały jak cienie na tle czerwonego żaru. Północno-wschodnie niebo było już białawe, ale może było to jeszcze niebo wieczorne, niepostrzeżenie przechodzące w jutrznię. Nad moczarami stała biała ściana obłoków, a stosy torfu przy drodze wyglądały jak wielkie, ciemne domy, kurczące się w świetle reflektorów. Kszyki wołały, a od dojrzewających pól dochodził ze wszystkich stron monotony głos derkacza.

Oboje poczuli dreszcze i otulili ściślej kolana kocami.

Pan von Bohnen miał szczupłą twarz o ostrych rysach, która teraz wyglądała mizernie. Gdy szedł przed nimi po schodach na górę, Jons zobaczył, że nosi buty z ostrogami do konnej jazdy. „Mógłby przynajmniej zdjąć ostrogi”, pomyślał jeszcze.

Doktor Lustig ledwie dostrzegalnie skinął głową. Jego nabrzmiała twarz była ponura, a zmęczone oczy patrzyły niezycliwie na Hannę, jakby ona ponosiła winą za tą katastrofę.

Pani von Bohnen miała na czole kropelki potu i zwracała ku Jonsowi wielkie, pałające oczy. Trudno było zmiarkować, czy lęka się, czy mu ufa.

Zbadał ją szybko i dokładnie, zadał kilka pytań i siadł na brzegu łoża. Wziął ją za rękę i patrzył przez chwilę swymi spokojnymi oczyma. — Robiłem to kiedyś — rzekł — i udało mi się. Drugi raz może się nie udać, ale będę za to odpowiadał. Po to tu jestem. Zgodnie z prawem musicie państwo oboje wyrazić zgodę.

Uczynili to bez wahania.

— Myślę, że mi pan doktor Lustig dopomoże — rzekł Jons.

Doktor ani myślał. Uchyłał się od wszelkiej odpowiedzialności. To szaleństwo odważyć się na taką operację w prymitywnych warunkach. To zbrodnia i on nie chce do tego przykładać ręki.

Jons słuchał w milczeniu, rzuciwszy tylko przelotne spojrzenie na ciężkie ręce lekarza.

Zapytał tylko, czy mimo to się zgadzają. Potwierdzili oboje.

— Czy to prawda, że pan jest synem węglarza? — zapytała kobieta. Tak, to prawda, i dlatego właśnie to robi.

Do sypialni przytykała łazienka, w której przygotowali wszystko. Hannie ręce drżały, gdy Jons przemawiał do niej cicho. Przytakiwała, ale oczy miała rozwarłe i wystraszone. Doktor stał przy oknie wpatrzony we wschodzącą jutrzenkę.

Położyli materace na długim, niskim stole i przenieśli tam panią von Bohnen na prześcieradle. Pomagały dwie półprzytomne dziewczyny i położna. — Czy wszyscy mają wyjść? — zapytał dziedzic. Jons potrząsnął głową i wskazał tylko róg pokoju, gdzie stała zielona sofa i parę krzeseł dookoła okrągłego stołu. „To tak, jak u Lawrenza”, pomyślał znowu i wiedział, że mu się uda.

Zanim założył pani von Bohnen maskę, wziął ją za rękę, wyczuł tętno i pochyliwszy się nad nią rzekł cicho: — Proszę wierzyć! Nic więcej.

Uśmiechnęła się do niego. — Pan jest dla mnie jak zbawca — odszepnęła. Jej myśli już mieszały się zapewne.

Jons surowym ruchem odprawił lekarza, który chciał zbliżyć się do stołu. Następnie oboje z dziewczyną założyli maski. Zaczęła się narkoza.

W pokoju było cicho jak na pogrzebie. Tylko nieduży zegar szybkimi uderzeniami przemierzał czas, ale Jons nie potrafił sobie zdać sprawy, gdzie stoi. Pierwsze ptaki odezwały się w parku, a Jons odróżnił uchem śpiew piegży. „Będzie piękny dzień”, pomyślał. „Zaczyna się lato”. Spojrzał raz jeszcze na obszerny pokój. Wkręcili najsilniejsze żarówki, jakie posiadali, i w białym ich świetle meble rzucały ciężkie cienie. Doktor, oparty o framugę okna, utkwiał wzrok w stół operacyjny. Jego oczy ciągle jeszcze były złe, a bladość twarzy widoczna była w świetle lampy. Pan von Bohnen ukrył twarz w dłoniach tak, że nie było widać jego oczu. Ostrogi lśniły jak srebrne gwiazdy. Położna siedziała wyprostowana i nieruchoma, jej pełna zmarszczek twarz była surowa i uroczysta. Obie dziewczyny modliły się.

Pani von Bohnen zaczęła liczyć, uważnie i dokładnie, jak dziecko w szkole. Przy „dziesięciu” usnęła i nastąpiło milczenie, jak w najgłębszej otchłani.

Hanna wzięła dwa niklowane instrumenty, podobne do małych szponów, by rozsunąć ścianki rany, a Jons lekko, z niezmierną ostrożnością, przyłożył nóż. Widział, jak dziewczynie ręce zadrżały, gdy pierwsza czerwień ukazała się na bieli skóry, a potem zastygły w bezruchu. Nachylił się nisko, nie mówiąc ani słowa. Parę razy przeszedł długim szybkim krokiem do wezglowia stołu, przysłuchiwał się oddechowi śpiącej, wyczuwał tętno. Biło powoli i równomiernie.

Kiedy wydobyl dziecko, tak ostrożnie jakby i ono i matka byli ze szkła i zobaczył, że jest zdrowe i dobrze zbudowane, odetchnął głęboko i przywołał wzrokiem położną. Następnie zszyl brzegi rany, jeden po drugim, założył opatrunek, naciągnął z powrotem prześcieradło na ciało i oparł się obu rękoma o stół. Przez chwilę widział tylko czarną, bezgraniczną, nieskończoną przestrzeń, wypełnioną drobnymi gwiazdkami poruszającymi się po małych krzywych. A potem znowu usłyszał ptaki i ujrzał postać dziewczyny, białej jak mniszka w swym okryciu, tak jak on opartą oburącz o stół i tak jak on milczącą jak figura nagrobna.

Kazał zgasić światło, odsłonić firanki i otworzyć okna. Za wierzchołkami drzew wstała zorza poranna, jak ściana ognia, a do pokoju wtargnęło powietrze, chłodne, czyste i pachnące sianem.

— Jeszcze nie wszystko wygrane — rzekł do dziedzica. — Na razie tylko dziecko. Ale ufam, że wszystko będzie dobrze.

Ujrzał łzy w oczach tamtego i położył mu na ramieniu rękę. Zdawało mu się, że jest od niego starszy o całe ludzkie życie.

Dał wskazówki położnej, a ona potwierdziła. — Gdyby pana ojciec tego dożył... — rzekła cicho.

Doktor Lustig zgodził się pozostać i uważać na tętno. Wóz miał czekać w Sowirogu, a co godzina pan von Bohnen powinien dzwonić. Po południu Jons przyjedzie znowu. Do tego czasu nie wyjdzie z domu.

W przedsionku i przed gankiem stało wielu ludzi. Jonsowi zdawało się — gdy wszyscy spojrzeli na niego, a on uśmiechnął się do nich — że zna każdego z nich z osobna. — Doktorze — rzekł pan von Bohnen, otulając mu kolana kocem — nie zapomnę tego panu aż do śmierci.

Po drodze nie odezwali się ani słowem i dopiero gdy w domu otworzyli okiennice i stanęli w przestronnym pokoju, dziewczyna nagle przycisnęła rękę do twarzy i zanosła się płaczem.

— Już po wszystkim, Hanno — rzekł gładząc kojąco jej włosy. — Już po wszystkim i dobrze się spisałaś. — Potem odprowadził ją po schodach na górę, aż do izby. — A teraz śpij — rzekł — póki cię nie obudzę.

Potem siedział przez chwilę na piasku nad brzegiem jeziora i patrzył, jak wschodzi słońce.

Pani von Bohnen przeszła wszystko bez komplikacji, a ludzie znad jeziora narobili wielkiego rozgłosu. Miejscowy reporter napisał do gazety powiatowej artykuł, z którego można by mniemać, że Jons pokrajał młodą dziedziczkę od stóp do głowy.

Jons wziął ze sobą gazetę, by jej to przeczytać. — Może to Maschlanka napisał? — rzekł z uśmiechem. — On już raz mówił o „herosie umysłu”. „Gromko”, jak mówił pan von Balk. Czy ona zna Maschlankę?

Nie, nie zna. Ale położyła swą przezroczystą, ozdobioną pierścieniami rękę w jego ciemnych dłoniach i spojrzała na niego. — Kiedy położyła po raz pierwszy powiedziała o panu, wtedy, w nocy, doktor wzruszył ramionami i powiedział: „Węglarczyk”! I mój mąż też wzruszył ramionami. Ale ja wiedziałam, kim pan jest, gdy siadł pan przy mnie na brzegu łóżka. Widziałam, że pańskie oczy widzą dziecko.

Potwierdził. — Święte życie — rzekł. — Musi się wiedzieć, że wszelkie życie jest święte.

Ludzie z Sowirodu nosili się tak, jakby każdemu z nich cesarz podarował swój portret, a Barbara wypytywała niestrudzenie, czy dziecko otworzyło oczki, gdy uniósł je w słońce.

Pan von Balk nie mówił nic, tylko pewnego dnia zjawił się małym wasążkiem zaprzężonym w wysokonogiego kasztana, spojrzawszy w zamyśleniu na kopyta konia i zauważył, że to chyba w sam raz kłusak dla słynnego lekarza wiejskiego. — Dla Kuby Rozpruwacza — dodał. Na zimę będą jeszcze sanie. Rower, to dobre dla Maschlanki, żeby przyhamować nieco jego gadaninę. Ale lekarz potrzebuje spokojnej ręki i spokojnego serca.

— A czy za następnym razem — zapytał Jons — pan von Balk nie przywiezie mu przypadkiem wozu o stu pięćdziesięciu koniach mechanicznych?

Nie, tego pan von Balk nie robi. — Jest mała różnica, Jons — rzekł.

— Przynajmniej dla takich, jak my. Konie pachną, wozy śmierdzą. Ot co. O konia będzie się troszczył syn Goguna, któremu obecnie przekazał rybactwo. To problematyczna natura, ale co do ryb można na nim polegać.

Było to wielkie ułatwienie dla Jonsa. Nawet wytrawny rowerzysta nie może myśleć na wąskiej ścieżynie porosłej starymi korzeniami. Nie może nawet widzieć lasu, wody i nieba, chyba przez krótką chwilę. Teraz jadący miał szeroki widnokrąg, a podczas deszczu można było nawet otworzyć niską budkę. A zdarzało się, że widziano młodego doktora rozpartego na siedzeniu z książką w ręku, zaczytanego, a za nim cienka biała ściana pyłu słała się z wolna po polach. — Ciągle jeszcze studiuje — mówili ludzie nad brzegiem moczarów czy przy snopach zboża. — Będzie chyba najmądrzejszym człowiekiem w okolicy.

Jons nie miał już powodu, by spoglądać z pewnym smutkiem na tabliczkę z napisem „położnik”, i kiedy pierwszy chałupnik ze wsi za moczarem zjawił się u niego i nieporadnymi słowami oznajmił, że „kobita mu zległa”, poczuł się po raz pierwszy całkowicie i bez zastrzeżeń uznanym za swego w tej okolicy. A doktor Lustig siedział teraz niejedną wieczór nad swoją księgą pacjentów, dodawał liczby, porównywał z rokiem zeszłym i patrzył ponuro na wynik, który zapisał ciężką ręką. — Ci młodzi — mruzczał — są bez skrępowań i bez respektu...

Ale dopiero sprawa z Piontkiem stworzyła niewzruszony fundament, na którym mogło się oprzeć jego życie jako lekarza. I u niego nie brakło niepowodzeń i on nie mógł zwyciężyć śmierci. Ale miał to za sobą, że szybko to rozpoznawał i wypowiadał, i że niepowodzenia nie pochodziły z błędu jego ręki lub jego oka. Po sprawie z Piontkiem nie było już po wioskach wątpliwości co do jego sztuki, bo uczynił dla prostego człowieka to, co dotychczas tylko dla znakomitości czyniono. Tak, wziął go nawet do „komory diabelskiej”, jak nazywano komorę rentgenowską. Zmusił pana von Balka, by nałożył rękawiczki i maskę, a gdy przyszło do zapłaty, doktor tylko uśmiechnął się i rzekł: — Gdy będę kiedyś z wami siedział przy ogniu, Piontek, połóżcie mi na żarze najpiękniejszego borowika i opowiecie najpiękniejszą historię. I wtedy będziemy rozliczeni na czysto.

Było to pewnego letniego wieczoru, bydło wróciło już, do wsi. Jons siedział z panem von Balkiem przy otwartym szerokim oknie i przyglądał się, jak nurki na jeziorze wyczyniały swe wieczorne igraszki.

— Piontek przyszedł — rzekła dziewczyna.

Gdy go wprowadzono, stanął oparty na lasce, a jego rozgorączkowane oczy błyszczały niczym srebrne kolczyki w jego uszach. — Już nie poradzę, Jons — rzekł cicho. Było mu widocznie nie na rękę, że był tu i pan von Balk, ale potem tylko ku Jonsowi zwrócił oczy, pokorne oczy starego człowieka, który był u kresu swych sił i swej samotności. Jons wstał szybko, doprowadził go do jednego z krzeseł i położył palec na przegubie ręki. Miał wysoką gorączkę i Jons przyłożył rękę do prawej strony jego podbrzusza. — Wiedziałem, że coś jest nie do rzeczy, Jons — rzekł. — Już dawniej. Może to to, a może co innego. Ale ty będziesz wiedział. Mówią, że ty człowieka rozkrajasz i wiesz. Przez całe życie nie chodziłem do doktora, ale do ciebie przyszedłem, boś ty syn Jakuba.

Jons patrzył przez chwilę na szarą, setkami zmarszczek pooraną twarz okoloną białymi włosami, w której zawierała się cała historia wsi Sowiróg. Widział mały ogródek pasterski, przy którym siadywał od dzieciństwa i słyszał dźwięk rogu, co „budził echo”.

— Ile lat macie, Piontek? — zapytał.

— A będzie chyba coś siedemdziesiąt pięć. Pasłem już, gdy szli na wojnę duńską.⁵

⁵ Wojna prusko-duńska, 1864 r. [przyp. tłum.].

— Rozepnijcie, bym mógł rękę włożyć.

Wyczuł twardy obrzęk; Piontek drgnął, gdy ostrożnie przesunął tam rękę.

— *Typhlitis stercoralis* — rzekł cicho do Balka.

— Bardzo to pięknie i dźwięcznie — odpowiedział Balk cicho — ale co to znaczy?

— Ślepa kiszka. Ostatnie stadium.. Jeszcze was prześwietlę, Piontek — rzekł. — Nie chciałbym się mylić co do was.

— Nigdy się nie omylisz, Jons — odparł Piontek. Ale gdy wszedł za zasłonę, i przyłożył ramiona do chłodnego żelaza, zadrżał. — Nie uśmiercisz mnie chyba? — zapytał.

— A jeśli już, to zrób to na moczarach, a nie w tej komorze.

— Już — rzekł Jons.

Światło zgasło i donośne brzęczenie zabrzmiało w pokoju niby głos duchów. Piontek zatrząśł się jak stare drzewo i oczekiwał śmierci.

— Nie myliłem się — rzekł Jons. — Przygotuj wszystko szybko, Hanno! Musimy zaraz operować.

Wrócił szybko do dużego pokoju i wyjął instrumenty z szafy. — Musi mi pan trochę pomóc, panie von Balk — rzekł. — W każdej chwili może nastąpić wylew. Wszystko wisi na włosku.

Pracowali szybko i bezgłośnie, i zanim Piontek mógł zmiarkować, co ma się stać, leżał na stole operacyjnym i widział jak przez mgłę trzy białe ubrane widma kręcące się koło niego.

— Muszę to wyjąć, Piontek — rzekł Jons pochylając się nad pastuchem i parząc mu przyjaźnie w oczy. — Nie będziecie się bać, prawda? Zaśniecie, a potem wszystko będzie dobrze. Ani gorączki, ani bólów. Zrobię to tak, jak byście byli moim ojcem.

— Wiem, Jons — rzekł pastuch po chwili. — W ręce twoje oddaję ciało moje.

Balk chrząknął z lekka, gdy Jons rozdzielił ścianki brzucha, ale potem stał bez ruchu, z palcami na tętnie nieprzytomnego patrząc na rękę prowadzącą nóż.

— Za godzinę byłoby może za późno — rzekł tylko Jons, gdy skończył.

Posłał Hannę do sołtysa, by kazał przygotować izbę dla Piontka i prosić Erdmutę, by się podjęła opieki. Potem siadł z panem von Balkiem przed drzwiami, nabił fajeczkę i spojrzał na wieczorne niebo, jaśniejące czerwono za sosnami.

— Słyszał pan, co on powiedział? — zapytał cicho po chwili. — W ręce twoje...?
Tak nikt jeszcze do mnie nie mówił.

Pan von Balk chrząknął znowu. — Także nikt w Sowim Zakątku nie brał się jeszcze do takich rzeczy, Jons — odpowiedział.

A potem milczeli, aż przyszli ludzie, by znieść nosze do domu Grünheida.

Szli wszyscy razem, w jasną letnią noc, kiedy latały nietoperze. Ludzie z Sowirodu stali przed drzwiami, a dziewczynka, co już zaplatała warkoczyki na noc, rzekła cicho do stojących obok niej:

— Zabił go... rozciął mu brzuch i zabił go...

Ale matka rozgniewana szarpnęła ją za rękę i wepchnęła przez drzwi do domu.

— Pójdę już, Jons — rzekł Balk, gdy znowu stali, przed domem Jerominów. — Mam całą masę rzeczy do przemyślenia podczas drogi...

Biorąc lejce z rąk Jana nachylił się jeszcze raz do Jonsa i rzekł.

— Choćby na to poszedł cały las, do ostatniego drzewa — nie byłoby szkoda.

Rozdział 12

O tej wiosnie długo jeszcze mówiono w Sowirogu. Także później, gdy nadeszły ciemne lata, wspominali sobie ludzie czas, kiedy to Jons uratował dziedziczkę i pastucha Piontka, ten czas, kiedy to zdawało się, że oblicze boże jawnie ponad nimi jaśniało. Tacy już byli, że niecodzienny czyn ludzki bez czynnego współudziału Boga nie wydawał im się możliwy.

W świecie, daleko poza wioskami, coraz gorzej działo się w nowej republice. Była jak zagoniony koń, który raptownie nabiera rozpędu, a potem zatrzymuje się, by zaczerpnąć oddechu. Nie mieli bezrobotnych w Sowirogu, bo lasy rosły w republice tak samo jak w cesarstwie. Tak samo ryby, ziemniaki i żyto. Dochodziło ich z miast to i owo, ale co słyszeli, tego nie rozumieli, i tylko kręcili głowami.

A w Sowirogu pędzili swe ubogie życie, jak zawsze. Ale prócz tego mieli młodego człowieka, co nieustraszenie zmagał się ze śmiercią i nieraz powalił ją na ziemię, tak że kuśtykając zabierała się precz zawstydzona. A prawie równie wielki był teraz Piontek. Był on w komorze diabelskiej i Jons rozciął mu ciało, a pan von Balk tak długo trzymał go za tętno, że przez ten czas można by wodę w kotle zagotować.

— Liczysz, bracie — opowiadał Piontek wsparty na swej procy — jak kiedyś w szkole... raz, dwa, trzy i tak dalej. Pachnie ci słodko w nosie jak kruszyna, ale całkiem inaczej. I nagle ci brak powietrza i lecisz w głąb jakby w czarną studnię. Bronisz się, rzucasz się mu do gardła, ale cię przywiązali, spryciarze, i zanim zdążysz krzyknąć, już cię ma, jakby cię siekierą w łeb rąbnęli.

Zwracał ku słuchaczowi swe jasne, przenikliwe oczy rozkoszując się widokiem dreszczu przebiegającego jego ciało.

— A co potem — mówił dalej w zamyśleniu — tego, bracie, nawet nie widzisz. To opowiadają ci długo, długo, gdy już jest po wszystkim. A najkomiczniejsze, że przez cały czas jest przy tym dziewczyna. Rozciąga ci brzuch jak harmonię, dwoma szczypcami, aby on mógł lepiej wycinać. A gdy już wyciągnie tego diabła, co bóle robi, zaszywają znowu, jak dziurę w sukmanie, a za chwilę wstajesz i możesz płoty przesadzać, jakbyś miał siedemnaście lat.

Na wskroś przenikał drugiego badawczymi oczyma, jakby widział jeszcze i inne rzeczy, które przemilczał, by nie budzić w nim wątpliwości co do bożego ładu.

Słuchacz wzdychał, a po chwili zapytywał niekiedy: — A jeśli coś w tobie zapomną, szcypce albo piłkę, i zaszyją, to co wtedy?

Piontek zaś brał lekceważąco prymkę i odpowiadał z godnością:

— Zapomną? Taki doktor jak Jons nic nie zapomni! On nie nazywa się Lustig, bracie, tylko Jeromin.

A potem, powróciwszy już znowu do swego stada, obraca się raz jeszcze i mówi: — A zresztą, szczękałoby, gdy przesadzasz płot, a nie szczęka.

Ale kiedy Jons następnym razem zatrzymuje się przy nim na swym wózku, pyta jednak, klucząc zrazu cokolwiek, jakby to było, gdyby jaki inny doktor coś zapomniał w rozciętym brzuchu, szcypce na przykład albo dłućko?

— Zdarza się czasem, Piontek — odpowiedział Jons z uśmiechem.

— Gdy się bardzo śpieszą. Ale wtedy robią drugi raz to samo i wyjmują. Martwicie się?

Nie, Piontek się nie martwi. — To komiczne jednak, że wy tak możecie naotwierać i zamykać, jak pudełka z brzoźowej kory. I długo patrzył na unoszącą się nad ulicą białą chmurę pyłu, wolno i leniwie ciągnącą się ponad moczarami.

Syn Goguna mieszkał teraz na wyspie i był następcą dziadka Michała. Z rana i wieczorem przyjeżdżał do Jonsa, by oporządzić konia, a potem stanąć na chwilę w otwartym oknie, zapatrzony w tajemniczy pokój, co wydawał mu się królewskim i wypytywał coś nieoś o wiele chorób, jakie doktor potrafił leczyć.

— Nie chciałbyś tu zamieszkać, Janie? — zapytał Jons.

— W szopie jest duża izba, a zimą wstawimy piec.

Ale on potrząsnął głową. — W izbie tchu nie mogę. złapać — odpowiedział. — A mnie trzeba... I zrobił nieokreślony ruch za jezioro. — I prędzej tu człowieka znajdą — dodał po chwili.

- Kto?

Lecz on tylko wzruszył ramionami, a potem zamyślił się i poszedł wolno do swej łodzi.

Najrzadziej widywał Jons małego Michę. Mieszkał on teraz ciągle u sołtysa i było prawie pewne, że przejmie gospodarkę. Gdy Jons jechał przez pola, widział go często z daleka, jak nakłada snopy lub orze kawałek ugoru, albo zwozi z lasu drewno na opał. Szczupła, cicha postać o bezgłośnych ruchach, poważny i milczący, jak

dorosły. A nawet gdy podnosił rękę, by skinąć Jonsowi, wyglądało to tak, jakby stary człowiek pozdrawiał równego sobie.

Rzadko bywał w domu doktora, a gdy go Jons zapytał, czy nie miałby ochoty zostać jego pomocnikiem, potrząsnął głową, spojrzął na Jonsa swymi poważnymi oczyma i rzekł, że woli orać. Chorzy też muszą mieć chleb, by powrócić do sił.

Mówił o nim z Erdmuthą, ale także ona potrząsała głową. — Nic o nim nie wiem — rzekła. — Myślę tylko, że jest taki jak Michał, ale i o nim nikt nic nie wiedział.

Barbara wyrosła na dużą, ładną dziewczynkę i co dzień po dwie godziny siadywała u Stillinga „aby zmądrzeć”, jak mówiła z uśmiechem. Ale najwięcej czasu przepędzała w domu doktora i pomagała Hannie podczas przyjęć. Miała miękką, spokojną rękę i nie było wątpliwości, że zostanie pielęgniarką. — Zobaczymy, panienko — rzekł Jons. — Nie każdej pielęgniarce jest tak jak tobie tutaj, i nie widziałś jeszcze w życiu siostry oddziałowej.

— Czy one są złe? — zapytała Barbara.

— Są surowe i pełne godności, i lubią rządzić. A gdy kobiety rządzą równymi sobie, najczęściej bywa to, co się nazywa dyktaturą.

— A co to jest dyktatura? Zamurują tych, co nie są posłuszni?

— Tak mniej więcej. Zamurują im usta, a to prawie na jedno wychodzi.

Patrzyła chwilę w zamyśleniu przed siebie, a potem potrząsnęła głową. — Mnie nie zamurują, Jons — rzekła. — Jestem na to za ładna.

Jons mrugnął oczyma. — Właśnie najładniejsze sobie wyszukują, Barbaro. Te bowiem są najniebezpieczniejsze. A poza tym wyjdiesz za mąż, a być żoną lepiej, niż być siostrą.

— Kto wie — rzekła w zamyśleniu. — A prócz tego jesteś stary kawaler i nic o tym nie wiesz.

— To znowu na pewno od Stillinga — zauważył z uśmiechem Jons.

— U nas nikt nie mówi „stary kawaler”.

Rozmawiał z Marią o dziecku, ale ona także kręciła głową. — Myśmy wszyscy byli zbyt trzymeni w ryzach, Jons — rzekła. — I dlatego teraz lubimy postępować przeciwnie. Nie przywiązuję już wielkiej wagi do wychowania. Niech patrzy na nas i to wystarczy.

Tego lata w jednej z izb domu Jerominów mieszkała panna Holstein i czuła się jak w raj. Jan wyjechał po nią na dworzec, a wieczorem powiedział Jonsowi, że to

była najosobliwsza jazda w jego życiu. Stilling nie wypytał go tyle przez wszystkie lata szkolne, i to o takie komiczne rzeczy. W młodych zagajnikach stoją tablice, a na nich wszędzie stare słowo „zakaz”⁶. Tutaj każde dziecko wie, co to znaczy: że nie wolno. Ale ona pytała, czy leśnictwo „Cakac”, jest tak wielkie, że się przez nie trzy godziny jedzie.

A po chwili rzekł w zamyśleniu, że sądzi, iż ona w rzeczywistości jest jeszcze wyższa i wieczorem, gdy nikt nie patrzy, przyciska sprężynę i wtedy wysuwa ukryte części i sięga aż do sufitu. — Ona pewnie musi spać na podłodze — powiedział.

Panna Holstein posiadała tylko dwie czarne sukienki sięgające prawie do ziemi. Nosiła staroświecką torebkę z kolorowych pereł i szkarłatną jaskrawą parasolkę. Nic dziwnego, że kobiety z Sowirogu otwierały usta ze zdziwienia, a dzieci szły za nią gościńcem, w milczeniu, tak jak gdyby to Maschlanka spacerował przez wieś na szczydlach. Co odważniejsze skubały ją od czasu do czasu za suknię, by przekonać się, czy jest rozpięta na siatce drucianej, czy też na żywym ciele.

— Małe dzieci powinny być dobrze wychowane i ułożone — mówiła odwracając się panna Holstein, ale to był znowu język obcy, którego nie uczono w Sowirogu.

Łatwo więc zrozumieć, że potem unikała gościńca i udawała się ścieżką leśną do chaty przy mielerzu, a gdy podążała tamtędy — czarna, wysoka i uroczyista — wśród wysmukłych sosen spotykała co najwyżej furmankę z drewnem, a chłop ściągał tylko lejce i patrzył za nią, aż zniknęła za jałowcami. Tylko czerwona parasolka jaśniała jeszcze poza pniami drzew, i było naturalne, że cała wieś nazywała ją „czarnym dzięciołem”.

— I to ona dla ciebie gotowała, Jons? — pytał Piontek. — Nie mogę sobie wyobrazić takiej wysokiej kuchni.

Pewnie gotowała na kominie, kiedyś ty był w szkole?

Ale nie było wątpliwości, że jest szczęśliwa, a gdy czasami przesiadywała u Jonsa, mówiła też o tym w swój nieporadny sposób.

— Myślę, panie Jons, że tu są nawet inne gwiazdy. Gwiazdy dla biedaków, jeśli tak można powiedzieć. I myślę sobie, że gdyby mój ojciec nie sprzedał majątku, może bym tak nie wyrosła. Może to stąd, że w mieście starałam się zawsze patrzeć ponad domy, a domy były za wysokie, tak jak żyrafy.

— To z czego innego, panno Holstein — rzekł Jons. — To sprawa pewnych gruczołów i tak zwanych hormonów.

⁶ W oryginale po polsku [przypr. tłum.].

— Tak, pan na pewno wie lepiej, panie Jons. Ale tu, gdzie drzewa są tak wysokie, wcale tego nie zauważam. Tylko dzieci są wszędzie jednakowe. Też by stały się „bandą”, gdyby do mnie przyszły.

— One tak nie myślą, panno Holstein. To tylko brak obycia.

— To nic nie szkodzi — rzekła. — Mogę przecie pójść do lasu. Ale musi pan wiedzieć, panie Jons, że to jest dla mnie jak bajka. Mało miałam bajek w życiu.

Tylko na Hannę patrzyła z głęboką, trwożną nieufnością. I dopiero po trzech tygodniach zapytała raz ostrożnie: — Czy to ta sama, panie Jons, co to z nią była ta okropność?

— Jaka okropność? — spytał łagodnie Jons.

Zaczerwieniła się i zaczęła czegoś szukać w swej wyszywanej perełkami torebce. — Myślę o niemoralności, panie Jons. Radca konsystorza, co to pana konfirmował, także to tak nazywał...

— On wiele rzeczy nazywał wielkimi słowami, panno Holstein. Może prócz belek we własnym oku. Ale czy ona się teraz pani wydaje „niemoralna”, gdy pani na nią patrzy?

— Nie, właściwie nie. Tak jak wszystko w ogóle tu jest inaczej, panie Jons. Może dlatego, że to tak gdzieś poza światem.

— Tak, odsunęliśmy się z tym dość daleko, by móc spokojnie pracować nad naszym postępem. Ale to wciąż jest, i myślę, że jakiś czas pozostanie.

— Daj Boże — rzekła cicho.

A później, kiedy odjechała, ze swą białą chusteczką przy oczach, przyjechał Lawrenz. Cichy gość, co mieszkał w domu Jerominów, jeździł trochę z Jonsem po wsiach i siadywał u niego wieczorami. Przywiózł z sobą dużą skrzynię wina porto i dużo małych skrzynek z czarnymi cygarami. Według dawnego zwyczaju wędrował za dnia wiele godzin przed siebie, gdzie oczy poniosą, siadywał przy moczarze lub na polnej miedzy, wstępował do każdej spotkanej na drodze chałupy.

Pewnego wieczoru napomknął mimochodem, że powinni jednak kiedyś zbadać tego Karsankego. Niewiele ma nadziei, ale myśli, że Korsanke jednak na to czeka.

— Boję się, doktorze — rzekł cicho Jons — i stale to odwlekam.

— Nie należy tak czynić, Jons. I nigdy nie wiadomo, czy nie będzie cudu.

Korsanke od razu zgodził się i rzeczywiście wydawało się, że na to czekał. — Wiesz, Jons — rzekł — że z tobą to jakoś inaczej. Przed tobą mogę spokojnie zdjąć mundur.

Siedzieli cały wieczór nad zdjęciami rentgenowskimi i w końcu Lawrenz powiedział, że jednak muszą spróbować. — Może zyskamy jednak parę lat, Jons, a przecie to jeden z twoich ludzi.

Tak, to była prawda.

— Będziemy to nazywać wrzodami, Jons. To lepiej brzmi i o tym zresztą on już słyszał. Czy mam z nim pomówić? Zdaje się, że ma do mnie trochę zaufania.

Korsanke był cichy i dzielny i zanim założyli mu maskę z chloroformem, spojrzał na Jonsa swymi zmęczonymi, zapadłymi oczyma i rzekł z uśmiechem: — Zabawne jest życie, Jons... wtedy, kiedy prowadziłem Daidę przy koniu i spotkaliśmy pastora, a potem była ta twoja sprawa o obrazę majestatu, kto z nas by pomyślał, że ja tu kiedyś będę tak leżeć i ty nade mną z nożem?

— Zrobimy to jak tylko można najlepiej, Korsanke — rzekł Jons. — Co stanie się z naszą wsią, jeśli nie będziecie mogli usiedzieć na siodle...

Musiał się jednak trochę zdziwić, gdy Korsanke w narkozie mówił o Kuternodze. — Nowe czasy go prześladowają — rzekł do Lawrenza.

Resekcja miała większy zasięg niż myśleli, nowotwór był przerażającej wielkości. — Czy my moglibyśmy jeszcze pełnić służbę, gdyby trzeba było taszczyć coś takiego ze sobą?

— Bośmy nie byli żołnierzami, doktorze — rzekł Jons.

Takimi starego pokroju, co to jeszcze mieli króla, za którego umierali, w czas pokoju czy na wojnie.

Korsanke szybko przyszedł do siebie, ale Jons sam mu napisał podanie o rentę. — Nie ma mowy, Korsanke — rzekł. — Siedźcie sobie teraz spokojnie przy pszczołach, a jeżdżenie pozostawcie młodemu.

— Już ty się będziesz miał z pyszna z tymi młodymi, Jons — odpowiedział Korsanke. — Ale przecie muszę cię słuchać.

W cichości rozporządził swym mieniem i jeszcze częściej przesiadywał u Stillinga. — Mądrzy są oni — mówił — okropnie mądrzy. A Jons pewnie jeszcze mądrzejszy niż tamten. Ale Korsanke ma za sobą czterdzieści lat służby i niełatwo go wywieść w pole.

Tak, to było wielkie lato dla Sowirogu. Był tu „czarny dzięcioł” i niesłychane rzeczy działy się w małym domku doktora. A pewnego ranka, podczas wielkiego połowu włokiem, złapali w sieci ogromnego suma. Był długi ponad dwa metry, jego wąsy sięgały do połowy grzbietu, a szeroka paszcza z podwójnymi rzędami zębów niby otchłań zła przeglądała przez oka sieci.

Cała wieś zebrała się dookoła niego, opowiadano historie o dzieciach, co ginęły w kąpielu, więc patrzyli pełni trwogi na tego głębinowego stwora, którego oczy o zimnym blasku rozwarte były na obcy świat.

Nawet i Czaja przyszedł, stanął przed rybą, wsparty na kij, utkwivszy swe jasne oczy w zimnych jej ślepiach. — Tak to jest, ludzie — powiedział. — I nie będzie wolno nikomu kupować ani sprzedawać, kto nie ma znaku na sobie; kto ma rozum, niech zrachuje liczbę bestii, albowiem jest to liczba człowieka, a liczba jego sześćset sześćdziesiąt i sześć.

I chociaż niektórzy podśmiewali się, a inni wzruszali ramionami, to jednak wszystkich coś niecoś dreszcz przechodził od jego dziwnych oczu i odciągali dzieci za rękę od brzegu, gdzie ciemna woda była jak zwierciadło, ale nikt nie wiedział, co za zwierciadłem się kryje.

Wielkie lato dla małej wioski, wypełnione wielkimi zdarzeniami. Parę razy stała śmierć nad brzegiem moczarów i musiała zawrócić, bo syn Jakuba był tutaj. Było tu paru młodych chłopców, którzy mówili z ludźmi o nowych czasach, całkiem nowych, ale i oni musieli zawrócić, bo w Sowirogu nie potrzebowali nowych czasów. Byli bardzo radzi pozostać przy starych.

A potem, kiedy liście klonu zmieniły barwę, pewnego wieczoru zapukał ktoś cicho do domku doktora. Jons i dziewczyna podnieśli głowy, myśląc że to chory, ktoś ze starych i wystraszonych, co to nie mieli odwagi zapukać do drzwi. Ale gdy Jons obchodził dom dookoła, w mrocznym świetle, pod ciężkimi chmurami wczesnej jesieni, stała tam jego siostra Maria, otulona chustką, trzymając za rękę wysokiego, zgiętego w ramionach mężczyznę, a on uśmiechał się jak cokolwiek przestraszone lub cokolwiek odurzone dziecko.

— Kto to? — zapytał przerażony Jons, ale zanim zdążył dokończyć zdania, wiedział. Poznał po bladej twarzy siostry, a może i po uśmiechu mężczyzny, będącym jakby odbłaskiem uśmiechu, który Jons przechowywał w którymś z zakamarków swego wspomnienia.

— Nie chciałam go prowadzić do domu — szepnęła Maria — bo by się dziecko na śmierć wystraszyło. Weź go, bracie kochany, i uzdrów. Ach, uzdrów go, bracie kochany! I oparła czoło o jego ramię, nie puszczając męża, który ciągle się uśmiechał i z dziecięcą ciekawością obmacywał materiał rękawa Jonsa.

Marcin miał na głowie wysoką, obszarpaną czapkę futrzaną, jaką się nosi na Syberii, a wszystko inne, co miał na ciele, stanowiły brunatne łachmany, gdzieś powiązane sznurkiem. Na nogach miał buty z cholewami, ale i one były powiązane rzemieniami, a z czubków wyglądały nagie palce.

Jons rozejrzał się dookoła, nim wprowadził ich do domu. Jak każdego wieczoru wznosił się przed domem ciemny mur wysokopiennego lasu, ponad którego koronami szybko przeciągały ciężkie chmury. Coś się jednak zmieniło. Światło czy milczenie, co zapadło nad ciemniejącą ziemią. Słabo oświetlone szyby okienne wioski wydawały się jakby cofnięte gdzieś w dal, a puszczyk w starym dębie wołał inaczej niż dotąd. Pierwsze zwiędłe liście szeleściły mu pod stopami, a kiedy otwierał drzwi przed sobą, westchnął.

Podczas gdy Hanna z przerażeniem w oczach puszczała gorącą wodę do wanny, Marcin siedział przy ogniu z założonymi rękami i patrzył z uśmiechem na błękitnawe płomienie. Posiwały jego długie, zmierzwione włosy, ale twarz, mimo całego wycieńczenia i okropnej samotności, pozostała jak dawniej. Była to twarz wesołego, nieco zdziwionego i cokolwiek lęklivego dziecka. Puls bił powoli i równomiernie.

Jons stał za Marią, opierając ręce na poręczy jej krzesła i patrzył na chorego. — Jak go znalazłaś, siostrze? — spytał cicho.

Dreszcz wstrząsnął jej ramionami pod ciemną chustą, ale potem znowu była zupełnie spokojna.

— Siedział już tam — rzekła cicho — nad brzegiem rowu i patrzył w moją stronę. Może patrzył także na wieś.

Nie wiem. Nie mówił ani słowa, ale gdy wyciągnęłam do niego rękę, zaraz ją pochwycił i wstał. Tak jakby na nią czekał.

— Z górą dziesięć lat na nią czekał, siostrze.

— Myślisz... myślisz, że mnie poznaje?

— Nie wiem, siostrze. Nikt z nas nie wie, co on rozpoznaje, a co nie. Teraz pozostanie w izbie Hanny, a my możemy tylko go pielęgnować, być z nim bardzo ostrożni. Żadnych pytań, trzeba tylko odpowiadać na jego uśmiech.

Posłał ją do domu Jerominów po bieliznę i jedno z jego ubrań, a potem wykąpał Marcina. Jego skóra była biała, nie pogryziona przez robactwo, tylko na plecach widniały długie, zabliznione smugi.

Przygotowali posłanie dla Hanny w dużym pokoju, a potem zaprowadzili go do izby na spoczynek. Pił mleko długimi, spragnionymi łykami, a chleb łamał w rękę cicho, niemal uroczyście, jakby odprawiał nabożeństwo. Potem wyciągnął się i natychmiast usnął.

Oczywiście, nie mogło się to ukryć i Jons wcale nie pragnął, by się ukryło. Owszem, żywił cichą, niejasną nadzieję, że z gromady przyjdzie cud. Z wspólnoty wszystkich starych i młodych, wszystkich dachów, ogrodów i płotów, z ziemi, gdzie zapuścił korzenie i skąd musiał wyruszyć na wielką wojnę, a wszyscy odprowadzili go na skraj lasu, do którego powrócił w drodze do domu.

Bo można było liczyć tylko na cud. Zbadał starannie chorego, nie znalazł jednak nic prócz wycieńczenia. Także pod krótko ostrzyżonymi włosami nie można było stwierdzić zranienia ani blizny. Jedno tylko było wyjaśnienie, że nazbyt miękkie serce rzucone w krwawiącą obczyznę nie wytrzymało naporu obrazów i zdarzeń i zaszyło się w tępą niewiedzę. Jakiego to rodzaju były poszczególne obrazy i zdarzenia, i czy poprzedziła je choroba, nikt z nich nigdy nie będzie wiedzieć. Wstąpił w mrok i otulił się, a Jons nie znał ręki, która by zerwała zasłonę.

Sprowadził książki od Lawrenza, ale one mu nic nie powiedziały. Z załączonego listu doktora wynikało, że i jemu także nic nie powiedziały. O ciele można było coś wiedzieć, ale na tablicy duszy można było tylko wypisać imię, a imiona oznaczały nienazwane.

Postanowił, by Marcin po paru dniach udał się do domu Jerominów, a sam chory zgadzał się na wszystko. Lubił siedzieć na słońcu i spoglądać na wioskę, ale nic go nie mogło skłonić, by wyszedł na ulicę. A kiedy następca Korsanckiego podjechał raz pod dom, chory uciekł schodami na górę i ukrył się w ciemnym kącie za szafą. Nie mówił nic, prócz paru słów rosyjskich czy mongolskich. Uśmiechał się tylko. I ten cichy, daleki, niemal martwy uśmiech był najcięższym brzemieniem, jakie nakładał na swe otoczenie. Przygniatał ich do ziemi i czuli, że nigdy nie rozpoznają jego prawdziwego oblicza, dopóki osłania je ta niezmienna maska.

Dziwne było dla nich wszystkich, że Barbara Ignęła do niego boleściwą miłością, i że ta miłość wyraźnie była odwzajemniona. Była już dużą dziewczynką, by

zrozumieć, co się tu dzieje, i nikt się nie dziwił, że jej pierwszym uczuciem był cichy strach. Ale nie skarżąc się ani nie pytając o radę zaczęła się pewnego ranka opiekować ojcem. Jej twarz zatraciła nagle wszelkie dziecięce rysy i przez noc stała się tym, co Jons nazywał „twarzą siostry”. Zatraciła także wszelką impulsywność i kanciastość ruchów, i gdy trzymając się za ręce szli ścieżką do mielerza, wyglądali z daleka jak para zakochanych, u których namiętność ustąpiła miejsca cichemu uczuciu wzajemnej przynależności. Wobec matki stała się niepostrzeżenie skryta, i jedynym, któremu powiedziała o tym parę słów, był Jons. — Chcę go wyleczyć — rzekła. — Ja sama. I wiem, że nikt inny tego nie potrafi, tylko ja. Bo ja jestem jedyna, której nie znał przed swym odejściem. Jestem lustrem, w które on jeszcze nigdy nie patrzył.

Stali przed książkami w dużym pokoju i Jons położył jej rękę na ramieniu. — Oto nasze narzędzia, dziecko — rzekł wskazując drugą ręką na książki i szafę z instrumentami. I wiemy, że to marne narzędzia. Ty masz tylko serce, młode serce, które było dotąd radosne, i jeśli je na to poświęcisz, zrobisz więcej niż my wszyscy. Ale może są drzwi, które nie otwierają się nawet przed odkrytym sercem. Musisz spróbować, ale nie wolno ci rozpaczać, jeśli się nie uda.

Nie, dziecko nie rozpaczało. Z początku wystarczało mu, że Marcin nie czuł lęku, gdy trzymała go za rękę, że poznawała, jak zamglone oczy rozjaśniały się, gdy tylko rano weszła do jego izby. I że on, gdy przed drzwiami domu słychać było obce głosy, zwracał ku niej głowę i wyciągał niepewną rękę. I że udawało jej się krok za krokiem poszerzać ciasny krąg jego osaczonego życia.

Pewnego ranka wzięła go do pracowni Christeana, i gdy ten na kulach wyszedł mu naprzeciw, a jego dobrotliwy uśmiech przywitał wchodzącego swym ciepłym blaskiem, uczuła, jak ręka ojca zadrżała w jej dłoni, ale to chyba nie obraz Christeana przeniknął do jego duszy, lecz obraz kul, do których przywarły jego oczy. Chętnie jednak dał się oprowadzać, a gdy na wielkim stole do pracy zobaczył jedną z tych drewnianych sarenek, jakie Christean ciągle jeszcze strugał, z głębi jego piersi odezwał się cichy głos zachwyty, nie wypowiedziany, jak głos głuchoniemego, a ręce chwyciły figurkę, podniosły do oczu, a potem ukryły pod sukmaną na sercu; równocześnie spojrzenia jego zwróciły się ku Christeanowi z wyrazem błagania.

— Weź to, Marcinie — odpowiedział tenże szybko. — To twoje, całkiem twoje. Na to chory szybko wypadł przez drzwi i siedział cicho w jesiennym słońcu z zabaweczką w rękę, a kiedy zwracał oczy w dal poza jezioro, Barbara była pewna, że widzi dalekie obszary dalekiego kraju, gdzie przycupnął w krzaku ścigany i nie znający

spokoju, a cichy obraz zwierząt na polanie wskazał mu drogę do domu. Nie do wsi mającej nazwę i mających nazwę ludzi, ale do dalekiego, nie określonego kraju dzieciństwa, gdzie takie same stawały na łące lub polance, spoglądając ku niemu bez lęku.

Lubił także siadywać przed chatką przy mielerzu przysłuchując się krzykom sójki w cichym lesie. Wówczas jego twarz ogarniał z wolna głęboki spokój, nie tylko ten, co przechodził na niego z rączki dziecięcej, ale i ten, co przebijał się ku górze z jego własnych zasypanych źródeł. Tak wolno, jak prze ku górze woda w łodydze rośliny, aż opadłe listki nieznacznie podnosić się zaczęły. Naraz podniósł wolną rękę, wskazując na czarnego dzięcioła, co bezszelestnie ukazał się za pniem starej sosny i wolno wspinał się po splekanej korze, aż słońce oświetliło błyszczącą czerwoną plamkę na jego łebku.

— To czarny dzięcioł, ojciec — rzekło dziecko. — Szuka chrząszczy.

Nic nie odpowiedział. Nie odwrócił także oczu od ptaszka, jej zaś zdawało się, jakby nieznacznie uścisnął jej rękę i serce w niej zamarło. Ale nic więcej nie nastąpiło. Mogła się zresztą omylić. A potem zaprowadziła go kiedyś na pole Czai. Siedzieli tam na skarpie rowu, pod żółtym listowiem grabu i patrzyli na nędzny kawałek ziemi, zaorane ściernisko. Było tu zupełnie cicho, słychać tylko daleki krzyk żurawi i od czasu do czasu zwiędły liść, co opadał z drzewa i cicho szeleszcząc dotykał ziemi.

Po chwili za pustym polem ukazał się wśród krzaków jałowca koń Czai. Pasł się, łążąc powoli, bezpiecznie, i od czasu do czasu podnosił wynędzniały ziemisty łeb — patrzył ku nim, jakby ich od dawna widział. Znowu poczuła drżenie ręki w swej dłoni i znowu rzekła spokojnie: — To koń Czai, ojciec. Mówią, że ma tysiąc lat i może patrzeć w przyszłość.

Dał się cicho poprowadzić do progu Czai i siadł tam na gorącym kamieniu, podczas gdy Czaja, wsparty o słupek drzwi, strugał kołek do grabi z drewna bukowego, które trzymał w ręku. I oto tutaj zdarzyło się, że Czaja, upuściwszy nagle kołek, położył wolno i cicho rękę na siwą głowę Marcina, jakby jakiś niedosłyszalny głos mu to nakazał. Nie rzekł ani słowa, ani ze Starego Testamentu, ani z błogosławieństw czy Objawienia, ani z niezliczonych cytat, które zawsze miał na podorędziu, tylko stał cicho opierając chude, zgarbione ciało o słupek drzwi, kierując jasne, niezgłębione oczy ku zachodowi, gdzie las powoli wypełniał się cieniami i skąd przeświecało tylko ciało konia, co stał tam podobny do jakiegoś legendarnego zwierza,

może jednorożca, patrząc na nich niesamowitymi oczyma, milczący, obojętny, przynależny do życia, o którym nic nie wiedzieli, i nic nigdy wiedzieć nie będą.

Tak stał Czaja, aż zaczął zmierzch zapadać. Nie poruszały się wargi, nie drżała ręka. Ale na pewno strumień życia Czai spłynął na zmaconą duszę chorego, bo uśmiech na jego wargach wygaszał powolutku, tak wolno, jak uspokaja się zwierciadło wody, a w miejsce tego pustego, niczym nie wypełnionego uśmiechu ukazała się na wąskich wargach głęboka, prawie przerażona żalność, jak żalność człowieka, co otwiera list, który kilka razy musi przeczytać, zanim rozum przejmie żalność serca, bo żalność serca jest wcześniejsza niż rozumu.

Wstał posłusznie, jak zawsze, ujął wiodącą rękę i poszedł powoli przez głębokie cienie, kładące się na wąskiej ścieżce leśnej. To tylko się zmieniło, że od czasu do czasu zatrzymywał się, lewą rękę przykładając do czoła i przymknawszy oczy zdawał się nasłuchiwać. Za każdym razem dreszcz od stóp do głowy przejmował dziecko, świadome okropnej samotności, w jakiej się wraz z chorym znajdowało. Odetchnęło w duchu, gdy zajaśniały w mroku pierwsze światła wsi, a. w bok od nich jasne, białe światło w oknach domu doktora.

I wtedy właśnie, w chwili, kiedy się najmniej można było spodziewać, bez przygotowania, stało się, że chory wyrwał rękę z rączki dziewczynki, odwrócił się ku niej i pochylając ku niej swą obłądną twarz otworzył usta do pierwszego pytania w swym ojczystym języku, które z trudem, lecz zupełnie wyraźnie wypowiedziane brzmiała: — Kto ty jesteś?

Ujrzał, jak na to pytanie pobladła jej szczupła twarzyczka, a nawet wargi, ale nie oderwał swych ciężkich, bezlitosnych oczu, wynurzających się z głębi, jakby z otchłani, spragnionych oparcia, jak tonący, choćby to drugi przyplącił życiem.

Nadaremnie Barbara, ogarnięta śmiertelną trwogą, pragnęła, by Jons był przy niej i podszeptną właściwą odpowiedź. Jedną za drugą tłoczyły się jej do głowy, a przecie wiedziała, że jest tylko jedna pośród tysiąca i że każda niewłaściwa zepchnie na nowo ojca w otchłań mroku i milczenia.

Nie powtórzył już pytania, ale spojrzenia jego w dalszym ciągu przeorywały jej twarz, jak bezwolną tablicę, a gdy już nie mogła tego znieść, jego ręka znów wsunęła się cichutko w jej dłoń, a ona, nabrawszy głębokiego, niedosłyszalnego oddechu, rzekła cicho i mocno: — Jestem twoim dzieckiem!

Żaden odbłask nie rozjaśnił jego twarzy, nie drgnęła pierś ani ręka. Rozluźniło się tylko napięcie na policzkach i ustach, a powieki z wolna opadły na oczy, jakby kurtyna spadła bezgłośnie nad ciemną, obłądną sceną, a dookoła nie było słycać nawet oddechu.

Barbara słyszała nurki na jeziorze i pierwszego puszczyka za sobą w wysokopiennym lesie. Słyszała, jak koszatka przemyka się wśród cichego listowia, słyszała ciężkie i bolesne bicie własnego serca. Tylko od ojca nie słyszała ani słowa. Potem poszli powoli, trzymając się za ręce, w dół ku jezioru.

Marcin chciał zaraz do swej izby, i po raz pierwszy od swego przybycia wypchnął łagodnie dziewczynkę przez drzwi, gdy tylko zapalił światło małej lampki. Uśmiech ciągle jeszcze nie pojawiał się na jego wargach, a oczy biegały niespokojnie wkoło, po niskich ścianach. Nasłuchiwała długo, póki nie usłyszała, że położył się do łóżka, ale żaden dźwięk, prócz głębokiego westchnienia, nie przeszedł przez jego wargi.

Dopiero teraz pobiegła do Jonsa i dopiero tutaj, w jasnym świetle uporządkowanego świata, zrzuciła wszelkie brzemie z młodego serca i wsparta o ramię Jonsa wybuchnęła płaczem.

— Nie wiążmy z tym zbyt wiele, Barbaro — rzekł po chwili. — Tak mało przecie wiemy. Może to coś znaczyć, może nawet bardzo wiele, ale może się także znowu zagubić, jak kamień w wodzie... Czaja także — ciągnął dalej. — Niewidzialność i milczenie. Nie leki, nie psychoanaliza. Tylko stara ręka, przez którą przepływa życie, albo wspomnienie, albo Bóg. Widzisz teraz dziecko, jacy jesteśmy biedni?

Nie zagubiło się chyba, ale przesłoniło. Wzdrygał się cicho przed udaniem się po raz drugi do chaty Czai, a wyraz zamyślenia pozostał w jego oczach. Dziecko pobladło i wychudło, jakby przygniatała je wina tajemna, a młode czoło często marszczyło się silnie, jakby szukało w swej głowie tak jak w oczach ojca, milcząco, nieustannie i jak we mgle.

Na początku jesiennych wakacji, kiedy rodzina Maschlanków wyjechała do krewnych, którzy też nazywali się Maschlankami, poszła wieczorem potajemnie do Stillinga i siedziała długo przed globusem, na którym naprzeciw niej rozciągała się bezgraniczna równina, od Dźwiny aż po Amur.

— Spróbujemy, dziecko — rzekł Stilling z westchnieniem. — To niebezpieczna próba i nie wiemy nawet, czy się jej podda. Ale muzyka jest głosem Boga, a jeśli głos

ten przeszedł na niego z rąk Czai, to i z twoich może. Pójdę do rodziców i poproszę o dzieci. Nikt się nie wymówi.

Nie powiadomiono o tym Jerominów. Barbara nie chciała. Sama była pewna obaw i wątpliwości, a dla matki byłoby to okropne, gdyby się nie udało.

Zapadła noc, gdy od skraju lasu poprowadziła Marcina do szkoły. Rzekła tylko: — Pójdziemy do Stillinga — chory się nie opierał. Chaty chałupników były ciemne i może nawet nie zauważył, że po raz pierwszy wstępował do wsi. Poszli naprzód do „Domku Krasnoludków” i weszli do pokoiku z książkami i globusem. Lampa paliła się, a siwowłosa Stilling siedział nad wielką otwartą księgą. Stary zegar spokojnie chodził wśród milczenia i Marcin zatrzymał się przed globusem, zwracając przymknięte oczy na obraz ziemi.

— Więc jesteś, Marcinie — rzekł Stilling unosząc oczy znad Biblii.

— Zawsze wiedziałem, że powrócisz. A teraz pójdziemy do dzieci. One już dawno czekają na ciebie.

Narzucił swój hohenzollernowski płaszcz i ujął Marcina za drugą rękę. Na podwórzu szkolnym było ciemno. W starych lipach szumiał cicho wieczorny wiatr. W domu panowała taka cisza, jakby nikt do niego nie wchodził, odkąd młody pastor pobłogosławił wyruszających.

W wielkiej klasie paliła się tylko jedna lampka naftowa. Stała na katedrze i oświetlała tablicę, na której wypisano kredą duże i małe litery, a także rozwieszono starą mapę z brzegami naderwanymi od niepamiętnych czasów. Dzieci siedziały nieruchomo z rękami złożonymi na ławkach. Żadne nie odwróciło głowy ku wchodzącym.

Ręce Marcina drgnęły i zdawało się, że chce wyrwać się i uciec. Słyszeli jego przyśpieszony oddech, a jego oczy biegały po ciemnych ścianach, ale potem siadł na krześle przygotowanym przez Stillinga, nie odwracając oczu od lampy oświetlającej katedrę. Na niej leżały skrzypce ze smyczkiem, a czerwone drewno lśniło w żółtawym świetle.

— Słuchaj teraz, ojczy — rzekła Barbara. — Zaśpiewamy trochę dla ciebie. — Nic nie mogła na to poradzić, że jej głos brzmiał ochryple.

Oczy chorego patrzyły za nią, gdy wąskim przejściem między ławkami podeszła do katedry i zatrzymała się tam: szczipła, z pobladłą twarzą, w której tylko oczy jaśniały jak w gorączce. Młode, dzielne stworzenie ludzkie, poważne i zestarzałe

przedwcześnie, a gdy wzięła skrzypce do ręki, zdawało się, jakby stała już tam od wielu lat, strażniczka skarbów przeszłości, i uczyła dzieci starych pieśni, które śpiewały, kiedy zamiast niej stał tam jeszcze Marcin z młodym promiennym uśmiechem na ustach i niewzruszoną wiarą w misję, jaką miał do spełnienia we wsi Sowirodu.

Barbara odbyła zaledwie parę lekcji ze Stillingiem, Umiała zagrać parę pieśni ludowych i to drugim głosem, ale gdy próbując szarpnęła struny i podniosła skrzypce pod brodę, wyglądało to tak, jakby czyniła to przez całe życie i pierwszy ton, drżący, lecz jasny i czysty, uniósł się z wielkiego milczenia.

Stilling długo się zastanawiał, jaką pieśń wybrać. Zrazu myślał, że najlepsze będzie Paula Gerhardta „Poleć swe drogi”, ale potem potrząsnął głową i rzekł: — Wiem już, dziecko. — Wybrali starą pieśń ludową z tej okolicy. — Nie znał jej, kiedy tu przybył — rzekł Stilling. — Jeszcze ja go jej uczyłem, i pamiętam, że ją lubił najbardziej ze wszystkich. — I kiedy skrzypce zagrały pierwszą zwrotkę, Barbara odwróciła oczy od palców swej lewej ręki ku dzieciom, a one zaśpiewały całą pieśń, wysokie głosy dziewcząt melodię, a niskie głosy chłopców drugi głos, podczas gdy skrzypce towarzyszyły im cichym tonem, a niekiedy podwójnym akordem.

„Już ściemnia się na błoniu. Idziemy już do domu. Dożęliśmy już zboże. Naszym ostrym nożem.”

Prześpiewały całą pieśń. Śpiewały może nieszczególnie pięknie, a głosy dziewcząt były zbyt piskliwe, zwłaszcza przy wysokich tonach. Ale słyhać było, że nie tylko swymi młodymi głosami śpiewały. Nie wiedziały nic pewnego o chorobie Marcina, bo go jeszcze nigdy nie widziały. Ale wiedziały, że był tu nauczycielem, młodym i wesołym człowiekiem, i że potem przepadł bez wieści i każde z nich widziało Marię idącą wieczorem nad moczary, a matki mówiły: — Znowu idzie, biedna... — I oto teraz wrócił, ale o niczym nie wiedział. Nie znał nawet własnego nazwiska, a zapewne i nazwy wioski, a matki tego wieczoru jeszcze raz czesały im włosy i mówiły: — Pomóście mu w imię boże.

Więc śpiewały nie tylko swymi młodymi głosami. Ich głosy drżały lekko, a kilka dziewcząt miało rożki fartuszków przy oczach. Ale prześpiewały dzielnie do końca, a potem siedziały tak nieruchomo, jak na początku, z rękami złożonymi na ławkach, nasłuchując za siebie, gdzie siedział on, którego nie widziały, i gdzie słyszały tylko ciężki oddech, jak oddech człowieka, co ze stukilowym workiem na plecach wspina się po wąskich schodach spichlerza.

I wtedy, gdy serca były im ciężko podchodząc aż do gardła, usłyszały dźwięk, o którym później ciągle sobie opowiadały w długie zimowe wieczory. Głos płaczącego dziecka, wysoki i straszliwie samotny, a może tylko krzyk skargi porzuconego zwierzęcia z głębi krzaków, gdzie paprocie rosną nad mokrymi kamieniami, a źmije w mchu wygrzewają się na słońcu. Straszliwy płacz, który rozdzierał im serca, bo był to przecie płacz starego człowieka, o siwych włosach ponad błędnymi oczyma.

I wtedy zerwały się, wiele z nich, gnane strachem i w głębokim mroku obok drzwi ujrzały dziewczynkę klęczącą przed krzesłem i pochylone nad nią siwe włosy nauczyciela i usłyszały młody, drżący głos, który powtarzał: — Ojcze, drogi ojcze — ciągle tylko to i nic więcej.

I wtedy na znak Stillinga cicho wymknęły się z klasy. A gdy przechodziły koło krzesła, zdarzyło się coś wielkiego i niesłychanego: że płaczący człowiek wyciągał rękę do każdego z nich powtarzając ciągle: — Dzieci... kochane dzieci.

I każde z nich wkładało drżącą rączkę w dłoń mężczyzny, jakby na rozkaz, a potem wychodziło przez drzwi, gdzie stał Stilling, a jego starcza ręka kładła się na ich włosach, jakby je błogosławił, nie zapominając o żadnym z nich.

Może to nie było całkowite wyzdrowienie. Może odłamał się tylko kawałek skorupy i pod spodem ukazał się dawny żar, poprzecinany szarymi żyłami. Ale przecie dusza powoli wracała do swego domu i zaczęła się w nim urządzać, choć tak bardzo był zapomniany i opuszczony. Wiedział już, kim jest, i gdzie jest, wszystko znowu rozpoznawał. Ale był także świadomy tego, że jest okaleczony, i że za jego czołem leżą ciemne pola, z których nigdy nie będzie zbierać plonów.

— Martwy człowiek, Jons — mówił, patrząc na rzędy książek w dużym pokoju. — Trup, co jeszcze się porusza. Ale książek nigdy już nie będę mógł czytać, Jons. Są tam litery i słowa, ale nie wiążą się ze sobą. Rozpadają się, jak domek z kart.

— Miej cierpliwość, Marcinie — odpowiedział Jons. — Nie próbuj nic na siłę. I daj się prowadzić dziecku, jak dotychczas. Ono najwięcej koło ciebie zrobiło.

— Dziecko... — rzekł zagubiony w myślach. — Dziecko...

I takim pozostał. Cichym, uśmiechającym się starym człowiekiem, co strugał zabawkę lub obracał między palcami kolorowe kamyczki i znowu je upuszczał, a często pogrążał się w ciężkim, ponurym zamyśleniu. Ale zawsze blask przebiegał przez jego twarz, gdy ktoś się nad nim pochylał: Maria albo Jons, albo dziecko.

Był jak dożywotnio skazany, ułaskawiony przed śmiercią. Tak, długo mówiono w Sowiropu o tej wiośnie i jesieni. Jak gdyby Bóg, przechodząc obok wioski, musnął ją rąbkiem swego błękitnego płaszcza. Chłodny wicher przemykał ulicą wiejską, było szczękało łańcuchami, niekiedy psy zawyły, a potem wszystko było jak dawniej Pokój, cisza i wielki, milczący bieg czasu nad dachami polami i sercami.

Rozdział 13

Późnym wieczorem pomiędzy Bożym Narodzeniem i Nowym Rokiem wezwano Jonsa do hrabiny.

Hrabina miała ogromną posiadłość ziemską, która niby małe księstwo obejmowała pola, lasy i jeziora, i niby legendarny szczątek z mrocznych czasów kolonizacji górowała ponad ścieśnioną terażniejszością. Mówiono, że ród jej był staropruskiego pochodzenia i sięgał poprzez wieki daleko wstecz, kiedy to Zakon Krzyżacki pod znakiem niebiańskiej Dziewicy tępił ogniem i mieczem naród, którego bogowie nosili korony z bursztynu, i który nie dawał się przekonać, że bardziej boska jest korona cierniowa, niż ta ze złotej żywicy zatopionych lasów. Także nazwisko wskazywało na to, jako że Kalns w wymarłym starodawnym języku oznaczało górę.

I chociaż może bieg stuleci zatarł, czy może nawet zrównał to pochodzenie, to jednak ten ród na zawsze zachował w sobie jakąś szczególną odrębność, która go wynosiła nad inne rody i odgraniczała od nich: czy to szczególną nieugiętością w sprawach, czy to szczególną osobliwością, czy niezależnością trybu życia, czy tylko dziwną melancholią duszy, co cieniem odległej przeszłości kładła się na rozjaśnionych drogach czasu.

Hrabia nie wrócił z wielkiej wojny, a szczegóły jego śmierci pokryła fantastyczna legenda o śmiałym i fantastycznym jeździeckim przedsięwzięciu. Wdowa, pochodząca z tego samego rodu, objęła olbrzymie dziedzictwo, silną ręką przeprowadziła je przez czasy rewolucji i uchodziła wśród swoich równych stanem za zjawisko godne wielkiego szacunku, ale i niepokojące, bo niepisane prawa wschodniej szlachty nie miały nad nią tej nienaruszalnej i uświęconej władzy, jaką im wszędzie milcząco przyznawano; w sprawach światopoglądu, polityki, czy postawy społecznej nie można było u niej liczyć na z góry przewidziane poglądy. Mówiono o niej, że ostro osądzała ostatniego cesarza, a z zimną ironią pamiętniki generałów i admirałów, jakie ukazywały się po przegranej wojnie i które nazywała „pamiętniki łataczy dziurawych kotłów”. Wszyscy jej ludzie byli jej oddani, jak nie koronowanej królowej i opowiadano, że na początku rewolucji miejski

komitet strajkowy, który z wielkim szumem wkroczył na zamek, został zmuszony do haniebnej ucieczki przez jej pokojówki uzbrojone w drewniaki.

Zapytała, czy ma posłać po Jonsa zamknięte sanie, ale on podziękował i zapytał tylko, o co chodzi. Odpowiedziała, że po to właśnie prosi go o wizytę, ale może mu zdradzić, że boli ją twarz, i że w ustach ma smak jakby gangreny. Jons odpowiedział z uśmiechem, że to na razie wystarczy, i że zaraz wyjeżdża.

Lasy były głęboko ośnieżone, ale ze zrębów usunięto wiele drewna, więc droga była gładka i równa. Jasny księżyc wisiał nad ziemią biały i martwy, a Jons, otulony w ciężką wilczurę podarowaną mu przez pana von Balka, trzymał popuszczone lejce w ręku, palił krótką fajeczkę i myślał o żonie chałupnika spoza moczarów, co oczekiwała siódmego dziecka, a z którą nie najlepiej się zapowiadało.

Wprowadzono go do wielkiej, mrocznej sali bibliotecznej, gdzie przed kominkiem siedziała hrabina. Była wysoka, chuda, o surowej i odpychającej urodzie, a jej ciemne oczy mierzyły go bacznie od stóp do głowy, aż doszedł do miejsca, gdzie siedziała.

Wskazała milcząco na krzesło wyściełane skórą, stojące naprzeciw niej, naląła z fajansowej butelki jasnego płynu do dwóch szklanek, podsunęła cygara i papierosy, nie przestając go obserwować. Wśród jej ciemnych włosów przewijały się siwe pasma, czoło było szerokie i jasne, a jej nieustraszone oczy patrzyły na niego jak na przedmiot, który jej przyniesiono na sprzedaż do pokoju.

— Jeśli już pani hrabina do woli mnie obejrzała — rzekł Jons po chwili — to chciałbym wiedzieć, na co się skarży.

Skinęła mu, jakby usłyszała wprawdzie, ale to, co usłyszała, nie było takie ważne, albo miała jeszcze dość czasu, a potem powiedziała:

— A więc to pan...

Jons odpowiedział z uśmiechem, że co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości.

— Znałam pańskiego ojca — mówiła dalej, nie odpowiadając na uśmiech. — Jego i pańskiego dziadka. Zawsze byłam przekonana, że oni byli z naszej krwi, a u pana widzą to jeszcze wyraźniej. My mamy innych bogów, ot co.

I nawet szkoły, uniwersytety i kościoły nic na to nie poradzą. Pan prawdopodobnie nie o tym nie wie, bo pan za wiele pracuje. Pan ma zbyt mało czasu, by myśleć o swojej krwi.

Jons odpowiedział, że więcej musi myśleć o krwi innych ludzi, niż o swej własnej.

Ona skinęła znowu i spojrzała na ogień. — Tak było już z pańskim ojcem — rzekła po chwili — i tak być powinno. Landrat myśli o swej karierze, Lustig o rachunkach, a moi równi stanem o tym, że „Niemcy, Niemcy ponad wszystko”, zwłaszcza gdy ich los tak zły. Że też przegrane wojny zawsze opiewa się kiepskimi wierszami...

A dziś pana wezwałam, ponieważ mam w ustach zły smak, a także bóle, a przecież nie ma potrzeby, aby zły smak czasów jeszcze się nasilił przez coś, co pochodzi z własnego ciała.

— Proszę opowiadać, pani hrabino — rzekł Jons, patrząc na nią z uwagą.

Nie było wątpliwości, że to zapalenie ropne zatoki szczękowej, i Jons poradził jej, by pojechała do stolicy i tam specjalista zrobi z tym porządek. On może być tym, czy czym innym, ale nie panem Bogiem.

Odpowiedziała, że nigdy nie słyszała, by specjaliści byli bogami, chyba że sprawą boską jest posłanie niewinnego dziecka z zapaleniem ucha środkowego na tamten świat i zagarnięcie za to lekko kilku tysięcy marek.

Jons odrzekł, że pierwsze może się zdarzyć najlepszym lekarzom, a drugie jest, jak się zdaje, przybraniem wiedzy. Ale jeśli ona przy tym obstaje, to spróbuje. Wyjął z kieszeni lusterko oraz buteleczkę z kokainą i po chwili gumową gruszką wyssał ropę z zatoki szczękowej. Obejrzał rurkę z żółtawą cieczą, wypisał receptę na tabletki Eleudron i polecił jej przybyć następnego dnia rano. Będzie musiał zrobić zdjęcie rentgenowskie i prawdopodobnie wyrwać oba zęby. Ma nadzieję, że obejdzie się bez otwarcia zatoki szczękowej, ale zwraca uwagę, że dopiero sześć razy w życiu usuwał zęby.

Machnęła tylko ręką. — Wierzę, że pan wszystko potrafi — rzekła po prostu. — Przynajmniej, co dotyczy medycyny, a tchórzliwa także nie jestem. W każdym razie nie bardziej, niż nam to natura wszczepiła..

Ale prosiła go, żeby jeszcze trochę pozostał, jeśli nie jest zmęczony. Noce zimowe są szczególnie długie, nawet gdy nic nie boli, a ona chciałaby bardzo wiedzieć, co też jej przodkowie myśleli przed tysiącem lat w takie noce w swych drewnianych domach.

Jons odpowiedział, że prawdopodobnie spali, pozostawiając znachorom i czarownikom myślenie i obronę śpiących przed złymi duchami.

— Może... — rzekła. — Do starego cechu pan należy, panie Jeromin, tylko że dawniejsi stali bliżej bogów. Ale mimo to niektórzy chyba myśleli, bo żaden czas nie krępuje aż tak swych dzieci, by myślały tylko myślami bogów, a nie innymi. To byli ci, co przekazywali sobie z pokolenia na pokolenie myśli o samych bogach, aż doszli do ofiar ludzkich do chleba i wina. Często w takie noce wydaje mi się, że widzę wielką linię przebiegającą przez dzieje ludzkości, a wszelka gadanina odpada jak huba ze starego jesionu świata. I że Perkun wcale nie jest mniejszy niż Budda lub Chrystus, tylko prymitywniejszy, tak jak i ludzie byli bardziej prymitywni. A to wszystko, książki i pola, i majątek, i tak zwane światopoglądy, wszystko wtedy wydaje mi się igraszką i szopką, a poza tą całością widzę poważne oczy wieczności przyglądające się w milczeniu, czy właściwie i należycie robimy ten kroczek naszego życia, trzymając się starej ręki, co nas wiedzie i czy potem ustępujemy tak cicho, jak dzieciom przystoi.

— Nie bardzo wierzy pani w postęp, pani hrabino?

Zapaliła zapalną do nowego papierosa i spojrzała na niego przez płomień. — To tak jak z dziećmi, panie Jeromin. Naprzód są one małe, i niewinne i bardzo kochane, a potem przychodzi wiek, gdy stają się niesympatyczne, nieco bezczelne i krnąbrne, a później uważają nas za wybrakowany towar, niby wypchane i zamolone ptaki. A gdy się uspokoją, powracają posłusznie do starego żłobu i jedzą ten sam owies, co i my. Tylko cokolwiek inaczej się go wysypuje, i rzemień na uzdę jest cokolwiek inny, i może mają w stajni światło elektryczne. Ale to jest prawie wszystko. Rozum idzie z postępem, ale nie serce, i chodzi tylko o to, co się uważa za ważniejsze na tej ziemi.

— Tylko że z pani zatoką szczękową byłoby gorzej przed tysiącem lat, pani hrabino — rzekł Jons.

Ale ona potrząsnęła głową. — Moja piastunka wyrywała sobie każdy ząb sznurkiem — odpowiedziała — a kiedy było źle, przywiązywała go do klamki od drzwi. To nie ząb umiemy pokonać, lecz ból, i to jest naturalnie pewien rodzaj postępu. Tylko bólu duszy nikt jeszcze nie pokonał. Nie wiem, czy pan już to wie, ale pański ojciec wiedział: ile ogromnego, cichego męstwa potrzeba, by takie ludzkie życie przeżyć do końca. Nie dla kogoś, co już w tym znajdzie pociechę, że słońce wszędzie następnego ranka, albo że zbiera się parlament lub że ktoś rozwija teorię atomów. Ale dla kogoś, co musi patrzeć, jak młodzi ludzie ze śpiewem idą na wojnę, a żadnego z nich nie widziałam, by ze

śpiewem szedł od dentysty. Albo dla kogoś, co musi się przyglądać, jak nieślubne matki muszą stać pod pręgierzem i nie ma sługi bożego, co by je rozwiązał. Albo dla kogoś, co zajrzał do cel więziennych, a kiedy zatrzasnęły się drzwi ostatniej celi, strażnik zapala sobie cygaro i bawi się trochę z córeczką. A choćby i dla kogoś takiego, kto w taką zimową noc siedzi sobie przy kominku i snuje myśli, jakich nie czyta się w gazetach.

— Tak, mój ojciec bardzo dobrze to wiedział.

— I myślę, że i pan to kiedyś będzie wiedział, panie Jeromin. Tak, wiele z tego prawdopodobnie już pan wie. I dlatego właśnie pana wezwałam do siebie. Mężni nie lubią powierzać się pędziwiatrom. A jeszcze mniej tym, których nazywają niemieckimi dębami, co mają siłę nawet w końcach palców.

— Ale czy my jesteśmy mężni, pani hrabino?

— Kto nie wie nic, poza odrobiną wiedzy dziecięcej, panie Jeromin, a przecie spokojnie idzie w przyszłość, ten jest mężny. Już najbliższe rano jest przyszłością, tak, najbliższa minuta, zasłonięta, nieprzeniknioną, lodowatą przyszłością. Czymże jest pole bitwy wobec takiej przyszłości? Ani żołnierze, panie Jeromin, ani wierzący nie są bohaterami. Dla nich przyszłość jest tylko poszerzoną teraźniejszością. Ale ktoś jak my, zrodzony z niewiasty, z cichym smutkiem i wielką niewiedzą, nieprzekupny, niezaszczepiony, z odkrytym sercem, co cicho idzie w wielki, groźny świt, ten jest mężny, panie Jeromin! A godne uwagi, że nic sobie z tego nie robi. Bierze słowo z języka i napenia je własną treścią. Ale ogół podaje sobie tylko dalej łupinę, z pokolenia na pokolenie. Tak jak dziś podaje się dalej słowo „ojczyzna”, albo jak wiele wyznań podaje dalej słowo „miłość”, a Luter był przecie tak przepełniony jadem jak żmija.

— Ale jego przeciwnicy byli nie mniej nim przepełnieni, pani hrabino. Tak jest z większością młodych religii. I tak jest chyba wszędzie, gdzie chodzi o to, czego wiedzieć nie można. Z faktami jest już inaczej. Najniebezpieczniejsze na świecie są właśnie światopoglądy. Nie choroby, zarazy i katastrofy.

Ona przytaknęła i spojrzała znowu na ogień. — Już lepiej, panie Jeromin — rzekła. — Wiedziałam przecie, że pan ma kojącą rękę. A jak z tym, co powrócił do domu? Będzie go pan leczył?

— Nie, pani hrabino. Co ręka ludzka mogła uleczyć, to już zrobili Czaja i dziecko. A i oni byli tylko pośrednikami. Resztę może uleczyć natura, albo nie, jak jej się spodoba.

— Tak, on zapłacił. Taki, co poszedł w grozę i pochłonęła go... pustka go pochłonęła... a ci, co go posłali, siedzą na złocistych krzesłach... a teraz, do jutra, panie Jeromin.

Musi się pan wyspać, bo ma pan ciężkie dni. Dziękuję panu, ulżyło mi, gdy porozmawiałam z panem. Bo nie ma tu nikogo prócz ognia, a ogień jest niespokojny.

Jons wyrwał oba zęby. Ręka mu cokolwiek drżała, ale wyrwał. A po szeregu przepłukiwań niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

— Mogę teraz zaofiarować panu tysiąc marek — rzekła hrabina siedząc przed kominkiem — a nawet dziesięć tysięcy, jak to czynią suwereni. Jestem tak bogata, że to już zaczyna być nieprzyzwoite. Ale wolałabym, aby pan wyraził jakieś swe życzenie, a wiem, że pieniądze dla pana równie mało znaczą, jak dla pańskiego ojca. Stare rody nie znają jeszcze pieniędzy.

Jons podziękował i prosił o czas do namysłu. Z życzeniami jest tak jak w bajce, a on to jeszcze z czasów dzieciństwa ma doskonale w pamięci.

Po raz drugi przyjechał zimą i powiedział, że się namyślił. To jest bardzo wielkie życzenie, ale właściwie nie dla niego, tylko dla wsi. I może spokojnie powiedzieć nie. A jeśli ona powie nie, to pragnąłby wielkiej lunety, takiej, która by odsłoniła nawet zasłonę Andromedy, albo pudełko z klockami, bo całe życie ich pragnął, a nigdy nie otrzymał. I teraz także się uśmiechnęła i chciała wiedzieć, co to takiego.

Otóż, czy mogłaby podarować wsi kościół. Drewniany, z drzewa własnych lasów, nie większy niż stary. Wie przecież, jak się rzecz miała ze starym, i że wraz z nim zginęło coś więcej niż budynek.

Teraz hrabina była jednak zaskoczona i patrzyła długo na niego.

— Proszę tylko nie przypuszczać, że myślę o pieniądzach — rzekła.

— Dlaczego nie miałabym budować kościoła, zamiast zbierać porcelanę? Ale że to pan, pan jako lekarz, życzy sobie kościoła dla swojej wsi?

— Właśnie dlatego, pani hrabino. Czy mam sobie życzyć głośnika dla Sowirogu?

Potrząsnęła wolno głową. — Tylko że, panie Jeromin — rzekła — kościół można budować, jak się chce, ale z pastorami tak nie można. Trzeba ich brać gotowych, a z tymi placami budowy, skąd przychodzą, to sprawa nie jest tak całkiem prosta. To są dziś państwowe place budowy, panie Jeromin.

— Ten, o którym myślę, nie przyjdzie z państwowego placu budowy, pani hrabino. Inni by powiedzieli, że przychodzi od stóp bożych.

— To bardzo daleko stąd, panie Jeromin — rzekła hrabina w zamyśleniu. — Zbyt daleko. Ale może wieś Sowiróg jest jeszcze taka, że może to znieść. Także zmarły pastor przyszedł od bożych stóp. Mógł pan to poznać po tym, jak inni o nim myśleli, prócz tego, co miał mowę nad jego grobem. Wszyscy księża są wypełnieni słowem bożym, ale nie wszyscy miłością chrystusową. Mamy jeszcze dość rąk do podpalania stosów. Tylko że u nas nie używa się do tego drewna, robimy to dyskretniej.

— Nikt go nie spali, pani hrabino. Dzieci się nie pali.

— Wie pan to tak dokładnie, panie Jeromin?

Opowiedział jej o Tobiaszu, a ona słuchała. — Pan w nim kocha to, panie Jeromin, że pochodzi z innych czasów. Tak jak my oboje. Spróbujemy więc z nim, a mój wpływ chyba wystarczy, by go stamtąd wyciągnąć. Co z tego wyjdzie, nie wiem. Kto jak dziecko przechodzi przez świat, jest równie narażony jak Chrystus. Ociera się o krzyż, a tych u nas nie brak. A teraz niech pan pozostawi tu stare plany i nic jeszcze o tym nie mówi.

Odprowadziła go aż do sani i przyglądała się, jak otulał się derką futrzaną. — Kto inny prosiłby o ultramikroskop — rzekła w zamyśleniu. — Albo o wóz sześciocyndrowy. Pan chyba nigdy do niczego nie dojdzie. Przynajmniej nie do tego, co ludzie nazywają „czymś”.

— Nie, pani hrabino. Ale może do tego, co nazywamy „wiele”. „Wiele” może znaczyć mniej niż „coś”.

Przytaknęła mu i patrzyła za nim, jak odjeżdżał w mrok. Śniegowe chmury zwisały z nieba, a szeroka okolica wyglądała jak zamarła.

Gdy tylko śnieg stopniał, rozpoczęli budowę, a u stóp pagórka tuż nad brzegiem jeziora kazała hrabina zbudować mały domek dla pastora. — Zróbmy to do końca, panie Jeromin — rzekła. — Pastorzy też muszą mieć dom. Jeszcze przed śmiercią.

We wsi zaroilo się jak w mrowisku. Dawny czas podniósł się znowu z gruzów i pogorzeliisk, i jeszcze raz uwierzyli ludzie z Sowirogu, że Bóg pewnej nocy długo siedział na miedzy ich pól i patrzył na ich strzechy. — Widziałeś go, Jons — mówili — i trzymałeś za płaszcz dopóki nie przyrzekł. — Ale Jons potrząsnął głową. Nie widział go. Widział

tylko wioskę i coś niecoś serca ubogich. Przypomnił sobie, jak to ktoś mu mówił, że będzie musiał być czymś więcej niż lekarzem ubogich.

Tylko u dwóch twarze były poważne: u Czai i pana von Balka. Czaja przyszedł z pola, gdy kładziono pierwsze belki na stary fundament, w swej długopolej sukmanie, z laską w ręku. Stał na wzgórku, obok „Zmarłego Pastora” i patrzył na ludzi. Stał tam wiele godzin i cieśle początkowo pokrzykiwali na niego, żartując, ale pod wpływem jego jasnego milczącego wzroku wkrótce zaniemówili i woleli, by sobie poszedł. Dopiero gdy Jons podczas swej przejażdżki po okolicy wysiadł z wozu u stóp pagórka i podszedł do Czai, obrócił się i potrząsnął głową. — Zapomnieliście, Jons — rzekł — że wyciągnęli z morza bestię rogatą, i że nikt nie będzie sprzedawać ani kupować, kto nie ma znaku na czole lub na rękach. A także budować lub burzyć.

— Czaja — rzekł Jons. — Nie powinniście im odbierać radości. Dla nich to tak, jakby Chrystus jeszcze raz zmartwychwstał.

Czaja przytaknął. — Owszem, zmartwychwstanie — odpowiedział.

— Ale wiesz, co?

A potem powoli zszedł z pagórka, wiatr od jeziora rozwiewał poły jego długiej skumany.

Pan von Balk zaś siedział pewnego wieczoru na pociętych belkach i patrzył w zamyśleniu na rosnącą budowę. — Miałeś znowu pomysł, Jons — mówił — a to jedna z najniebezpieczniejszych rzeczy na tym świecie. Nie przeciąłeś chorego palca, ani nie pomogłeś dziecku chałupnika przyjść na świat, tylko miałeś pomysł. Nie o sprawiedliwości na roli, ale podobny. Zboczyłeś na krok z drogi i zaskoczył cię pomysł. Nic nie można powiedzieć przeciwko temu. Dlaczego Sowi Zakątek nie ma mieć znowu kościoła? Pierwszy był ukradziony, drugi podarowany. A wiesz, mam jakieś zabawne uczucie. Coś takiego czujesz nieraz na patrolu, gdy jedziesz konno przez las...

— Niech pan tego nie wypowiada, panie von Balk — rzekł cicho Jons.

— Wojna zabrała nie tylko nasz kościół, lecz wiele w kraju. I wszystko odbudowano. Myśmy tu nie gorsi przecie niż gdzie indziej.

— Nie, Jons, to nie to. Wydaje mi się tylko, że nie powinniśmy planować tak daleko w przyszłość. Tak się jakoś niepewnie czuję w kolanach. Jakby na powierzchni

lodu, co dobrze nie trzyma. Prawdopodobnie to tylko dlatego, że jestem stary. Starzy ludzie nie budują już domów.

— Dla dzieci i starzy ludzie budują, panie von Balk, a dzieci zawsze myślą, że to na wieczność.

— Obyś miał rację, Jons — rzekł Balk wstając z westchnieniem.

— Zresztą tylko pasterze zwykli mieć drugi wzrok. A przynajmniej prości ludzie. A o nas mówią, że jesteśmy wielcy, nieprawdaż? Przynajmniej o tobie to mówią, i słusznie.

Zeszli powoli z pagórka, w dół, gdzie Balk uwiązał konia. — A jak z oknami, Jons? — zapytał, układając lejce, i dawny uśmiech ukazał się znowu na jego twarzy. — To jest przecie właściwie moja sprawa, co? Z żurawiem nie wyszło, to było zbyt symboliczne i nie chwyciło. A gdyby tak okno z sową? To przecie pasowałyby do wsi? Ale nie wiem, czy który święty miał przy sobie sowę... Jons także nie wiedział, ale uważał to za możliwe. — I jeszcze jedno by się nadawało — rzekł Balk, pochylając się z uśmiechem na siodle. — Gdyby to był feniks, nie sowa. Wstający z popiołów, nieprawdaż? Można by mu dać każde dowolne oblicze. I ptaki mają swe oblicza....

A po roku, na Wielkanoc, ludzie z Sowirogu po raz drugi święcili swój kościół. Nie był wspanialszy niż pierwszy, ba, starzy ludzie mówili, że nie wiadomo, czy to stary czy nowy. Znowu wisiał krucyfiks nad ołtarzem i znowu jaśniały barwne okna. Ci sami święci z podniesionymi rękami, tylko u dołu nie stał żuraw, lecz błyszczący ptak ulatywał z ognia, a Christean stał przed nim długo, wsparty na kulach i pytał cicho Jonsa, czy nie sądzi, że to twarz Giny. Ale Jons potrząsnął głową. Gina podarowała piękną, rzeźbioną w drzewie kazalnicę, a pan von Balk stał przed nią, mrugając oczami. — Gdyby tak twój Tobiaszek wiedział — rzekł — ile ładnej gotówki za to wpłynęło...

— Uśmiechnąłby się tylko, jak teraz, panie von Balk — odpowiedział Jons. — U kogo jest tyle miłości, co u niego, lubi się uśmiechnąć patrząc na nasze głupoty.

Było nie mniej gości, niż za pierwszym razem, ale Jonsowi zdawało się, że twarze szybciej się zmieniają niż czas.

W tych latach świat jeszcze bardziej posunął się naprzód i z jeszcze chłodniejszymi oczyma patrzył na to wiejskie widowisko. Nie uśmiechał się, ale wydawało mu się to jednak dziecinną zabawą. Gdzieś dalej troski pienily się jak chwasty. Głód, bezrobocie, długi, strajki i cichy pomruk przebiegający pod krzesłami, którego znaczenie na pewno

rozumieli. Prezydent regencji mówił ostrożnie o „Wszechmocnym”, a landrat jeszcze ostrożniej o „wiecznych mocach”.

Potem wprowadzono Tobiasza na urząd, a następnie przemówił on sam. Ciągłe jeszcze stał nad brzegiem kazalnicy jak nad zasypanym rowem i ręce trzymał ciągle jeszcze jak wtedy. Ale ludzie z Sowirogu wiedzieli, że mają pierwszego radosnego pastora, bo twarz mu jaśniała. Mówił na temat ustępu z listu do Filipensów: „Zapominam o tym, co jest z tyłu, a sięgam do tego, co przede mną”. Mężczyźni i kobiety z Sowirogu czuli, że nie jest on myślicielem, cierpiętnikiem i poszukiwaczem, jak Agricola, lecz dzieckiem, które znalazło. Nie wygłaszał on wielkich słów, a te, które mówił, nie odbijały się od drewnianych ścian, jak słowa człowieka, który szuka echa. I czuli, że on będzie tu tylko dla nich, nie dla siebie, swej wiary, swej ambicji, swej wygody. On także wszystko rozdaruje, ale nie będzie, jak Agricola patrzył za obdarowanym, czy Bóg też to przyjmie. Nie będzie się gniewał ani przeklinał, ani wypędzał, jak to czynią gorliwcy. Siądzie cicho na progu swego kościoła, a jeśli ktoś przyjdzie przynosząc ból serca albo ubóstwa, albo grzech, usunie się cicho i rzecze z uśmiechem: „Bóg ma miejsce dla nas obu, a dla ciebie zapewne więcej, bo ty więcej znosić musisz”.

Udzielił komunii, a kiedy ludzie wychodzili z kościoła i słyszeli skowronki nad polami, rozjaśniły się ich twarze. Zapomnieli, że mówił do nich młody pastor z obcych stron. Myśleli, że to Chrystus do nich mówił.

Starszy radca konsystorialny, który już nie piastował swego urzędu, siedział cicho przy ołtarzu, nie spuszczać oka z Tobiasza. Teraz, stojąc w zakrystii, położył mu obie ręce na ramiona, mówiąc: — Siedziałem przy zmarłym, gdy odszedł od Boga, i stałem przy zmarłym, gdy znowu do niego powrócił. Nie był gorszy przez to, że stracił wiarę i ludzie kochali go. Ale nie był dla nich podporą, bo oni musieli go podierać. Teraz widzę, że Bóg znowu im sprzyja. Przyszedł kochający, a kochający to więcej niż pastor. Hrabina zaś, stojąc na wzgórku obok Jonsa, patrzyła na drewnianą wieżę, na której kołysały się dzwony, mówiąc: — On jest o wiele starszy niż my, panie Jeromin. Pochodzi z czasów, kiedy słowa nie drukowano, lecz mówiono. Tak, może nawet z tych, kiedy się nim żyło. A to bardzo dawne czasy, panie Jeromin.

Wieś i teraz nie urządzała dla gości uroczystego przyjęcia, ale Balk wpadł na pomysł zorganizowania śniadania. — Dla silnych dusz, Jons, a takimi są przecie wszyscy,

co przyjeżdżają z wielkich miast. — Ustawili więc stoły przed domem Jerominów, jak na dożynki, były raki i ryba wędzona, węgorki i sieje. Do tego podawano w dużych dzbanach kamiennych jarzębiak własnego wyrobu. Była to wiejska uczta, i po chwilowym zdziwieniu i uśmiechach goście stwierdzili, że była wyśmienita. Wygłaszali dalsze mowy, w których już nie mówiono o „wiecznych mocach”, ale o „wierności ludu pracującego”, a ludzie z Sowirogu słuchali cicho, jak zawsze kiedy państwo zwracało się do nich z naukami swej mądrości. Patrzyli tylko od czasu do czasu na pana von Balka, ale on siedział wygodnie na swym krześle, z uśmiechem na zaciśniętych ustach, a wiosenne słońce lśniło w guzikach jego ułanki.

— Gdy tu przyjechałam — rzekła cicho do niego żona prezydenta regencji, myślałam, że to lud pogański, do którego sprowadziliśmy pierwszego misjonarza. Ale teraz są oni prawie jak inni ludzie.

— Tak — odpowiedział poważnie Balk — przynajmniej płacą podatki i idą na wojnę, gdy rozkażą, i pod tym względem są całkiem ludzcy. Ale poza tym są to jeszcze skończeni poganie, bo jeszcze wierzą w Boga.

Spojrzała na niego z ukosa, ale wołała zamilknąć. Nawet szlachta była jakaś dziwna w tej okolicy.

To samo stwierdził jej mąż, który siedząc obok hrabiny zapytał ją delikatnie, czy duży szpital powiatowy nie odpowiadałby bardziej potrzebom okolicy niż mały kościół. Albo może uniwersytet ludowy, rozsiewający ziarno wiedzy na tę cokolwiek jałową glebę.

Hrabina poprosiła Erdmutę o ponowne napełnienie szklanki, rzekła — dziękuję — i spojrzawszy mimochodem na prezydenta regencji podniosła wzrok na wieżę kościoła. — Co się tyczy szpitala powiatowego — odpowiedziała wolno — to mają tutaj lekarza, co nie jest konowalem opłacanym przez państwo, lecz człowiekiem z mistrzowską ręką, a także nieopłacanym i nieopłacalnym sercem dla biednych. A co się tyczy ziarna wiedzy, to jest to jedno z najbardziej przeklętych ziaren, jakie kiedykolwiek siano. A w czasach, które przyjdą, ten mały kościół będzie prawdopodobnie oznaczał ostatni kawałek chleba dany ubogim do ręki. Chleba dla duszy, a o to jedno zwykły troszczyć się bajki, ale nie państwo.

Zdziwiony prezydent zapytał, o jakich czasach myśli.

— O czasach, kiedy będzie mógł mówić o szczęściu, jeśli będzie mógł wyjść ze swego gabinetu z kijem w ręku i kawałkiem chleba w chusteczce. Spojrzał na nią z ukosa i wolał zamilknąć. Wódka była dobra, ale dla kobiet jednak nieco za mocna. A ci właściciele laty-fundiów z zamierchłej epoki mają ciągle poglądy takie, jakby tu wciąż jeszcze rosły bursztynowe lasy. Rewolucja wiele zaniedbała, a największym zaniedbaniem było to, że zaniedbano wywłaszczenia i podziału wielkich majątków. Ale co wiedzą ludzie w stolicy Rzeszy o tej wschodniej krainie cieni? Dla nich to jest „wyspa w Rzeszy”, a z wyspą trzeba się obchodzić ostrożnie. Wziął jeszcze kawałek węgorka ociekającego tłuszczem, o lekkim aromacie szyszek sosnowych, nad którymi go wędzono. Tego w każdym razie nie zamierzał zaniedbać, choćby rewolucja niejedno zaniedbała.

Potem wozy znowu odjechały, goście byli nieco głośniejsi i gadatliwsi niż po przybyciu. A ludzie z Sowirodu poszli po południu na swoje pola, gdzie rosło zboże; barwne zapaski i chusteczki kobiet jaśniały z daleka nad zieloną runią. A potem siedzieli do wieczora w trawie na kościelnym wzgórzu, pili kawę i jedli ciasto wielkanocne, podczas gdy dzieci toczyły pisanki po zboczach lub chowały je w mchu pod „Zmarłym Pastorem”. Kościół wkroczył w życie wsi, a dzwony dzwoniły co godzina, jakby nigdy nie było im dość ślania uroczystych tonów nad jeziorem i las, nad którym jak zawsze krążyły rybitwy, i gdzie drozdy śpiewały swą pieśń wieczorną.

Jons siedział na ławce przed domem, założywszy ręce za kark i patrzył, jak dym wieczorny unosił się z kominów. „Nowy początek”, myślał, „ale ciągle jeszcze stara ziemia. Mimo wszelkich burz, nieurodzajów i wszelkiego przelewu krwi — stara ziemia. Ludzie ją uprawiają, dbają o nią, a ona dba o ludzi. Najstarsze prawo, i na nim, mimo wszystko, można się oprzeć.”

— Pamiętasz jeszcze, Tobiaszu — rzekł cicho — naszego kaprała. On był z wielkiego miasta i zapewne był poganinem. Ale miałby się z pyszna, gdyby tak tu siedział i widział to wszystko. I pewnie by się zdziwił, co to z takich dwóch „niemowlaków” jak my wyrosło.

Tobiasz przytaknął, nie rozkładając rąk. — Widzę go przed sobą — odpowiedział równie cicho. — I słyszę, co mówi o prostych ludziach, których Bóg ma zgromadzić dookoła siebie. Ale widzę także kominy ponad poczerniałymi ulicami i jak oni tam siedzą

w wymarłych ogrodach... i widzę także porucznika, jak leży w swym leju i uśmiecha się z lekka, mówiąc do ciebie: „I co z prawdą, Jeromin!”

Jons westchnął. — Ciągle jeszcze nie wiem, Tobiaszu.

— To było błędne pytanie, Jons, ludzkie pytanie. Powinien był zapytać: „I co z miłością, Jeromin?”. I wtedy nie potrzebowałbyś wzdychać.

A w cieniu wysokopiennego lasu oparty o starą sosnę stał Czaja, z rękami złożonymi na kiju. Patrzył nieruchomo na tępą drewnianą dzwonnice czerniejącą na tle wieczornej zorzy, a gdy dzwony zadzwoniły ostatni raz, widział, jak chwieją się w otworach rezonansowych, niczym ciemne wiadra czerpiące zorzę wieczorną. Pod nimi stał „Zmarły Pastor”. Wyrósł tak, że cienki wierzchołek sięgał kalenicy dachu.

Czaja stał tak cicho, że sowa ponad nim zaczęła krzyczeć, jakby sama jedna była w lesie. Jego twarz była szara jak kora starego drzewa i równie głęboko pobrużdżona. Wargi poruszały się cicho, ale nie można było usłyszeć, co mówi. Tylko niezmierny smutek widniał na twarzy, ramiona pochylily się nisko, a koniec jego kija zapadał się coraz głębiej przez mech w biały piasek.

Stary, prastary człowiek, co widział przeznaczenie.

Rozdział 14

Przechodzą lata przez wieś Sowiróg. Lato i zima, deszcz i wiatr. Szarzeją szczyty domów, ciemnieją strzechy i wygląda na to, jakby tak stały od setek lat. Dzieci zbierają kamienie z pól, ale nigdy nie ma końca tej roboty. — Kamienie rosną — mówi Piontek — i pewnie ma słuszość. Prawdopodobnie gwałtowne nawałnice wypłukują ziemię z pagórków, ale Piontek nie wie o tym. On wie od swych przodków, że kamienie rosną i to mu wystarcza.

Dzieci także rosną. Michał chodzi za pługiem, a Grünheid siada niekiedy na miedzy i przygląda się. Zestarzał się i czasami pokolenia zacierają mu się przed oczyma. Ten, co tam idzie, mógłby być także Michałem, ale Michał nie żyje i ma ziemię na powiekach. A to jest jego krew, niezepsuta i nie zmieszana, ciężko i powoli płynąca żyłami i myśląca o chlebie. Nie o państwie ani o miastach, ani o dziewczynach, a tylko o chlebie. A wieczorem, zamyślony i milczący, siedzi przed drzwiami domu, aż gwiazdy wzejdą nad dachem stodoły.

Barbara nie zostanie siostrą miłosierdzia, bo już nią jest. Ojciec nie dałby sobie rady na tej mrocznej ziemi, gdyby nie ona. Jest dobry dla wszystkich ludzi i wszyscy są dla niego dobrzy, ale wie, że jest już umarły. Nie stanie już przed dziećmi i nie podniesie smyczka ani nie opowie historii o Józefie i jego braciach. Zagubił myśli w nieogarnionych latach i przestrzeniach przeszłości, zachował tylko obrazy i jeszcze zestawia je cierpliwie, jak dziecko łamigłówkę. Myśli mają twarde zwory, którymi wiązać je trzeba jak belki. Ale on nie ma już zwór. Ma tylko luźne, miękkie nitki, którymi można obkładać obrazy, a najpiękniejsza pora to wieczorny zmierzch, kiedy twarde kontury ziemi rozpływają się i łagodny półmrok miesza się z rosnącymi cieniami. Twarze ludzi stają się wtedy dobrotliwsze, ich surowość rozplywa się i nawet twarde, głośne słowa łagodnieją, przechodząc w cichą melodię wieczora. Głosy zwierząt budzą się, jak kiedyś budziły się nad stepami i lasami, kiedy jeszcze nie wiodła go niczyja ręka, a światło księżycy łagodnie kładło się na krzew i źdźbło, na zbolące oczy i zapadające w noc serce. A potem jeszcze tylko ogień w kuchni, co powoli usypia, kiedy już nasyci ludzi i zwierzęta. I jeszcze tylko blask małej lampki w izbie, nachylone ściany, mucha, co zmęczona krąży koło

zielonkawego klosza. A obok krok dziecka chodzącego od drzwi do okna i z powrotem, kojący, pewny krok. A potem ustęp z Biblii, najchętniej z psalmów, a potem głęboki, cudowny sen, kiedy się nic nie śni.

Niekiedy Jons pyta dziecko, co z jego młodością, ale ono potrząsa główką i uśmiecha się. — Dziesięć lat chodziła matka nad moczary — mówi. — Czy mam być gorsza?

Mimo wszystko Maria jest zupełnie szczęśliwa. Poślubiła dziecko, co miało stać się mężczyzną i wyruszyło na wojnę, a zamiast mężczyzny lub bohatera powróciło tylko dziecko. A ona stoi wieczorem przy ognisku, przesuwając garnki i patrzy w płomień, i wydaje jej się, że potrzeba tylko dalej snuć swą bajkę o złej żonie rybaka lub jaką inną — siedząc cicho w jasnym świetle, Christean poruszając lekko palcami, Erdmutha z rękami na kolanach, i Barbara szyjąca rzeczy ojca. Wszyscy oni mają swój dzień pracy za sobą, lekki lub ciężki i przez zmierzch podążają w głęboką noc.

Często nie wie, czy nie jest już stara, a inni tylko dziećmi, ale kiedy stawia zupę na stole, a Barbara odmawia modlitwę, czuje przecie, jak płynie w niej krew tych, co odeszli. Łamie chleb do zupy, a wraz z nim ciche szczęście kobiety zatroskanej i pełnej poświęcenia, cierpiącej w ciszy i chroniącej. Miała męża i dziecko, teraz ma dwoje dzieci, a dwoje innych także potrzebuje jej matczynej ręki, co nigdy nie karze, jest cierpliwa i wyrozumiała, i pełna tkliwości dla wszystkich, których los dotknął.

Nieraz myśli o swej siostrze hrabinie, bez zawiści, ale i bez zatroskania. Poszła swoją drogą, która nosiła w sobie ukrytą jak liście rośliny. Wiedzie daleko od nich, coraz dalej i dalej, może do Oceanu Wielkiego, czyli Spokojnego. Ale wszystkie ślady na tej drodze wiodą z powrotem, aż do tego ogniska i tego stołu, ślady, co wciąż maleją, aż do miary bucików dziecięcych, zdartych już i zagubionych. Częściej myśli o Jonsie, którego życie wszyscy podtrzymywali wyrzeczeniami, nadzieją, nigdy nie słabnącą miłością. I on teraz jest tutaj, nie stał się dumny ani wyniosły, ani obcy. Pozostał taki, jak wtedy na kościelnym wzgórzu, kiedy przyszła ze służby od kościelnego, bosa, kiedy siadła obok niego, jak druga matka, pomagająca mu znosić cierpienia. Ale teraz stał się wielkim i silnym, mistrzem i uzdrowicielem, zmartwychwstałym ojcem, lecz bez smutku ojca.

Tak, lata przechodzą przez wieś, ale nie znajdują wiele nowego. Nikt nie ruszył z miejsca pól ani dróg ludzkich. Biorą one początek ze starej gleby, pragleby wsi i pokoleń,

a jeśli się tu co zmienia, to tylko wąski brzeżek na skraju. Jest tu jeszcze obraz Boga, jest obraz cesarza, a zgiełk czasu, to daleki zgiełk, gdzieś za moczarem, gdzie kopią torf na zimę i nasłuchują krzyku bąka.

Korsanke zdjął barwny mundur i przesiaduje przy swoich ulach. Ból nie znikł ze zdjęciem pasa, ale złagodniał, a doktor Jons Ehrenreich będzie nad nim czuwał, by nie zapanował.

Nowy strażnik wiejski jest młody i zbyt ostry. Pochodzi z miasta, gdzie ludzie są plewą i traktuje się ich jak plewę. Ale nie czuje się całkiem dobrze wśród tych ludzi z lasów i znad moczarów, co zamykają przed nim drzwi i opierają się rękami o płoty, gdy przejeżdża. — Tak jest, panie wachmistrzu — mówią, ale on wcale nie wie, co mówią w duszy i często przywiązuje konia do płotu przy ogrodzie Korsankego i siedzi u niego przez chwilę, pytając jak on to zrobił, że nie pozostał obcym. — Powiem panu — odpowiada Korsanke patrząc na czysty mundur i rewolwer w olstrach. — Patrzyłem trochę więcej w serce niż na paragraf. Ot co. Podwładny, to może coś pięknego, choć tego też nie wiem dokładnie. Ale Daida lub ktoś inny, to coś więcej niż podwładny. Ma żonę i sześcioro dzieci, i czego najwięcej potrzebuje, to odrobiny życzliwości. Nie rewolweru ani pałki gumowej, lecz tylko trochę życzliwości. Jak pan dla swego pieska, a Daida to przecie coś więcej niż piesek.

Tamten kreśli szablą figury na piasku. — W mieście było prościej — mówi. — Tam nie chcieli życzliwości, tylko twardej ręki i do tego nas szkolono.

— Ale tu nie miasto — odpowiada Korsanke. — Tu jest Sowi Zakątek i tu dzieci chodzą boso. Tu się nie strajkuje ani nie demonstruje. Tu jest jeszcze tak, jak wówczas kiedy Rebeka chodziła do studni. Stary tu kraj i dawny czas, i nawet żandarmi wiejscy muszą tu coś niecoś przycichnąć.

A potem tamten wstaje, potrząsa lekko głową, dziękuje jednak, i prowadzi wolno konia do swego służbowego mieszkania.

Ze wszystkich starych i młodych najmniej zmienia się Stilling. Włosy jego są śnieżnobiałe, a ręce z lekka drżą. Ale nie może już bardziej zbieleć, a natura pozostawi mu pewną moc w rękach. Zachowuje go takim, jakim jest, i takim pozostanie. Związała go jakby z wiecznością i już go nie porzuci. Przedstawia sobą skromną nieśmiertelność małej wioski, nikt w Sowirogu nie może sobie wyobrazić, że kiedyś umrze. Dla niego

świat jest tylko okrągłym wyobrażeniem, stojącym u niego przed książkami, barwną kulą obracającą się posłusznie, gdy ktoś położy na niej rękę. Pięćdziesiąt lat swego życia, długich, jednostajnych, ale wypełnionych lat, skupił w jednym drobnym punkcie, oznaczającym wieś Sowiróg. Nie wychowywał bohaterów ani proroków, po prostu uczył z małej książeczki i wielkiej księgi, z elementarza i Księgi Ksiąg. To, czego nauczał, wyrażał swym skromnym życiem, niby tablice świadectwa wznosząc je ponad swój mały świat. W wielu rzeczach pobił w ciągu tych lat, ale zachował słowo boże wśród wszelkich pokus i udało mu się coś wielkiego: był wiatrem dla pary skrzydeł i widział, jak ptak poderwał się i krąży cicho nad wsią. Nic nie było daremne, nie musi cierpieć za decydującą omyłką, nie zmarnował życia dla mirażu. Złoty zegarek ciągle jeszcze wybija delikatne, drżące dźwięki, a on teraz może bez wstydu i bólu słuchać: „Pielęgnuj zawsze wierność i uczciwość”. Tak, może z lekka uśmiechać się na myśl, jak to chciał pokonać wielką potęgę inflacji i z trudem kryjąc się za tarczą wycofał się do wsi.

Jedynie tylko u Maschlanki można wyczuć zmianę. Ale Maschlanka nie należy do wsi. Jest przybyszem, kimś z królestwa zatrzymanego w pół drogi umysłu, gdzie się mosiądz sprzedaje za złoto, nie żołnierz, lecz najemnik, co ogląda się za łupem i nasłuchuje najgłośniejszego werbla, by za nim podążyć. Patrzący z uśmiechem politowania na Księgę Ksiąg, a za Boga mający czas, przed którym trzeba w prochu na klęczki padać, by podniósł i wywyższył.

Nikt prócz pana von Balka nie zauważa w nim zmian. Inni nie mają na to ani potrzebnej bystrości oczu. Ale Balk ma zawsze dość czasu, by zauważyć, jak świat powoli się zmienia. Nie darmo zowią go Krogulcem, a oczy jego dawno już przestały oglądać się za ciasteczkami.

— Zwróć nieco uwagi na tego człowieka, Jons — rzekł.

— Jeździ na wiece, podobno dzieci już inne pieśni śpiewają. Nie o Kuternodze. Zawsze trzeba wiedzieć, kto w ciemności przed drzwiami stoi.

— Nie możemy go przecie pochować za życia, panie von Balk.

— Oczywiście, że nie. Byłoby nawet szkoda łopaty. Ale rolnik musi od czasu do czasu spojrzeć na barometr lub zapytać swego starego pastucha o pogodę.

— Czyżby pogoda się zmieniała, panie von Balk?

— Nie inaczej. Pogoda zawsze się zmienia, gdy występują kozły ofiarne. Dawniej byli to tylko Żydzi, dziś Żydzi i rowerzyści. To postęp, Jonsie. Dawniej nie było rowerzystów. Ale gdzie są kozły ofiarne, tam jest i grzech. Nawet wiele grzechów. Tylko że nie zawsze u kozłów, często u owiec. Pewnie niewiele czytasz gazet?

Nie, tego Jons nie mógł powiedzieć. Czytał swoje czasopisma i już przy tym nieraz oczy mu się kleiły. Nielekką miał pracę na co dzień. A jego światem nie był świat gazet. Jego światem był świat jego chorych, a to był poważny świat, w którym niewiele mówiono. Trzeba tam było rozpoznawać i leczyć, i zмагаć się o każde życie, jeszcze luźną nitką związane z ziemią. Życie dziecka chałupnika zza moczarów było dla niego nie mniej warte niż życie ministra. Było to życie jednorazowe i ani w czasie, ani w przestrzeni nigdy drugiego takiego nie będzie. Wcale nie trzeba, by z tego dziecka chałupnika wyrosło coś szczególnego, jak może sekretarz stanu, co się urodził w sąsiedniej okolicy jako syn karczmarza. Nie zmienił on świata ani nawet państwa nie zmienił, tylko sam się zwałił wraz z walącym się państwem. Był małym konikiem drewnianym na wielkiej karuzeli, nieprawdziwej maści i z nieprawdziwymi oczyma. Poruszał go niewidzialny mechanizm, a gdy zgasły barwne lampy, i on znowu pogrążył się w cień.

Nie, wcale nie było potrzeba, by z dziecka komornika coś wielkiego wyrosło. Wystarczy, by uprawiało trzydzieści nędznych mórg, od młodości do starości. Bo jeśli tego robić nie będzie, pole przypadnie i z jego chleba będą kamienie. A dzieci jego nie urodzą się i coś pęknie w pierścieniu pokoleń. A wieś straci uśmiech, jaki może miałyby dla obciążonych, życzliwe podanie ręki, dobrotliwe słowo w niedobrym roku. To nieprawda, że na zastępstwach pracuje gospodarka ludzkości, czy nawet kraju albo wsi. Jonsa nie zastąpi ani doktor Lustig ani doktor Traurig, ani doktor Bylekto, ani Stillinga, ani Korsankego, ani nawet Piontka. Może ktoś zająć jego miejsce i miejsce będzie zajęte. Ale człowiek, który je zajmował, jest niezastąpiony. Raz tylko wypadł z ręki Boga i jednego go Bóg ukształtował, nie serię całą, jak na bieżącej taśmie w fabryce maszyn.

Mało więc Jons miał czasu, by uważać na takiego Maschlankę. W chatach chałupników, gdzie siadywał przy łózkach, nie słyszał wcale nowych pieśni, a gdy po pewnym oporze otworzył okienka w izbach, słyszał tylko stare pieśni z czasów wczesnego dzieciństwa. Ciągle jeszcze śpiewają: „W chłodnym cieniu stara grusza stoi” i Jons, trzymając rękę na tętnie chorego, wybiegał na chwilę wzrokiem ponad doniczkami

złoty laków i geranii w odległą dal, a potem z życzliwym uśmiechem powracał do siebie. Mijają lata, a po wsiach myślą przeważnie, że zbierają ze sobą tylko zwykłe brzemie dnia i nocy. Czymś nowym był dla nich sum, którego złowili, lub to, że Jons rozkrył ciało Pionka, lub że przyjechał nowy pastor. Ale gdzieś tam, poza moczarem, nic nowego dla nich nie było. Że się bili w salach sejmowych lub na ulicach, że wymyślali sobie od zdrajców. Krach na giełdzie nic ich nie obchodził. W ich wyobraźni krach to był tylko wielki łomot pękających belek. W potrzebie pole dawało na podatki, a jeśli nie dawało, pomagał pan von Balk, nie leniom i pijakom, ale porządnym i pracowitym.

Ale niekiedy czas dobiera się do najmniejszych wiosek. Niczego nie zostawia w spokoju, gdziekolwiek ludzie żyją. Pracuje ludźmi, pieniędzmi, słowami i nawet najmniejsze może być dla niego ważne. Cesarstwu chodziło o podatki i wiernych władzy żołnierzy. Republice chodziło niemal tylko o podatki i o zboże. Ale nowym czasom chodzi widocznie o wszystko razem. Język puchnie jak chory organ, puchnie słownictwo, określenia, siła dźwięku, jarzą się plakaty, obietnice, przekleństwa.

I pewnego razu odbywa się w Sowirogu wiec. Odbywa się u Czwallinny, w jedynym możliwym miejscu. Zapraszają nań plakaty, a warkot motocykli rozbrzmiewa po wsi. Widać nowe mundury, nowe ruchy, nowe zwyczaje, a ludzie z Sowirogu wsuwają się powoli, na wpół z ociąganiem, na wpół ciekawie, do wielkiej izby gościnnej. Nic nie piją, nie jedzą, a „Tatar” zerka wściekłymi oczyma ku ich ławkom.

Ale przyszedł pan von Balk i Jons, i Stilling. A nowy żandarm wiejski stoi nieswój przy małym pulpicie dla mówcy i pucuje ze wszystkich stron swój kask.

Młodzi obcy podsuwają się nieco do chałupników i zaczynają gawędzić. Ale chałupnicy nie odzywają się. Nieznane im są pogawędki, a każdy mundur jest dla nich podejrzany. Nawet strój karnawałowy byłby dla nich podejrzany. A przy tym ci młodzi ludzie wydają im się zbyt pewni siebie i zbyt głośni, a ludzie z Sowirogu wcale nie są tacy. Oni przywykli robić cicho swą codzienną pracę, a jeśli kiedy muszą do miasta powiatowego, albo do żandarma, albo do nauczyciela, przywykli zdejmować czapkę i czekać cierpliwie, aż ich wezwą. Zwykle nie dzieje się to zbyt uprzejmie, nawet w republice, ale wiedzą, że nigdy inaczej nie było, i że pan Bóg tak urządził.

Siedzą więc cicho i czekają, a tymczasem wymieniają szeptem uwagi. Zawsze mieli naturalne poczucie humoru, a wiele jest dla nich komicznego z tego co widzą.

Zaokrąglone ruchy, jak u figurek drewnianych, chojractwo na twarzach, żandarm, co nie wie, jaką zrobić minę, a przede wszystkim Maschlanka, w rudej peruce, usłużny, a równocześnie też chcący być chojrakiem i ciągle przerzucający się z jednej postawy do drugiej.

Najzabawniejsze jest jednak dla nich, kiedy przywódca podchodzi do pana von Balka, trzaska obcasami i wyrzuca w powietrze rękę. Pan von Balk zakłada monokl i ogląda typa, jak młodego byczka na sprzedaż. Ogląda go od stóp do głowy, z nieruchomą twarzą, dostrzegając całe mnóstwo rzeczy. Nic się nie odzywa, i dopiero kiedy gość po raz drugi mówi, że cieszy się, widząc tu tak znaczną w powiecie osobistość, i że jest przekonany, że zobaczy go wkrótce maszerującego w ich szeregach, odpowiada pan von Balk, że jest starym kawalerzystą, a u takich maszerowanie zawsze trochę szwankuje. I czy oni tu w Sowiropu zamierzają prowadzić naukę maszerowania. Zdejmuje monokl i starannie przeciera białą, jedwabną chusteczką.

Gość nieco zbity z tropu odpowiada, że oczywiście należy to rozumieć symbolicznie, a Balk przytakuje mu przyjaźnie. — Kiepsko oni tutaj maszerują — mówi. — Zbyt długo chodzili za pługiem, by zbierać chleb dla innych maszerujących. A i z symbolami tutaj coś niecoś utoyka. Taka zacofana wioska na końcu świata. Facet nie wie dobrze, czy to ma być dowcip, robi więc energiczny w tył zwrot i wchodzi na niewielkie podwyższenie.

Mówi coś z godzinę, a ludzie z Sowiropu słuchają. Wyglądają cokolwiek zmieszani, jak stado bydła, które się wypędza na stare pastwisko, a tu przez noc ktoś ogrodził to miejsce wysokim płotem. Patrzą więc przez szpary na zielony świat i dziwią się, że wszystko jest inaczej.

Po większej części też nic z tego nie rozumieją. Wiedzą już, co to są Żydzi, ale stary Hirsch ze swymi wstążkami, sprzączkami i łańcuszkami krew z nich wysysa, o tym słyszą po raz pierwszy. A wolnomularze i marksieści, to dla nich gadki o żelaznym wilku. Kucek nie muruje wolno, robota pali mu się w rękę, jeśli mu tylko dobrze zapłacą, a przede wszystkim wódkę postawią. „Inaczej nie wiąże”, mawia.

Pochylają więc nieco zmęczone ramiona i posłusznie wszystkiego wysłuchują. Nie bardzo ich wzrusza „haniebny pokój”, dla nich ważne jest tylko, że jest pokój, a nie wojna.

A ten człowiek, co tam na katedrze zaciska pięści, wygląda tak, jakby mu się wojenki zachciewało. „Zwycięsko pobijemy Francję i umrzemy jak bo-ha-te-ro-wie.” Ale oni nie chcą bić Francji, mają to jeszcze dobrze w pamięci, ani umierać jak bohaterowie. Chcą trochę więcej pola i łąki w lesie, a od czasu do czasu zajęczka i trochę więcej pieniędzy na wódkę. Skromne pragnienia, ale o tym ten człowiek niewiele mówi.

A w końcu myślą, że ten człowiek w ogóle się pomylił. Że pobłądził na swym motocyklu, chciał jechać całkiem gdzie indziej. Do powiatowego miasta zapewne, gdzie ludzie mają czas iść wieczorem do cyrku. Co taki człowiek wie o wsi Sowiróg. Dajcie mu pług do ręki i siekiere, zobaczymy, jak się do tego weźmie. Do gadania jest tu pastor, a czasem i nauczyciel, ale młodzi chłopcy, są do roboty. Tak napisano w Biblii i taki jest porządek świata. Żandarm chrząka od czasu do czasu, a gdy jest mowa o republice Żydów i bonzów, przerywa i prosi, by zaniechać antypaństwowych wypadów.

Mówca patrzy na niego pobłażliwie, jak na starego człowieka, który nie całkiem nadaża, kończy jednak, wzywa do wstępowania do partii, wreszcie wznosi okrzyk, który ludzie w Sowirogu słyszą po raz pierwszy, i w którym jeszcze mniej mogą się połapać niż we wszystkim, co było przedtem.

Kiedy pan von Balk wstaje i z uśmiechem daje im znak, wstają i oni, i powoli wymykają się przez drzwi. Na dworze świecą gwiazdy, a ciepłe, czyste powietrze spływa znad jeziora. — Ale ten ma gardło, bracie ... — mówi stary Daida, biorąc prymkę końcami palców. — A skóry na nich — odpowiada Gonsior. — Całą uprząż można by z tego zrobić. — I na tym sprawa się dla nich skończyła. Nie był to sukces i mówca wsuwa z przekleństwem do aktówki kartki rękopisu. — Gówniarze! — mówi wściekły. — Wschodnia rasa!

Wiejski żandarm odchodzi w zamyśleniu do domu, a pan von Balk i Stilling siedzą jeszcze chwilę u Jonsa. Dla Stillinga to tylko jeszcze jedna błazenada, jakie tak lubi naród niemiecki, która przeminie jak przemijają wróżbici i prorocy. Ale pan von Balk utkwiał ponuro wzrok w ciemny komin i pali jednego papierosa za drugim. — Rozjaśnia ci się, Jons? — pyta po chwili. — Gdy się odwołują do ideałów, już jest na ogół dość hałasu w dziejach świata. Ale gdy się odwołują do instynktów, machina świata zaczyna szaleć.

— Ci pozostaną odporni — odpowiada wolno Jons. — Widać było dziś, że pozostają odporni.

— Puls chorego, to nie puls narodu, Jons. Masa ma szybkie tętno, a sto zastrzyków, to więcej niż jeden.

— Więc co robić, panie von Balk?

— Podaj nam koniaku, Jons. Dziś oni odjeżdżają. Dziś chcieli dać tylko przedstawienie i niezupełnie się udało. Jutro nakażą wstępować. Widziałeś piękne sprzączki na ich pasach? Zawsze zaczyna się od sprzączek: u koni, u ludzi i u narodów. A kończy się na szubienicach i stosach. Na zdrowie, Jons! Na zdrowie, Stilling! Chciałbym mieć tyle lat, co pan.

— Zobaczymy, co pan Bóg o tym myśli, panie von Balk — mówi cicho Stilling.

— Naprzód ludzie myślą, Stilling, a po długiej chwili może myśli pan Bóg, a przynajmniej ludzie tak to sobie wyobrażają. Gdy grad zniszczy plony, musi ktoś za to winę ponosić. Już oni zrobią z tego ładny egzamin. Pójdzie parę milionów ludzi, zanim ten egzamin się skończy, a pozostali uzyskają świadectwa. Ale na pewno nie z oceną *summa cum laude*. Może dostaną rite, a może i tego nie.

„Zamknijcie swe serce i swe bramy!”, mówi wasz stary mistrz. Lub coś podobnego. A teraz pomaszerujemy do domu. Tak przecie powiedział ten typ, nieprawdaż? Ciekawe, niektóre narody wędrują, niektóre koczują niektóre są osiadłe. Ale Niemcy maszerują, od kolebki do grobu. Myślałem, że po ostatniej wojence odechce im się maszerować. Nie ma mowy. Już znowu ich bierze ochota. Jest Żyd wieczny tułacz i wiecznie maszerujący Niemiec. Ciekawe, czy się kiedy spotkają. Mają przecie ostatecznie ten sam cel. „O wieczności, gromkie słowo!”

Nie, to błąd myśleć, że czas nic nowego nie przynosi. Idzie brzemienno nowymi rzeczami, nowymi ludźmi, nowymi światopoglądami. Jest patronem płodności i wszystko mu jedno, co rodzi. Jego zgiełk nie zawsze pozostaje dalekim zgiełkiem gdzieś poza moczarem. Są gazety, radia, a gdzie jego głos jest zbyt słaby lub zbyt odosobniony, są głośniki wykrzykujące po miastach i wsiach, poprzez zamknięte okna, aż do zaryglowanych serc. Dawniej wieś leżała „za lasem”, daleko od czasu. Miesiące upływały, zanim czas wsączył się w puste przestrzenie i wypełnił je, jak napełnia się puste naczynie, zrazu rozbrzmiewając głuchym opadającym tonem, odbijającym się echem od ścian, a potem coraz dźwięczniej i dźwięczniej, aż napełni się i przeleje.

Ale teraz nic już nie leży poza lasem. Przez każdy las biegną druty, mkną jak błyskawica lśniące wozy, a gdzie druty i wozy są zbyt wolne, podąża niewidoczny głos przez eter. Nie wiadomo, czy ten eter jest naprawdę, czy to tylko majak mądrych ludzi. Ale to, co tak zowią, posłusznie i chętnie rozprowadza, co mu polecą: wieści czy liczby, nazwiska czy obietnice, błogosławieństwa czy przekleństwa.

Można powiedzieć, że jest tu pole, Bóg lub cesarz. Ale wieści nie pytają o to, wyłączają to wszystko z gry, jak rozbitą i poszarpaną lalkę leżącą na kupie nawozu. Czas wystawia sobie własne bóstwa. Kiedyś było to coś wielobarwnego lub złoty cielec, teraz jest to państwo, albo człowiek, albo tylko imię. Rozwiewa się na chorągwiach, świeci wiecom i pochodom, krzyczy ustami, orkiestrami, głośnikami. Owłada. Ot co. Owłada chętnymi, chłodnymi opornymi. Wyrzywa masy ze skłócenia i rozproszenia, porywa ze sobą tamy, brzegi, skarpy, a wreszcie rozlewa się z hukiem jak powódź po dolinie, grmiąc i pieniając się, zalewa młyny, co mielał zboże i tartaki, co tnął drzewo na kolebki i trumny, coraz dalej i dalej, aż do oceanu, co tyle pochłonał, a teraz pochłania czas, wielki nowy czas, co uważa się za wieczność, a jest tylko krótkim dniem „od wczoraj”, „cieniem nad ziemią”.

Zima panuje w Sowirogu, ostra zima, a ludzie z Sowirogu wciąż jeszcze niewiele dostrzegają z wielkich spraw czasu. Idą w czerwonym, zimnym słońcu poranka do poręby, owinąwszy stopy w szmaty, z piłą i siekierą na ramieniu. Przystają na chwilę przy tropach dzikiej zwierzyny, zajęcy, saren, a niekiedy stada loch. Oglądają je okiem znawcy, a jeśli tropy dzików są świeże, omawiają zbliżające się polowanie. Polowania zawsze są wspaniałe. Śnieg w młodnikach sypie im za kołnierz, a ręce marzną w rękawicach z jednym palcem. Ale nie trzeba robić nic więcej, tylko utrzymać kierunek i od czasu do czasu uderzać kijem w stare sosny. Aż nagle wystrzał wstrząsa zimowym lasem, potem drugi, trzeci, a potem koniec, albo jeszcze trochę nagonki. Ale zawsze jest wódka, pieniądze, nieraz gorąca grochówka i nieraz cygaro.

A jeśli już zupełnie nic nie było, wracają do domu o wieczornej zorzy, zmęczeni i głodni, ale nie w złym nastroju. Może jest skromna pieczeń zajęcza, może jałowcówka. Płonie ogień na ognisku, a kiedyś znów będzie niedziela dla wsi, z nowym kościołem i nowym pastorem. Nie całkiem biedni i opuszczeni są ci ludzie z Sowirogu. Ciągle jeszcze jest pan Bóg, a zapewne i cesarz. Mówią, że go wypędzili, ale może śpi gdzie w Baśniowej

Górze i wróci kiedyś, by przeciwzyć coś niecoś tych chłopaków z paskami skózanymi, by byli cichsi i skromniejsi.

Ale na razie są te chłopaki. Wydaje się, że i republika już się skończyła, jak tyle rzeczy się kończy, ale ich to nic nie obchodzi. Był Hirsch, co to podobno wysysa z nich krew, ale sprzedaje grzebienie i wstążki, i siada na chwilę przy ogniu, zgarbiony i bardzo zmęczony.

— Boże sprawiedliwy — wzdycha — co oni za czas zrobią z tego naszego czasu! — I opowiada, że są wsie, gdzie szczują go psami, ale psy nie słuchają. Znają starego, a krzyczą za nim: — Gudłaj, gudłaj!

— Kiedy człowiek krzyczy na człowieka, to już się zaczyna. Zawsze się tak zaczynało.

A jeszcze przed wiatrami przedwiośnia widzą pewnego wieczora, że Maschlanka nosi mundur. Nie wiedzą, czy jest żołnierzem. — Chyba nie — mówi Daida — bo by mu się zaczepiła peruka na drutach kolczastych. Ale teraz wygląda jak żołnierz z paskami skózanymi jak inni, nawet czapkę nosi, także wtedy, gdy wiatr nie wieje. Poważnie traktuje swój mundur.

Teraz rzeczywiście nowe są w szkole pieśni i dzieci powtarzają je w domu, póki ojciec nie odepnie paska. A pod dachem szczytowym szkoły człowiek w niebieskim ubraniu umieszcza dużą, czworokątną płytę drewnianą z okrągłym otworem, wieczorem dźwięczą marsze i mowy nad osłupiałą wsią. A pewnego poranka zjawiają się inni ludzie z rozciąganym wozem, wykopują na podwórzu szkolnym głęboki rów i stawiają maszt na flagę, tak wysoki, że chyba tylko cesarz ma taki drugi, o koło południa powiewa z masztu ogromna flaga, dzieci stają z otwartymi ustami i przyglądają się, jak wiatr ją porusza.

Ale jednej z następnych nocy, gdy Maschlanka pojechał na zebranie, pewnej wiosennej nocy, z deszczem, burzą i gęstymi chmurami, jest jakiś milczący ruch koło domu nauczyciela, jakby spotkały się tam cienie czy zwierzęta leśne, a rano, gdy nauczyciel Maschlanka nastawia swe radio, nic nie słychać pod szczytem domu, a gdy patrzy przez okno, widzi że maszt znikł razem z flagą, spiłowany tuż nad ziemią, i że zamiast głośnika wisi u stropu kilka kawałków drewna podtrzymywanych ukrytym drutem.

Pędzi Maschlanka do następcy Korsankego i oto stoją obaj na miejscu przestępstwa. Nauczyciel wodzi palcem po płaszczyźnie przekroju, ale maszt od tego nie odrasta. Klnie i miota się, a strażnik wiejski ma też poważną minę. — To są symbole! — krzyczy Maschlanka.

— A nawet dzicy szanują symbole.

Żandarm niezupełnie wie, co to są symbole, ale zapewne to coś poważnego, a w każdym razie to świństwo może go drogo kosztować. Szukają śladów, ale deszcz wszystko zatarł, więc żandarm złoży doniesienie swoim władzom. Nic innego nie przychodzi mu do głowy, a Maschlanka wcale nie jest tym zachwycony. Szczególnej chwały mu to chyba nie przyniesie. Ludzie stoją przez chwilę koło domów, gdy żandarm jedzie przez ulice wsi. Wygląda, jakby był zły i nie pozdrawia, czemu ludzie się tak bardzo nie dziwią. Nie każdy może być Korsankem i nie każdy może być Stillingiem. Także w lesie nie każdy ptak może być sokołem wędrownym, niejeden jest sroką, a niejeden tylko dudkiem, a i ich przecie Pan Bóg stworzył.

Są przesłuchania i niezliczone alibi. W Sowirogu nietrudno o alibi. Kto zastawia sidła, a niekiedy nocą wypływa na jezioro, dla takiego to bardzo pożyteczne urządzenie.

Z przesłuchań nic nie wychodzi i tylko alibi zostają. Niewzruszone, jak spiżowe tablice. Motocykliści zatrzymują się we wsi, a dowódca przypatruje się ponuro ciekawskim, stojącym wzdłuż ulicy.

— Pacholki — mówi. — Już my wam pokażemy, gdzie raki zimują...

— To jeszcze trzy ćwierci lata, panie generale! — odpowiada prosto-dusznie Daida.
— Przed Marcinem nie bywa u nas zimy.

Wiele jest śmiechu dookoła jeziora, ale zakłopotany Balk potrząsa głową. — Siedźcie cicho, ludzie — mówi. Zgniotą was jak wszy.

I Jons mówi to samo siedząc u łoża chorych, często zatrzymuje konia na pagórku i patrzy przez chwilę na cichą okolicę, gdzie zielenieją młode zboża, a w górze krążą myszołowy.

Zjawił się nowy słup z flagą i nowy głośnik. Ludzie zamykali okna, a niekiedy obrywał się któryś z drutów przewodów elektrycznych, biegnących przez pola i lasy. Zdarzało się to zawsze w lesie, tam gdzie gałęzie sosen sięgały do samego drutu, i bardzo możliwe, że to wiatr go uszkadzał.

Ale mimo to wieś Sowiróg pozostała tak zwanym unikatem w całym powiecie, bo posiadała dowódcę grupy miejscowej w osobie Maschlanki i jego zastępcę w osobie Czwallinny. Więcej nie posiadała nic, prócz swych pól, łąk i torfowisk. To stara wieś, co ciągle jeszcze leży „za lasem”. Ponad tym lasem też jest tajemniczy eter i przenosi posłusznie wieści czasu aż do głośnika Maschlanki. Ale tu koniec z nimi. Pusta przestrzeń ogarnia je i pochłania. Ci ludzie chyba rzeczywiście jeszcze przed dziesięciu laty szczekali. Nic nie rozumieją, trzymają się starego, a nawet mówią, że pan von Balk chce znowu zapalić mielerz. W mieście śmieją się, ale i klną. — Co robić z paroma bałwanami? — mówią między sobą. — Zobaczmy, jak będzie z dziećmi. Jak przystroimy je w nowy przyodziewek, to i cała wieś się podciągnie.

Ale wieś się nie podciąga. Zapomnieli znowu, że tu się jeszcze mówi o ojcu i o matce w liczbie mnogiej. Dostają nowy przyodziewek i robią, co im każą, ale ani na jotę więcej. A robią to przy tym tak niezdarnie i tumanowato, że młodzi wodzowie są w rozpacz. A kiedy najmłodszy Daida, wnuk, gdy na zlocie w mieście powiatowym miały zabrzmieć fanfary, zaczyna o pół taktu za wcześnie, okropnie przy tym fałszując, dają za wygraną i przestają wykorzystywać młodzież z Sowirogu przy reprezentacyjnych okazjach. — Powinien się nazywać nie Sowiróg, lecz Małpiróg — mówią.

Grünheid nie urzęduje, jego stanowisko przejął Maschlanka. Ale gdy domaga się starej laski sołtysowskiej, Grünheid wzrusza ramionami.

— Nie ma jej. — A gdzie jest? — Pan Bóg przyszedł w nocy i zabrał. Pan Bóg często coś w nocy zabiera.

Jons musi wstąpić do Izby Lekarskiej. Pan von Balk nalega na to.

— Chcesz, aby tu przyszła jakaś świnia? — mówi. — I żeby żarła z naszego koryta? My już będziemy wiedzieli, dlaczego to robisz.

Jons jest posłuszny, ale robi się ponury i zamknięty w sobie, i nawet Tobiasz nie potrafi go rozweselić. — Przypominasz sobie czarny pył, Jonsie? — mówi. — Tam, gdzie stały kominy? Widzisz, nieraz Bóg dmie w taki pył i rozpędza go na cały kraj. Ale to tylko pył. Wierz mi, Jons. Dopiero gdy on dmie w ziemię lub w morze, wtedy jest źle. Ale on tego nie robi.

Żyto rośnie, wilga powraca, a nowe dzwony dzwonią w swej drewnianej wieży. Nowy żandarm nagle znalazł się wśród pobożnych i na każdym nabożeństwie siada w

ostatniej ławce. Zawsze któryś z chłopów stoi mu za plecami i zagląda przez ramię, by mu nagle nie przyszła ochota zapisywać cytaty w książeczce. Ale już nie jest tak jak dawniej. Wieś już nie jest cichym domem, gdzie są wśród swoich: wielcy czy mali. Coś stoi przed drzwiami w mroku, ale nikt nie rozpoznaje, co. Słyszeć tylko jego stłumiony oddech i nie wiadomo, czy to wilk, czy jagnię.

Tak, lata przechodzą przez wieś, układają się jak słoje na drzewie. Kora zostaje ta sama, ale pod nią przebiega przez drewno nowa, wielokrotnie ząbkowana linia. Nikt jej nie widzi, dopiero pod piłą się ją zobaczy. Ludzie znowu śpiewają w Sowirogu, żyją i piją jak dawniej. Patrzą z ukosa, gdy zjawia się coś nowego. To nowe też przeminie, jak przemija grad. Ale niekiedy, odrywając się od swej pracy na polu lub na torfowisku, prostują się i nasłuchują. Podnoszą rękę do oczu i badają widnokrąg. Ale nie widać tam ciemnej ściany blednącej na skrajach. Więc potrząsają głową i kopią dalej. Wydawało im się że w dali cicho grzmi.

A nieraz wieczorem widzą Czaję, jak siada na skraju lasu na pniu drzewa i patrzy na wieś. Nigdy przedtem nie opuszczał swej chaty o tej porze, a ludzie z Sowirogu siedząc na ławkach przed drzwiami swych domów, odwracają głowy i patrzą ku niemu. Jego drobna postać szarzeje coraz bardziej, zlewając się z wolna z korą drzew i krzakami jałowca. Niby postać wielkiego, samotnego ptaka, co nie ma swego gniazda i patrzy na dachy ludzi. To coś oznacza, ale co oznacza, nie wiedzą.

Rozdział 15

Niełatwo było Jonsowi powiedzieć, gdy później nad tym wszystkim się zastanawiał, kiedy to się zaczęło i jak się dokonało, jeśli o dokonaniu w ogóle mogła być mowa. Tyle wiedział z własnego życia, że los, czy jakiegokolwiek imię dać tajemniczemu doświadczeniu, pracuje wolno i niepostrzeżenie, zanim przesunie człowieka na nowy stopień. Wiele rzeczy dzieje się cokolwiek dziwnie i cokolwiek dowolnie. Lekkie drżenie w spokojnym ruchu wahadła, zapomniane wspomnienie, co nagle znowu wydobywa się z podświadomości i nie wiadomo, kto czy co, go przywołało. Wiersz kiedyś czytany pewnego wieczoru, znowu się zjawia, przy kominku lub w pojeździe — gdy się jedzie przez wieś — spotkanie z człowiekiem, które mogłoby nie nastąpić, gdyby się parę minut dłużej zatrzymać przed księgarnią lub pójść inną drogą. To co ludzie nazywają przypadkiem, ale potem po zastanowieniu przyznają, że działało tu jakieś prawo, mądre przewodnictwo, i że zjawiały się one dopiero wtedy, gdy się do nich dojrzało. Tak było z Małgorzatą, z Tobiaszem, z lekarzem sztabowym, z Lawrenzem. Jakby stali za kurtyną i czekali na hasło, a kiedy słowo padło, rozsuwali materiał i występowali na widownię. Byli zawsze sami dla siebie, jak się zdawało, ale był to złudny pozór, bo byli dla ogółu, także dla niego, Jonsa Ehrenreicha, szczególnie dla niego.

Nieprawda, że byli tylko środkiem i niczym więcej, że los ich zachował, by wpleść nową nitkę w tkaninę Jonsa i tylko jego. Raczej i dla nich jakieś przeznaczenie wiązało się z tym spotkaniem, jakiś zwrot, jakieś poznanie, jakby wzbogacenie czy udoskonalenie. Były to wzajemne zależności, przyciąganie i odpychanie, i dopiero o wiele później można było poznać, że życie inaczej by się potoczyło, gdyby nie odezwali się na hasło, inne dla każdego z nich. I nie spotkanie było tajemnicą. Jeśli dwoje ludzi w ciemną noc, w wiele ciemnych nocy, idzie do składu węgla, by trochę ciepła przynieść do swej izdebki, nie ma w tym szczególnej tajemnicy, że się kiedyś spotkają. Lecz w tym jest tajemnica, że życie tych dwojga w tej godzinie posunęło się tak daleko, że są samotni i zatroskani, i potrzebują drugiego, tego właśnie człowieka, że przygotował ich ktoś do tego spotkania, mimo ich wiedzy, i obojętne, czy później nazwą tego kogoś Bogiem, losem, czy gwiazdami. Dorośli do swej godziny nieświadomie i niepostrzeżenie, a gdy zamkną drzwi

za sobą, dziś czy jutro, nie wiedzą, że godzina już nadeszła i posłusznie zawisała pod gwiazdami.

Jonsowi zdawało się, że nowe czasy nie wytrąciły go z cichego szlaku, ale wstrząsnęły pewnością życia. Widział, jak chwieją się gwiazdy, ku którym spoglądał. Ludzkie ręce zmieniały niezmiennie prawa i widział, że wiele z tego, co on wynosił na tron wieczności, tarzano w prochu. Rozumiał, że to zbrodnie, ale poznał i to, że mogą się one dziać, a jednostka, naród, świat nie przeszkadzają im, czy nie mogą im przeszkodzić. Poznał moc zła: posługiwała się ona słowem tak jak moc dobra. Owszem, człowiek równie był gotów jej słuchać i służyć, jak dawniej Bogu i ludzkości. Nie to było ważne, że ludziom zadawano gwałt, lecz to, że człowiek prawy patrzył, jak wali się niewzruszony porządek. To tak jakby dziecko patrzyło, jak jego rodzice stają się mordercami i mordują jego rodzeństwo. Rodzice, co nie byli z dawien dawna mordercami, lecz, jak inni rodzice, życzliwi, czuli, pracowici i bogobojni.

Dla Jonsa zwiastowało to coś więcej niż zwyrodnienie czasu. Dla niego było to zwyrodnienie wieczności. Śmiertelny cios w samo serce potęgi, co go od mielerza strzegła i wiodła. Zdawało mu się, że krzyżują jego ojca, choć on już od dawna śpi w rosyjskiej ziemi, że krzyżują Jumbę, że gnają Lawrence'a nagiego i z pręgą na sercu przez wyjąca ulicę i że lud szaleje z radości, iż to, co jest teraz, jest właśnie prawdą i dobrem, przebudzeniem z błędu, ostatecznym wypełnieniem ostatecznego prawa. A nie najmniejsza gorycz była w tym, że Balk zmuszał go, przynajmniej z pozoru, do stania na uboczu i przyglądania się w milczeniu.

I stąd zrodziła się w nim najgłębsza miłość ku swojej wsi, jaką kiedykolwiek odczuwał. Nie brał pod uwagę, że ulega właśnie ze względu na wieś i na wiele wsi. Widział, że trwa ona w dobrym i nie przeszła na stronę zła. Mała, biedna, opuszczona wioska, bezbronna i bezsilna; chroniła ziarno, które posiał Stilling, czy zmarły pastor, albo Jakub, czy długi szereg zgrabionych i pokornych chałupników i chałupnic, ludzi, którzy chodzili za pługiem lub robili łopatą, płacili podatki i wysyłali synów do wojska, a jednak zachowali w swych sercach to, co bogaci i wielcy odrzucali jako omyłkę lub oszustwo.

Kochał wieś ze wszystkimi jej słabościami i błędami, kochał każdego człowieka z nędznych, dusznych chat, bo każdy z nich pomagał odeprzeć śmiertelny cios, wymierzony w bezbronne serce dobra.

I może tak właśnie doszło do tego, co przytrafiło mu się w drodze powrotnej z jednej wsi za moczarem. A może to było tylko przygotowanie, jak przygotowaniem było jego osamotnienie, wtedy gdy ciągnął wózek na gumowych kołach idąc nad rzekę do składu węgla.

Tego lata, w rok po historii z masztem flagowym, przyjechała znowu panna Holstein, zbłąkane i skołowane stworzenie, opowiadając o pensji, gdzie sceny z ulicy wtargnęły już do jej jadalni, i gdzie ku zacieklej uciezce jej siostr synkowie urzędników i obszarników wieścili nowe czasy we właściwy im dziki i hałaśliwy sposób.

Był także lekarz sztabowy i siadywał cicho nad brzegiem jeziora lub na kupie torfu nad moczarem, albo u Jonsa przy wieczornym ogniu. Stał w milczeniu, ale pewnego wieczoru opowiadał, jak to się sprawa przedstawiała w owym dniu, kiedy to stłumiono rzekome powstanie. Znał najdrobniejsze szczegóły, a Jons siedział obok w milczeniu oparłszy głowę na rękach, i słuchał. — To zorza poranna, kolego Jero-min — mówił lekarz sztabowy. — Pamięta pan, co kiedyś mówiliśmy o książce? Tak to wygląda, a jeszcze daleko do blasku południa albo do zorzy wieczornej. To dopiero mały, skromny początek, wstępna próba tego, co przyjdzie, i niech Bóg nas ma w swojej opiece, każdego, komu przeznaczone to przeżyć. I Jons widział, jak oboje odjeżdżali, jakby na bitwę, której groźba zawisała nad lasami, lub jak do ziemi niczyjej, po której pełzają nieznane bestie, wieloczłonowe i opancerzone, o lodowatych oczach, dające sobie cicho niezrozumiałe znaki, gdy jakaś ludzka istota ukaże się na skraju.

A potem był z Hanną we wsi nad moczarem, gdzie przez wiele ciężkich godzin pomagali urodzić się dziecku chałupników. Zdawało się, że to dziecko broni się rękami i nogami przed przyjściem na świat i wreszcie, kiedy położna wzięła je na ręce, Jons nie mógł oczu oderwać od tej drobnej istotki. „Co ono pocznie na tej ziemi?“, myślał. „Czy nie wie, że to ziemia morderców, czy może wiedziało o tym i dlatego tak się opierało?“

A chałupnica, jakby odgadła jego myśli, chwyciła go za rękę, gdy się raz jeszcze nad nią pochylił i rzekła cicho: — Pan Jezus zmiłuje się nad nim, jak nad wszystkimi innymi.

— Skąd ona to wie? — zapytał w wozie dziewczynę. Hanna zrozumiała go natychmiast. — Biedni ludzie zawsze to wiedzą — odrzekła tylko, i ona także wypowiedziała to jak ewangelię.

„Zapewne dlatego”, myślał dalej, „że nie przeszli szkolenia umysłu. Ciągłe tkwią w prymitywizmie i tym są silniejsi ode mnie”.

Szerokie niebo było zachmurzone, lecz tylko tak, jakby błękit prześwitywał przez chmury. Stłumione, melancholijne światło kładło się na ziemi, oświetlając pola, na których stały snopy. Powietrze było ciche i gdzieś spoza, jeziora dochodził ich samotny śpiew pastuszka lub dalekie wołanie dzieciółów, zapowiadających deszcz. Na lewo ciemna chmura ciężkimi pasmami zniżała się nad horyzontem, ale obok było jasno od ukrytego słońca, a u jej krańca migotały skrzydła wielkiego, obcego ptaka, jakby tam już znowu spotykał się ze słońcem. Był to zapewne jeden z tych wielkich orłów, co nieraz od wybrzeża zapędzają się w głąb łądu.

A potem przy drodze, w zaroślach z głogu i grabu, zobaczyli młode sikorki. Spóźniony drugi wylęg, co ledwo opuścił gniazdo, a rodzice latali dokoła niego, ostrzegając trwożnym wołaniem.

— Tam musi coś być — rzekł Jons wysiadając. Przepędził kamieniami łasicę, i wtedy zauważył, że towarzysząca mu Hanna trzyma w rękach troje ptasząt, co się u niej schroniły strwożone. Nic jeszcze nie wiedziały o ludziach i dziewczyna wydała im się zapewne cichym krzakiem z jasną wysuniętą gałęzią czekającą na ich nieporadne nóżki.

Jons podszedł do niej bliżej, bliźiutko, i spojrzał na zmierzwiiony, jeszcze nie wygladzony puch, spośród którego ufnie spoglądały dokoła ciemne oczka. — I nad nimi Pan Jezus się zlituje — rzekła cicho Hanna.

Ptaszki poderwały się równocześnie z cichym świergotaniem, bo rodzice już blisko wołali i zniknęły w najbliższej grabinie. Ale Jons nie patrzył za nimi. Ujrzał nagle twarz Hanny, z ciemnymi oczyma, ciągle jeszcze przepełnionymi tkliwością tego spotkania i podświadomie wydało mu się, że ciche melancholijne niebo jest tylko ponad tymi oczyma, których nigdy jeszcze nie widział, ponad nimi dwojgiem, co urodzili się pod tym samym niebem, związani mrocznym losem, a przecie pozostali sobie obcy, jak gdyby mroczny czas, co upływa powoli i tajemniczo, czekał aż do tej chwili, by posłużyć się ich własną samotnością i nieporadnymi ptakami, daleką chmurą, z której spadł deszcz,

nawet obcym ptakiem, co krążył pod niewidocznym słońcem, że posłużył się tym wszystkim, by strącić ostatnią ciężką kroplę do naczynia, a on, Jons, nie wiedział o tym naczyniu, o cichym biegu czasu i losie, który ze sobą przynosi. Pracował, kłopotał się, dociekał, a na bliskich ludzi patrzył jak na cienie, gdy tymczasem wszyscy chorzy we wsi stali mu przed oczyma jasno, wyraźnie, wszystkie ich dolegliwości i każdy ruch ręki, na który czekają.

Serce zabiło mu naraz ciężko w piersi i jeszcze raz rozejrzał się dokoła po wielkim milczącym kręgu, czy nie ma tam czegoś, co by to wszystko mogło wyjaśnić. Ale nie znalazł nic nowego. Okolica była taka jak zawsze, może cokolwiek smutniejsza niż zawsze. Koń skubał zakurzoną trawę obok śladów kół, a dziewczyna stała jak zawsze, z rękami złożonymi i opuszczonymi, lekko drżącymi rzęsami. Proste, posłuszne i pokorne dziecię tych stron, co przeżyło mroczną chwilę, wiele mrocznych chwil; cienką nicią powiązana z nim, ale trwożna i uważająca na każdy krok, by on tej nici nie zauważył, zawsze i z każdym biciem serca świadoma tej chwili, kiedy surowa kobieta wypędziła ją z gromady, a potem już tylko pokorna dziewczyna, która zbłądziwszy znów została przyjęta do domu, do ciemnego kąta, skąd wychodziła do pracy i gdzie bezgłośnie znikala po powrocie, by ułożyć się do snu.

Jons wypuścił z ręki kamień, wciąż jeszcze przygotowany na łasicę. Nie mógł przemówić słowa, nie mógł także powstrzymać się lub uczynić inaczej. Położył ręce na jej szczupłych ramionach, przyciągnął ją ostrożnie ku sobie i pocałował. I był pewny ponad wszelką wątpliwość, że czyni słusznie, i że niechybnie na zawsze zaprzepściłby nakaz chwili, gdyby się teraz powstrzymał lub oparł.

Czuł, że jej wargi odwzajemniły pocałunek, ale przeraził się gdy z jego ramion usunęła się na ziemię, obejmując go za kolana. — Co robisz? — zapytał zmieszany. Ale ona tylko potrząsnęła głową w milczeniu, nie przestając cicho szlochać i tulić się do niego, jakby bez niego miała zwalić się na ziemię.

Patrzył na jej ciemną głowę i czułość rozpierała mu serce. Podniósł wzrok i znowu ujrzał dokoła rozległą, milczącą okolicę, gdzie się to wszystko odbyło, przygaszone, smutne światło, snopy w polu, chmurę, co wypłakała się deszczem, ten ogrom, niezmiennność, co ogarniała w krąg jego, dziewczynę i nowe, wymarzone, wypełnione i błogie życie.

„Jakie to wszystko piękne”, myślał z wysiłkiem. „Jakie piękne i jakie wielkie... i dlaczego nigdy tego nie widziałem?”

Sójka wołała z dalekich kartoflisk i znowu mu się zdawało, że słyszy ją po raz pierwszy. „Nie rajski ptak”, pomyślał. Dziecko wsi, co leży za „Rajem”, ale nie rajski ptak.

Ale potem podniósł Hannę lekko z ziemi i poprowadził do wozu. Nie płakała już, gdy jechali dalej. Trzymała go tylko za rękę i patrzyła cicho przed siebie na samotną drogę.

Aż do wieczora mieli chorych w małej poczekalni i dopiero gdy zamknęli okiennice i zapalili światło, pozostali sami.

Ona stała przy drzwiach, jak co wieczór, zanim powie działa mu dobranoc.

— Wiedziałaś o tym, Hanno? — zapytał Jons, stając przy niej.

Spojrzała na niego i potwierdziła. — Zawsze wiedziałam o tym — odrzekła. — Już wtedy, gdyś uniósł rękę, aby mi pomóc. Odtąd byłeś najbliższy memu sercu.

— I nigdy byś mi tego nie powiedziała?

Potrząsnęła głową w milczeniu, ale oczy jej były pełne czułości. Rzekła tylko: — Byłeś dla nas zbyt wielki. — I zniknęła jak cień.

Stał jeszcze przez chwilę na tym samym miejscu. „Za wielki”, myślał. „O, z pewnością nigdy nie byłem za wielki... byłem tylko jak ślepiec w bajce”.

Siadł przed ciemnym kominkiem i zdjął z szyi cienki, srebrny łańcuszek. Trzymał go cicho w ręce i oglądał. Nie, zmarli nie odchodzą. Nie gasną. Ale mogą podnieść rękę i wskazać przyszłość. Nie chcę już tego, co ich. Mieli i nie chcą już mieć. Mogą także uwolnić. Nie trzymają się kurczowo swego prawa. Mogą także rozwiązać.

Ogrom przemijania stanął w izbie i patrzył na niego z oślepnęło już łańcuszka. On sam nie był poza nim, był zamknięty w jego kręgu. Komora serca nie jest jedna jedyna. Gdy się napełni, zaszuwa się zawór i strzeże jej. Inna, jeszcze nie tknięta otwiera się i napełnia powoli. Życie potrzebuje” wielu komór, by przyjąć swe żniwo. Nie pyta tylko o wspomnienia. Zbiera, myśli także o teraźniejszości i przyszłości. Może to jest bezlitosne, a może jest mądre. Lecz jest to coś więcej niż ludzkie planowanie. Nikt nie zna swego gospodarstwa.

Nikt nie zna strat i zysków. Jego księga pozostaje zamknięta i tylko w tajnych chwilach niewidzialna ręka wpisuje niewidzialne pozycje... Jest się ważonym, ale nie zna się miar ni wag.

Wstał i włożył łańcuszek do jednej ze ściennych szafek. Zamek zatrzasnął się cicho, jak zatrzaskuje się pokrywka zegarka. Czas mijał dalej, niepowstrzymany czas, który jutro nie będzie już tam gdzie był dzisiaj... Pozostaje coś, co nie wraca, czego nie można zatrzymać, chyba na cienkiej nici wspomnienia.

A potem poszedł powoli schodami na górę. Kiedy w świetle poranka zbudziła się przy jego sercu, przywarła do niego całym ciałem. — Boisz się, Hanno? — zapytał.

Potrząsnęła głową przytulona do jego ramienia. — Lękałam się — szepnęła, a on poczuł, że smukłe jej ciało znów zdrzało. — Lękałam się, że on tu będzie... ale jego nie było... Byłeś ty tylko. — I objęła go w uścisku ramionami tak silnie, jakby był cieniem i mógł rozplynać się u jej piersi.

Jons także poczuł przebiegające go lekkie drżenie. Znowu przeszłość otarła się o niego. Czyżby myślał o tym. Nie, twarz wprawdzie wynurzała się, jak zjawą, jak chwiejąca się roślina spod wody, ale znów zapadła się w głąb. Tyle czasu upłynęło od tamtej pory, ciemny, nieprzerwany strumień, co porwał za sobą wszystko, co było. Zmarły nie upomina się ani nie żąda. Nie podnosi bladej ręki, aby zagrozić mu drogę do szczęścia. Nawet nie patrzy w tę stronę. Inna przestrzeń go otacza, inne prawo, inny czas. Właśnie wieczność. A wieczność nie jest miłością ani zawiścią, ani smutkiem. Jest tylko wiecznością.

„Tylko ty tu byłeś...” Tak, tylko on. Nie złodziej, nie współnik złodziejski, nie rabuś. Coś co zawiązuje się cicho, nowa forma czasu. Coś, co niesie dalej i ochrania. Bezimienne, jak tamto było bezimienne.

Wczesny ptak śpiewał za oknem, a czerwone światło wpadało do na wpół ciemnej izby. Wsłuchiwali się w jego delikatny, jeszcze nieśmiały głosik i widzieli stare dęby i sosny, stojące przed domem, las wysokopienny, wszystkie lasy stojące między nimi a dniem.

— Będę cię strzegł przez całe życie — rzekł cicho Jons.

Potwierdziła, nie otwierając oczu. Ciemne jej włosy ułożyły się na jego sercu i słyszała spokojne, kojące bicie wypełniające jej świadomość, całe jej ciało, całe życie.

Takie więc było szczęście. Życie wypełnione pracą, troską, leczeniem, a w przerwach jakaś myśl, co przemknęła do małego domku, gdzie ona stoi przy ognisku, lub czyści instrumenty. Słońce wschodziło i zachodziło jak dotąd, jak dotąd pustoszały pola, po których chodził pług. Ale nie było to to samo słońce, te same pola. Nie leżały już poza nim, wzięły go do siebie, opuścił królestwo umysłu, powrócił do praprzyczyny. Rósł i kwitł jak roślina. Chleb, który jadł, mleko, które pił, przemieniły się. Stały się posiłkiem, nie tylko pożywieniem. Przyroda rozgrzewała je, tak jak ona jego. Odeszła straszliwa samotność, oderwanie od żywej ziemi. Znalazł spokój, spokój w człowieku, a inny człowiek znajdował spokój w nim. Poznał, co to jest oddanie, jedno ze starych, pięknych słów, które się teraz wypełniło treścią. Nie nauce, nie idei, nie zawodowi czy wierze. Ale człowiekowi, czemuś obcemu, nieosiągalnemu, co teraz stało się bliskie. Tak bliskie, że rozpływały się granice, życie zlewało się z życiem, forma stapiała się i przemieniała. Zatrącić swe ja, to wielka tajemnica. Poznali ją wcześniej mędrcy Wschodu, Zachód nigdy jej nie posiadał lub dawno utracił. Może coś takiego znane jest w religii, ale tam jest Stwórca i stworzenie, a na stworzeniu ciąży grzech. Może coś takiego znane jest w sztuce, ale dzieło sztuki niepostrzeżenie odchodzi w chłodną obcość i tam pozostaje, samo dla siebie, dziecię, co odłączyło się i odchodzi w niedostępną dal, aż przeraża się ręka, co je dotyka.

Ale w miłości nie ma Stwórcy i stworzenia, nie ma grzechu ani obcości. Nie tylko wyzwala, jest zbawieniem. Wszystko przemieniło się dla Jonsa: jego domek, dom Jerominów, cała wieś. To był jakby nowy powrót. Najpełniejszy i ostatni. Wieś zawarła go w sobie i nigdy już stąd nie odejdzie. Był to jakby wielki mielerz, w którym wespół gorzał, nie mniej ani nie więcej niż inni. „Wychodził z siebie”, to było także piękne stare słowo.

Ludzie czuli, że ręka jego była jeszcze bardziej kojąca niż dotąd. Wszystko mu się udawało. Był jakby wypełniony wiecznością.

Daleko za lasem błyskawice zapowiadały burzę nad światem. Ale to nie był ich świat. Odtrącono ich, bo zawiedli. Nie chcieli pozbawić godności Boga, ani Starego Testamentu nie chcieli pozbawić godności, nawet starego Hirsza. Zbyt długo żyli „poza lasem” i nie mieli już zrozumienia dla nowych czasów. Ani tego, ani jakiegokolwiek innego. Czuli doskonale, że zawsze tak dalej być nie może. Nie byli głupcami. Ale ciągle jeszcze wierzyli, że na świecie istnieje sprawiedliwość. Coś niezmiennego i wiecznego, i

jak nikt z nich nie podniósłby ręki na matkę, tak samo trudno im było uwierzyć, że ktokolwiek w ich kraju podniesie rękę przeciw sprawiedliwości. Czynie, co nakazywało prawo, a gdy nie wiedzieli dokładnie, czy coś jest prawem, czy tylko Maschlanka robi z tego prawo, szli do Stillinga, albo do Jonsa, albo do pana von Balka.

Stali jeszcze nieugięci, nie byli nawet zatrwożeni. Uprawiali swą ubogą rolę może jeszcze radośniej niż dotąd, a gdy już zwieźli plon, jeszcze radośniej niż dotąd zasiadali przy długim stole przed domem Jerominów. Nie było tam już teraz Maschlanki, ale dopóki mieli Jonsa i Stillinga, młodego pastora i pana von Balka, nie potrzebowali nikogo.

Ale pan von Balk był jedynym, który się nad tym zastanawiał. Nie tylko, jak mogło do tego dojść, ale także jak będzie. Znow siadał podczas żniw na miedzy i przyglądał się im, jak patrzy się na dzieci, gdy zaprzęgają konie do wielkiego drabiniastego wozu. On jeden wiedział, że sił im nie starczy, gdy tylko tamtym przyjdzie na myśl użyć własnej siły. Ta wioszczyna, to ciągle było jeszcze dla nich tylko kilka chałup kompletnych idiotów, którzy nie byli źli, tylko głupi. A na świetlistej drodze, którą naród podążał do gwiazd, mogło spokojnie stać paru głupców. Ale może być inaczej i zapewne będzie inaczej. Trzeba ostrożnie wieść tych biedaków, tak ostrożnie, by przeszli akurat o włos obok pułapki. Kiedyś się ona zatrzaśnie, chwytając sprawiedliwych i niesprawiedliwych, skoro już ją nastawi. Ale jeszcze pracowali nad nią cicho i tajemnie, pragnąc uspić czujność zwierzyny.

Kiedy przywrócono obowiązek służby wojskowej, Balk przyszedł do Jonsa. Palili, siedząc przy ogniu, ale po chwili Balk rzucił cygaro do kominka. Rozejrzawszy się dokoła nachylił się i rzekł cicho:

— Posłuchaj, Jons. Może będziesz myślał, że to to samo, co było dawniej. Ale to całkiem co innego. To początek końca. Nie wiem, ile lat im będzie potrzeba, nim pomyślą, że już można zaczynać. Ale oni pracują szybko, i może to będzie szybciej niż myślimy. Kilku ze wsi będzie musiało pójść, inaczej postawią po prostu wieś pod ścianą. Ale nie wszyscy. Nie ci, którzy będą nam potrzebni. Nie może iść syn Goguna ani Micha. Ale za cztery tygodnie postawią ich pod sąd wojenny. Czy możesz zrobić to tak, by panowie lekarze sztabowi nie zauważyli?

Jons przez chwilę patrzył na niego w osłupieniu. — Panie von Balk — rzekł cicho — może moje słownictwo jest przestarzałe, ale „zdrada ojczyzny” to obrzydliwe słowo.

Balk uśmiechnął się, obcinając koniec nowego cygara. — Bardzo przestarzałe, Jons — odpowiedział pobłaźliwie. — Prastare. Znam tylko tę ojczyznę, którą tajemnie i wbrew zakazowi noszę w sobie. Nie zauważyłeś jeszcze, że ojczyzna jest zabroniona? Niedługo wszyscy to spostrzegą. Gdzie obala się Boga, wali się wkrótce i wszystko inne. Wiesz, co mamy ocalić? Wieś mamy ocalić, nie ojczyznę! Ale w tej wsi jest może zarodek nowej ojczyzny. Może jest on jeszcze gdzie indziej, gdzie my go nie dostrzegamy, ale na razie wiem tylko, że jest tutaj. W bruzdach biedaków, jak powiedział wielki mędrzec, budowniczy świątyni. A nikt z nas nie wie, czy go nie ma u syna Goguna i Michy. A zrób to starannie, Jons, bo za parę lat będziesz może i ty tego potrzebował.

Potem mówił o innych rzeczach, ale kiedy odszedł, Jons długo stał przy oknie i patrzył. Czyżby za mało myślał? Za mało czytał? Czyżby zbyt głęboko tkwił w ciasnym kręgu swej pracy, swej miłości, swej wsi? Może w ogóle nie miał do tego wyczucia. Skończył z tym odłamek nad brzegiem Dźwiny, albo może od śmierci kaprała, a może już od pytania porucznika: „Jak jest z prawdą, Jeromin?”, Wielkie słowa, wielkie upojenia, hipnozy sączone na biednych i bogatych. Odkąd poznał świętość życia, coś, do czego należało, wszystko jedno, czy to życie komornika czy króla.

Wezwawszy dziewczynę do siebie, położył jej rękę na ramieniu. Zorza wieczorna stała jeszcze nad jeziorem, a z cienia wyspy wyłoniła się łódź, w której przybywał Jan, by ochędożyć konia.

— Pozostaniemy tutaj, Hanno — rzekł. — Tu będziemy pracować, tu będziemy szczęśliwi i pomrzemy. A może chciałabyś wyjechać ze mną na wyspę na oceanie, gdzie rosną palmy i gdzie nic złego nie grozi?

Ona potrząsnęła głową: — Gdzie ty jesteś, tam nic złego nie grozi — odpowiedziała.

Po chwili Jons poszedł do stajni. Jan stał cicho przy żłobie i przyglądał się, jak koń żre owies. Obok skrzyni na paszę stała latarnia, było cicho i ciasno w przyćmionym świetle.

Jons siadł na skrzyni, nabijając fajeczkę.

— Chciałbyś do wojska, Janie? — zapytał.

Syn Żurawca spojrział na niego swymi melancholijnymi oczyma.

— Nie odejdę stąd — rzekł.

— Nie będą cię o to pytać, Janie — rzekł. — Zabiorą cię.

— Moczar jest wielki i głęboki — odrzekł Jan.

Obiecał jednak przyjść do Jonsa, skoro tylko dostanie wezwanie.

Najbardziej niepostrzeżenie zdawały się przepływać nowe czasy koło Christeana. Kiedy przychodził do Jonsa i opierał kule o krzesło przed kominkiem, z twarzy jego nie można było nic wyczytać poza panującym spokojem. — Opowiadaj, Jons — prosił, i Jons musiał opowiadać o swych chorych, o chorobach, uleczeniach i operacjach.

Błyszczące oczy Christeana zwracały się ku twarzy brata, jakby podróżnik ze świata powrócił w ciasnotę ojcowskiego domu i opowiadał o dalekich, błękitnych wybrzeżach. A potem westchnąwszy z cicha odezwał się: — Czy nie myślisz, Jons, że ja się bawię? Że to dziecinna zabawa, gdy ty poruszasz świat?

Ale Jons uśmiechnął się. — Gdyby wszyscy lekarze poruszali świat, dostałby zawrotu głowy od tego ruchu. Cóż my bowiem potrafimy, czy uważamy, że potrafimy? Wiemy trochę więcej niż inni o naszym ciele, o siłach natury, które są mu życzliwe lub wrogie. Już o duszy wiemy tyle, co i nic. Jesteśmy jak prości ludzie w wielkiej hali maszyn, co chodzą z oliwiarką od jednego koła zamachowego do drugiego. Co wiemy o sile poruszającej koła? Powiem ci, jacy z nas są najgorsi: ci, co sądzą, że to wszystko jest tylko kupą komórek i z tego składa się wszechświat. Głód i miłość, jawa i sen, Bóg i najmniejszy robaczek. Co po sekcji myją sobie ręce i myślą, że to jest-kupa gówna i nic więcej. Ci co nie wiedzą o niezbędnym. Oni chyba najwięcej się do tego przyczynili, że ziemia opustoszała ze wszystkiego, czym napełnioną widział ją ojciec, i że jest pełna tylko zimnego szyderstwa, z jakim oni traktują marzenia ludzkie. To wielcy wrogowie Boga, bogobójcy, co gotują noże, zanim rozłożą wieczność na kawałki. Nauka najwięcej przyczyniła się do tego, do czego teraz doszło. Głośnik Maschlanki to coś więcej niż kawałek drewna z okrągłym otworem osłoniętym membraną.

Ale Christean nie troszczył się o głośnik. Chciał wiedzieć, czy on sam nie bawi się tylko. Czy takie naśladownictwo lub odtwarzanie twarzy ludzkiej czy zwierzątka nie jest głupstwem w gospodarstwie Boga, bezwładem na stopniu dzieciństwa, czymś zupełnie bezcelowym.

Jons potrząsnął głową. — Zależy — odpowiedział — czym w twoich oczach jest dziecko. Czy jest to stopień prymitywny, który należy przezwyciężyć, by dojść do czegoś wyższego jak człowiek nauki lub taki co mówi przez głośnik, by poruszyć swój tak zwany świat. Czy może jest ono stróżem wielkich, starych tajemnic, tym o czym Chrystus powiada: „Jeśli nie staniecie się jako dzieci”. Zawsze myślę, że jeśli one są w naszych oczach takie nienaruszalne, takie wzruszające, to dlatego, że czujemy, iż one jeszcze są w raju. Nie zostały jeszcze wypędzone, Christaanie. Jeszcze nie poznały. Nie są jeszcze opanowane przez umysł, a każdy umysł dąży do tego, by być jak Bóg i wiedzieć, co dobre, a co złe. Czy wiesz, że to jest tajemnica wszystkich grzechów? Wyjście z ogrodu, zjedzenie jabłka. Są narody, które jeszcze tego nie znają i są narody, które dawno o tym zapomniały. Zachód na przykład. I drogo za to zapłaciły. Już za każdy głośnik trzeba drogo płacić. Nie handlarzowi, lecz ogrodnikowi rajskiemu. Kiedyś, nie tak znowu dawno, dzieci pracowały w fabrykach. I to była jedna z najbardziej haniebnych plam w naszej historii, w historii Zachodu. Ale dziś jest coś gorszego niż praca dzieci. Dziś jest zatruwanie świata przez zatruwanie dusz dziecięcych. To gorsze niż upijanie dzieci, niż dziecięca prostytutka. Tak, gorsze niż wąż w raju, bo Adam i Ewa nie byli dziećmi. Oni byli tylko jak dzieci. — Więc oni to dzisiaj czynią?— zapytał Christean przerażony.

— Tak, czynią to. Podają im opium i odurzają dusze.

I nie po to, by się przyglądać, jak występni i zblazowani starcy, lecz by posługiwać się odurzonymi.

Ale Christean znowu potrząsnął głową, jakby to wszystko było dla niego obce. Jak reportaż w gazecie z azjatyckiego miasta portowego lub coś w tym rodzaju. — A więc nie myślisz, że się bawię? — pytał uparcie.

— Ale Christeanie — rzekł Jons. — Że też ty zawsze chcesz się robić mniejszym niż jesteś. Nawet choćbyś niczego innego nie robił, tylko się bawił, gdybyś nawet tylko budował wozy ze szpulek od nici lub puszczał na stole bąki ze starych kółek od zegarka, to i wtedy byłbyś ciągle piastunem Boga, bawiącym się wśród tych wszystkich straszliwie planujących, pozostałym w domu podczas tej straszliwej krucjaty dziecięcej. Ale ty czynisz coś więcej. Twoja zabawa jest pełna myśli. Kto bawi się, a potem odrzuca zabawkę, jest dzieckiem. Ale kto bawi się, by z zabawki uczynić życie, a nawet służbę bożą, jest artystą.

Nie ma w tym wielkiej różnicy, płynna tylko i wielu robi z tego rzemiosło, interes. Ale prawdziwi są w moich oczach jak dzieci boże. Wypełnieni łaską, która się z nich rozlewa.

— I taki ty jesteś, drogi bracie — dodał cicho po chwili.

Christean siedział z zamkniętymi oczyma, wsparłszy dłonie na rękach. — Nieraz myślę, że mógłby być koniec ze mną już wtedy, gdy przyszedł szlifierz noży. I że Agricola umarł za mnie. A jeśli Bóg tak chciał, to widocznie chciał coś ze mną zrobić. I to jest dla mnie pociechą. Ciężką pociechą, ale jednak pociechą.

— Pomyśl zawsze, Christeanie, że nawet mała wioska to kawałek gospodarstwa bożego. Nic tu nie jest za darmo.

Ani Tobiasz, ani stary Stilling, ani ty, ani ja. Nawet stara Krollowa nie jest tu na darmo, wszystko na swoim miejscu, dobre czy złe. Tak, myślę, że nawet Maschlanka jest na swoim miejscu. Nie widzimy jeszcze planu, ale on będzie. Nie byłoby tak jak jest, gdyby nie ty. Ani w naszej rodzinie, ani w całej wsi. Inny byłby bez ciebie cmentarz, kościół, każda chata, w której stoi twoja zabawka. I dla tego sędzę, że nikomu z nas nie wolno stąd odejść. Łatwo byłoby teraz odejść, wyjechać jak Gina na jakąś wyspę na Oceanie Spokojnym, ale wypadłby kamień ze sklepienia i wieś może by tego nie zniosła. Czuje to nawet Jan, że nie wolno stąd odejść, a on jest przecie tylko rybakiem, dzieckiem moczaru.

Christean potrząsnął głową. — My nawet moglibyśmy stąd odejść — rzekł. — Nikt by nas nie przyjął. Mogliby nam dać miejsce przy ognisku albo w oborze, ale do serca nie mogliby nas przyjąć. Jesteśmy obcy. Myślę, że jesteśmy z zagubionej wioski i patrzyliby na nas tak, jak na ciebie i Stillinga, gdy po raz pierwszy poszłicie do miasta. Czy nie jesteśmy, jak to oni mówią, staromodni?

— I to bardzo, Christeanie. — Jons pomyślał o żonie lekarza sztabowego, co była rajskim ptakiem i przerażała się stopniem długości wschodniej. — Jesteśmy tacy staromodni, że zaliczają nas już do obcych ludów. Do najprymitywniejszych. A jeśli by zobaczyli Pionka z jego kolczykami, pomyśleliby, że nasze kobiety zakładają sobie kółka do nosa. Christean uśmiechnął się, sięgnął po swoje kule i postawił je przy kolanach. — Dziękuję ci, bracie — rzekł. — Moje serce zawsze jest pewne, gdy od ciebie odchodzę... i

czy mógłbyś być taki dobry i przez kilka dni przysyłać mi Hannę na pół godziny? Chciałbym zacząć świętą, a nie ma na to we wsi lepszej twarzy niż jej.

Jons szybko i badawczo spojrział na niego z ukosa, ale w jego twarzy nie było złości, więc obiecał. — Jeśli zechce Christeanie — rzekł.

— U niej nieraz nie wiadomo, czy zechce.

Hanna zbladła, gdy jej to opowiadał. — Jonsie — rzekła cicho. — Ja? Nie powiedział „grzesznicę”? Powiedział „świętą”?

— Dziecko niemądre — odpowiedział, gładząc jej włosy. — To tylko dobrze, że o żadnej z nich nic nie wiesz, ani o grzesznicy, ani o świętej.

Przyszły burze jesienne, spadł śnieg i świat ruszył jeszcze bardziej naprzód niż dotychczas. Zapomniał o wsi, i tylko paru jej synów musiało pójść do wojska. Szli cicho, bez pieśni, a ludzie z Sowirogu stali w drzwiach i patrzyli za nimi. Wiedzieli, że muszą zapłacić swą daninę, i płacili ją w milczeniu, ale myśleli o ostatnim wymarszu, a kiedy Marcin szedł przez wieś, zatrzymywali się przy nim i gładzili rękaw jego ubrania. Jan i Micha zostali uznani za niezdolnych.

A kiedy śnieg stopniał i wróciły żurawie, poszli znowu na pola, jak dotąd. Członki bolały trochę po długich nocach zimowych i cokolwiek dłużej spoglądali na ziarno, które czerpali z płachty na siew, a znak krzyża robili jeszcze powolniej niż dotąd. Nieraz wieczorem dźwięk głośnia rozlegał się nad dachami, upiorny, nierealny głos i nieraz przysłuchiwali się przez chwilę, a potem siedzieli cicho przy ogniskach z torfu. Coś działo się w świecie, prawdopodobnie nic złego. Wielcy panowie tasowali karty do gry i chodziły słuchy, że mieli w ręku same atuty.

A Jons i Hanna popłynęli w popołudnie przed Wielkanocą łódką w dół jeziora, gdzie między wąskimi ścianami trzciny wąska, ciemna uliczka prowadziła na ciche leśne wody. Dęby i sosny stały nad piaszczystym brzegiem i tylko ku zachodowi las rozstępował się, odsłaniając widok na pagórki i łąki, zamknięty gdzieś w dali błękitną linią, nad którą znowu unosił się dym, jak nad wsiami leżącymi wśród pustkowia.

Pili kawę z małych kubków, a Jons rozniecił ogień, który palił się cicho i bez dymu. Były już kanie, a dudek wołał niezmordowanie z wysokopiennego lasu. Słońce przygrzewało, a oni leżeli obok siebie na piasku i patrzyli na białe chmury, co jak ciche stada posuwały się po błękitnym niebie.

Jons niewiele wiedział o feriach. Raz czy dwa razy w roku wyjeżdżał na kongres chirurgów lub zjazd przyrodników, ale to nie były dla niego spokojne tygodnie. Przed trzema dniami zaoferowano mu kierownictwo szpitala powiatowego w okolicy, ale on bez namysłu odmówił. Nawet Balka nie pytał o radę. A teraz pięknie było leżeć i czuć, jak ziemia się nagrzewa. Wszystko tu było bliskie i znajome, każdy głos lasu, każdy krzyk ptactwa na jeziorze, trzaskający ogień, dziewczyna, co cicho leżała obok, rozłożywszy ręce na piasku, a słońce rzucało blask na jej bosc stopy. Ach, kiedyś będzie znów dobrze na tej ziemi, dobrze i cicho, jak tutaj, i można będzie wypełnić życie według swego przeznaczenia, on i wszyscy, których powołaniem jest pomagać i leczyć. Znikną upiory zimy, mgła nad moczarem, co jak mur otaczała ludzi. Także w miastach będzie świeciło słońce, na zastraszonych i odurzonych, także na pałace rządowe i biurka możnych, pokój napelni ich serca po zgiełku zimowych miesięcy, wielki pokój, którego niegdyś pragnęli maszerując przez spalane ulice. Pokój, o którym mówił Tobiasz na kazaniu wówczas i w Wielki Piątek. Wielki pokój, który ogarnie także wieś Sowiróg i wszystkie biedne włoski tej biednej ziemi.

— O czym myślisz, Hanno? — zapytał, kładąc jej rękę na ramieniu.

— Myślę — odpowiedziała cicho — że jutro Chrystus zmartwychwstanie i że zmartwychwstanie także dla nas.

— Jak pewne jest jej życie — rzekł pełen wzruszenia. — „Święta”, powiedział Christean, i wystarczy mu odtworzyć ją taką jaką jest.

Pozostali tam, aż zorza wieczorna ukazała się w przerwie lasu i pierwsze tchnienie mgły uniosło się nad wodą. Ostatnie gałązki zgorzały w ogniu i Jons zasypał je kilku garściami piasku, zanim wsiedli do łódki. Ziemia była teraz zupełnie cicha, tylko w zaroślach trzciny szpaki cicho świergotały na chwiejących się źdźbłach. Kiedy wydostali się z wąskiego przesmyku, zobaczyli pierwsze światła wsi, a skrzyp żurawi dochodził z daleka poprzez wodę.

— Jak pięknie, Hanno — rzekł cicho Jons. — Jak pięknie i spokojnie.

Przytaknęła mu w milczeniu i przez burtę łódki zanurzyła rękę w wodzie. Wąski, srebrzysty ślad przebiegł od niej po ciemnym zwierciadle.

Kiedy otworzyli drzwi domu, Jons zobaczył w drewnianej skrzynce na listy wąski skrawek papieru. Był to telegram od Giny. Przyszedł z Anglii i zapowiadał, że tam będzie

teraz siostra przebywać, i że Jons może w każdej chwili do niej przyjechać. A więc był jeszcze świat, wielki, daleki świat i ktoś stamtąd go wzywał. Ale głos nie docierał już do dwudziestego trzeciego] stopnia długości wschodniej. Doszedł aż tam papier, po drutach pod wodą i nad ziemią. Ale nie głos. Przecież nie może wyjechać z małej opuszczonej wioski. Ani on, ani Hanna, ani pozostali. Ale przez cały wieczór pozostał cichy, zamyślony, zamknięty w sobie. Nie dawało mu spokoju, że wyjechała, ptak-Feniks, i że z pewnością była świadoma, dlaczego wyjeżdża.

Później wezwano go na kolonię — jak nazywano położone na boku zagrody — a kiedy koło północy wracał do domu, co chwila zatrzymywał się i nasłuchiwał. Zdawało się, że słyszy z oddali szum motoru, ale okolica i nocą pełna była tych pojazdów, jakby już ludzie nie mieli czasu na chodzenie pieszo lub jazdę po cichych ulicach w małym wasążku.

Ale przeraził się, gdy z cienia domu wynurzyła się postać i rzekła cicho — Jons, to ja, Lawrenz... proszę nie zapalać światła.

Bez słowa wprowadził go do środka, pozostawił na chwilę w sieni i naprzód sprawdził okiennice, czy są dobrze zamknięte. Wtedy dopiero zapalił światło i wprowadził go do środka.

Przeraził się, że aż mu ręce drżeć zaczęły. Lawrenz ubrany był w stary płaszcz i wielki czarny kapelusz. Miał ciemną brodę i niebieskie okulary, a gdy zdjął jedno i drugie, na jego twarzy widać było miejsca nabiegłe krwią, a głowę miał owiniętą bandażem, przez który tu i ówdzie prześwitywała czerwień.

— Doktorze — rzekł cicho Jons — doktorze drogi... co z panem?

Lawrenz uśmiechnął się, i przynajmniej jego uśmiech pozostał ten sam — smutny, mądry uśmiech starego człowieka, tylko ironia w nim zagasła.

— Nie uczyniłem tego ze względu na siebie, Jons — rzekł, podnosząc nieco do góry brodę i okulary. — Zrobiłem to ze względu na pana i pańską wieś, by nie wpadli tak od razu na moje ślady. Przywieziono mnie tu wozem i wysadzono w lesie. Nikt mnie nie widział i nie pozostaną pod pańskim dachem. Nie, proszę mnie nie zatrzymywać. Ja już wiem, com panu winien. Proszę mi dać tylko koc i klucz do chaty przy mielerzu... Pański ojciec i prorok Izajasz czuli się tam, jak w domu.

Rozdział 16

Hanna zapakowała wszystko w węzełek, także zimną kolację i butelkę koniaku. Było tak ciemno, że tylko krok za krokiem mogli posuwać się po omacku, ale także obaj wiedzieli, że ciemność była błogosławieństwem.

Znowu Jons zbadał dokładnie okiennice i drzwi W chatce przy mielerzu, zawiesił jeszcze na nich szmaty i dopiero wtedy rozpałił ogień na palenisku. Pachniało jeszcze zwiędłymi liśćmi, a pajęczyna zwisała z okopconych belek. Rozejrzał się dokoła po niskiej półciemnej izbie, gdzie zaczęło się jego życie, prawdziwe życie, spojrzął na ciężki stół, czy tam nie leży wielka, stara księga otwarta martwą już ręką, z wielkimi starodawnymi literami, opowiadającymi o gradzie, co spadł na las.

— Proszę sięść przy ogniu, doktorze — rzekł wreszcie. — Zjemy i napijemy się coś niecoś, a potem będzie pan spał lub opowiadał, jak pan woli.

Jedli w milczeniu, później Lawrenz otworzył swój plecak i wyjął z niego pudełko cygar i zakurzoną butelkę. Lekka ironia, którą już utracił, pojawiła się znów na jego wargach, gdy spojrzął na Jonsa.

— Są rzeczy, których nie lubimy zapominać — rzekł. — Nawet, gdy nam się ziemia pali pod nogami. Człowiek jest jednak słabą istotą.

Otworzył butelkę i nalał ciemnego wina do dwóch cynowych kubków, stojących za paleniskiem. — *In memoriam*, Jons — rzekł w zamyśleniu. — Zielone krzesła pozostały, bo nie mogłem ich wziąć na plecy. I wiele innych rzeczy. Ale są wspomnienia i im poświęćmy Sokratesowy kubek. Płomień trząskał i szybko zrobiło się ciepło pod niskimi belkami.

— Jeśli pan chce, Jons, to będę teraz opowiadał — rzekł Lawrenz patrząc na ogień. — Kiedy to się zaczęło? Przed laty, przed dziesiątkami, prawdopodobnie przed tysiącami lat. Było uspione, a teraz zbudziło się. Wyrwało się na świat, i teraz rośnie jak płomień...

Jego głos był zwykły, jednostajny, bez pretensji lub skargi. Głos człowieka, co przyszedł z Kalwarii lub ma być tam zaprowadzony. Jons widział teraz, że jego twarz była szarozółta i wynędzniała, twarz ciężko chorego, ale oczy spokojne jak dawniej, łagodne, nie zniekształcone żadną namiętnością, nawet cierpieniem,

— Tak, trudno powiedzieć, Jons, jak się coś takiego dzieje. To tak, jak z chemicznie spreparowanym papierem: widzi pan wypisane zwykłe słowa, powiedzmy, miłości. Ale potrzymaj papier nad ogniem, a ukążą się inne, dotąd niewidoczne słowa — słowa nienawiści, rozpalonej, bezlitosnej nienawiści. I tak było u nas. Głoszono w szkołach i z ambon miłość, wyrozumiałość, humanitaryzm. Lecz to tylko zwykłe pismo, moneta zdawkowa. Pod spodem było coś innego, i to jest teraz. Już nie tajemnie, ale jawnie. Już nie występki, lecz cnota, szczególna zasługa, wyróżnienie, głoszone wobec starców, kobiet i dzieci. Tak, także wobec dzieci, wobec całego narodu, kulturalnego narodu, Jons. U mnie zaczęło się od drobiazgów, od żółtej krechy farbą olejną na mojej tabliczce. Siostra Monika zdrapała. Jeszcze raz, wciąż na nowo. A ona za każdym razem zeskrobywała swymi pobożnymi rękami. A potem można to było zauważyć na pacjentach. Niektórzy przestali przychodzić w środku leczenia, poważnego leczenia. A potem w klinice. Tak, także w klinice dla biedaków, gdzie pan robił cesarskie cięcia za trzydzieści marek. Dwóch mężów przyszło zabrać swoje żony, robotnicy, Jons, a było dopiero osiem dni po operacji. Nie mówili nic szczególnego, tylko że są potrzebne w domu. Ja też nic nie mówiłem, ale widziałem, że kobiety wstydziły się. Kobiety nieraz wstydzą się za swych mężów, we wszystkich sferach, nie tylko u robotników. I raz napadnięto mnie, nocą, ale przyszła policja — ciągnął. — No i prócz tego zdarzyło mi się jeszcze parę rzeczy, ale w tym była metoda. Poszedłem do naszego komisarza policji, którego żonę operowałem. Przyjął mnie w swoim pokoju i patrzy! przez okno.

On też się wstydził. „Niech pan wyjedzie, doktorze”, rzekł. „Jeszcze jest czas. Widzę z tajnych rozkazów, na co się zanosi. Za granicą zawsze będzie pan wielkim lekarzem, postaram się panu o paszport”. Ale jak mogłem wyjechać, Jons? Przecie większość ufała mi, właśnie ci najbiedniejsi, i potrzebowali mnie. A potem przecie był grób mojej matki. Może to było dla mnie decydujące. My na ogół nie jesteśmy sentymentalni, ale jesteśmy bardzo pobożni, Jons, pan przecież wie. Pobożność może objąć także grób. Właśnie grób. I stąd to wszystko poszło. Mielicie święto, przeddzień. Wielkiej Nocy, i jak co roku poszedłem z kilkoma doniczkami kwiatów na grób. Dopiero o zmierzchu, bo przyjęcia przeciągnęły się, i dla takich jak my lepiej było o zmierzchu. Miałem ze sobą łopatkę i wkopałem doniczki. I kiedy jeszcze klęczałem na ziemi, usłyszałem hałas. W takich czasach, Jons, słyszy się z bardzo daleka.

Wypił wino małymi łykami i zatopiony w myślach patrzył przez chwilę na dno kubka srebrzyście błyszczące w głębi.

— To nie było dla nich nic szczególnego. Robili to już wiele razy. Przechodzili między grobami, zwalając kilka nagrobków lub wrywając kwiaty. Może im tak rozkazano. Byli w mundurach. Stary dozorca biegł za nimi i widziałem, jak wznosił ręce. Tak jeszcze było jasno. Ale rzucali w niego kamieniami i nie zwracali na niego uwagi. Było ich zresztą trzech, zdaje się cokolwiek pijanych. Ukryłem się za nagrobkiem mojej matki. Tak, bałem się jednak trochę, nie należę do najodważniejszych. Już przeszli, ale zobaczyli jednak świeże kwiaty i zawrócili. A kiedy je powyrywali i zdeptali obcasami butów, zdawało mi się, jakby godzili w twarz mojej matki. Może to było głupie wyobrażenie, ale tak było. I wtedy musiałem wystąpić w obronie. Czy postąpiłem głupio, Jons?

Jons potrząsnął głową, patrząc dalej w ogień. Lawrenz podniósł znów butelkę do światła płomienia i znowu nalał pełen kubek.

— Tak, uzbrojony byłem tylko w łopatkę, ale ona była z żelaza i na jednym końcu miała trzy ostre zęby. Uderzyłem więc nią i widocznie dobrze ugodziłem, bo zatoczyli się. Zamachnęli się w odpowiedzi swymi rzemieniami, ale uciekli. Byli zapewne zbyt zaskoczeni, a i ludzie nadbiegli. Ale jednego poznałem. Był z naszej ulicy, z restauracji, gdzie zawsze w piątek piekli placki ziemniaczane. Przypominasz sobie plakat w oknie?

Jons potwierdził.

— I to było najgorsze, Jons. Wprawdzie zmierzchało się, ale widziałem, że mnie też poznał. A nawet jeśli bym się pomylił, to był przecie nagrobek z nazwiskiem. Dałem więc staremu człowiekowi pieniądze na nowe kwiaty. Jeszcze o tym myślałem. A potem pojechałem szybko z powrotem do miasta. Nie do domu, mogłoby być już za późno. Pojechałem do jednego z moich pacjentów, który ma wóz. Wielki kupiec, a także wielki człowiek. Napisałem kartkę do siostry Moniki z prośbą, by zapakowała mi rzeczy. Zapakowała, pocziwa, także trzy butelki, choć ja pisałem tylko o jednej. Potem wyznaczyłem jeszcze zastępstwo, udało się jakoś, i odjechaliśmy. Broda i okulary były w skrzyni karnawałowej.

Spojrzał na zegarek i otworzył drugą butelkę. Jons pochylił się i dołożył drewna. Było to drewno brzożowe i gdy trzymał je w ręku, widział jakby pagórek z

chwiejącymi się na wietrze drzewami. Nie wiedział, dlaczego ten obraz pojawił mu się przed oczyma.

— *Carpe diem*, Jons — rzekł Lawrenz podnosząc kubek. — Naturalnie pomyślałem o panu. O kim zresztą mógłbym pomyśleć? Stary człowiek zawsze najpierw myśli o młodzieży. I tak to urządziłem, by nie narażać pana na niebezpieczeństwo.

Jons potrząsnął głową, jakby było śmieszne o tym myśleć. — Ale co będzie, doktorze? — zapytał. Twarz jego była szara, zmieniona wewnętrznym cierpieniem i przypominała twarz Michała, gdy kiedyś z tego progu wpatrywał się w leśnie krzaki.

Lawrenz skinął tylko ręką, w której trzymał cygaro. — To najmniej ważne, Jons — odpowiedział. — Dostanę paszport, wielki paszport na cały świat. Komisarz mi się wystara. Potrzebuję tylko dwóch, trzech dni tutaj w spokoju. Może oni są mądrzy w tych rzeczach, ale nie tak mądrzy, by się tak szybko połapać. Siostra Monika spaliła pańskie listy, tak jej poleciłem. Jednego tylko wymagam, by nikt z was się tu nie pokazywał. Nikt z domu Jerominów! Ani żywej duszy. Co wieczór Czaja podejdzie do mnie do okna. On jest teraz moim sąsiadem. Przez niego będę panu przysyłał wiadomości. Nie wyjdę z chaty. Nikt nie może mnie widzieć. Jeśli nie zostanie nikogo, musi pozostać pan. Nie wiem, Jons — mówił dalej po chwili — czy oni tam wszystkiego nie poniszczą lub nie pokradną. Ale kupiec ma mój testament. Pan dostanie moje książki. Wszystko inne niech lepiej pozostanie dla biednych, instrumenty i wszystko inne. I obraz dla pana. Tak, bardzo o to proszę. Pan wiele znaczył w moim życiu, Jonsie Ehrenreichu, więcej, niż pan przypuszcza. A matkę, widzi pan, matkę oddaje się tylko w najlepsze ręce. Pan sam też by inaczej nie uczynił, nieprawdaż?

Jons nic nie odrzekł. Zacisnął tylko ręce i dalej wpatrywał się w ogień. Najokropniejsza była straszliwa monotonia tego głosu, coś nieskończenie oddalonego od wszelkiej rzeczywistości, co już odeszło i coraz bardziej się oddalało. Co nie da się zatrzymać ani uwiązać żadnym zaklęciem.

— Tak, to są fakty, Jons — rzekł Lawrenz po chwili. — Ale często fakty są najmniej ważne. Nawet chleb nie zawsze musi być najważniejszy. Tajemnica, to zarodek, kryjący się pod ziemią. Zawsze wciąż na nowo się pytam, dokąd pędzi ludzkość, a nie dokąd ja pędzę. Kimże ja jestem, że bym o to pytał. Czy to umysł aż tak daleko ich zapędził? Ratio, oderwana od magicznej praprzyczyny.

Ale dlaczego myśmy jej nie ulegli? Ani my dwaj, ani wasza wioska? A więc nie jest to powszechne prawo? Nawet nie zachodnie, a tylko obowiązuje wobec wykorzenionych? Ale dlaczego oni właśnie stali się wykorzenionymi? Ci dwaj robotnicy na przykład, a nie siostra Monika? Ani inne siostry? Dokąd my, Jons, pędzimy?

Jons nie wiedział. Widział siebie leżącego z Hanną przy małym ogieńku, słuchał wołania dudka z lasu. Bezpieczny, piękny, spokojny świat. Sok napływa do gałęzi drzew, słońce ogrzewa zwierzęta i rośliny, białe chmury napływają cicho od wschodu. A dziewczyna rozwarła szeroko oczy i mówi cicho: — Myślę, że Chrystus zmartwychwstanie jutro.

Ale oto coś innego zmartwychwstało, kładąc się długim cieniem na budzącą się do życia w Wielkanoc ziemię.

— Zapyta mnie pan, Jons, dlaczego jednak nie pozostanę? Mógłbym przecie znowu pójść do mojego komisarza i wszystko mu opowiedzieć. Może jeszcze istnieje dla nas jakieś prawo, obrony koniecznej. Albo mógłbym pojechać do innego miasta i zacząć raz jeszcze? Ale nie mogę, Jons. Boję się, tak, boję się, Jons. Nie śmierci. Nawet nie znęcania się, czy co tam jeszcze mogłoby być. Pohańbienia, rozumie pan? Opluwania, że mogą pana nagiego włóczyć po ulicy z tabliczką zawieszoną na szyi, a po lewej i po prawej stronie stoi rycząca z uciechy tłuszcza. Stary człowiek ma wiele poczucia wstydu, zwłaszcza gdy zawsze był sam. My nie żyliśmy nago, Jons, my obaj. Nigdy o tym nie mówiliśmy, ale mieliśmy w sobie wiele godności, ukrytej, tajnej godności. Przecie właśnie u każdego z nas godność ludzkości miała swój przybytek.

— I to jest najboleśniej — mówił. — I to jest także najcięższy grzech, jaki oni popełniają. Że odzierają z godności człowieka, cały naród, ba, ludzkość. Że depczą obcasami to, na co my potrzebowaliśmy tysięcy lat. Nie ma na to usprawiedliwienia, nie ma za to przebaczenia. I że to nasz naród, właśnie nasz. Nie, że bezczeszczą mój wiek, ale że sami takimi się robią, a my musimy na to patrzeć. Dziecko nie lubi widzieć swego ojca pijanym. To świętokradztwo wobec natury, już w Starym Testamencie. Może się pan ugiąć wobec sędziego, co wymierza sprawiedliwość, ale nie może się pan ugiąć wobec zgrai mętów ulicznych, która pana opluwa. Oni nie mają za sobą prawa, tylko przemoc. Masa, Jons, może masa jest istotą problemu. To, co się dzieje podczas katastrof, zarazy, trzęsienia ziemi, pochodów biczowników, rewolucji. Coś, co gna, pędzone przez demony, spragnione widoku mąk i krwi, z pianą na ustach i knutem lub toporem w garści. A my pod władzą czegoś takiego żyć nie potrafimy. To

nie ukrzyżowanie; wielu z nas mówi, że to kara za chwilę, kiedy myśmy krzyżowali, wówczas na Golgocie.

Ogień zamierał, szczapy brzozone bezgłośnie obsunęły się. Pierwszy ptak wołał cicho za oknem i obaj podnieśli głowy, nasłuchując.

— Już czas, Jons — rzekł Lawrenz, patrząc na zegar. — Nikt nie powinien pana widzieć, jeszcze będzie ciemno nim pan przyjdzie do domu.

Wstał i Jons widział, że okupuje to bólem. Patrzył na zamierający ogień, a myśli jego były zapewne gdzieś daleko. Binokle chwiały się na czarnym sznurze, tam i z powrotem.

— Czaja przyjdzie do pana wieczorem, doktorze — rzekł Jons. — A teraz proszę spać, długo, cały dzień. Ja tam spałem przez wiele nocy. Tu panu nic się nie stanie, a ja zastanowię się, co dalej.

— Niech pan o niczym nie myśli — odpowiedział Lawrenz dobrotliwie. Położył mu obie ręce na ramiona i przyglądał się przez chwilę. Było prawie ciemno w niskiej izbie, ale resztką żaru oświetlała jeszcze ich blade twarze.

— Piękne lata, Jonsie Ehrenreichtu — rzekł cicho Lawrenz. — Piękne lata... dziękuję panu.

Pod drzewami była jeszcze głęboka noc i Jons szedł jak cień przez las na przełaj ku domowi. Nad jeziorem wstawał już pierwszy czerwony blask, ale wieś spała, a rosa kapała z gałęzi dębów na trawę.

Hanna zawołała go cicho do siebie i siedział chwilę na brzegu jej łóżka opowiadając. — Wczoraj jeszcze był raj, Hanno — rzekł.

Uniosła się nieco i objęła go ramionami za szyję. — Zmartwychwstał, Jonsie — zaszeptala.

— Zaprawdę zmartwychwstał — odpowiedział, całując ją. Ale jego twarz była tak ponura, że nie wiedziała, co ma na myśli.

Po nabożeństwie Hanna poszła do Czai i wróciła z wieścią, że wszystko załatwi. Po południu musiał Jons pojechać na wieś, a kiedy wrócił, na ławce przed domem siedział Tobiasz. Pozostali tam obaj spoglądając na wieś, gdzie dym unosił się z kominów i skąd dobiegały ich głosy bawiących się dzieci.

— Wiesz teraz, Jons — spytał Tobiasz po chwili — że on coś z nami zamierza?

Jons wiedział o tym bardzo dobrze.

— Musimy się uzbroić, Jons. Jest inaczej, niż kiedyś w parowach przy „Zmarłym Człowieku” lub nad rzeką o łagodnym imieniu, jest o wiele gorzej, Jons.

— Myślę, że powinieneś być ostrożny — rzeki Jons. — Nie trzeba, by cię stąd zabrali pod nadzorem prawa. Wieś potrzebuje ciebie bardziej niż kogo innego.

Tobiasz uśmiechnął się. — Nie potrzebuję korony męczeńskiej, Jons. Jeśli będę musiał uczynić wyznanie wiary, uczynię, ale nie trzeba podnosić palców jak w szkole, by być pierwszym. Wydaje mi się, że niektórzy to robią, i że nie wszyscy zdadzą egzamin. Słowa świętego Pawła o zwierzchności są niebezpieczne, a Luter uczynił je jeszcze niebezpieczniejszymi. Zobaczmy, czy zachowamy cokole wiek Chrystusa w tej wsi.

O zmierzchu przyszedł Czaja w swej długiej sukmanie i siedział chwilą u nich na ławce. — Las jest cichy — rzekł — a człowiek odszedł przed godziną ku zachodowi.

Jons spojrział na niego z niepokojem i nie rzekł nic.

Dopiero gdy wzeszły pierwsze gwiazdy, Czaja wsunął cicho do ręki Jonsowi kopertę, a potem wstał. — Możesz, Jons, posłać po mnie, jeśli będzie trzeba — rzekł.

Gdy Jons czytał przy lampie list, Tobiasz stał przed rzędami książek i, jak to lubił, przerzucał tu i tam kartki jednego z tomów. Jons wiedział od razu, co się stało. Musiał sięść i odczekać chwilę. Serce biło mu tak ciężko, że kartki drżały mu w ręku.

„Kochany Jonsie Ehrenreicha”, czytał. „Niewiele jest już do powiedzenia. Niewiele więcej niż fakty, bo wszystko inne starałem się już powiedzieć przy ogniu. To nie tylko to, że jestem już stary, boję się. Wiem także, że to rak i że rozpad zaczyna się. Bóg jedno z drugim spoil i to tak, jakby spełniał jego wolę. Saul także rzucił się na swój miecz, a to był wielki król. Zrobiłem coś niecoś dobrego w życiu, a w końcu miałem Ciebie. Pozwól, że mówię „Ciebie”, bo granice ludzkie przestały już dla mnie istnieć.

Znaczyłeś dla mnie więcej, niż możesz przypuszczać. Ty jeden wystarczałeś, by zatrzeć prawie wszystko inne. Mówię „prawie”, bo wszystkiego nigdy się zatrzeć nie da. Widziałem Cię, gdy nosiłeś podkówki pod obcasami, widziałem Cię, gdyś mnie dziś prowadził do chaty przy mielerzu. Wiele się zdarzyło przez ten czas i to było dla mnie blaskiem. Balsamem z Gileadu.

Nie boję się. Wierz mi, że się nie boję. Jestem spokojny i radosny, i myślę, że taki był Sokrates. Pójdę tam, gdzie zeszłego roku znaleźliśmy ziemię. Przypominasz sobie. Stoi tam na brzegu rozwalony szalas z trzciny, a na piasku leży

kupa chrustu. To będzie obok tego chrustu. Ty z Tobiaszem wykopiecie grób i może Czaja wam pomoże. To dobre miejsce, bo zbędny piasek możecie wynieść do rzeki, a na prawo i na lewo są gęste zarośla trzciny. Tobiasz od mówi psalm, a potem na wierzch narzucicie chrustu. Nikt niczego nie zauważy i dlatego też piszę tak dokładnie. Jeśli później będzie możliwe, pochowacie mnie obok mej matki, ale nie wierzę, żeby to było możliwe. Cała ziemia stanowi przecie jedną całość i zmarli są wszyscy obok siebie. Nie wiem, czy przetrwasz to, co przyjdzie, bo jeszcze tego nie znamy. Spróbuj, bo dla wsi musisz pozostać. Te wsie są może jedyną rzeczą, która pozostanie. Zachowają one ziarno na siew, a to jest wszystko. Na to nie potrzeba daru proroctwa.

Niech Cię Bóg strzeże, Jonsie. Nie mogę nikomu przekazać ostatniego pozdrowienia, bo nikt o tym nie może wiedzieć, prócz was dwóch czy trzech. Ale Ty wiesz, że serce moje, zanim przestanie bić, przepełnione jest wielu pozdrowieniami. Tak zawsze było, odkąd żyję. Głupie to było serce, ale czy obaj chcielibyśmy mieć inne?

Niech Cię Bóg strzeże, Jonsie Ehrenreichu, i staraj się znaleźć w Bogu oparcie.”

— Co jest? — rzekł cicho Tobiasz kładąc mu rękę na ramieniu. Podał mu list.

Gdy wstał, zobaczył, że Tobiasz modli się.

— Musimy teraz iść — rzekł. — Musimy iść do Czai, on ma także dla nas łopaty. Nikt nie może nas zobaczyć. — Twarz jego była szara, ale nie płakał.

Poszedł do izby Hanny i rozmawiał z dziewczyną cicho i stanowczo. Na wypadek, gdyby kto przyszedł lub go wzywał.

Potem poszli w milczeniu i ostrożnie przez las. Księżyc jeszcze nie wzeszedł.

Czaja siedział na progu. — Człowiek odszedł ku zachodowi — rzekł tylko. — Wiedział dokładnie, gdzie jest miejsce.

Las był jak grób. Sowy krzyczały z daleka i z bliska, a na polanach uderzał ich często, niby gorąca fala, zapach wilczego łyka. Słabe, mdłe światło gwiazd z otwartego sklepienia słało się na brzegu.

Ujrzeli go zaraz, ciemną plamę na jasnym piasku. Miał plecak pod głową i złożone ręce. Gdy nachylili się nad nim, zobaczyli, że twarz jego była pełna spokoju. Tylko uśmiech zagaśł. Jons zbadł go szybko, lecz starannie.

Członki były już zimne. Czaja, zdjawszy sukmanę i ułożywszy ją ostrożnie na ziemi, zaczął kopać. Tobiasz miał stać nad brzegiem i nasłuchiwać. Nie było tu kamieni, tylko sypki jasny piasek i słychać było, jak z cichym szmerem spływał z łopat.

Sowy ciągle jeszcze hukały, a najlżejszy powiew niósł długi, ledwo dosłyszalny szept przez zarośla trzciny. Wtedy kopiący prostowali się i nasłuchiwali, ale dźwięk zamierał w oddali. Za każdym razem zdawało się, że jakiś człowiek cicho oddala się od nich.

Gdy wykopali dość głęboko, tarcza ubywającego księżyca widniała nad jeziorem w kolorach sosen, nie rzucając jeszcze światła na wąskie smugi piasku. Zawinęli zmarłego w koce, a Jons przybrał grób kilkoma gałązkami choiny.

Tobiasz, stojąc w głowach zmarłego, odmówił psalm 126; „Gdy Pan uwolni więźniów Syjonu, będziemy jako śniący...”

Potem rzucili po grudce ziemi i przysypali zmarłego piaskiem. Co pozostało, zanieśli w dwóch workach, które przyniósł Czaja nad brzeg i wysypali do wody. Na koniec ułożyli na grobie kupę chrustu przysypując dawne miejsce świeżym piaskiem.

Wracali różnymi drogami, a Czaja przyrzekł, że przyjdzie tu jeszcze raz nazajutrz, by usunąć ostatnie ślady i w chatce przy mielerzu doprowadzić wszystko do porządku, ale nie było nic do porządkowania. Lawrenz odszedł bez śladu. Nawet odrobiny popiołu z jego cygar nie można było znaleźć, a z butelek zeszkrobano nalepki. Jons sprawdził, czy nazwa firmy nie była odlana w szkło, ale było gładkie i bez znaków szczególnych.

Raz jeszcze rozpałił ogień na palenisku i siedział przy nim chwilę, z rękami na kolanach. Kołatek stukał w starym drzewie, a on nasłuchiwał bezmyślnie. Jak to Tobiasz powiedział: „Uczynił nam Pan rzecz wielką, przeto radośni jesteśmy”. Jesteśmy radośni? Uczynił nam rzecz wielką? Kto ma to wiedzieć? Zapewne porzucił cierpienie i poszedł tam, gdzie nie ma cierpienia, ale czy Bóg to uczynił? Czy Bóg przykładał rękę do tej śmierci? Bóg nie mógł przykładać ręki do grzechu, a to przecie grzech w oczach Boga. A jeśli nie przykładał do tego ręki, to nie uczynił mu wielkiej rzeczy.

Pozostało więc: „Przeto radośni jesteśmy” i pierwsze słowo było nieprawdą. Może dwa dalsze słowa były prawdziwe, i wtedy ciągle jeszcze było dobrze. Człowiek chory, zbezczeszczonej, z siwymi włosami splamionymi krwią. Z ręki tych, co zwałają

nagrobki. Który pracował przez całe życie dla ubogich, i którego pogrzebali w piasku na pustkowiu, gdzie nawet zwierz nie pozostawia śladów.

Ale człowiek ocalony, ocalony przed czasem od cierpień, i dlatego mogli być radośni. Zanim panowie z „von” i bez „von” zaczęli szczuć go psami lub kazali mu jeść mydło. Piasek był lepszy niż mydło. Piasek pochodził z łona natury, a nie z umysłu ludzkiego. Może leżał tam od stu tysięcy lat, kiedy stopniały ostatnie lodowce? Przeszło po nim tylko słońce i deszcz, lód i śnieg. Odcisnął się na nim trop ptaka lub ślad nóżki dziecka szukającego muszelek. Czyste siły, czyste rzeczy. Nic znieprawionego, nic z mózgu ludzkiego, nie światopoglądy.

„Wtedy usta nasze będą pełne śmiechu”, mówił Tobiasz. Nie, będą tylko pełne ziemi, a ziemia jest lepsza niż śmiech. Ci, co zwalają nagrobki, także się śmieją. Śmiech pochodzi od ludzi, a wszystko, co pochodzi od ludzi, może być dobre lub złe. Błogosławione usta, co wypełnione są ziemią miast śmiechu. Usta milczące, i to także jest dobre. Czym jest słowo? Pocięchą, łaską, a w następnej chwili bestią z otchłani. Słane przez głośnik, przez wszystkie głośniki świata. Demon szalejący w sercach, wypełniający je trucizną i trądem. Wszystko na ostrzu noża: śmiech, płacz, słowa. Nie potrzeba słów, by leczyć, pocieszać, kochać. Dziewczyna z „Raju” nie potrzebuje słów. Potrzebuje ręki, co gładzi, oczu zatopionych w jej oczach, ust, co dotykają jej włosów. „Staraj się opierać na Bogu”. Testament z otwartą pieczęcią. Wielki testament. Większy, niż królów i władców. Może oni używali tych samych słów, ale znaczyły one co innego. Znaczyły: „Staraj się powiększyć — państwo albo skarb, albo potęgę”. Niezliczone testamenty można ułożyć ze słów. Ale to był testament przeżyty, przeżyty w milczeniu i już kobieta ze szczygłem go przekazała.

Ale co to znaczy „znaleźć w Bogu oparcie?” Czy znalazł w Bogu oparcie ten, którego pograżyli w piasku? Ziarnko piasku trzymane na dłoni jest dla każdego ziarnkiem piasku. Ale czym jest Bóg? Czy dla każdego jest tym samym? A może już ziarnko piasku jest dla dziecka kawałkiem złota rozsypanym przez wrózkę na ciepłej ziemi?

Jakże miał znaleźć w Bogu oparcie on, Jons Ehrenreich, co przeszedł przez szkoły umysłu? Drogami, na których końcu było wypisane „sicut Deus”? „Jak Bóg”. Jakąż otchłań między nim a ojcem, co czuwał nad mielerzem i przyjmował przy swym stole proroka Izajasza? Otchłań z wzorami i znakami, ideami, obrazami i wiadomościami. Po brzegi wypełniona słowami, a za każdym słowem stawał szereg

wyobrażeń, upiórów, trzymających się za ręce, jeden za drugim, aż stały się punktami na widnokregu świadomości.

A przecie było to z pewnością coś wielkiego, bo zmarły to powiedział. Wypił puchar Sokratesowy, wino i cykutę, i nie można było puszczać mimo uszu tego, co powiedział. Wiedział już Jons, co jest wielkie i małe na ziemi, a zwłaszcza u ludzi. Co małe, tego oni nie ścigali, ci z głośnikami. To wpadało im samo w ręce. Ale to co wielkie musieli ścigać, by je wytepić, i by nie rzucało cienia. By na placu zostali tylko oni, na grubość włosa wystając ponad to, co małe. W ten sposób można się wydawać wielkim. Na powierzchni lustra już ziarnko piasku jest duże, a w blasku nisko trzymanej świecy może nawet rzucać cień sięgający aż po brzeg.

Trzeba więc czekać, aby tego doświadczyć. On jeszcze nie spoczywał, nie znajdował spokoju, może jedynie w swojej wsi, w swojej rodzinie, w miłości. Może to już był Bóg, a może tylko stopień? I na stopniu można spocząć i zaczerpnąć oddechu.

Ogień zgorzał, a on jeszcze wciąż siedział z rękami na kolanach. Ręce bolały go od pracy łopata, a w sercu czuł pustkę. Opuszczona izba, w której cicho mieszkał zmarły, nie zwracając na siebie uwagi, ale teraz odkąd odszedł, wpadało to w oczy. Drzwi stały otworem, okno szczekało na wietrze.

Najgorsza była gorycz w ustach. „Wtedy usta nasz będą pełne śmiechu, a język nasz pełen chwalby”. Nie, on jakby leżał na misie pełnej żółci. Może tamci mogli słać mord, każdy mord, co zamykał oczy pełne wyrzutu, Ale on nie mógł. Nie na to był wychowany. Przez kilkanaście lat chował i pielęgnował ziembę. Dobywał dzieci z umierającego łona. Powrócił do trzydziestu morgów, by rósł na nich chleb życia. To nie był światopogląd ani idea, to było po prostu prawo, jedno z najprostszych, najstarszych, nie powiązane z narodem ani z religią, lecz tylko z ziemią, z praterścią ziemi. To była świętość, a ktokolwiek od niej odstępował, popełniał grzech.

Gdy wystawał, musiał się trzymać drewnianego oparcia krzesła, tak był zmęczony. Przykrył ostatni żar popiołem i jeszcze raz rozejrzył się dokoła. Nie pozostało śladu. Pajęczyna spokojnie zwieszała się z belek, stukotał kołatek. Niech szukają teraz ludzie i psy. Nie ma już nic, chyba tylko duchy. „Między krzakami spoczywają i między ostami zbierają się.” I to gdzieś napisano. Wszystko, co wielkie, zapisane było w Księdze Ksiąg. Boskie słowo, nie ludzkie, i dlatego brzmi w nim taka wielkość.

— Bóg mi dopomóż — zaszeptał, przekraczając próg, ale nie wiedział, co ma na myśli. Wargi jego było zmęczone, usta jakby spopielale.

Dopiero wieczorem przyszło mu na myśl, że pan von Balk powinien o tym wiedzieć. Nic nie powinno być przed nim zatajone, bo to przecie on czuwał nad nimi. Zboczył z gościńca i skierował konia polnymi drogami ku zamkowi. Widział z daleka wzniesienie, na którym stali we trzech, i gdzie Balk powiedział, że ziemia się chwieje.

Balk wysłuchał i nic nie powiedział. Przytakiwał tylko parę razy, jakby do siebie, a potem spojrzał na Jonsa swymi lodowato szarymi oczyma. — Słusznie postąpiliście — rzekł — i on także słusznie postąpił. Wielu będzie tego żałować, że tak samo nie postąpili. Ale nam to nie przystoi. Nam nie. On miał swoich chorych, ale my mamy wieś. To on powiedział o ziarnie na siew i słusznie powiedział. A jeśli wiatr zawieje?... Zawiane ziarno także może rosnać. A ty, Jons, nie rozgoryczaj się. Oni tylko czekają na nasze gorzkie słowa, bo na gorzkie słowa łatwo podnieść topór. Trzymaj się prawa, Jons. A dopiero gdy ci go odbiorą, i nigdzie go nie znajdziesz — tylko w przemocy — uciekaj się do przemocy! Prawo oparte na przemocy, to złe prawo, ale przemoc oparta na prawie, to dobra przemoc.

Odprowadził Jonsa aż do wozu. — Piasek, Jons, to dobra rzecz — rzekł na pożegnanie. — Jeśli nic nie wyjdzie z trumną cynkową i grobem rodzinnym, pochowajcie mnie w piasku. Spokojnie mnie złożcie obok niego. To był cichy człowiek i nie będzie mi przeszkadzał. Nawet gdy zmartwychwstanie. On będzie pilnował swoich rzeczy, bo zawsze był porządny. Odblask dawnego uśmiechu, ale tylko odbłask. A przecie pociecha dla tego, co cichą ulicą odjeżdżał do wsi.

W kilka dni później przyszedł list od siostry Moniki z zapytaniem, czy Jons czego nie wie o doktorze Lawrenzu. A więc i o tym pomyślał. Nie, odpisał Jons, nie nie wie. Ale przypomina sobie, że doktor podczas ostatnich odwiedzin mówił o wyjeździe do Szwajcarii na miesięczny wypoczynek. Nie powinna się więc niepokoić, bo na pewno niedługo da o sobie znać.

I znowu za parę dni rano szary wóz zatrzymał się przed drzwiami. Wyszedł z niego człowiek w prochowcu, rozejrzał się cokolwiek i szybko pokazał legitymację ze zdjęciem. Człowiek wyglądający na skromnego urzędnika, gładko ogolony, w rogowych okularach, dość uprzejmy, ale rażący pewnością siebie, jakby był u siebie w domu i przyjeżdżał sprawdzić, czy jego lokator utrzymuje wszystko w porządku.

Rozejrzał się po dużej izbie mieszkalnej, rzucił okiem na instrumenty i książki, a potem zapytał mimochodem, czy Jons nie wie czego o doktorze Lawrenzu. Jons wydobył z papierów, leżących na jego biurku, list od siostry Moniki i kopię swej odpowiedzi i podał przybyłemu, a potem zaczął z wolna nabijać swoją fajeczkę.

Człowiek przeczytał pobieżnie listy jakby już raz je czytał, i pragnął dowiedzieć się od Jonsa, od jak dawna zna doktora i jakiego rodzaju stosunki ich łączą.

— Czy pan wiedział, że on jest Żydem? — zapytał na koniec, a jego oczy za rogowymi okularami były teraz zimne i przenikliwe.

— Oczywiście — odpowiedział uprzejmie Jons. — I nie miał pan żadnych oporów pracując z nim?

— Tak samo, jak pański minister, gdy się u Żyda promował, to jest robił doktorat.

Ledwo dostrzegalne wzruszenie brwi nad rogowymi okularami i odpowiedź, że minister mógł łączyć z tym inne cele, a nie tylko doktorat.

— Tak samo rzecz się może mieć ze zwykłym lekarzem i położnikiem — odrzekł Jons.

Człowiek rozejrzał się dookoła, kazał sobie pokazać dom, a potem znowu w milczeniu odjechał.

— Szukają go? — spytała cicho Hanna.

— Tak, dziecko, ale on wyprzedził ich daleko.

Rozdział 17

Lata przechodzą nad wsią Sowirogiem i często zdaje się, że całkiem o niej zapomniano. Dają tylko to, co zawsze dają na ziemi: zmianę pór roku, kilka zmarszczek więcej na starych twarzach, parę bruzd więcej na nowym kawałku roli i starą, wyważoną miarę urodzin i zgonów. Młodzi ludzie przyjeżdżają na urlop lub przechodzą do rezerwy, a odrobina chępliwości, jaką tu czy tam ze sobą przywożą, znika szybko przed cichym obliczem wsi.

Jons najwcześniej zauważa, jak w tych latach dojrzało oblicze wsi. Z cierpliwego, uległego, posłusznego stało się niepostrzeżenie inne. Nie bohaterskie i buntownicze, ale czujne, uważne i zamknięte w sobie.

Z początku myśli, że to za sprawą Tobiasza, jego ciche; ręki docierającej do wszystkich domów, jego cichego serca, co jak gorący ogień płonie na pustkowiu czasu. Jego kazań, w których nie ma słowa skargi ani oskarżenia, że następca Korsanckiego nie ma co notować. Jest za to pewność dziecka, ufającego swemu ojcu. W których wszystkie czasy i wieki wydają się jak ulotne chwile wobec wieczności Starego i Nowego Przymierza. W których każde życie wydaje się „od wczora” i „jak cień nad ziemią”, On nie pyta, nie mędrkuje. „Znajduje oparcie w Bogu”, a jego spokój rozchodzi się od serca do serca, jak koła na wodzie biegną coraz dalej, aż do najodleglejszego brzegu.

Ale Tobiasz nie przyznaje, że to jego sprawa. — Widzisz, Jons — mówi — ludzie nigdy nie kierują się nauką ani ideą, ani światopoglądem. Kierują się życiem, tym co od rana do wieczora jest na oczach wszystkich jako skromny przykład. Nie kazaniem na górze, ale tym, że on wstąpił do setnika z Kafarnaum, że pochylał się nad grzesznicą, że stał na wysokiej górze i nie chciał skarbów świata.

I dlatego takie głupie jest to, czego żądają na egzaminach: że chcą znać wiedzę, a nie życie. Już co do wiary nic więcej wiedzieć nie mogą. Mogą przecie na egzaminie powiedzieć, że wierzę, a gardzić Bogiem. Ale nie mogą przeżyć jednego roku w takiej wiosce jak ta, by ludzie nie wyczuli, czy jestem z Bogiem, czy daleko od Boga i to wam coś niecoś pomagało. A teraz nie jesteśmy tylko przy zmarłym. Teraz jesteśmy przy górze, dla której nie ma imienia.

I uważał, że najwięcej zrobili ci, co byli przed nim, może Stilling, a także zmarły profesor, albo właśnie stulecia, kiedy żyli tu cicho, pracowicie i pokornie. „Wielka moc jest w tych małych wioskach.” Właśnie dlatego, że tu każdy dzień nie przynosi czegoś nowego, lecz tylko to, co już przed stu laty przynosił. Jak mogą ludzie w mieście brać swego Boga ze sobą przenosząc się co roku do nowego mieszkania. Tyle wloką ze sobą, że o nim właśnie zapominają, jak o jakiejś skrzyni. Zostaje gdzieś w piwnicy lub na strychu i już go nie ma. Każde mieszkanie ma swego nowego boga. Prawie tak, jakby się mieścił w komornem. Nie, Jons, naród który zapomina o swoich wioskach, utracił zdrój życia.

Hrabina często przyjeżdżała na jego kazania, nie tylko dlatego, że to był jej kościół. — Przyjeżdżam pana przesłuchać, Tobiaszu — mówiła, ale to był tylko żart, a po nabożeństwie zatrzymywała się zawsze jeszcze na chwilę na podwórku koło kościoła i przysłuchiwała się dzwonom wolno wybrzmiewającym w cichym powietrzu. — Takie proste mogłoby być wszystko, Tobiaszu — mówiła, spoglądając w zamyśleniu na jezioro i lasy. — Tak proste, a oni co dzień to tak gmatwają, nieprawdaż?

— Nie mogą inaczej, pani hrabino.

Przytaknęła. — Tak jest, Tobiaszu. Ale kiedyś przyjdzie ręka, która wszystko uczyni całkiem proste. Tak proste, jak było po potopie...

Przychodziła także niekiedy do kościoła pani von Bohnen, trzymając na ręku dziewczynkę, którą Jons ocalił przed śmiercią i wydobył na światło dzienne. Jej mąż był teraz człowiekiem możliwym nowych czasów, panem nad tysiącami w mundurach, a ona patrzyła na niego zatroskanymi oczyma, — Kiedyś wzruszał ramionami, doktorze — mówiła do Jonsa — gdy wymieniano pańskie nazwisko, a i dziś wzrusza ramionami na wiele z tego, co się dzieje. Ale kazał panu powiedzieć, że nie zapomniał, i będzie pana i wieś osłaniał własną ręką.

— Musiałaby to być duża ręka — rzekł Jons patrząc jej w oczy.

Uśmiechnęła się zakłopotana i spojrzała na dzwony, których ostatnie, pojedyncze uderzenia biegły ponad wsią, — Tak właśnie myśli każdy z nich, że ręka ludzka jest dość duża dla całej wsi.

Pewnego dnia zajechał przed dom Jerominów wielki, lśniący wóz, z którego wyszedł przystojny, nieco przysadzisty mężczyzna w czarnym mundurze i zapukał z uśmiechem w szyby okienne, ponieważ drzwi były zamknięte. Był to Gotthold, wesóły i cokolwiek protekcyjny, uderzając szpicrutą o cholewy wysokich butów opowiadał,

że znów powrócił w strony rodzinne, wprowadzie do stolicy regionu, ale zawsze to w strony rodzinne i jeśli w domu Jerominów mieli jakie życzenia, powinni mu spokojnie powiedzieć. Był cokolwiek zdziwiony i rozczarowany, że nie mieli żadnych życzeń, nawet Christean, któremu chciał dopomóc w urządzeniu wystawy w dużym mieście.

Nie, Christean także nic nie chciał. — Może później pójdziesz na chwilę na cmentarz, bracie — rzekł. — Tam już jest kawałek mojej wystawy. Dla zmarłych.

Gotthold wrócił zakłopotany i kręcił się po warsztacie. — Cokolwiek wynaturzone, Christeanie — powiedział. — Tak to dziś nazywają. Cokolwiek prymitywne, a tego nie bardzo lubią. Powinno być coś bardziej bohaterskiego, tak jak Hermann i Thusnelda, może z mieczem na kolanach... Ale to piękne, Christeanie — rzeki cicho po chwili... — Tacy oni byli... także matka, chociaż miała dla mnie twardą rękę. To bardzo piękne, Christeanie... — I patrzył przez chwilę przez okno, zapominając o machaniu szpicrutą.

Najbardziej dziwił go Jons i cicha pewność, z jaką poruszał się po małym domku. — Że też ty to wytrzymujesz, bracie — rzekł wieczorem. — Te chałupnice i ich bachory... to bardzo pięknie, i oni przecie należą do narodowej wspólnoty. Ale nie chciałbyś mieć dużej kliniki z tuzinem asystentów? My dwaj możemy znowu przydać blasku nazwisku Jerominów i mógłbym sporo ci w tym dopomóc. Ale Jons nie chciał niczemu przydawać blasku. Palił swoją fajeczkę, spoglądając na brata w zamyśleniu. Powróciło tyle wspomnień, całe życie stanęło przed oczyma. Ten więc zaczął, u Czwallinny, i teraz nosił wyszyte liście dębowe na mundurze, a dwóch zostało zamordowanych, jedna stała u ogniska i patrzyła cichymi oczyma na mężczyznę, co stał się dzieckiem, jedna siedziała w obcym kraju, Feniks, co wleciał z popiołów starego domu, jeden rzeźbił zwierzęta i zmarłych, a on sam pochował w piasku człowieka, którego ci ścigali jak dzikie zwierzę.

— Ono już błyszczy — rzekł cicho. — Dopóki oni tu pamiętają o ojcu, błyszczy już dostatecznie.

Gotthold uśmiechnął się lekko, ale tak, że Jons tego nie widział, a potem wstał. „Trzeszczy we wszystkich szwach”, pomyślał Jons.

— No dobrze, bracie — rzekł Gotthold dobrotliwie. — Nawet najciemniejszy kąt potrzebuje światła. A jeśli czego będziesz potrzebował, przyjdź do mnie. Własną ręką będę cię osłaniać.

„A więc już drugi”, pomyślał Jons z uśmiechem. „Wkrótce tyle rąk będzie mnie osłaniać, że będę żył całkiem w cieniu”, i opowiedział mu o panu von Bohnenie.

— Bohnen? — zapytał Gotthold. — Bohnen? To ten z brunatnego uniwersytetu. Przypominam sobie. Porządny chłop. Ale my mamy większą władzę, słyszysz, Jons.

Przyjdź do mnie, jeśli coś będzie. Nie na darmo siedzieliśmy przy tym samym ogniu z torfu.

Tak, biegną lata, ciche, pracowite, a w świecie Rzesza rośnie. Głośnik Maschlanki ma znowu co do roboty, mowy i marsze grzmią z eteru na wioskę. Tylko pola nie rosną. Pozostają nadal takimi samymi małymi paskami na skłonach pagórków. Rzesza, co stała się wielka, także bierze podatki i synów, a to co daje, nie jest odpowiednie dla ludzi z Sowirogu. Rzeczy barwne i głośne, których nie można zawiesić w kościele, jak wieniec dożynkowy, ani postawić na kuchni. A że niewiele dostają, dają także niewiele. Są przekorni w zaciętej, milczącej zawziętości, nad którą Maschlanka ukradkiem załamuje ręce. Są wybory i głosowania ludowe, ale wieś nie wybiera ani nie głosuje. — Myśmy już wybrali, panie nauczycielu — mówi dobrodusznie Daida, otwierając tabakierkę z kory brzoźowej. — Wybraliśmy sobie kochanego pana Boży czka, a jego nie potrzeba co roku wybierać. Jemu jeden raz wystarczy. Nie płaci też wieś składek. Płaci podatki i to wystarczy na mały skórzany woreczek przewiązany sznurkiem. A dobrowolnie, panie nauczycielu — mówi Daida — to przecie właśnie dobrowolnie, nieprawdaż? Tak uczyliśmy się u pana Stillinga, i tak chyba już pozostanie.

Maschlanka zostaje złajany i gdyby nie miał rudej peruki, dawno by już posiwiął.

Tak, państwo... czym jest państwo dla takich małych wioszek? Czy to coś takiego jak „las”? Ale las składa się z drzew, które można zobaczyć i dotknąć. Kwitną i dają cień, a gdy są stare, dają ciepło dla serca; błogość i pokój. Czy to coś takiego jak pogoda? Ale na pogodę składa się słońce i deszcz, grad i śnieg, i dopiero to wszystko razem jest pogodą. Czy na nie składają się wszyscy landraci, wszyscy prezydenci regencji i tak dalej? Ale to także nie to, bo należy do niego także następca Korsankego, i Maschlanka, i młodzi chłopcy na motocyklach, którzy od czasu do czasu przejeżdżają kure, a potem machają ręką z chmury kurzu. Nie, to musi być coś innego. Coś niewidocznego, tak jak sumienie, czego nie widać, ale co jest zawsze, a zwłaszcza wtedy, gdy się go najmniej oczekuje. A najlepiej o nim nie myśleć. Niech sobie rządzi krajami i wielkimi miastami, a wtedy zapomni o małych wioskach. One go nie

potrzebują, są samowystarczalne, a jeśli im czegoś brakuje, to jest Jons, pastor albo pan von Balk.

Przez długi czas wydawało się, że o nich zapomniano. Ma ono inne troski i inne plany, wielkie troski i wielkie plany, obejmujące kulę ziemską, a na niej Sowiróg to tylko drobny punkcik, tak drobnutki, że właściwie można go tylko pomyśleć, a nie zaznaczyć.

Ale tak się tylko wydawało. Ono o niczym nie zapomina. Przymknęło tylko oczy, ale poprzez rzęsy widzi wszystko, co się dzieje. Jest jak chędogi gospodarz, co ostatnie ziarnko wytrząsa z korca, co nawet plewy zmiata, kiedy potrzebuje czystego klepiska.

A jeśli młody chłopak z takiej wsi pewnego dnia przyjedzie do powiatowego miasta, by kupić nową sieć na ryby, to nie znaczy, że może sobie chodzić do woli po kamiennych ulicach i robić, co mu się podoba. Tajemne oko rozwarło się nad miastem i czuwa nad jego krokami. Każdy jego krok śledzi niewidoczne oko państwa. Jak pająk krzyżak, co siedzi ukryty w sieci, a przecie jego niewidoczne oczy. zaczynają gorzeć, skoro tylko po nitkach przebiegnie lekkie drżenie, i tak samo śledzą każdy ruch obcego, co wkroczył na ich ulice.

Jan powiedział w domu doktora, że musi kupić sieć dla pana von Balka, ale że wróci koło południa, aby zająć się koniem. — Nie śpiesz się, Janie — rzekł Jons. — Potrafię jeszcze nasypać owsa i postawić wiadro wody.

Jan jednak potrząsnął głową. — A co ja mam tam do roboty?

Ale nadszedł wieczór, a jego ciągle jeszcze nie było. Jons powrócił z objazdu, spojrzął na zegarek i pokręcił głową. Siedzieli przy okrągłym stole pod lampą, Jons czytał, dziewczyna robiła na drutach, ale oboje byli niespokojni i wsłuchiwali się w cichy wiatr poruszający liście dębu.

Kiedy się ściemniło, Jons poszedł do domu Gogunów, ale tam też go nie było. Gogunowa siedziała ze wzrokiem utkwionym w lampę naftową. — A jeśli, Jons, on zaczął pić? — rzekła zmęczona. Ale Jons uśmiechnął się. — Tak, Gogunowo — rzekł — co wieczór pijemy obaj po butelce rumu, a teraz to on z pewnością i moją wypije.

Ale ona westchnęła tylko, a potem poświeciła mu na progu.

Na krótko przed północą Jons zadzwonił do biura policyjnego, gdzie nauczyciel Stilling siedział swego czasu ze swym złotym zegarkiem. Po długim wahaniu przyszła

odpowieź. Tak, była przed południem jakaś tam bójka, podczas pochodu. Podobno leży w szpitalu. Więcej nie mogą powiedzieć.

Szpital odpowiedział jeszcze bardziej opieszale, le nie jest, ot, jak to zawsze bywa podczas bójki. Ale czuwają nad nim. Potem głos siostry dyżurnej urwał się i już nie powrócił.

Ale rano przyszedł telefon z miasta. Głos znany, ale nie wymienił swego nazwiska. Szybko i cicho podawał doniesienie naocznego świadka. — Bo to pan, panie doktorze — rzekł — a to ktoś z pańskiej wsi. — Potem i on zamilkł, i w słuchawce zaległo głucho milczenie przerywane cichym brzęczeniem. Długie i groźne milczenie.

Jons poprosił pana von Balka o odwiezienie na kolej.

Balk przyjechał sam i kazał sobie w powozie wszystko opowiedzieć.

— Tak, Jons — rzekł — tak teraz jest. Nikogo nie możesz puszczać do miasta. Każde miasto jest dzisiaj pułapką, zapadnią, a nasi ludzie nigdy nie zauważą sznurka. Oni ciągle jeszcze myślą, że on zwisa z nieba, i że pan Bóg trzyma go w ręku. Ale on dziś ma inne troski niż Sowi Zakątek.

— Nie, dajmy spokój kolei, Jons — rzekł, gdy zaczęły się kocie łby.

— Jest zbyt opieszala, a my także w nagłych wypadkach możemy się posłużyć tak zwanym postępem, Właściciel tartaku ma duży wóz, a u mnie dosyć zarobił,

Później okazało się, że doniesienie naocznego świadka pokrywało się z prawdą, nic nie dodając ani przemilczając. Według niego Jan niosąc już sieć pod pachą wyszedł z małego sklepiku tytoniowego i spojrzał na słońce, by zmiarkować, czy jeszcze przed południem będzie z powrotem w Sowirogu. Sklepek znajdował się na rogu ulicy i oto pochód ze sztandarem, z muzyką, w mundurach, wyszedł mu naprzeciw tak szybko, że nie mógł już się cofnąć. Spokojnie więc patrzył na ten blask i świeżość, ściągnawszy tylko nieco brwi, jakby go raziło. Widział wprawdzie, że dorośli i dzieci podnoszą rękę, ale to go nie obchodziło. Stał tuż przy brzegu chodnika, a kilka zawołań z maszerujących szeregów dotyczyło chyba nie jego.

Dopiero kiedy chorąży zatrzymał się, rzucając za siebie parę słów, i cały pochód stanął jak wryty, poczuł się nieswojo i obejrzał się szybko dokoła, jak zwierz na polance, ale było już za późno. Trzech czy czterech chłopaków w dziwnych czapkach podeszło szybko do niego i zanim zdążył podnieść rękę, już najbardziej wysunięty naprzód strącił mu czapkę z głowy, wrzeszcząc coś, czego nie rozumiał. Krew uderzyła mu do twarzy i ciosem pięści pod brodę powalił napastnika jak kłodę do rynsztoka.

Chciał wyciągnąć nóż z tylnej kieszeni spodni, ale było już za późno. Ujrzał w powietrzu błysk sprzączek od pasa spadających ze świstem na jego głowę. Gdzieś z oddali słyszał wiele głosów, stłumionych i huczących, jakby dal nurka na piaszczyste dno jeziora, a potem zrobiło mu się czarno i czerwono przed oczyma. Stracił przytomność.

Milcząc i z pewnym niedowierzaniem wprowadzono Jonsa do pokoju Gottholda, obszernego, wspaniale urządzonego pomieszczenia. Ale nie rozglądał się. Podszedł do olbrzymiego biurka i oparłszy się obu rękoma o płytę rzekł. — Musisz pomóc, bracie, wcześniej niż myślałem. Gotthold wskazał mu ciężkie krzesło obite skórą i zaczął przerzucać kartki w teczce z aktami. Na jego twarzy malowała się namaszczona powaga. — Wiemy już o tym, oczywiście — zaczął po przerwie, która wydawała się Jonsowi niezmiernie długa. — Tak, i to jest bardzo nieprzyjemna historia. Czyżby ci wasi ciemni chałupnicy ciągle jeszcze nie wiedzieli, co się należy? Co myśli sobie taki chłopak, że napada na mundur? Wiesz ty, co to znaczy?

Nie, Jons nie wiedział i wcale się z tym nie krył. — Jeśli on się bronił — odpowiedział ponuro — to się bronił przeciw drabowi, który mu strącił czapkę z głowy. O ile mi wiadomo, posłał do rysztocka nie mundur, tylko człowieka, a z człowiekiem poszedł i mundur, jak to się zazwyczaj dzieje. Czy miał mu przedtem ten mundur ściągnąć?

Gotthold zabębnił długim ołówkiem po płycie stołu i ściągnął brwi.

— Zaprześć lepiej żartów — rzekł. — W takich sprawach ludzie nie znoszą żartów. Tę napaść na mundur należy oczywiście rozumieć symbolicznie. To tak, jakbyś zerwał sztandar.

— Posłuchaj no — rzekł teraz Jons zupełnie spokojnie. — Ten syn Michała Goguna, którego doskonale znasz, jest od śmierci ojca dzieckiem o melancholijnym usposobieniu i żyje od lat na wyspie, gdzie łowi ryby dla Balka. Nie widzi on człowieka całymi tygodniami i prawdopodobnie nie wie wcale, co to jest sztandar. W każdym razie nie dowiedział się o tym w Sowirogu. Pojmował więc tylko to, że jakiś całkiem obcy człowiek rzucił się na niego i strącił mu czapkę, co nie jest w modzie na wyspie, ani w Sowirogu. Potrafisz chyba dać to tym ludziom do zrozumienia, a i ja też nic innego nie chcę, tylko żeby go zaraz postawiono przed sądem.

Gotthold robił notatki, a potem je przeczytał. — Oczywiście, można to tak wyjaśnić, Jons — rzekł dobrotliwie. Ale potem podniósł wzrok, a oczy jego nie były już

dobrotliwe. — My orientujemy się coś niecoś o was, bracie — rzekł ostro. — Niech to wam posłuży za przestrożę, wam wszystkim, włączając w to Balka, Tobiasza i jak się tam oni wszyscy nazywają. My mamy cierpliwość i nie jesteśmy małostkowi, ale są rzeczy, których znieść nie będziemy. Nie będziemy, rozumiesz?

— I stuknął groźnie ołówkiem w stół.

— Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli — rzekł Jons. — Nie widzę nic, co by wykraczało przeciw państwu, a widzę niemal wszystko we wsi. Być może stosujemy się do teorii, a nie bardzo rozumiemy praktykę?

Gotthold zrobił odpychający ruch ręką i znowu zajrzał do swych notatek. — A sąd wybij sobie z głowy — rzekł. — W takich wypadkach nie ma sądu, to rozstrzygamy sami. Ale postaram się o łagodne potraktowanie sprawy. Obiecuję ci. Ostatecznie to nasza wieś, chociaż wcale nie przodująca. Ale poniżej pół roku nie uda się. Gdyby nie ja, byłoby prawdopodobnie trzy do pięciu lat.

— Jak to pół roku? — spytał Jons. — Jeśli nie postawicie go przed sądem, to skąd pół roku?

Gotthold wzruszył ramionami. — Nie udawaj, żeś spad! z księżyca — rzekł szorstko.

— A co będzie z tamtymi? — zapytał Jons.

— Z tamtymi? — powtórzył Gotthold marszcząc znowu brwi. — Co ma być? Oni spełniali swój obowiązek.

Przy drzwiach Jons obrócił się raz jeszcze. — Wiesz, bracie, jak to dobrze — rzekł powoli — że nasz ojciec nie żyje. I że ja tu mogę stać zamiast niego.

— Minęły czasy sentymentalizmu — odpowiedział Gotthold spokojnie.

— Teraz są czasy czynu.

Powoli szedł Jons korytarzami i schodami ku wyjściu, Był to taki sam dom jak i inne. Młodzi ludzie szli mu naprzeciw lub stali na którymś z dziedzińców. Rzucali Jonsowi przelotne spojrzenia, ale nie były to spojrzenia ludzi z Sowirogu. Były inne i Jonsowi wydawało się, że cała rzecz w tym, że ci młodzi ludzie są czymś ubranym w mundur. Mundur jak inne, które sobie człowiek w wolnych chwilach wymyśli, ale był narzucony na istoty jakby z drewna lub z kamienia. Istoty sztuczne, które wynalazca sfabrykował w swej pracowni, zaopatrzył w usta i oczy, wiał od nich jednak lodowaty martwy chłód, jak od figur, które czarodziej nakręcił i puścił w ruch Najbardziej niesamowite było to, że były tam także dziewczęta, biegające z aktami i papierami po

schodach i z powrotem, z uśmiechem na wymalowanych wargach, z uśmiechem w oczach. To tak, jakby dziewczyna z „Raju” chodziła tu od drzwi do drzwi, tak jak w domu wprowadza i wyprowadza chorych.

Dreszcz go przeszedł i przez całą drogę do domu patrzył wprost przed siebie, nie zwracając uwagi na krajobraz.

Udało mu się porozmawiać z jedną ze znajomych siostr w szpitalu, która zgodziła się przekazać Janowi jego pozdrowienia i pouczenie, w jaki sposób ma się zachować. Zgodziła się spróbować, bo więcej obiecać nie mogła.

I to było wszystko, co mógł zrobić. Kurtyna spadła cicho i niedostrzegalnie, dzieląc świat na dwie połowy: sentymentalności i czynu. W tym właśnie drugim świecie stało wielkie biurko, za którym siedział jego brat i wydawał wyroki na ludzi z Sowirogu. Ten sam brat, którego matka urodziła i wykarmiła, i który rozsypał odłamki szkła na ścieżce, tam, gdzie Jons bosy musiał schodzić do łodzi. „Absalo-mie, Absalomie...”, powiedział dziadek, ale dziadek także należał do innego świata, do świata sentymentalności.

Pan von Balk przysłuchiwał się ponuro. — Człowiek pochowany w piasku uczynił zupełnie słusznie, jeśli o niego chodzi — rzekł na koniec. — Ale my, Jons, musimy dojść do końca. Zawsze są ludzie, którzy muszą dojść do końca.

Gogunowa dowiedziała się tylko, że zamkną Jana na pół roku i przyjęła to bez sprzeciwu. Żurawiec dość często bywał w „podróży”, nieraz trwała ona nieco dłużej niż pół roku. Nie uchodziło to w Sowirogu za hańbę. Próbowali od czasu do czasu taką grę z państwem, nieraz wygrywało państwo. Nie zawsze, ale to była właśnie gra na loterii i trzeba było robić dobrą minę.

Ale wieś dowiedziała się jednak prawdy. Może przez Maschlankę, a może innymi drogami. Tym razem wieś nie przyjęła tego jako gry na loterii. Nastąpiło dla ludzi w Sowirogu ciche lato i Maschlanka unikał w miarę możliwości pokazywania się na ulicy. Ludzie nie dostrzegali go ani nie słyszeli jego głosu, a często zachowywali się tak, jakby był dla nich mgłą, przez którą można przejść. Gnębiło go to, był bowiem niewinny, a prawo jest przecie zawsze prawem, czy to stare czy nowe.

Pani von Bohnen mogła tylko zawiadomić Jonsa, że jej mąż „osłania własną ręką” Jana. Obiecano mu, że skończy się na pół roku i ma nadzieję, że dotrzymają przyrzeczenia. — Dawniej nie potrzebowaliśmy mieć nadziei, doktorze — rzekła z

gorzkim uśmiechem. — Dawniej wiedzieliśmy, ale tymczasem zestarzeliliśmy się jednak.

Było ciche lato i ciche żniwa. Zamilkł nawet róg Piontką i nikt nie „budził echa”. Częściej niż dotąd ludzie z Sowirodu przy pracach polowych unosili głowy i nasłuchiwali, ale nie było słyhać nic więcej niż dotychczas Grzmiało za widnokretem, czasami nadciągała burza, często jednak przechodziła bokiem. Jezioro było ciche i ciemne, a dla ryb nastał dobry czas. Nikt nie stawiał sieci, nikt nie zapalał ognia na wyspie. Tylko dzwony dzwoniły jak zawsze, a młody pastor, kiedy belkowanie drżało mu nad głową, siadywał często na dębowym progu kościoła z rękami złożonymi na kolanach i spoglądał na wieś. Było to dla nich pociechą, gdy widzieli, że tak siedzi i zdawało im się, że Bóg zesłał kogoś, by nad nimi czuwał, może anioła, którego skrzydeł nie było widać, ale przyjdzie czas, że rozwiną się i załopoczą srebrzyście nad szarymi strzechami. I dopóki jeszcze tak było, życie ciągle jeszcze było dobre. W jego kubku znajdował się piołun, ale to już taka natura rzeczy.

Kiedy zapłonęły ogniska, w których pieczono ziemniaki, zaczął Jons przesiadywać przy lampie aż do północy. Czytał, cokolwiek wyciągnął z ustawionych rzędem książek, wiersz lub mądrości chińskie, ale nie wszystko docierało do jego serca. Wsluchiwał się w cichy wiatr w koronach dębów, a gdy było zupełnie cicho, myślał nieraz, że słyszy gwizd dalekiej lokomotywy. Był to oczywiście nonsens, bo nie sposób było usłyszeć na dwie mile, ale on przystawał na to i towarzyszył niewidocznemu wędrowcowi przez łąki i lasy aż do wsi. Śledził każdy jego krok, każde zaczerpnięcie oddechu, każdy krótki przystanek na licznych pagórkach, nad którymi lśniły gwiazdy. Dość często chodził tą drogą i wiedział, jak to dobrze zagłębiać się coraz bardziej w wielkie milczenie. Inne stawało się powietrze, inna ziemia pod stopami, serce biło spokojniej, i naraz przychodziła chwila, gdy po raz pierwszy zaczynało się czuć zapach dalekiej jeszcze wioski, nieco dymu, zawieszzonego w powietrzu, coś z ciepła strzech, z woni ogródków za zmurszałymi płotami. Wtedy wędrowiec wstrzymywał krok i zamykał oczy, by lepiej móc się tym napawać. A potem szybciej podążał wśród cieni pni sosnowych.

Wiele nocy, długie noce. Aż naraz ciche, cichutkie pukanie w okiennice, tak ciche, jakby ćma w locie musnęła ciepłe drewno. Bicie serca ustało na chwilę, a potem krew znów napłynęła, a w uszach zahuczało jak w muszli morskiej. Jons cicho i szybko podszedł do drzwi, by nie budzić dziewczyny, ale dziewczyna już od dawna nie

mogła zasnąć. Nie usnęła nigdy, dopóki nie usłyszała cichego kroku po schodach, cichego skrzyknięcia siódmego stopnia, cichego zamknięcia drzwi od drugiej izby.

I wtedy stanął w ciemności Jan, znieruchomiały, nawet oddech jego był niedosłyszalny. Tylko twarz jego jaśniała blado wśród cieni dębów. Widmo błędzące wokół swej ziemskiej siedziby, by raz jeszcze odetchnąć dymem ogniska.

— Wejźdź, Janie — wyszeptał Jons, biorąc go za rękę. Dotrzymali słowa prawie co do dnia.

A potem siedział na krześle przed wygasającym ogniem i milczał. Ten sam młody człowiek, co wyszedł, by kupić sieć, a przecie inny człowiek. Nie dlatego, że miał ostrzyżone włosy i blizny na rękach, że twarz jego była wychudzona a wargi wąskie. Może coś było w oczach. Nie tylko to, że błędziły wokoło, od książek do instrumentów i z powrotem, że unikały oczu Jonsa i patrzyły w dogasający płomień, gdy mówił „tak” lub „nie”. Ale w tych oczach było coś nowego i obcego. Były wypełnione inną treścią. Już nie obrazami jeziora i moczarów, wsi i lasu. Już nie dawną melancholią, co wybiegała daleko poza wieś, dalej jeszcze niż w ową godzinę, gdy zobaczył jarząbka leżącego między zielonymi roślinami. Ale właśnie czymś innym. Odblaskiem innego świata, innej gwiazdy, lodowatej krainy kraterów, jak na księżycu. Odblaskiem dni i nocy, kiedy nie świeciło ani słońce, ani gwiazdy, chyba może słońce umarłych. Oczy ślepe czy topielcze, osłupiałe czy zgaszone, może ruchliwsze jak dawniej, ale nie poruszane od wewnątrz, lecz jakby obca, zimna ręka poruszała martwe oko.

— Jedz i pij, Janie — rzekł Jons ochryple, nalewając koniaku do wielkiej szklanki. — I nie mów nic, ani słowa.

— Tak — odpowiedział Jan.

Jadł i pił, a Jons chodził tam i z powrotem po dużym barwnym dywanie, z rękami założonymi do tyłu, z oczami utkwionymi w splełany wzór. Czerwone pasy, czerwone kielichy, czerwone sploty niby kolczaste gałązki. Świat czynu, i oni przejdą go do końca. Balk i on, i pewnie także ten, jeśli już nie przeszedł go do końca. Wielka kupa chrustu między zaroślami z trzciny, a pod nią blada twarz, spoczywająca w Bogu... a na górze dziewczyna z „Raju”, przyciskająca we śnie rękę do serca. I gwiazdy nad wszystkimi wioskami w ojczyźnie, i matki pod strzechami i dachami z łupku, nasłuchujące, jak spadają liście lub krople... i cytat z Biblii lub piosenka dziecięca, co w ciemności ukazuje się przed nimi jaśniejącymi znakami, kreślonymi niezręcznym,

niezgrabnym pismem dziecięcym... „Na wzgórzu stoi kaplica...”, albo „pozostanę z wami do skończenia świata...”, albo... „na początku było słowo...”, nie — „na początku był czyn...”. Tak to chyba brzmiało.

Tak, Jan miał ochotę zapalić. Ręce mu drżały, gdy trzymał papierosa, chłonął w siebie dym jak płyn z wielkiej szklanki. A potem uspokoił się. Ciało jego odprężyło się i zapadło się w wielkim krześle. Nie nasłuchiwał już, oczy jego nie krążyły po ścianach. Był jak biedne zwierzę w swej ciemnej norze.

Nie, nie wróci już na wyspę. Pójdzie na moczary, tam gdzie jest jego chatka, przynajmniej na zimę. Zanieś tam wszystko, czego mu potrzeba: mały piecyk, drewno, koc i jedzenie. A gdy się ściemni, będzie przychodzić i zajmować się koniem. Tylko gdy przyjdzie lód, a jeszcze nie będzie trzymał, musi Jons mieć cierpliwość. — Jeśli nie zgodzisz się, pójdę do wody — rzekł na koniec.

Jons zgadzał się na wszystko — Ale jeśli moczar zamarznie... — rzekł po chwili.

— Nie zamarznie — odpowiedział Jan. — Są miejsca koło chatki, gdzie nigdy nie zamarza. A zresztą mam nóż...

Jons przyniósł poduszkę i koc, rozebrał go. Jan był tak zmęczony, że musiał mu podnieść do góry ręce ściągając koszulę przez głowę. I wtedy zobaczył Jons jego plecy, Koszula wypadła mu z ręki, ale szybko pochylił się, by ją podnieść. — Jestem lekarzem, a takim niezręczny — powiedział.

Jan nie zauważył, że jego głos znów stał się ochrypły. Wydawało się, że w ogóle nic nie zauważa. Zamknął oczy poruszając tylko palcami prawej ręki, jakby na dobranoc, Gdy światło zgasło, oddychał już spokojnie, jak we śnie.

Zanim Jons wszedł po schodach na górę, stał jeszcze przez chwilę w ciemności, oparłszy czoło o zimne drewno poręczy, zamknął oczy. Łagodne iskry i łagodne kręgi światła ukazały się w ciemności, a wśród nich czarny, nocny obraz lampy. A potem obraz głębokich blizn, ledwie zaleczonych, z czerwonymi brzegami. A dokoła biała skóra, biała i gładka, jak u dziecka. Powoli, jak starzec, poszedł schodami na górę. Nasłuchiwał przy drzwiach oddechu Hanny, ale serce biło mu tak ciężko, że nie mógł słyszeć.

W jego własnej izbie leżała na stole Biblia ojca. Przez otwarte okna widział gwiazdy nad jeziorem. Biblia była otwarta, a wielkie litery stały w wyrównanych szeregach, jedno nad drugim, jak kolumny ciągnące do bitwy. Podniósł rękę, by przewrócić stronę, ale znów ją opuścił, utkwiał wzrok w wielkich szarych kartach, ale

nie mógł nic rozeznaczyć, nawet tytułu z wielkimi czerwonymi inicjałami. Może to był prorok Izajasz, a może inny. Nie przypominał już sobie, w którym miejscu otworzył.

Rozdział 18

Nikt nie dowiedział się o tym, ale wiedział każdy. Nawet Gogunowa płakała, gdy Tobiasz miał kazanie o wskrzeszeniu Łazarza, a ludzie z Sowirogu zatroskani dawali jej znaki. Nic nie pozostawało w ukryciu w małej wiosce. Dotyczyło to ich wszystkich, a ktoś przecie musiał być pierwszy. Nie wiedzieli tylko, kto będzie ostatni, a nawet kto następny. Nadciągało to z wolna, jak niegdyś zaraza lub Tatarzy. Na nic się zdało zamykanie drzwi. Miała oczy ziemia, lasy, pola żytne, chmury. Pokój odszedł ze świata, choć jeszcze był pokój. Człowiek stał się wilkiem, bezgłośnym, nie znajdującym pokoju, podkradającym się wilkiem.

Często teraz czytali Objawienie, a wielkie słowa i obrazy przejmowały ich lekkim dreszczem. Może na nich ciążyły jakieś tajemne grzechy, i dlatego to na nich przyszło. Innym wsiom dobrze się wiodło, ale oni nie dawali się zbić z tropu. Nie ulegali złudzeniom. Wystarczyło im spojrzeć w twarz pastora, by wiedzieć, czy są na właściwej drodze. Albo na twarz ich wielkiego doktora, albo pana von Balka. Byli biednymi, prostymi ludźmi i też byliby radzi, gdyby im ulżyło. Ale nie można żyć wbrew słowu bożemu. Inni może by to potrafili, oni nie. A słowo boże było wypisane nie tylko w modlitwach. Było w całym piśmie i przepajało ich. Było tchnieniem życia i napełniało ich.

Często na kazalnicy zdawało się Tobiaszowi, że te pomarszczone, tępe twarze stały się czystsze przez te lata, odkąd on na nie spogląda. Zapytał o to Jonsa, i Jons był tego samego zdania. — Oni już nie mają udziału — rzekł. — Zdani są na samych siebie, na ostatnią strawę, jaka im pozostała.

— W czym nie mają udziału? — zapytał Tobiasz.

— W świecie. Odkąd stało się to z Janem, nie mają udziału. Uderzyli w całą wieś i wszyscy cierpią od tej samej rany. Dlatego nawet ich twarze upodabniają się do siebie, zwłaszcza u starych. Czy zauważyłeś?

Tak, Tobiasz przyznał mu słusność. Tchnienie przemiany przeszło przez wieś i zmieniało ją dalej. Stała się wioską cichą, o wiele cichszą niż dawniej, ale nawet panu von Balkowi wydawało się, że wieś stała się silniejsza, napełniona niewidoczną mocą, co spoczywała u podłoża i oczekiwała swoich czasów.

Gogunowa ciągle jeszcze stała na wzgórzu kościelnym, osuszała łyzy i patrzyła poprzez jezioro ku wielkiemu moczarowi, na którego brzegu stały pojedyncze stare dęby. Słońce lśniło i musiała trzymać rękę nad oczyma. — Jak wilk... — mówiła cicho — jak wilk.

Tak, każdy o tym wiedział, nawet żandarm, ale udawał, że go to nie obchodzi. Raz tylko z początku ostrożnie wypytywał Jonsa, ale Jons wskazał mu tylko ręką na moczary. — Tam — rzekł. — Sprowadź go pan!

Ale żandarm wcale nie miał ochoty go sprowadzać. Był zakłopotany i próbował dać do zrozumienia, że nie wszystko znajduje jego uznanie.

Jons słuchał, ale patrzył przez okno. — Ma pan trudny zawód — rzekł wreszcie. — Wiem o tym. A w każdym zawodzie dochodzi się kiedyś do takiego miejsca, że trzeba powiedzieć „tak” lub „nie”. Niech pan uważa, by nie przegapić swego czasu. Idź pan do Korsankego. Od niego wiele może się pan nauczyć.

Żandarm zastanowił się i poszedł. Ale po wyjściu zdjął raz jeszcze swój kask i otarł pot z czoła. W mieście było prościej, bo zawsze tam ich więcej, przynajmniej dwóch. Ale tu był sam, samiuteńki jak palec, a ludzie byli tacy zabawni. Wszyscy, nawet doktor. Mówili także zabawnie i nigdy nie było wiadomo, co myślą. Mieli podwójne dno. Nie mówili nigdy językiem urzędowym, jasnym i wyraźnym. Mówili jak wróżbici, a wróżbici zawsze są podejrzani. Mówi się wiele o wojnie, a wojna przydałaby się. Chętnie by poszedł. W szeregu zawsze łatwiej. I łatwiej byłoby strzelać niż do własnym ziomków. Do ludzi z Sowirogu, na przykład. Jak tu strzelać do Daidy, jeśli zrobi jakie głupstwo? Albo nawet do doktora? Tak, pójdzie wieczorem do Korsankego i pomówi z nim. Nie jest on zbyt bystry, ale całe życie tu przepędził, a to ostatecznie też coś jest.

Ale Korsanke nie zachował się tak, jak po nim oczekiwał i jakim go znał. Był ponury i patrzył na niego, jakby przyszedł od kupy śmieci. — Przyjrzyj mu się pan, temu na moczarach — mówił. — Najlepiej kiedy się kąpie. On to oczywiście ciągle jeszcze robi potajemnie. Może pan ukryje się w trzcinnie?... Chłopak z naszej wsi, co widział, jak mu się ojciec topi!

Odwrócił się i poszedł do domu. — Nosilem królewski ubiór — zawołał jeszcze od progu. — Żandarm też może nosić królewski ubiór.

Żandarm nie miał się już nad czym zastanawiać. Stał jeszcze chwilę, patrząc na astry w ogródku, westchnął lekko i poszedł. „Nie jestem przecie mordercą”, myślał

czując się nieswojo. „Rozkaz, to przecie rozkaz”. Ale ciężko mu było, gdy szedł gościńcem, a ludzie odwracali się od niego, kiedy nadchodził.

Jan zaś żył na pustkowiu. Gdy brzask wstawał nad moczarami, wracał już z domu doktora, gdzie czyścił i karmił konia. Korony starych dębów były jeszcze osnute mgłą, ale na ziemi, nad mokrymi trawami, jaśniało już. Cichy poranny wiatr szedł przez trzciny i sitowie, fałdując prześwity wody leżące między nimi. Niskie brzozy były jakby z przezroczystego złota, a każdy krzak jałowca spowijała srebrzysta siatka pajęczna. A potem wielki widnokrąg rozjarzał się z wolna posępną czerwienią, na której tle laski trzciny sterczały jak czarne włócznie. Pierwsze wołanie ptaka dochodziło z góry, zapewne wędrownego sokoła lub czajki, co już opuściła swoje legowisko na drzewie i Jan zatrzymywał się i patrzył w górę na szare, płynące sklepienie, w którym prześwitywały już bladoniebieskie plamy. Będzie piękny dzień, z gromadami ptaków ciągnącymi ponad jego chatą, z błękitnym powietrzem rozciągającym się aż po wieczność, i cudownym słońcem opromieniającym jego ciało.

Popodnosił małe, białawe gałązki znaczące drogę i zebrał je do lewej ręki. Nie były mu już potrzebne. Choćby ręki przed oczyma nie dostrzegął, będzie już wiedział, gdzie ma nogę postawić. Tylko on i nikt więcej. Uśmiech zawziętości przebiegł po jego wąskich wargach, gdy tak stał przypatrując się zwodniczej powłoce, na prawo i na lewo. Już on będzie sobie patrzeć, jak się tam topią, jeden, dwóch albo i trzech. Czyż nie mają trupiej głowy na czapkach? Niechże więc ją mają i pod podeszwami butów, a on będzie stał sobie i przysłuchiwał się, jak błagają o życie. Nie będzie się śmiał, tak jak oni. Będzie się tylko przypatrywał, poważnie i z uwagą. Szubienica wynosi człowieka, moczar go poniza. Wciąga go łagodnie i nieodparcie w ciemną głębię. Aż do końca pozostawia mu jednak widok pięknej ziemi, lasów, trzciny, błękitnego nieba, po którym szybuje lśniące babie lato. Jego ojca także zagarnął, a ojciec był prawym człowiekiem. Nie mordercą, nie katem, nie naigrawającym się dręczycielem ludzi, tylko prawym, radosnym człowiekiem. „Oko za oko”, pomyślał Jan. „Ząb za ząb”.

Tutaj już nikt go nie dopatrzy ani ze wsi, ani z jakiego innego miejsca na ziemi. Ściany trzciny kryją go. Tylko z nieba można go dostrzec, z któregoś z tych huczących ptaków, co niekiedy z błyskiem warkoczą nad ziemią. Ale wtedy wystarczy położyć się na brzegu trzciny i zagiąć nad sobą pałki. Człowiek, który czuje się tutaj jak w domu, nie zginie.

Jego chata była wbudowana między krzaki, tak że on sam dopiero wtedy ją widział, gdy stał tuż przed nią; przez wiele godzin dnia dalej nad nią pracował, nic

innego nie robiąc, jak ktoś, kto ma nieskończenie wiele czasu. Naprzód zapalał ogień w piecyku i gotował sobie zupę na śniadanie, albo odgrzewał to, co mu Hanna zostawiała na skrzyni z obrokiem. A potem siadał na niskim progu z miską między kolanami, drobił czarny chleb do zupy i jadł, później wypalał fajkę. Słońce grzało mu czoło, ostatnie żurawie ciągnęły ponad jego głowę, a gdzieś z oddali dochodził od czasu do czasu głos ludzki, uderzenie siekiery rozbrzmiewające szeroko ponad ziemią, a niekiedy szcęk wiadra, trącającego o krawędź studni.

Ale był sam, cudownie sam. Trzymał ręce w słońcu i oglądał pobieżnie głębokie blizny. Spoglądał w lewo i w prawo. Nikogo. Ani tych setek tysięcy, co stały jak cienie w porannej mgle, ani szubienicy, wyciągającej ramiona jakby w oczekiwaniu. Nikogo i nic prócz moczaru, cichego, lśniącego, bezkresnego moczaru mieniącego się złotem i srebrem. Zamykał oczy, opierał głowę o ciepłe drewno framugi drzwi wystawiając skórę twarzy na promienie słońca. Serce mu biło spokojnie, oddech przelewał się cicho tam i z powrotem.

A potem co ranka nachodziło go lekkie drżenie przebiegające po całym ciele jak tchnienie wiatru po wodzie. Wiedział, że to przyjdzie i zaciskał pięści, by nie przyszło. Ale przychodziło, a on był bezsilny jak wobec gorączki. Przychodziły obrazy, cierpienia, poniżenie. Przychodziło wspomnienie. Każda twarz ostro zarysowana, aż do ostatniej zmarszczki, każde słowo, każda ręka, każdy krzyk. Cały szary, krwawy łańcuch godzin, wielu godzin, a on tak leżał oparty o drzwi, z zamkniętymi oczyma, a to przechodziło po nim jak grad po lesie.

A potem, tak nagle jak przyszło, ustawało, przemijało jak sen, jakby nigdy nie było. Otwierał oczy chłonąc miłociwe światło słońca. Błękitne niebo wznosiło się potężną kopułą nad cichym moczarem, a jeden z ostatnich orłów krążył spokojnie nad ozłoconym pustkowiem.

Wstawał powoli i szedł do swego legowiska na posłanie z liści. Naciągał koc na twarz i po kilku westchnieniach zasypiał. Zapadał w mroczny, kamienny sen, jak po ciężkiej chorobie, a ostatnim jego czuciem był chłód od rogowej rękojeści sztyletu, którą obejmowały jego ręce.

Jons był dobrym lekarzem, zarówno ciała jak i duszy. Ale skąd mógł wiedzieć, co się dzieje w Janie? Nic nie wiedział o obrazach odcisniętych w duszy, mógł co najwyżej widzieć blizny na ciele. Usta tamtego były zapieczętowane, a oczy widziały tylko w mroku.

Ale kiedy spadł pierwszy śnieg, udało mu się jednak nakłonić Jana, by przeniósł się do chaty przy mielerzu. — Nie ukryjesz swego śladu — mówił. — Jest z daleka widoczny i nie zatrzęs go. Zima jest wrogiem wilków. I nikt cię nie szuka. Gotthold dał mi słowo i możesz mi wierzyć. Im wystarczy, że złamali. Więcej na razie nie chcą.

— Nikt mnie nie złamie — odpowiedział Jan spokojnie.

Ale posłuchał. Nie korzystał ze ścieżki, ale szedł co rano i wieczór wzdłuż jeziora, gdzie robotnicy leśni wydeptali ścieżkę i gdzie stare świerki rozrosły się, i nigdy śnieg nie zagrzewał miejsca pod gęstymi gałęziami, skręcał w bok, aż doszedł do chaty. Po pierwszych niespokojnych nocach było mu tam dobrze; Polubił niskie, zakopane belki i stare ognisko, widok na rozwalony mielerz i ponury las wysokopienny, a często o zmierzchu, kiedy ostrożnie wychodził z cienia, zdawało mu się, że widzi Jakuba, jak siedzi lub stoi przy mielerzu i nie wiedział, czy to duch, czy majak jego niespokojnych oczu.

Nikt go tam nie widział, nikt nie szukał i z wolna ogarniał go posepny pokój lasu. Często wieczorem za polanami unosił się dym. Był to dym z komina Czai, i Jan przyglądał mu się od progu, jak kłębił się w chłodnym powietrzu wieczoru i ginął. Czaja mógł spokojnie być jego sąsiadem. Czaja nie miał już nic wspólnego z ludźmi.

Nikt tu nie przychodził, prócz Stillinga, i to w długich odstępach czasu. Co wieczór odbywał on spacer przez wieś i za wieś. Chodził do moczaru albo do wysokich miedz polnych, a często do lasu. Nikt nie zwracał uwagi na jego ślady, więc nieraz wstępował do Jana. Wieształ na drewnianym kołku swój hohenzollernowski płaszcz, a obok futrzaną czapkę. Potem siadał przy ogniu i grzał sobie ręce.

— Jesteś przecie jednym z moich, Janie — mówił dobrotliwie jak zawsze. — Nie z Maschlankowych. Nauczyłem cię czytać i jeszcze coś niecoś. A teraz widzę, że żyjesz jak wilk i to mnie martwi.

— A jak mam żyć? — zapytał Jan.

— Z ludźmi, Janie, z ludźmi To wszystko biedacy, a tamci prawdopodobnie najbiedniejsi. Przebaczone, Janie, czy też może myślisz, że nie potrafisz przebaczać?

— Nie! — rzekł Jan.

Stilling potrząsnął głową, zatroskany. — Zapomniałeś — rzekł cicho — co Chrystus powiedział na krzyżu: „przebaczone im, bo nie wiedzą, co czynią”?

— Ci wiedzą bardzo dobrze — rzekł Jan — a i tam były krzyże. Ale nikogo nie słyszałem, żeby powiedział: „przebacz im”.

— Ale czy tylko o to chodzi — ciągnął dalej Stilling po chwili, jeszcze ciszej niż dotąd — że cię bili?

Jan drgnął, jakby się zaciął sztyletem, który bezmyślnie trzymał w ręku. — Nie — rzekł szorstko — to nie to. To to, że nas wdeptywali w błoto obcasami butów, że rozbierali nas do naga i wdeptywali w błoto jak szkodliwe robactwo, że przy tym śmiali się. Nie płakali, jak Chrystus nad Jerozolimą, tylko śmiali się. Ojciec też mnie bił nieraz, ale się nie śmiał. Nieraz płakał, kiedy się napił...

— I ci też kiedyś przestaną się śmiać, Janie — rzekł Stilling.

— Na pewno przestaną — odpowiedział Jan, próbując ostrza sztyletu paznokciem kciuka.

Nie, był jak warownia i nawet Stilling nie znajdował dostępu do jego wnętrza, ani Tobiasz. — Bóg? — mówił Jan patrząc na niego melancholijnymi oczyma. — Czy aż tak zgrzeszyłem, że może mnie wdeptywać w ziemię?

— Nie on wdeptywał, Janie. Tylko im dał moc, by to czynili zamiast niego.

Ale Jan wzruszał ramionami. — Mój ojciec nigdy nie dawał mi mocy, bym deptał jego cielęta, a gdyby mnie na tym złapał, odpiąłby pasek. Ale nie potrzebował. Nigdy mnie na tym nie złapał.

Ale nie tylko Tobiasz przejmował się Janem, jakby on sam był winien. Nie tylko Stilling i Jons. Cała wieś przejmowała się nim. Był dla nich jakby przedstawicielem i z niego także czerpali, kropla po kropli, uzyskiwaną siłę. Nie tak dawno jeszcze byli pańszczyźnianymi chłopami, batożonymi nieraz nawet na śmierć, gdy tak się panom spodobało. Nie przeżywali tego ani oni, ani ich ojcowie. Ale ojcowie wiedzieli o tym jeszcze od dziadków i myśleli, że to już nigdy więcej nie powróci. Ani łyzy, ani mroczna, trawiąca nienawiść. Zapadło gdzieś w głąb, jak ofiary ludzkie, jak okrucieństwo Tatarów, jak mord dzieci betlejemskich. Czyta się o tym w starych kronikach, w Księdze Ksiąg, ale to przecie już pogrzebane.

A jednak powróciło, za drutami i murami. Człowiek zaszczuty jak dzikie zwierzę. Jak kiedyś, przywiązywany koniom do ogona, krzyżowany.

Ale teraz nie ugną się już, niemo i bez oporu. Nie dadzą się już zaprząć do pługów i ze śmiechem potrzasać nad sobą biczem. Stoi u nich kościół na wzgórzu, a młody pastor udziela im komunii świętej. Jeśli w kraju nie wiedzą, że Chrystus jest panem

nad królami i wielkorządcami, oni wiedzą. I nikogo z nich nie poprowadzą już drugi raz na Kalwarię. Chrystus umarł za wszystkich. On nie kazał, by ze śmierci robiono sobie zabawę.

Tylko pan von Balk nie przejmował się Janem. Przejmował się czasami, które bardziej go osaczały niż syna Żurawca. I on trafił do chaty przy mielerzu, ale nie przyszedł na rozmowę. Zamknął drzwi, obejrzał okiennice, a potem wyciągnął spod płaszcza ciężki, niebieskawy błyszczący pistolet i zaczął jasnymi słowami wyjaśniać użycie broni. — Gdy Bóg się ukrywa — rzekł, chłodno się uśmiechając, jak zawsze — dobrze jest załadować magazynek. Gdybyśmy to wcześniej zrobili, lepiej by nam było.

Jan potwierdził, ważąc broń na dłoni. — Dalej niesie niż nóż — rzekł tylko. — Pan był zawsze nam życzliwy i ja tego nie zapomnę. Balk patrzył jeszcze przez chwilę na ogień, nim odszedł. — Panowie znikają z naszej ziemi, Janie, a pacholkiwie podnoszą głowę. Trzeba, byście trzymali z panami. Poznacie ich. Łatwo rozpoznać drzewo nad moczarem.

W lecie były dzwony na wieżach, bo Rzesza znowu się rozrosła. Rosła jak pająk, co rozpostarł siatkę i tylko czeka na to, by zdobycz wleciała między nitki. Pije z gorejącymi oczyma, a potem znów siedzi w ciemności i czeka.

W Sowirogu nie były dzwony, ale żandarm nie słyszał tego i gorąco doradzał Maschlance, by też tego nie słyszał. Przyszły nowe wybory, czy naród zgadza się, by nowa zdobycz wpadła w sieć, bratnia zdobycz, i dlatego miały także bić dzwony. Ale w Sowirogu nikt do urny nie poszedł. Żandarm wyjechał do wiosek nad moczarem, by tam pilnować porządku i wrócił dopiero wieczorem. Po południu Maschlanka biegał od domu do domu, ale drzwi były zamknięte, i ani jedno okno się nie otworzyło. — Ludzie — wołał — ściągniecie na siebie nieszczęście! — Ale tylko psy szczekały na opustoszałej ulicy, a on zmęczony powracał powoli z pustą urną.

Po siewach wiosennych pan von Balk udał się w podróż. Wyjechał do kuzyna, który miał wielkie dobra w Puszczy Lüneburskiej, zostawiwszy Jonsowi adres na wypadek, gdyby się co stało.

— O się ma stać, panie von Balk? — zapytał Jons. — Rośniemy nie dobywając miecza. Za dziesięć lat dorośniemy do księżyca.

— Księżyc jest niezamieszkały — rzekł tylko Balk — ale ziemia jest zamieszkała. Mała, ale poważna różnica.

Uważaj, Jons, na wszystkich ludzi we wsi, którzy nie są głuchoniemi. Dziś tylko głuchoniemi są jako tako bezpieczni.

Ale było właśnie tak, jakby ludzie z Sowirogu byli głuchoniemi. Nawet dzieci w szkole odpowiadały Maschlance tylko na pytania, jakie im zadawał z elementarza, rachunków lub geografii. Na wszystko inne potrząsały głowami. Po prostu nie rozumiały, i od tego momentu były jakieś ciężko myślące. Nie rozumiały, co ojciec mówił na nową mowę. Nie słuchały mów, nie czytały gazet. Podobno Piontek mówił coś o ostatecznej rozprawie, nieprawdaż? Nie słyszały, ale zapewne mówił o swej ostatniej przyprawie grzybów — rzekł Daida, wnuczek. — Piontek jest mistrzem w przyprawianiu grzybków — dodał poważnie.

Nie, ludzie z Sowirogu byli może głuchoniemi, ale mimo to była to dla nich piękna wiosna. Pola wcześniej przeszły i dobrze zasiali ziarno do ziemi. Przyszły deszcze, i gdy patrzeli na pola, lśniaca zieleń gęsto i równomiernie pokrywała wąskie zagonki. Ozimina także przeszła przez mrozy bez szkody i już na początku maja mogli wypędzić trzody do lasu.

I wtedy stało się coś szczególnego. Zanim pan von Balk udał się w podróż, stał z Grünheidem na wzgórzu kościelnym i patrzył na jezioro z brązowym jeszcze lasem trzciny. — Możecie ludziom powiedzieć, Grünheid — zauważył mimochodem — że w tym roku mogą łowić ryby, ile chcą. Jan rozda sieci, a wy dopatrzycie, by wszystko odbywało się w porządku i spokoju.

Grünheid spojrział na niego z ukosa i rzekł:

— Hojny to dar, łaskawy panie, i ludzie będą się dziwić. Jak długo nas ta ziemia nosi, nic takiego jeszcze nie było. Polowanie i połów ryb, to był przywilej rycerzy, a potem panów, i ludzie wiele za to w dawnych czasach wycierpieli.

— Właśnie dlatego, że wycierpieli, Grünheid. Powinni także coś mieć z „nowych czasów”, a ostatni panowie powinni coś niecoś darować, zanim będzie za późno.

Sołtys odrzekł, że pan von Balk dożyje jeszcze na pewno stu lat i znowu spojrział na niego z ukosa.

Balk wbił koniec swojej laski w syпки piach, gdzie mrówkolwy wygrzebały w słońcu już swe jamki. — Spójrzcie, Grünheid, nawet chrząszcze, co tu spacerują, myślą może, że dożyją swych stu owadzich lat. Ale gdy tylko dojdą na brzeg tego małego lejka, zaczyna rozbójnik z dołu sypać piaskiem i zanim się obejrzą, już leżą na dnie i koniec ze stu latami. Tak urządziła to litościwa natura, i taki jest litościwy porządek

świata. Piękna rzecz czytanie, ale nie wszystko, co drukowane, jest prawdą. Nawet dziś, kiedy tyle pięknych rzeczy się drukuje.

Wyciągnął z jamki końcem laski jednego z małych mrówkolwów i przyglądał się, jak niczym przyłapany grzesznik zaraz ucieka na swych krótkich nóżkach. — Wszystkie mają krótkie nóżki — rzekł w zamyśleniu — ale nie ich nóżki są najważniejsze.

Ludzie z Sowirogu nie zastanawiali się tyle, co sołtys Grünheid lub pan von Balk. Przyjęli podarunek jako dar boży, i także dlatego była to dla nich piękna wiosna.

Jan zaś z polecenia pana von Balka zaczął odbudowywać mielerz i pewnego cichego majowego dnia ludzie ze wsi ujrzeli po raz pierwszy od wielu lat niebieski słup dymu ponad lasem. Przerywając pracę prostowali się i unosili głowy patrząc długo w górę, i zdawało im się, że nie tylko powróciły dawne czasy, kiedy Jakub żył tam w ciszy, ale że terażniejszość spokojnie i kojąco nawiązała znowu do przeszłości. Jakby stary las wyrósł ponad wszelki zgiełk ostatnich lat, grzebiąc bez słowa Maschlankę, jego głośnik i jego urny wyborcze. A Piontek, oparty na swej procy, stojąc na brzegu moczaru, pomyślał nawet, że to stary Bóg Jehowa znowu wzniósł słup dymu nad swoim ludem w pustyni.

Hanna zaś w wolnych chwilach skopała ziemię w ogródku i posadziła krzewy, co miały sięgać aż do okien, ostróżki, malwy, łubin i tojad... — By świat nas nie zobaczył, Jons — mówiła, składając ręce na trzonku łopaty.

On pogładził ją po włosach, spadających jej na mokre czoło. — On dziś wszystko widzi, Hanno — rzekł bez goryczy. — On widzi i przez kwiaty. Ale my spokojnie spojrzymy mu w oczy, a w razie konieczności nałożymy sobie „żelazny kapelusz”, który posadziłaś. Skoro tylko zakwitnie.

Także dla Marcina była to wesoła wiosna, jaśniejsza i mniej pełna obaw niż dotąd. Chodzili gościńcem, on i Barbara, a dziewczynka trzymała go za rękę. Chodzili do moczaru, gdzie droga na wschód wiodła w lasy, a kiedy wracali, on niósł w ręku fujarkę wierzbową, a Barbara na ramieniu wianek pierwiosnków. Wyglądali jak dwoje dużych dzieci przychodzących z bajecznego lasu, ludzie patrzyli za nimi ukradkiem i niejedna kobieta wycierała sobie oczy zapaską. Maria zaś stała w progu i patrzyła im naprzeciw z poważnym uśmiechem na ustach i nieraz zdawało jej się, że zawsze tak było: że dzieci wymykały jej się z ręki i znowu powoli powracały, i że dziś jest tak samo jak przed wielu laty.

Było to z pewnością najcichsze życie, jakie wiedli w Sowirogu, ale nie najmniej szczęśliwe. Tylko nie trzeba było myśleć, że szczęście przychodzi zawsze wśród kwiatów i świec.

Nie, nic się nie zdarzyło we wsi do powrotu pana von Balka. Wrócił bardzo poważny i ludzie nie wiedzieli, czy nie podobało mu się u krewniaka, czy może zbyt długo był w stolicy Rzeszy, gdzie wielcy panowie zastanawiali się, czy Rzesza ma rosnać do księżycy, czy jeszcze wyżej.

A najbardziej dziwowali się, gdy Grünheid ze swą znaną laską sołtysowską chodził o zmierzchu od drzwi do drzwi, wzywając, by nazajutrz wieczór przyszli do wielkiej stodoły, gdzie pan von Balk ma z nimi coś do pomówienia. Mają przyjść wszyscy, co ponad piętnaście wiosen widzieli.

— Pewnie nam coś przywiezie — mówiły kobiety. — Chustkę jedwabną lub parę kolczyków. Zebrało się właśnie na podarki, a stać go na to, aby okupić swoje grzeszki.

Ale mężczyźni potrząsali głowami. „To coś innego”, myśleli. „Może armata, z której będziemy strzelać do Maschlanki i jego głośnika. Już on tam sobie coś wymyśli”.

A pan von Balk rzeczywiście sobie coś wymyślił. Naprzód rozstawił strażę dookoła stodoły, by nie wszedł ktoś nie proszony, a potem siadł jak inni na jednej z wiązek słomy, które Grünheid ułożył wokół klepiska. Wyciągnął swe długie, chude nogi i oparł brodę na lasce, wodząc szarymi oczyma jastrzębia od jednej twarzy do drugiej. Grünheid umocował na jednej z belek lampę wiszącą z długim sznurem, w której świetle wszystkie twarze w milczącym napięciu skierowały się ku panu von Balkowi. Nie brakowało nawet Czai, a Krollowa zasiadła między córką i zięciem, czego wieś jeszcze nigdy nie widziała.

Balk wciąż spoglądał od twarzy do twarzy i zdawało się, że jego oczy szczególnie długo zatrzymują się na twarzach wielu młodych kobiet, i że smutnym uśmiechem dziękuje za każdy rumieniec zabarwiający pod jego spojrzeniem młode policzki.

— Drodzy ludzie — zaczął wreszcie — Ludzie z Sowirogu! — A potem zrobiło się cicho jak w kościele, gdy Tobiasz podnosił kielich z winem podczas najświętszej ofiary.

Oto co ma im do powiedzenia, ciągnął dalej patrząc teraz w górę, w światło lampy wiszącej jak gwiazda nad wysokim sklepieniem. Jego kuzyn jest bardzo bogatym człowiekiem, bajecznie bogatym. Ma duży majątek i jeszcze drugi, a prócz

tego wiele ziemi leżącej odłogiem na skraju puszczy i daleko w głąb. Jest tam nie całkiem tak jak tu, ale i nie bardzo inaczej. Są niezbyt urodzajne pola, torfowiska i łąki, a jałowce jeszcze dziesięć razy wyższe niż w Sowirogu. A niebo jest tam wielkie jak tutaj, a kraj tak cichy i bezludny, jak w Sowirogu.

Umówił się więc z kuzynem, że przekaże mu swój majątek tutaj, jeśli on da mu za to duży dział dla ludzi z Sowirogu. Większy niż ten, na którym tu żyją, i lepszy niż tu. A o drzewo, kamień i wszystko inne postarają się sami. Niech wezmą wszystko, co tu posiadają, bydło, narzędzia, sprzęty domowe i pamiątki. Tylko sidła na zwierzynę niech zostawią. A że kościółka nie można ani nie zechcą rozbierać, wybudują sobie tam na początek nową kaplicę, ale dzwony, okna i wszystko inne zabiorą ze sobą, a Bóg już się zatroszczy o pusty kościół, nawet jeśli tam na razie pośle tylko ptaki. Nie pozostawią „Zmarłego Pastora”, a tym bardziej żywego. Powinni być gotowi przed początkiem zimy. On sam, jako że jest stary, pojedzie z nimi, aby nie musiał tu marznąć i by mógł także, na pocieszenie, popatrzeć od czasu do czasu na młode, ładne buzie, które znał już jako dziewczęce. A szlachcicem jest właśnie ten, kto nawet na obczyźnie trzyma tarczę nad swoimi ludźmi, a na obczyźnie jeszcze mocniej niż w domu.

Gdy skończył mówić, wyjął z teczki zdjęcia obcej okolicy i podał siedzącemu obok sołtysowi. A potem oparł głowę o ścianę z desek, patrząc dalej w światło lampy.

Ludzie oglądali pośpiesznie zdjęcia, tak pośpiesznie, jakby krzaki, puszcze i moczary nic ich jeszcze nie obchodziły, a potem znów zwrócili spojrzenia ku panu von Balkowi, jakby mu jeszcze wiele zostało do skończenia, a na oglądanie zdjęć mieli jeszcze czas.

Było tak cicho, że słyszeli śpiew płomienia w knocie lampy, a wielu z nich zdawało się, że ponad wsią Sowi-rogiem przechodzi lekki, nocny wiatr, co przybył z wielkich lasów i uchodził nad wielkie moczary.

A potem cichy głos rzekł: — A groby? — Był to głos wdowy Bojarowej.

Balk uniósł głowę od ściany z desek i spojrzał na nią. — Groby, Gino — rzekł — pozostaną tutaj. Groby nie wędrują. Wędrują tylko żywi, póki jeszcze czas...

Potem nastąpił głos drugi, starego Piontka. Trzymał w ręku swą procę, a jego kolczyki lśniły matowo w świetle lampy. — A dlaczego, łaskawy panie? — zapytał.

Zanim Balk odpowiedział, wyszedł Grünheid przed drzwi stodoły, by sprawdzić strażę. Gdy wrócił, Balk spojrzał na starego pastucha i rzekł powoli: — Bo będzie

wojna, ludzie, i my tę wojnę przegramy. I ponieważ przejdą po nas tak, że kamień na kamieniu nie zostanie ani dziecko przy piersi matki. Możecie mi wierzyć, jak w ewangelię.

Głębokie, ciężkie westchnienie, a potem znów było cicho jak w kościele.

— Zastanówcie się, ludzie kochani — rzekł pan Balk, wstając ze swej wiązki słomy. — Za trzy dni tu się spotkamy.

Ale zanim im jeszcze skinął na pożegnanie, stanął pod lampą Czaja w swej starej sukmanie, wyciągnął ręce z laską przed siebie i rzekł:

— Nie zastanawiajcie się, ludzie! Nie zastanawiajcie się! Zaprzęgajcie konie i krowy do wozów, dziś w nocy lub jutro. Bo wiecie ludzie, co napisane jest? „I stanąłem na piasku morskim i widziałem bestyję występującą z morza, mającą siedem głów i rogów dziesięć, a na rogach jej było dziesięć koron, a na głowach imię bluźnierstwa”. Zastanawiacie się, ludzie? Zaprzęgajcie krowy i konie i w drogę! „I widziałem, a oto koń płowy, a tego, który siedział na nim, imię było śmierć, a piekło szło za nim...”

Wtedy dreszcz ich przejął i wstali, szybko tłocząc się do drzwi. Ale na wielkim podwórzu zatrzymali się na chwilę i ujrzeni gwiazdy świecące nad strzechami, i mgłę stojącą nad moczarem, i usłyszeli ochryply krzyk czapli znad trzciny, i kojące wołanie chruściela w młodym zbożu. I zdało się im to, co przed chwilą się wydarzyło, czy bajką, w której ktoś grał na fujarce i nie było wiadomo, czy wiedzie ich do życia, czy do śmierci.

Trzy ciche dni we wsi. Ani niepokoju, ani zebrań, ani nocnych rozmów przy ogniu z torfu. Praca, jak zawsze i wieczory po pracy, jak zawsze. Jons siadywał u łoża kilku chorych i objeżdżał okolicę, a gdy wracał, stał już Jan o zmroku, by odebrać od niego konia, a dziewczyna nakryła już do stołu i postawiła na białym obrusie bukietik konwalii. Nikt nie pytał Jonsa, nikt nie patrzył na niego w oczekiwaniu odpowiedzi. Stary nauczyciel jak zawsze przechadzał się co wieczór wiejską ulicą, a ludzie jak zawsze pytali go o zdrowie i jego pszczoły. Piontek wypędzał trzodę, a jego róg „budził echo”. Tylko wielu wydawało się, że gra piękniej i czystiej niż dotąd, i opierali się na łopatach lub opuszczali siekiere nasłuchując, jak echo niesie się dookoła jeziora i zamiera powoli. Nad wysokopiennym lasem unosił się dym mielerza, wąski, niebieski słupek spokojnie zlewający się z wieczorną zorzą. Ale trzeciego wieczoru, nim zapadł zmierzch, poszły trzy kobiety z Sowirodu do Tobiasza i prosiły go, by odprawił

nabożeństwo i wygłosił kazanie o czym chce, a potem udzielił im komunii. I on także nie pytał o nic więcej, tylko obiecał, a twarz jego była cicha i radosna, jak zawsze. Ale kobieta, co pomagała mu w gospodarstwie, widziała, jak długo klęczał przed obrazem Ukrzyżowanego, oparłszy czoło o drzewo krzyża, z rękami złożonymi na piersi.

We wszystkich chyba domach o tym wiedziano, bo gdy zabrzmiały dzwony, wyszli ze wszystkich drzwi, odświętnie przybrani, ze śpiewnikami w rękach, jakby to był Wielki Piątek, a nie pierwszy lepszy dzień w roku. Nawet z kolonii nad moczarem nie brakło nikogo.

Wieczne światło wpadało przez barwne okna, a na obrusie ołtarza stały dwa wielkie dzbany konwalii. Woń ich napełniała całe mroczne wnętrze.

Gdy śpiewali pieśń „Rozkaż tve drogi...”, wszedł do kościoła pan von Balk. Otworzył szeroko wielkie drzwi, a za nim jak cichy ogień, stała nad pagórkim zorza wieczorna. Nie siadł, ale stanął pod tylną ścianą nawy, a oni po raz pierwszy zobaczyli, że na jego głowie włosy całkiem zbieleły.

A potem czekali ludzie z Sowirogu, o czym też ich młody pastor kazać będzie. I gdy rzekł, by słuchali słów Pisma Świętego, jak zapisano w księdze Rut, w rozdziale pierwszym, głębokie westchnienie przeszło przez kościół, i w tejże chwili Tobiasz, co z obczyzny przyszedł i na obczyźnie się urodził, takie przyjęcie znalazł w sercach swej gromady, jakby w Sowirogu ujrzał światło dzienne i nigdy nie opuszczał kręgu tych chat.

Nie kazał, nie wykładał, nie upominał ani nie zaklinał. Odczytał tylko stare słowa: „Odpowiedziała Rut: Nie mów mi, bym ciebie opuściła i odwróciła się od ciebie. Dokąd pójdziesz, tam i ja pójdę, a gdzie zostaniesz, tam i ja zostanę. Twój lud jest moim ludem, a twój Bóg jest moim Bogiem. Gdzie ty umrzesz, tam i ja umrę i tam niech będę pochowana. To niech uczyni mi Pan i niech śmierć mnie i ciebie rozdzieli.”

A potem oparł czoło na złożonych rękach, spoczywających na brzegu kazalnicy i tak pozostał przez chwile, a ludzie z Sowirogu uczynili w swych ławkach to samo.

A potem udzielił im komunii, i wszystkim zdawało się, że się uśmiecha znad srebrnego kielicha, tak pełna radości była jego twarz.

Cała wieś przyjęła chleb i wino, i ciemno już było w kościele, kiedy Czaja jako ostatni klęknął przed ołtarzem. Nigdy od dziesiątków lat nie przyjmował komunii, bo miał inną wiarę i ludzie stali w milczeniu, i przyglądali się, jak ich młody pastor kładzie rękę na siwych włosach i pochyla się głęboko, by dotknąć kielichem warg Czai.

Tylko pan von Balk nie przyjął komunii, ale nikt tego po nim nie oczekiwał. Gdy cicho wychodzili z kościoła, stał obok „Zmarłego Pastora” oparty o łaskę i patrzył w dal ponad ciemnym jeziorem. Otoczyli go zwartym tłumem i czekali, nad nimi z wolna rozkołysały się dzwony.

Gdy przebrzmiał ostatni ton, nachylił się, by rozpoznać ich twarze. — Nie ma potrzeby, ludzie kochani — rzekł — byśmy jeszcze raz rozmawiali. Wiem już, co i jak, i niech zostanie, jakeście się umówili.

— Myśmy się nie umawiali, łaskawy panie — rzeki Piontek. — Ale każdy z nas wiedział. Wszyscy będziemy ziemię mieć na oczach, dziś albo jutro. Ale pomyśleliśmy sobie, niech to nasz piasek, nie obcy. I dziękujemy wielmożnemu panu.

A potem wszystkie kobiety, dziewczęta i dzieci ze wsi podeszły do pana von Balka i ucałowały jego rękę, tak jak ich przodkowie czynili wobec jego przodków, a on pozwalał i nie wzbraniał im tego. A gdy patrzył tak na jasne głowy, pochylające się do jego ręki, zdawało mu się, że stoi tak od stuleci, pan okolicy, trzymający tarczę nad śmiercią. Prastary ród zwracający twarz ku ciemnym lasom, skąd przychodziła zaraza, Tatarzy lub choćby tylko ciemną chmurą nadciągający los.

Potem zszedł wolno z Tobiaszem ze wzgórzka kościelnego. — Czy to pastor ponosi za to odpowiedzialność? — spytał koło niskiego kamiennego murku.

Ale Tobiasz potrząsnął z uśmiechem głową. — Wiedziałem o tym od dawna. Moją rzeczą było tylko dobrać słowa do tego, co oni już od dawna postanowili.

Pan von Balk potwierdził. — To prawdziwi głupcy, ci co myślą, że ludem można kręcić jak kołem u wozu...

Nocą, gdy gwiazdy świeciły nad wsią i domkiem doktora, Hanna, przykładając policzek do miejsca, gdzie słyszała bicie serca Jonsa, potrząsnęła głową. — Dokąd mam pójść? — spytał z uśmiechem. — Nie słyszałaś, co on odczytał? „Gdzie ty umrzesz, tam i ja umrę i niech tam będę pochowana”. My nigdy nie byliśmy mądrzejsi niż Biblia.

Rozdział 19

Dobre to lato dla Sowirogu, a ludzie mówią, że także szczęśliwe. Nie pojawiły się żadne znaki. Nie wyciągnięto bestii rogatej z głębi jeziora ani grad nie przeszedł przez wieś. Grzmi w świecie coraz bliżej i groźniej, a stalowe ptaki huczą ponad polami żyta. Czarny ich cień przelatuje w szalonym pośpiechu nad pochylonymi kłosami, ale znika równie szybko jak się zjawiał, i błękitne niebo znów rozpościera się cicho ponad dojrzewającą ziemią. Wieś nie myśli o świecie, tylko o żniwach. Pola pachną chlebem, a gdy Tobiasz nocą raz jeszcze wychodzi przed próg, zdaje mu się, że widzi Boga siedzącego na jednej z miedz polnych, z rękami założonymi na kolanach, a wołanie chruściela dochodzi spod rąbka błękitnego płaszcza spadającego na boże stopy.

Nigdy w swoim życiu Tobiasz nie był tak szczęśliwy, jak tego lata. Wszedł do serc swej gromady i jest mu tak przytulnie, jak w dzieciństwie, w objęciach matki. Widzi troskę w oczach Jonsa i w oczach pana von Balka, a gdy hrabina siedzi z nim w ogródku, patrzy na nią, jak w milczeniu spogląda na goździki, które dla niej ściał. Wygląda tak, jakby nie wiedziała, na jakim grobie ma bukietek położyć.

— Nie boi się pan, Tobiaszu? — zapytała na koniec. Ale on z uśmiechem potrząsnął głową.

— Czego miałbym się bać, pani hrabino. I co byłby ze mnie za pastor, gdybym zapomniał o tych słowach: „Nie trwóćcie się w świecie”. Nie jestem nienaruszalny, pani hrabino. Naruszalne jest moje ciało i odczuwałbym ból, jak każdy inny. Zapewne jęczałbym także na torturach, jak inni. Ale dusza, pani hrabino, nie jęczałaby. Jest coś, czego nie dosięgnie ręka ludzka — ani losu, ani śmierci. Tylko ręka Boga. A dopóki on mnie podtrzymuje, jestem nienaruszalny.

Patrzyła chwilę na niego, a potem spojrziała poza jezioro. — Można by oczywiście wyjechać, póki jeszcze czas. Ale kto ma dać przykład, jeśli nie my? To prawda, że w tym kraju miecz ostrzej panował niż było potrzeba. I że panował razem z krzyżem. A to zawsze było złe braterstwo. Ale po tylu wiekach kawałek ziemi temu na własność przypada, czyj pot i lzy wchłonął. Użyźniony kraj, Tobiaszu. Nie słowami ani dokumentami, ale naszą duszą. Wiele niesprawiedliwości, wiele przemocy i

bezmyślności. Ale ostatnie słowo wypowiadają zawsze pola i trumny. Szkoda będzie tego kraju, Tobiaszu.

— Także niewinni leżą na klepisku bożym — odpowiedział cicho Tobiasz. — Może muszą tak postępować, aby winni łagodniej byli bici.

— Może i tak — odrzekła. — To były dobre słowa, Tobiaszu, i będę o nich pamiętała.

Dobre, szczęśliwe lato. Żyją jak dzieci i jak dzieci obchodzą dożynki. Wśród ich radości rozjaśnia się nawet zatroskana twarz. Gromada jest zawsze silniejsza niż pojedynczy człowiek. A to także może przeminąć. Może to upiory nocne, stojące na skraju lasu, i Jons zawsze chętnie by w to uwierzył. Tylko pan von Balk wie. Ale on zachowuje to dla siebie i z wesołymi jest wesoły.

Cichy grób leży cicho pod suchym chrustem. Żaden ślad stopy nie przechodzi po białym piasku, tylko delikatny krok brodzca przebiega od czasu do czasu wzdłuż brzegu. Często Hanna, gdy ma czas, siada na końcu półwyspu, bosa, objąwszy kolana rękoma i patrzy na ciemną, nieruchomą wodę. Musi niekiedy być sama z głębokim niezmiernym szczęściem, co przepelnia jej serce. A nigdzie nie jest tak cicho jak tu. Jakby pokój zmarłego wypełnił na wskroś ziemię, wodę i powietrze. A ona tak długo żyła ze zmarłym, że nie boi się. Nie boi się też niczego, co może przyjść. „I tam niech będę pochowana.” Czegóż więcej pragnąć na tej pięknej ziemi!

Tej jesieni umiera Korsanke. Nielekką ma śmierć, ale Jons siedzi przy nim przez wiele godzin i koi jego bóle, tak że Korsanke może się uśmiechać. Przesuwa się przed nim całe długie życie, losy, przestępstwa i zbrodnie, opowiada, jakby stał przed swym królem i składał raport. — Ciężka służba, Jons — mówi cicho — ale mój mundur pozostał czysty. — Jons trzyma go za rękę i potwierdza. — I wasze serce także, Korsanke — mówi — a to więcej niż mundur.

Tak, i niech uważają na chłopaka za „Rajem”, co to rękę utracił. Nie pozbył się swego podejrzenia, a kto przelewa krew ludzką, tego krew niech też będzie przelana.

Jons przyrzeka. Ale wie, że miłość zmyła tę krew. Każdą krew zmywa miłość.

— Dobra wieś, Jonsie Ehrenreichu — szepcze na koniec Korsanke.

— Dobra wieś... Czuwaj nad nią, gdy mnie już nie będzie.

Był to wielki pogrzeb i nie uszło nikomu, że młody żandarm wiejski białymi rękawiczkami wycierał sobie oczy.

— On był pierwszy z nas starych, Jonsie — rzekł Stilling zatrzymując się przed bramą cmentarza. Spojrzał na stary, niezgrabny napis i uśmiechnął się. — Pamiętaj, człeczko, spocznieś tu i ty — powtórzył cicho. — Zawsze chciałem to usunąć i zmienić. Raziło to moje poczucie językowe¹. Ale niech tak pozostanie. Język to jednak nie ostateczna sprawa. Zawsze gdy to czytam, słyszę dzieci w szkole. Te najmniejsze, co po raz pierwszy czytają zdania z Biblii. One też tak mówią, i w tym zapewne zawiera się dusza wsi. Dusza może cokolwiek uśpiona, ale może tylko uśpiona w Bogu...

Piękna wiosna, piękna jesień. Gdy Jons objeżdża okolicę, nie czyta już książki trzymanej na kolanach. Patrzy przed siebie na grzbiet konia lub na barwiącą się okolicę. Nie myśli już o przeszłości, ledwie co o terażniejszości. Jest jeszcze młody, a starsi i mądrzejsi żyją wokół niego. Ale zdaje się, że niedługo przyjdzie na niego kolej być najmądrzejszym. Albo jeśli nie najmądrzejszym, to najspokojniejszym, najbardziej zdecydowanym, na którego zwracają się oczy wsi, gdy grad nawiedza las, ogień strzechy, a niesprawiedliwość rolę. Bierze to na siebie, jak kiedyś wziął na siebie pracę i samotność. Nie boi się. Jego życie jest bogate, tak bogate, że przelewa się. Wypełnione pracą, pomocą, miłością. Kiedyś nie będzie tu tych, co pomagają i doradzają, ani Stillinga, ani pana von Balka. Ani tych, co trzymają stopy głęboko w strumieniu przeszłości, jak Piontek lub Czaja. Wtedy będzie sam, z Hanną, z domem Jerominów, ze wsią. Z własnym sumieniem.

Prostuje się i puszcza konia kłusem. Słup dymu z mielerza błękitnieje nad błękitnym lasem. I widzi, jak ojciec stoi tam, z okopconym drągiem w ręku i wydaje mu się, że życie jest całkiem łatwe. Tylko nawiązać tam, gdzie dobra ręka wypuściła. To właśnie dobrzy rozwijają życie i zachowują. A rezygnacja to także nic innego, jak pozwolić wielu oddalić się, jak kawałkowi kory w strumieniu, a trzymać się tylko kilku dobrych, trzech, dwóch, a nawet tylko jednego. Prawdziwe życie nie polega nigdy na czymś innym, tylko na tej niewielkiej liczbie. Na mnogości polega postęp, wygoda życia, rozgłos, blask i sława, wojna. Ale nie to co istotne, prawdziwe, dla czego warto cierpieć i upadać.

Tak, piękna jesień. Ostróżki i malwy zakwitły nad oknami, a Hanna stanęła obok, mierząc wzrost krzewów swym smukłym ciałem. Ludzie z Sowirogu kłęczą na polach ziemniaków, starzy, kobiety i dzieci, biały dym unosi się w błękitnym powietrzu. Sójki zbierają zapasy na zimę, żurawie stoją całymi rodzinami na

¹ Umieszczenie zaimka jako podmiotu na końcu zdania jest w języku niemieckim rażące. Ale mieszkańcy Sowirogu posługiwali się składnią polską [przyp. tłum.].

bagnistych łąkach. Dzikie grusze goreją czerwienią na miedzach jak pochodnie, a z klonu koło domu Jerominów spadają pierwsze wielkie liście. Pokój rozpościera się nad polem i lasem, głęboki, niezniszczalny pokój, co każde uderzenie siekiery z błękitnego lasu wraz z jego echem ogarnia.

Nawet czarny, błyszczący wóz huczący na cichej drodze przez las nie zniszczy tego pokoju. Spycha go nieco z drogi, ale nie niszczy. W wozie siedzi czterech ludzi w lśniących mundurach. Świątowali przez cały dzień urodziny i zapewne nieco za wiele wypili, bo śpiewają głośno i niezbyt melodyjnie. Pieśni o wzniosłych słowach. Ale je także ogarnia las. Unosi je daleko, a potem grzebie w swej wielkiej ciszy. Pogrzebał już coś więcej niż parę wojowniczych pieśni.

Czterech mężczyzn przybywa ze stolicy prowincji i znaczą coś niecoś w swoim gronie. Na wieczór powinni powrócić, ale muszą długo jechać, nim dotrą do wielkiej szosy, bo droga jest pełna piasku i dziur. A że jadą wolno, wpada im w oczy stary, wykrzywiony drogowskaz, co wyciąga ramiona ku lasowi, ale jest tak krzywy, że zdaje się wskazywać ku niebu. Żarty sobie z niego stroją i dopiero gdy czytają nazwę, wypisaną niezgrabnymi literami na szarym drzewie, zaprzestają żartów. — Aha — mówi człowiek przy kierownicy i ostro naciska dźwignię hamulca. „Do Sowirogu”, jest wypisane na drogowskazie, a potem nieczytelna liczba.

Coś im przypomina ta nazwa, nawet wiele. Ta wioska nie jest tak całkiem nieznaną w ich gronie. Człowiek przy kierownicy znowu naciska nogą na gaz i skręca w zieloną drogę. — Zobaczymy, co tam się dzieje — mówi z dobrotliwym uśmiechem, inni są zupełnie z nim zgodni.

Grünheid nie wyszedł w pole. Nie czuł się dobrze, skarżył się na serce, że mu niekiedy dokucza. Pojechał więc Micha z kobietami i dziećmi, a stary sołtys siedział przed bramą obejścia na ciepłym narożniku i uważał na wieś. Gdy wszystko było na wykopkach, ktoś musiał uważać, by spokojny wędrowiec nagle nie przeskoczył płotu, albo z którejś ze strzech nie wypełził dym.

Siedział spokojnie, z rękami złożonymi na rękojeści laski i przyglądał się — jak to stary człowiek — ogródkowi, gdzie kwitły astry. Wesoły zgiełk na polach dobiegał jego uszu, ale stłumiony, jak daleka zabawa dziecięca, a on myślał o czasach, kiedy jeszcze żył Michał, kiedy świat był inny i jak to wszystko na świecie idzie swą przemijającą drogą, młodość i śmiech, żarty i pieśni, i jak to starość jak szron spada na włosy człowieka, i niewiele więcej mu pozostaje, jak wieczorem ogień na ognisku i słowo boże w Księdze świętej.

Usłyszał nadjeżdżający wóz i zwrócił ku niemu twarz, wciąż jeszcze zatopiony w myślach, a gdy poznał, co to za odwiedziny i chciał wstać, by pójść na opuszczone obejście, było już za późno.

Minąwszy o parę metrów narożnik wóz ze skrzypiącym zgrzytem hamulców zatrzymał się. Człowiek obok kierowcy pochylił się w tył i zapytał, czy nie wie, jak pozdrawia się dostojnika.

Grünheid powstał, spojrział spokojnie na człowieka, jakby był kawałkiem drewna, i przez otwartą bramę zawrócił powoli na podwórze. Ale doszedł właśnie do koryta przy studni, z którego rano i wieczorem pojono bydło, gdy ci czterej już stali obok niego z zaczerwienionymi, złymi twarzami, a ten sam spośród nich powtórzył pytanie, ale tym razem groźnie i z chłodem w oczach, co zdawały się badać i ważyć każdą zmarszczkę na starej twarzy.

Sołtys odpowiedział chłodno, że w tej wsi nie pozdrawia się obcych tak ni z tego, ni z owego, a dostojnikiem to tu w Sowirogu zawsze jeszcze jest pan Bóg.

— Co też to się słyszy — zauważył człowiek szczególnym tonem.

— Ale może ma przynajmniej szacunek dla munduru? — I chwyciwszy Grünheida za kapotę próbował szarpać go to w tę, to w tamtą stronę, szarpiąc równocześnie za słup od bramy.

Stara twarz sołtysa pobladła. Uderzył mocno laską po palcach trzymających go za kapotę, i rzekł wolno, że całe życie miał szacunek dla pieluszek, jako że przyszłość wsi w nich leży, ale barwy pieluszek nigdy specjalnie wysoko nie cenił.

Rzucili się na niego, a choć jeszcze zawsze był silny, za wielu ich było na niego. Ciężkie sprzączki pasów biły go po twarzy, krew napływająca do oczu oślepiła go, a potem rzucili na koryto przy studni, wiążąc ręce i nogi pod spodem, tak że jego twarz znajdowała się tuż nad mokrym piaskiem poidła.

— No — rzekł człowiek, co siedział przy kierownicy.

Teraz nauczymy cię rozróżniać kolory! — Poszli w krzaki rosnące wzdłuż płotu i wyciągnąwszy sztylety ze skórzanych pochew zaczęli wycinać giętkie kije.

Tak to jest z losem, gdy nachodzi ludzi czy wieś. Powiedzą ludzie, że jest ślepy, lub że zesłał go Bóg. A przecie jest on jak tkanina, gdzie nici zdają się biec splątane bezładnie i dopiero gdy długo obracamy ją w rękach w różne strony, rozpoznajemy zamysł i bieg czółenka.

Żaden drogowskaz w świecie nie stoi nadaremnie, nawet w ciemnych lasach wokół Sowirogu. I nie tylko drogowskaz, ale i to, że nazwa na nim coś znaczy w duszach ludzi, którzy go mijają, pieszo, czy błyszczącymi wozami. I że to znaczenie w ciągu wielu lat stworzyli ludzie z Sowirogu.

Nie tylko drogowskaz objaśnia drogę do wsi, ale i wieś zaopatrzyła drogowskaz w pewnego rodzaju objaśnienie, które tych czterech ludzi pojęło. Gdyby nie to objaśnienie, ludzie nie troszczyliby się o wieś, ani o nich, ale przez nie właśnie była to wieś, która nęciła ludzi ku sobie, a gdy czterej podpici mężczyźni w mundurach błyszczących przybywają do opustoszałej wsi, zawsze przynoszą ze sobą los.

„Może nie powinienem był tego powiedzieć”, myśli Grünheid, gdy krew z jego twarzy kapie w miękki piach. „Myślałem o sobie, nie o wsi. Ale i wieś ma swój honor, i niechże to się już skończy w imię boże i dobrze, że tylko mnie mogą pociągnąć do odpowiedzialności.”

Wszystkie nici ma los w swym ręku, nawet najdrobniejsze, nawet te, z których zwykliśmy się podśmiewać. Mocne koło u wozu nie pęknie na polu ziemniaczanym, chyba że stare drzewo dębowe jest zmurszałe lub z ciężkim łańcuchem pełnych worów uderzy o kamień.

Więc Micha cicho klnąc wiąże powróż na kłonicy wozu i szybko idzie do wsi, gdzie w wozowni sołtysa stoją trzy nowe koła i dźwignia, którą można podnieść ós.

Idzie szybko, ale starczy mu czasu, by zauważyć błękitny pokój nad wsią i polami, klucz żurawi przecinający niebo, lśniąca srokę, podrywającą się spod jego nóg. Wkrótce znowu będą orać i siać do ziemi oziminę, i przyjdzie znów wiosna, wiele wiosen, a tymczasem ludzie gdzieś w świecie czynią hałas, napelniając nim głośnik Maschlanki.

Mógłby koło obejścia starej Krollowej wyjść na gościniec, ale nałożyłby nieco drogi, a jemu śpieszyło się naprawić wóz, wolał więc przesadzić dwa płoty i krzaki głogu, i przyszedł na podwórko sołtysa od strony pól. Oglądał koło stojące w otwartej szopie, gdy wydało mu się, że słyszy śmiechy na podwórzu i chociaż zadyszał się, coś w tych śmiechach mu się nie podobało. Nie umiałby powiedzieć co, ale wydawało mu się, że to jakoś nie pasuje do tego obejścia ani do dźwięków, do których przywykł. Słyszał jeszcze w myśli lekki warkot zbliżającego się samolotu, a potem był już przy węgle szopy i widział, co się stało.

Nie pojmował. Patrzył w osłupieniu, jak na zły sen, a twarz mu pobladła. Widział tylko, że jego przybrany ojciec leży rzucony na koryto, jak sztuka była przeznaczona na rzeź, a czterej obcy ludzie wracają od płotu ze śmiechem, próbując w rękach cztery cienkie kije. Nigdy w życiu niczego takiego nie widział. Nie myślał w tej chwili o swym ojcu, ale widać dziedzictwo odezwało się w nim, jak ogień zrywa się pod tchnieniem wiatru, dziedzictwo zapiekłego gniewu i zimnej zawziętości.

Podbiegł do otwartego okna izby, wskoczył do środka i przez tylne drzwi wszedł do obory, otwartej na plac koło poidła. Jeszcze w biegu sprawdzał magazyn i napinał iglicę pistoletu.

Otworzył drzwi tylko do połowy i widział, jak dwóch ludzi stanęło z lewej i z prawej strony sołtysa, i na komendę podnieśli kije. Strzelił natychmiast, naprzód do tych dwóch, a potem, raz za razem, do dwóch innych. Samolot huczał właśnie nad dachem szopy, więc nie słyszał strzałów. Ludzie runęli, jak kręgle na podłogę i leżeli nieruchomo, jakby byli z drewna.

Opuścił pistolet i oparł się lewą ręką o futrynę drzwi. „Teraz pewnie wstaną”, pomyślał, i będzie musiał drugi raz strzelać.

Ale wszystko pozostało jak było, wymalowany obraz, w którym nic się nie poruszało, nawet liście na drzewach przy płocie.

Chwycił za nóż, by przeciąć rzemienie, gdy ujrzał za płotem głowę stojącego dęba konia i białą rękawiczkę żandarma, poklepującego uspokajająco gniady kark. Samolot wystraszył konia.

Bezgłośnie zamknął drzwi, powrócił do szopy, wziął koło i dźwignię, i kiedy żandarm wjechał na podwórze, on był już między zaroślami na polach. Pistolet pozostawił w kieszeni.

Jeszcze dwa cienkie wątki w tkaninie losu. Luźno nałożone na siebie, a przecie i one mają dostateczną przyczynę, by wpleść się w całość. W rogu stajni siedzi Krollowa na starym pniu drzewa. Naciągnęła chustkę na oczy, ręce jej drżą. Nie wiedziała, że Grünheid nie jest w polu i pomyślała sobie, że pewnie gdzieś w słomie w stajni leży parę jajek, które przydadzą się starej kobiecie. Widziała ludzi, jak przyszli na obejście i wszystko inne. Słyszała też strzały, ale nie widziała Michy. — Boże drogi — szeptała bezzębными ustami w czarną chustkę.

— Boże drogi, co też ty z nami czynisz.

Na drugim nadciąga do wsi pan von Balk. Coś znowu sobie wymyślił dla Grünheida, więc nadjeżdża konno wąską drogą polną między zaroślami. Widzi Michę, jak idzie przez pole z jasnym kołem od wozu, z drągiem do podnoszenia na lewym ramieniu, i dziwi się, dlaczego nie korzysta z gościńca. Nie zwykło się przecie toczyć koła do wozu przez zarośla.

Wjeżdża na podwórze równocześnie z żandarmem i tam obaj przystają, patrząc w osłupieniu na obraz u ich stóp. Balk zrazu zeskakuje z konia i biegnie do studni, wyciągając nóż z kieszeni, ale potem znów się prostuje i kiwa na żandarma. — Chodź no tu pan, Brenke — mówi — i przekonaj się pan, że rzemienie zawiązała trzecia ręka. Może trzeba będzie to zaświadczyć.

Żandarm jest blady na twarzy, ale słucha, a potem przecinają rzemienie. Muszą zanieść sołtysa na ławkę przed domem, bo nie może chodzić.

— Co jest, Grünheid? — zapytał cicho pan von Balk.

— Serce, łaskawy panie, serce...

Balk podchodzi do bramy, wkłada dwa palce do ust i gwizdże przeraźliwie. — Po doktora! — woła do dzieci. — Po Jonsa! Szybko! Niech natychmiast przychodzi!

Zamyka bramę.

A potem stoją nad trupami i patrzą w zgasłe oczy, w szarych kącikach których siedzą już muszki.

Gdy strażnik wrócił ze szkoły, skąd dzwonił do powiatowego miasta, pan von Balk znowu wskoczył na siodło. — Sam sprowadzę doktora — rzekł krótko, przesadzając długim skokiem niską bramkę. Ale zboczył nieco na kartoflisko i przystanął koło wozu, który właśnie ludzie podnosili drągiem. Twarz jego była poważna. — Coś się stało, ludzie — rzekł cicho. — Myślę, że od dwóch godzin nikt nie odchodził z pola.

Jedna z dziewcząt już otwierała usta, ale Balk nachylił się na siodle i patrzył w każdą twarz po kolei. — Nikt, mówię, ludzie! — powtarza.

— Chodzi o wieś!

— Nikt i nic, wielmożny panie! — mówi stary Daida.

Balk przytaknął. — Pracujcie dalej, ludzie. Przyjechałem tylko, by wam powiedzieć, że coś się stało.

Spotkał Jonsa na gościńcu i razem wrócili do zagrody. Klękawszy nad zabitymi, Jons zaczerpnął głęboko parę razy powietrza, potem wyjął strzykawkę ze

swej walizeczki. — Pobierzemy próbkę krwi — rzekł cicho do Balka. — Myślę, że byli pijani.

Potem podszedł do sołtysa, który wciąż jeszcze leżał na ławie i dał mu zastrzyk z kamfory.

— Gdzie Jan? — spytał cicho Balk.

Jan był przy mielerzu, a przed godziną wezwał Jonsa do chorego Czai. Powracali razem.

— Zapisz godzinę, Jons — rzekł Balk. — To może być potrzebne.

Dopiero gdy odrzucił drugiego papierosa, wzrok jego padł na zakutaną postać starej Krollowej. Przestraszył się i chciał odwrócić wzrok, ale żandarm spojrzał za nim w tę samą stronę. — Co jest? — zawołał wzburzony — Wy tam! Kto jesteście?

Krollowa opuściła z twarzy czarną chustkę i spojrzała naprzód w osłupieniu na zabitych. — Byłam przy tym — bąkała. — Byłam przy tym.

Balk zaprowadził ją do ławki, na której leżał sołtys i posadził ją u jego stóp. Prosił ją by opowiedziała, ale wzrok utkwiał groźnie w jej oczach, jak wzrok jastrzębia.

Wytrzymała jednak i opowiadała.

Tak, chciała pomówić z sołtysem i przysła od tyłu do zagrody. Wtedy ci ludzie przyszli przez bramę z Grünheidem, lżyli go i szarpali za kapotę.

— Zapisz pan, Branke — rzekł ostro Balk.

— Dlaczego go lżyli? — pytał dalej.

Słyszała coś jakby „polska świnio”, a potem wpadli na niego, zbili i przywiązali do koryta. A potem ucieli sobie kije i ustawili się na lewo i na prawo od niego, i wtedy, właśnie wtedy ktoś strzelił, z drzwi stajni, a potem jej się zdawało, że widzi dwóch obcych ludzi biegnących przez pole. Ma słabe oczy i przysiąc nie może, ale tak jej się zdawało.

— Prawda to, Grünheid? — zapytał Balk.

Grünheid potwierdził, a oczy jego zwróciły się ku twarzy starej kobiety z dzieciennym zdziwieniem.

Otworzyli stajnię i znaleźli łuski naboju. Pozostawili je nietknięte, a po chwili usłyszeli trąbki wozów nadjeżdżających z powiatowego miasta. Było wiele wozów i wiele mundurów.

Grünheid, Krollowa, pan von Balk i strażnik wiejski złożyli zeznania. Tak, powinien był wstać i pozdrowić, mówił sołtys unosząc okrwawioną głowę z twardej

poduszki. Ale nie zna prawa, które by nakazywało człowiekowi z siwymi włosami pozdrawiać pijanych ludzi.

Na jakiej zasadzie mówi o pijaństwie? Zapytał ostro powiatowy kierownik partii.

Grünheid odpowiedział spokojnie, że może wyczuć na dwa metry. Nie ma znowu aż tak starego nosa.

— Jak z próbą krwi, doktorze? — zapytał Balk, czyszcząc swój monokl.

Jons ujął w palce cztery wąskie próbówki i położył je w nogach ławy.

— Ilość alkoholu wystarczająca, by ukarać człowieka za prowadzenie samochodu — rzekł, nie podnosząc głosu. — A nawet cokolwiek więcej.

Doktor Lustig, który obecnie był lekarzem powiatowym, spojrzał na niego ze złością nabiegłymi krwią oczyma. — Kto pana upoważnił do pobierania prób krwi, kolego? — zapytał.

— Prawo — odpowiedział spokojnie Jons — i to pan także powinien wiedzieć. Wyjaśnienie faktycznego stanu jest obowiązkiem każdego lekarza.

Zapadł zmierzch i wozy powróciły z pola. Ludzie z Sowirogu stali w milczeniu przed zamkniętą bramą wsparci na motykach. Wniesiono Grünheida do domu, Krollowa poszła za nim i w wielkiej izbie sołtysa spisano protokół. Stara kobieta podtrzymała swe zeznania. O dwóch obcych ludziach, co biegli przez pole, „jak jej się zdawało”. Więcej powiedzieć nie może, bo wszystko jej się mąciło przed oczyma. A gdy kierownik powiatowy zapytał z krzykiem, czy może od wódki zamąciło się jej w głowie, zmierzyla go od stóp do głowy bezzębnymi oczyma i rzekła, że lepiej by było, gdyby od wódki jej się w głowie zamąciło niż innym ludziom.

Potem przesłuchiowano wieś. Każdego z osobna, ale nikt nic nie widział, nikt też nie słyszał strzałów, bo właśnie samolot przelatywał nad wsią, a z pola nikt nie schodził.

— Cud, wielmożny panie prokuratorze — mówił Daida zatroskany.

— Istny cud boży — i stuknęła pokrywką swej brzozonej tabakierki.

Jana także przesłuchiowano. Stał w głębi z rękami w kieszeni i składał zeznanie. Był u Czai, bo nie zobaczył go w polu. Stamtąd pobiegł po doktora i razem z nim powrócił. Jons patrzył na zegarek, zeznanie nie budziło wątpliwości. Mimo to ludzie w mundurach spoglądali badawczo. Syn Goguna spoglądał na ścianę pokoju, gdzie wisiał portret ostatniego cesarza. Gdy nikt go już o nic nie pytał, wycofał się chyłkiem.

— Chwały to nie przysporzy tej zakazanej dziurze — rzekł na koniec powiatowy kierownik partii, spoglądając na pana von Balka.

— Pijacy nigdy nie przysparzają chwały wsi — odpowiedział obojętnie.

Następnego ranka Gotthold z dwoma cywilami wysiadł z wielkiego wozu, kazał się zaprowadzić do sołtysa i Krollowej, a potem wałęsał się po wsi.

Zatrzymał się przy pierwszym spotkanym dziecku i próbował z nim gawędzić. Był to wnuczek starego Daidy, który właśnie osadzał maszt na okręciku z kory sosnowej. Ale mały nie odpowiadał, a gdy Gotthold podał mu kawałek czekolady, założył ręce w tył i popatrzył na palce swych bosych nóg.

A potem ludzie z Sowirogu zawołali swe dzieci do domów ...

Trzech cywilów chodziło od domu do domu i pytali, co im akurat wpadło na myśl. Poszli także na pole i jeden z nich przyszedł nawet do Piontka, który jeszcze nie powrócił z bydłem. Pytał go, czy czego wczoraj nie słyszał, patrzył na niego, jakby uciekł od Hotentotów.

— Masę rzeczy — odpowiedział Piontek.

— Na przykład?

— Na przykład kukułkę albo w nocy puszczyka, a wielu ludzi twierdzi, że słyszy nawet, jak trawa rośnie.

Człowiek odparł ostro, by był łaskaw zaniechać żartów.

— Żartów? — powtórzył Piontek i spojrzał na niego zdziwiony.

— W Sowirogu nie żartuje się z obcymi ludźmi.

— Czy słyszał strzały?

— Nie, nie słyszał.

— Czy widział wóz?

— Jechał jak pijany szlifierz i drzewa przy gościńcu mogą uważać za szczęście, jeśli jeszcze stoją.

— Czy widział dwóch ludzi biegnących przez pole?

— Tu biega wielu ludzi, gdy im się spieszy. Na przykład, gdy im coś w kischkach zakręci. A dwóch ludzi także widział, ale to było daleko, aż we wsi, a oczy ma już nie najlepsze.

— Skąd oni przyszli?

— No, właśnie ze wsi. Jakby stamtąd, gdzie zniknął wóz. Ale może i skądinąd.

Człowiek spojrział na niego ze złością i odszedł bez pożegnania. Piontek pochylił się znowu nad swym ogieńkiem i zagwizdał pieśń. Była to ograna pieśń kościelna, i człowiek szybko powrócił na gościniec.

Grünheid leżał chory i tylko szeptem odpowiadał na wszystkie pytania.

Koło południa przyszedł Gotthold do domu doktora, Wyglądał na rozgniewanego i czekał, aż Hanna wyjdzie z pokoju.

— Przyjemna wioska — rzekł. — Mogą się pochwalić swym miejscem urodzenia!

— Wszyscy możemy, bracie — odpowiedział spokojnie Jons. — Żadna szczególna plama na nas nie ciąży. Zresztą wiesz równie dobrze jak ja, że mogliby to być również jacyś obcy. W Sowirogu nie ma rewolwerowców.

— Nigdy nie można wiedzieć, co jest — odpowiedział Gotthold w zamyśleniu. — Co do Gogunowego syna nie ma wątpliwości.

— Spojrzałem na zegarek, bo czekałem na telefon — rzekł Jons patrząc mu prosto w czy. — To chyba ci wystarczy?

— Tak, oczywiście, to wystarczy. Gdzie on jest teraz?

— Jest na moczarze i ścina trzcinę.

— Tak, to się zwykle robi o tej porze. Przekłęte świństwo! — rzekł wstając.

— Nie uważasz chyba, że odegrali oni rolę bohaterów? — spytał Jons przy drzwiach. — Może w Ameryce Południowej coś takiego się zdarza, gdy robią rewolucję. U nas nawet psów nie przywiązuje się do koryta u studni.

Gotthold spojrział na niego ponuro. — Rewolucja, to nie rekolekcje — rzekł. — Nawet u nas.

Pozostali jeszcze trzy dni, a potem odjechali. Nic się więcej nie stało.

Ale następnej nocy Micha i Jan zaczęli kopać przejście od chatki przy mielerzu do lasu. Odsunęli legowisko, podnieśli deski i wynosili piach workami do dużego dołu pod sosnami. Podparli podziemne przejście balami sosnowymi, które Jan zrąbał za dnia. Korytarz wychodził na rozwalony mielerz, położony daleko od chaty. Przeszła tamtędy lasem nawałnica i pnie leżały w głąb, wzdłuż i w szereg na zwęglonym drzewie.

Micha wymyślił plan, a Jan w milczeniu słuchał poleceń. On także ułożył w podziemiu zapasy żywności i ustawił w korytarzu ciężkie żelaza.

Wieś poważnie i cicho wchodziła w zimę. Trudno było poznać, czy coś wiedziała i czy dręczyła się krwawym czynem. Ale jeśli napępniały ją wątpliwości,

zniknęły one, gdy w dzień świętego Marcina przejechał przez wieś wóz z takimi samymi mundurami i zatrzymał się przed gospodą Czwallinny. Młodzi ludzie zajęchali śmiejąc się i krzycząc. A w wozie siedział ze związanymi rękami stary Hirsch, trzymając jeszcze skrzynkę ze wstążkami na kolanach, a po jego białej brodzie spływała krew.

Kobiety otarły mu krew i rozmawiały z nim cicho. Dzieci stały nieme lub zapłakane koło wozu. — Wszędzie — mówił Hirsch — w całym kraju... Nie, on nic złego nie zrobił. Jego nos im się nie spodobał. I ktoś z jego współwyznawców zastrzelił kogoś. W Paryżu, czy gdzieś tam w świecie. Ale on nikogo nie zastrzelił, on nawet nie wie, co to „bikstolet”. — Boże sprawiedliwy — szeptał cicho. — Na moje stare lata...

Zabrali od niego skrzynkę, podając sobie z ręk do rąk. — Ani wstążeczka nie zginie, Hirschu — mówili — ani igielka... to tylko byś odnalazł, gdy wrócisz.

Ale on potrząsnął głową. Nie powróci.

Młodzi ludzie wyszli i zakrzyczeli na kobiety. — Niech Bóg sprawiedliwy strzeże was... i waszą wieś! — szepnął Hirsch.

Ale Krollowa przejechała rozzłoszczona paznokciami po rękę, co ją schwyciła za ramię i splunęła. — Żmije! — zasyczała przez bezzębne usta. A miała taki wygląd, że ustąpili przed nią.

Wieczorem tego samego dnia pan von Balk zawołał młodego Michę, kiedy jechał z lasu, gdzie zbierał drwa. Była to nieuczęszczana droga i wyglądało na to, że jeździec oczekiwał tam na niego. — Kruki zbierają się, Micha — rzekł Balk, jadąc obok niego. — Dziś zabrali Hirscha. I on także miał krew na twarzy.

Micha spojrzał ponuro na trzymane lejce. — I tamci będą mieli krew na twarzy — odpowiedział.

— Ile masz naboń? — zapytał po chwili cicho Balk.

Micha drgnął, ale starał się to ukryć, pochylając się i obwijając derkę dookoła butów.

— Twój ojciec by nie zadrzał — ciągnął dalej Balk. — Młody jeszcze jesteś, Micha. Ale pomyśl, że i on musiał ulec.

— Zabił draństwo i dobrze zrobił.

— Zapewne, Micha. Ale go nie ma, a byłby tarczą dla wsi. Każdy las się przeredza, Micha, gdy drzewo upada. Być mądrym, to dzisiaj nie ujma, Micha.

— Będę ostrożny — powiedział Micha po chwili. Teraz sypia także w chacie przy mielerzu. Wybudowali podziemne przejście, dodał, rozglądając się dokoła. Nikt się o tym nie dowie prócz pana von Balka.

Ten gwizdnął cicho od niechcenia. — Jutro wieczorem przyniosę ci dwieście naboí — rzekł następnie. — Będę czekał na ciebie w lesie.

Gdy skręcili z ulicy w bok, raz jeszcze zatrzymał konia. — Nie chęć się, Micha — rzekł poważnie, pochylając się na siodle. — Zabójstwo, to zawsze ciężkie brzemię, Dźwigaj je cicho, jakby cię tajemnie wybrano.

— Ja się nie chęć, panie von Balk — odpowiedział Micha. — Ale on znaczy dla mnie więcej niż matka czy jakikolwiek inny człowiek.

— Dlatego właśnie wybór padł na ciebie, mój chłopcze — rzekł dobrotliwie Balk i odjechał na ubielone pola.

Rozdział 20

- No, Tobiaszu — rzekł Jons. — Już do tego doszliśmy: „Gdzie umrzesz, tam i ja umrę i tam niech mnie pochowają”.

Rzesza rozrosła się, wtłaczając w swe granice obcy naród i nawet Jons teraz przyznał, że pan von Balk był prorokiem. Zrozumiał także, że był to ostatni naród, który się nie bronił. Księżyc jest niezamieszkały, ale ziemia jest zamieszkała i teraz zamieszkała ziemia powstanie przeciwko tym, co wyłamują cudze drzwi, by i na cudzym czuć się jak w domu. Może to nastąpi dziś, może jutro, ale drogowskaz został ustawiony nad światem, a jego napis mógł już odczytać każdy, kto umie czytać pismo losu.

— Czy myślałeś — zapytał Tobiasz — że Puszcza Lüneburska jest dalej od Boga niż wieś Sowiróg? Nie ujdzie my mu nawet na skrzydłach jutrzeńki.

— Ale my nie jemu chcemy ująć, Tobiaszu, lecz temu, co oni bez naszej winy na nas walą.

— A czy wiesz, że to dwie różne rzeczy, Bóg i oni? Czy wiesz, że to bez naszej winy?

— Chcesz powiedzieć, że Bóg i oni to to samo?

— Chcę powiedzieć, że on się nimi posługuje. Posługiwał się także żołdakami, gdy wznoszono krzyż. Posłużył się węzłem, gdy utraciliśmy raj. Gdyby się nimi nie posługiwał, nie byłiby tak wielcy i potężni. Byliby mali i nie potrzebowalibyśmy się ich obawiać. A co to znaczy „bez naszej winy”? To przynajmniej wiemy, że w naszej wsi polala się krew, a myśmy nie czekali na jego wyrok. Sami wymierziliśmy sprawiedliwość.

— A ty byś czekał?

— Tak, ja bym czekał, Jons. A teraz czekam także na co innego. I dlatego nie żałuję, że wtedy mówiłem kazanie z księgi Rut. Choćbym miał kazanie z księgi Jozuego lub jakiejś innej, też by nie wyjechali. U nich już dawno zapadło postanowienie, ja ich tylko uspokoiłem. Dlaczego miałem ich niepokoić? Oni nie byliby zdolni wyjechać. Może inni, ale nie oni. A gdyby już musieli stąd odejść, czuliby się tak, jakby Boga wypuścili z rąk. Byliby straceni, Jons, straceni całkowicie. Śmierć w Bogu jest lepsza niż stracone życie.

Jons nie odpowiedział. Oparł głowę na rękach i patrzył na wieś, przy której płotach znów się zarumieniły krzaki bzu.

— Nie martw się, Jons — rzekł Tobiasz kładąc mu rękę na ramieniu.

— Widzisz, mocarstwa nie są wieczne, ale wsie mogą być wieczne. Spalone mocarstwa nie podnoszą się z gruzów, tak jak Kartagina już się więcej nie podniosła. Ale spalone wsie jeszcze mogą się podnieść. Bóg może je oddać w inne ręce, godniejsze albo mniej godne. Może zniweczyć majątek, nawet imię. Ale nie wsie. Są one u niego zapisane, a on strzeże tego, co zapisane.

Raz jeszcze zapytał Jons dziewczyny, czy chciałyby wyjechać. Ale ona uśmiechnęła się tylko. Ukłękła na ziemi, wskazując opaloną ręką listki tulipanów wychylające się ze zwiędłego listowia. — Mam je same pozostawić? — zapytała. — To tak, jakbyś ty dzieci same zostawił.

Tej wiosny zmarł Czaja, drugi z grona starych. W głośniku Maschlanki huczały marsze i pieśni, z którymi żołnierze maszerowali przez obce granice, ale nie przenikały one poza las, gdzie stała chatka na ubogim polu. Tu był pokój na ziemi. Drzewa szumiały jak zawsze, a skowronki ulatywały z młodego zboża w błękit nieba. Dym z mielerza unosił się ponad lasem i wszystko było tak, jak przed pięćdziesięciu czy stu laty. Ręka możnych nie dotarła tutaj. Wszystko, co otaczało chatkę, uczyniła ręka Czai, jego pług, jego łopata, pot jego pomarszczonego czoła. Nie raj, nie spichlerz ani złota misa urodzaju. Prosty człowiek w służbie ziemi, co miewał widzenia i dwa razy był chrzczony, ale bez widzeń orał ziemię, bo tak nakazano w pierwszej księdze Mojżesza. Pług stał jeszcze na skraju pola, na końcu ostatniej skiby, którą przeorał pod zasiew letni, a koń stał w głębi między młodymi brzoźami, podnosząc od czasu do czasu płowy łeb, by spojrzeć na chatę, z której komina nie unosił się dym.

Nikogo nie było przy Czai prócz Erdmuthy, cichego cienia, która od postępu Michy jeszcze cichszą się stała. Ze wszystkich, których ugiął los, ona jedna nie po dźwignęła się więcej. Pracowała, uśmiechała się, mówiła, ale z dala od ludzi, w innym królestwie, w królestwie przeszłości, gdzie Michał ciągle jeszcze leżał na progu chaty przy mielerzu i czekał na pierwszy krzyk syna, aby móc umrzeć.

A potem, kiedy już zbliżał się koniec, był tam Jons przez wiele godzin i całą ostatnią noc. Nie sposób pomóc zmęczonemu sercu, można było jedynie ulżyć dusznościom i bólom. Ciężką śmierć miał Czaja, ale tylko ciała, nie duszy. W duszy jego była pewność i nie potrzebowała ona pomocy.

Okienko w chacie było małe i ślepe, przesunęli więc łóżko do drzwi, by powietrze leśne napływało do izby, a Czaja widział zielone pola. Leżał więc cicho i wypatrywał wielkie, jasne oczy na to, co mógł widzieć. W środku, w wycięciu drzwi, dym z mielerza unosił się cicho nad ciemnym lasem.

Mówił mało, lecz chętnie pozwalał Jonsowi trzymać się za rękę. Leżał także spokojnie, gdy nie gnębiła go duszność. Dusza jego odchodziła już między cienie, gdy ostatniej nocy, koło północy, zaczął cicho mówić, ale oczy jego były otwarte na dalekie gwiazdy migocące nad lasem. — I widziałem, a oto biała chmura... — zaczął. Znał to Jons i przysłuchiwał się jak z daleka. Ale potem było inaczej, niż w Objawieniu napisano, i Jons pochylił się nad łóżkiem, słuchając ostatniego widzenia, jakie przechodziło przez wargi umierającego. Nie było to dla Jonsa nowe widzenie, a przecie dreszczem go przejmowały w ciszy nocnej obrazy napełniające izdebkę. Erdmutha usnęła na stole, złożywszy głowę na rękach i nic nie było słyhać prócz cichego biegu szwarcwaldzkiego zegara i szeptu odchodzącego. I zdawało się, że uderzenia ślepego wahadła dzielą widzenie na ustępy i rozdziały, jak w Objawieniu, a na początku każdego stoją wielkie, prastare słowa: „I widziałem, a oto...”

Wszystko wychodziło z morza, co błękitniało wokół Patmos, albo z jeziora, co rozpościerało się przed Sowiogiem. Bestie i skrzydlate istoty, ogień i dym, krew i plagi. A na koniec jednak baranek i otwarta pieczęć, ale nie można już było zrozumieć, czyje oczy pozostaną, by czytać ostatnie pismo. A Jons i nie chciał tego zrozumieć. Jego twarz była równie blada jak umierającego, i patrzył poprzez niego na czarny brzeżek wierzchołka drzewa, ponad którym rysował się czerwono pierwszy brzask i coraz wyraźniej ukazywał się słup wznoszący się z mielerza.

Tętno stawało się coraz cichsze i Jons coraz mocniej wciskał palec w chłodną skórę, by je wyczuć. „Jak cień nad ziemią”, myślał zmęczony.

Zbudził się dudek, turkawka w olchach nad strumieniem, czajka, co dała umierającemu swe imię. Poranna zorza rosła i płonęła, i Jons myślał, że musi być pięknie tak umierać, wśród czego żyło się siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat. Spojrzał na strzykawkę, leżącą obok niego na stoliku, także opromienioną czerwienią wzmagającego się światła i butelkę z kamforą, i wydało mu się czymś marnym i szalonym występować przeciwko potędze, co stała przed drzwiami, zmianie ranków i wieczorów, zroszonemu polu, blednącym gwiazdom, temu, co wieczne na tej ziemi, a w czym człowiek ten miał swój udział.

Pochylił się, ale oczy Czai wciąż jeszcze były otwarte i także wypełnione czerwonawym blaskiem, jak milcząca woda w lesie, a na jego wargach widniała radość ostatecznego poznania. — Wywichnął je, Jons — szepnął — i znowu je naprostował... nie bój się.

Tętno zabiło jeszcze parę razy i zamilkło.

Kiedy Jons wyszedł z domu, stał biały koń przy niskim płocie koło małego podwórka i spoglądał na niego. Rosa leżała na jego grzywie i włosach nad czołem, ale poniżej były ciemne, duże oczy. Oczy jak u innych zwierząt, ale Jonsowi zdawało się, że wiedzą one o wszystkim, także o śmierci, co tam w izbie stała u głowy Czai i poszedł szybko przez las do chatki przy mielerzu.

O tym, co słyszał w nocy, nie mówił nikomu.

Dla wsi Sowirogu śmierć Czai była czymś więcej niż każda inna. To był koniec pewnego okresu czasu, może nawet czasu w ogóle. Żył z dala od nich, ale może właśnie dopiero z tej dali wyraźnie dochodził głos, dla którego on był tylko naczyniem. Miał inną wiarę, i może innego Boga, ale może był to Bóg prawieków, Bóg pustyni, co nocną porą bywał słupem ognistym. I Jakub czuł się jak w domu u starodawnych proroków, jak Stilling lub Piontek u patriarchów, ale zaranie Czai sięgało dalej wstecz, do zamierzchłych pradziejów, kiedy to duch boży unosił się nad wodami. Pastor żył ewangelią, i to było dobre, było pociechą w życiu, w śmierci i w ciężkich czasach. Ale gdy bestia wylania się z morza, dobrze było mieć kogoś, czyje oczy wyglądały tak, jakby widziały jeszcze pramorze. — Zaprzęgajcie, ludzie! — wołał. — Zaprzęgajcie! — Ale teraz już było za późno, by zaprzęgać, a i oni nie chcieli. Zaprzęgli tylko cztery koniki do wozu, bo za daleko było nosić trumnę sosnową z lasu.

Słońce przygrzewało, a znad czarnego potoku słychać było wyraźnie poprzez jezioro szare słowiki. Przysypali piaskiem jasne drewno, a Stilling pomyślał, ile to garści tego białego, ciepłego piasku rzucał na trumny z Sowirogu w ciągu swego długiego życia.

A potem, gdy odwrócili się i opuszczali cmentarz, przerazili się wszyscy i nawet pan von Balk ściągnął szare brwi. Bo pod krzakami bzu, co pochylały się nad niskim murkiem z piaskowca i już rozkwitały, stał koń Czai. Położył po sobie uszy i patrzył przez mur na niski pagórek, gdzie leżały wieńce z sośniny i bzu. Sierść jego była nieochędożona, grzywa jakby spleciona w warkoczyki, a skóra fałdowała się na chudym ciele. Ale nie to było w nim niesamowite, lecz zastygła nieruchomość, z jaką

stał, nie podnosząc nawet długiego, sięgającego do ziemi ogona, by przepędzić muchy, co siedziały mu na wyleniałej skórze.

Nie śmieli go przepędzić. Mijali go spoglądając trwoźnie i jeszcze na gościńcu, nim weszli do domów, widzieli go, jak tam stał.

— Jak to jest, Jons, z jak zwaną Apokalipsą? — zapytał pan von Balk.

— Gdy niebo konie zsyła, nadejdzie czas. Konie to mądre zwierzęta...

Za dnia konia nie widziano już więcej, chyba na bagnistych łąkach koło domu Czai. Ale nocą widzieli go teraz na cmentarzu, jak stał na skraju grobów, skubiąc nędzną trawę, co rosła pod murem. Próbowali go przepędzić, ale on stale powracał, chociaż tylko pod krzaki bzu i tam go zostawili. Nie mogli go schwytać, a gdy osaczyli, kładł uszy po sobie i szczyrzył stare, żółte zęby. — Wygląda jak diabeł — mówił Piontek odwracając się ze złością.

Ale przed rannym brzaskiem słyszeli ludzie ciężki i powolny odgłos kopyt na ulicy, co biegł od cmentarza ku lasowi. I słyhać było, jakby ciężki i ciężko obładowany koń szedł krok za krokiem ze swym ciężarem przez las.

Wtedy dzieci budziły się, chwyciły się za ręce i szeptały: — Czaja wraca do domu...

Jan teraz prócz mielerza zajmował się rolą Czai. Ale spał z Michą w chacie przy mielerzu i co wieczór oglądał żelaza, które nastawił w podziemnym przejściu.

Chmury za chmurami, wschodzące nad widnokregiem, patrzące, płowymi brzegami na Sowiróg i na ziemię. Ani gradu, ani grzmotu, ani deszczu, tylko milcząca ściana obrzeżona słońcem. Zboże rosło, jagody dojrzewały, ale w niedzielę ludzie z Sowirodu w zamyśleniu przesypywali kłosa w ręku i spoglądali z piaszczystych pagórków na szare dachy, nad którymi unosił się dym z kominów. Już raz tak było, pamiętali dobrze. Czyżby znowu, i ile razy jeszcze? Dlaczego Bóg oddał los w ręce ludzi, w ręce niewielu ludzi? Dlaczego nie w ręce pastora lub lekarza, którzy wiedzą, co to śmierć, a jeszcze więcej co to życie?

Dzwony obwieszczały wieczór, a oni zdejmowali czapki i słuchali, aż przebrzmiał ostatni ton. Na wschodzie niebo pociemniało nad lasami, tam znowu ogień się rozpali. Wiedzieli już o tym.

— Zaczyna się, Jons — rzekł pan von Balk, spoglądając także na wschód. — Gdy głośniki i gazety obwieszczają, że bezradni starcy i ciężarne kobiety błądzą po lasach, to już się zaczyna. Może to jeszcze potrwać parę tygodni, ale już się zaczyna. Widziałeś

gdzieś już któregoś z tych błędzących starców? Ja nie. Widocznie aż tak się zabłąkali, że już ich nawet oko ludzkie nie widzi.

— I co będzie, panie von Balk?

— Koniec, Jons, ostateczny koniec. Tym razem gorzko zapłacimy, inaczej niż w poprzedniej wojnie. Tym razem oni do tego pchają, a kto oni są, tośmy już poznali w ciągu dwunastu lat... Przetrywamy to, Jons, z podniesioną głową, by biedni ludzie mogli coś niecoś z nami trzymać, nieprawdaż? Żyć i umrzeć, Jons, z podniesioną głową, to wielki los. Dla wielkich i dla szarych ludzi.

Wieś zebrała bogate żniwo, najbogatsze, jakie od dłuższego czasu pamiętano. A kiedy którejś niedzieli stali przy ostatnich snopach i mężczyźni, zdjąwszy szerokie kapelusze, zaśpiewali, jak zawsze pieśń w swym ojczystym języku „Zachowaj nam swą łaskę”, wybierając pojedyncze kłosa na wiązanekę i wieniec, zdawało się Jonsowi i wszystkim innym, że nigdy jeszcze pieśń ta tak uroczyście nie rozbrzmiewała nad polami. I panu von Balkowi chyba też tak dźwięczała, bo długo spoglądał na złote kłosa, które mu podawały dziewczęta, jakby tym razem coś szczególnego w nich dostrzec było można, a kiedy je wreszcie wziął i powiedział — dziękuję — gładząc policzki obu dziewcząt, oczy jego były w jakiś szczególny sposób wypełnione wieczornym powietrzem i obie dziewczyny mówiły później, że zdawało im się, jakby były przed ołtarzem, a jedna wnuczka Gonsiora mówiła, że to tak jakby pan von Balk przyjmował Najświętszy Sakrament.

Ale mówiły o tym później, gdy minęło parę tygodni, i może dopiero później na to wpadły, bo los przypomniał im tę chwilę. Bo wtedy mówiły tylko, że był „cudowny”. Ale teraz w pełni taki się okazał, kiedy późnym wieczorem, gdy siedzieli przed domem Jerominów, spojrział pytająco na Michę i Jana, gdy zaś oni ledwie dostrzegalnie skinęli mu zamiast odpowiedzi, oznajmił, że coś nowego sobie wymyślił. Nie podróż do Puszczy Lüneburskiej, ani na księżyc, jak kiedyś, tylko małą przejażdżkę na wyspę, gdzie pradziad tego starego i pięknego rodu w ogniu do nieba wstąpił. Tam chciałby wraz z nimi, nim przyjdzie druga i ostatnia „stalowa kąpiel”, święcić jak przystoi dożynki, na które ich wszystkich zaprasza. Kogo nie zaprasza, wiedzą równie dobrze jak on. I myśli, żeby po kościele wszyscy przeprawili się na łodziach, młodzi i starzy, a jego własny gumieny będzie przez ten czas czuwał nad wsią. I prosi, aby zabrali wszystkie łodzie, nawet zbędne, by nie zjawił się jaki nieproszony gość, bo z gośćmi nie zawsze mieli najlepsze doświadczenia. On już postara się zaspokoić wszelkie potrzeby ciała i duszy, a oni przyniosą ze sobą tylko radosne serce. Bo raz jeszcze

pragnęłyby ujrzeć na stare lata radosne serce wsi Sowirogu, która przecie wszystko przetrzymała, co los dla niej wymyślił i przetrwa także wszystko, co przyjdzie.

Ludzie dziwowali się, ale było to radosne zdziwienie i kiedy przez pół nocy słyszeli skrzypienie kół wozów, ciche nawoływania i stuk wielu wiosel uderzających o burty łodzi, nie wstawali i nie patrzyli przez okna, bo chcieli mieć niespodziankę, i nie chcieli psuć radości panu von Balkowi.

Dzień był gorący i bezwietrzny. Parę brzoź na moczarze zaczęło już się barwić, lśniła się czerwona jarzębina, a babie lato ciągnęło się długimi, białymi nićmi nad polami. Obrządzili wszystko bydło, bo zostawało w oborze i poszli do kościoła.

Tobiasz miał kazanie na temat tajemniczych słów z ewangelii Łukasza: „Onego dnia był li kto na dachu, a naczynia jego w domu, niech nie zstępuje, aby je pobrał; takóž kto na roli niech się takż nie wraca do tego, co jest ponad.

Pamiętajcie na żonę Lota.

Powiadam wam: onej nocy będą dwoje w jednym łózu: Jeden będzie przyjęty, a drugi zostawiony.

Dwie będą mleć ze sobą: jedna przyjęta będzie, a druga zostawiona. Dwaj będą na roli: jeden będzie przyjęty, a drugi zostawiony.”

Nie wykladał tak, aby każde dziecko to zrozumiało. Powiedział tylko, że oni będą przyjęci i jak on sobie myśli, że to się stanie. Nie mówił takż o nadchodzącej wojnie. Nie mówił takż nic o zostawionych.

Cicho wychodzili z kościoła i zdawało im się, że pastor nie wszystko im wyjawiał, co wiedział. Ale to im wystarczyło, że ich przyjął, a że był sługą bożym, więc chyba i Bóg ich przyjmie, gdy czas nadejdzie.

Wiele sobie po tym dniu obiecywali, ale wyszło na to, że Sowiróg nigdy dotąd nie przeżył takiego dnia. Można ręka możnego pana von Balka rozwarła się tak szeroko, że spadł z niej jakby czarodziejski deszcz. To, co tu widzieli, znali tylko z bają prządek. Pod starymi dębami za chatą rozpięto sznury, na których zawieszono kolorowe lampy. Urządzono miejsce do tańca, budy do gry w kostki i strzelnice, namioty i małą kregielnię. Wielkie bukiety z kwiatami z dalekich ziem stały w starożytnych dzbanach, a na jednej z gałęzi dębu wisiała srebrna klatka, w niej siedziała papuga, stara już i osowiała, ale jej upierzenie zawsze jeszcze lśniło, jak u rajskiego ptaka. Wzdłuż brzegu płonęły ogniska, a na nich gotowała się kawa w kotłach, a za wielkim stołem drewnianym zastawionym pieczywem i słodyczami stała

Maria, tak cicha i uśmiechnięta, jak przy swoim ognisku, jakby dopiero teraz mogła opowiedzieć wielką bajkę, do której inne wstępem tylko były.

Ale najwspanialsze były cieleńta wiszące na roznach na wolnym ogniu. Całe, nie poćwiartowane cieleńta, z których sok z sykiem kapał w płomienie, a ten i ów słyszał, że takie rzeczy działy się na dworach książąt i królów, kiedy wyprawiano weselisko. A potem oczy ich biegly ku wilgotnemu nadbrzeżnemu piaskowi, z którego wystawały szyjki wielu butelek, smukłe szyjki z barwnymi pieczęciami na korkach i szerokie gliniane, jakie niekiedy widzieli w mieście, kryjące w sobie prawdziwą wodę ognistą.

Zrazu stali niemi, a wielu ze starych składało ręce, ale potem, gdy to nie znikalo, jak obrazy latarni czarodziejskiej, ale pozostawalo: wyspa, dęby, namioty i cieleńta, gdy pan von Balk z otwartymi ramionami zapraszał ich na brzeg do cienia i na ranną kawę, tręcali się nawzajem ukradkiem, a wielu chwytalo się za ręce, by nabrac odwagi, aż Piontek pierwszy ze swą procą odważnie wyszedł na zielone urwisko. — No, to już niedługo przyjdzie mi do grobu, wielmożny panie — rzekł, zdejmując czapkę — bo takie coś za darmo nie przychodzi i ma swoje znaczenie. I to może miał bęk na myśli, kiedy w tym roku wołał, jak nigdy dotąd.

— *Allons, enfants!* — krzyknęła nagle papuga uderzając dziobem w srebrne pręty klatki.

Wszyscy musieli się śmiać i dopiero teraz poczuli się jak w domu.

Pan von Balk zaś, w białych spodniach i butach i niebieskiej kurtce, odetchnął lekko i zapalił swego pierwszego papierosa, bo nie wiedział sam dokładnie, jak też ludzie z Sowirogu czuć się będą na tych dożynkach.

Ale czuli się „straśnie aligancko”, jak powiedział Piontek.

Leżąc na ciepłym piasku, albo na niskim suchym mchu pachnącym w słońcu, jedli i pili. Wstawali i przechadzali się, oglądali te cuda, rzucali kostki i strzelali, powracając z nagrodami w ręku. Albo znów stawali na brzegu patrząc na drugą stronę, na swą cichą wieś i zdawało im się, że śnią. Ale przede wszystkim jedli i pili. Żniwa były ciężkie, od wschodu do zachodu słońca, a nie byli zwyczajni do uroczystych biesiad. Zadziwiające było jednak, że mogli jeść i pić, i nieraz spoglądali na pana von Balka, czy mu aby nie za wiele tego, co tu wyczyniają. Ale nie było mu za wiele, uśmiechał się tylko, a niekiedy brał któreś z dzieci na kolana i karmił je. Zepsuty żołądek, to szybko przemijające nieszczęście. Wiedział o tym. — Radość

chwili, Jons, to krótka radość — mówił. — Ale czy wiemy, przez ile lat będą do tego myślał powracać? Niech jedzą, Jons. Na co mamy we wsi wielkiego lekarza?

Chodził od jednej grupy do drugiej, pojadał z nimi coś niecoś i znowu wstawał, a niekiedy gładził po włosach którąś z młodych kobiet i z poważną miną patrzył na rumieniec barwiący ciemne policzki. — Nie byłem chyba dla was surowym panem, ludzie — rzekł w zamyśleniu. — Ci dzisiejsi będą inaczej z wami postępować. Ale ja miałem serce... Krogulec także może mieć serce.

Potem położył się znowu cicho i samotnie pod dębem, z rękami pod głową i patrzył na zielony dach, z którego już zwisały się owoce.

— To chyba najpiękniejsza biesiada w moim życiu — rzekł do Jonsa, który przysiadł się do niego na mchu.

— I po co pan to robi, panie von Balk? — zapytał cicho Jons.

— Ach, Jonsie Ehrenreichu, mędrku z Sowiego Zakątka, ponieważ wszyscy jesteśmy skazani. Nie zauważyłeś tego jeszcze?

Chruściel wołał z nie zżętych jeszcze pól owsa, a on przysłuchiwał się chwilę. — Dźwięczy to tak, Jons, jakby ostrzyli na nas topór. Po co więc płakać, póki jeszcze możemy się radować?

Jons także przysłuchiwał się monotonnemu śpiewowi, j co odzywał się już wtedy, gdy jeszcze w dzieciństwie sypiali w izbie. Śpiew biednej i cierplivej ziemi, który we wspomnieniu zlewał się z pięknym dźwiękiem ostrzenia kos, wczesnym rankiem obiegającym wieś. — A jeśli wygramy wojnę, panie von Balk? — zapytał cicho.

— Właśnie dlatego mówię, że jesteśmy skazani. Tylko w tym wypadku będziemy skazani na śmierć. W innym wypadku możemy być jeszcze skazani na nędzne życie. Ale tak, to śmierć. Śmierć dla panów i prostych ludzi. A jak, myślisz, będzie wyglądał świat, kiedy na czele miast i wsi staną Gottholdy i Maschlanki? Niech jedzą i piją, Jons. Oni przecie przez całe życie pragnęli i łaknęli. Nie tylko sprawiedliwości, jak mówi piękna księga marzeń, ale także tych rzeczy. Posłuchaj, jak ostrzą noże na polach, a potem radujmy się, dopóki jesteśmy na wyspie.

Ale nie całkiem był radosny wielki pan von Balk. Nie w głębi serca. Jego wargi uśmiechały się, usta żartowały, ale jego szare oczy, biegnące od jednej twarzy do drugiej, były samotne, pełne wiedzy, poznania, smutnej mądrości podeszłego wieku, oczy, co pojęły, że my wszyscy jesteśmy „od wczora”. Że możemy rzucić na szaniec

życie, tysiące i miliony mężnych i czystych istnień, ale niewiele więcej przez to zyskamy, iż mała, zagubiona, nieulekła garstka ludzi dobrej woli, a może i czystego serca. U wszystkich ludów i we wszystkich strefach ziemi. Nie oni kierują losami ludzi i narodów, nie oni ślą wielkie słowa przez głośniki. Ale to, że oni są, za drzwiami z zawieszoną tabliczką lekarza, albo w małej plebani, na poddaszu lub przy jakimkolwiek ognisku prostych ludzi, że są i zachowują słowa, wypowiedziane na górze galilejskiej, albo o kwiecie lotosu, czy o kubku z cykuta, to daje nie tylko smutną, ale i wielką pewność.

— Tak, to jest w ogóle jedyna pewność w życiu. Trzydzieści morgów, na których uprawiasz zboże, choć wokół ciebie podnoszą flagi i ostrzą noże. Chociaż wszystkie Maschlanki świata i wszystkie kanale świata otoczą twe trzydzieści morgów, szczerząc zęby. I wszystko jedno, czy uprawiasz na nich pszenicę, czy marzenie o wiecznym pokoju lub o sprawiedliwości na roli. To wszystko jedno. Ale gdy wiesz, że tam za lasem leży drugie takie samo pole, i tam Stilling opiera nogę na łopacie, albo Jumbo, a za nimi, daleko poza nimi, jest wiele takich trzydziestomorgowych pól, a choćby tylko trzy, to wystarczy ci, Jons, na całe długie, ciężkie, samotne życie. Rozumiesz mnie, Jons?

Tak, Jons rozumiał go doskonale.

— Widzisz, oni jeszcze raz przeorają to, na co myśmy potrzebowali tysiąca albo paru tysięcy lat. A teraz będą przewracać pługami parowymi, że ani żdźbła ściernią nie zostanie. A my znowu zaczniemy od początku, od samego początku, tak jakby gołębica dopiero wczoraj wyfrunęła z Arki i wróciła z gałązką oliwną. Ale w tym, że rozpoczniemy, Jons, my lub ludzie na innych trzydziestu morgach, w tym jest właśnie wielkość tego prostego życia. I dlatego daję im to święto, bo i oni będą zaczynać, zaczynać od nowa, jeśli z nich który pozostanie. Może będą zaczynać sochą, od domu z trzciny lub darni. Może będą zaczynać nie tu, lecz w Puszczy Lüneburskiej, lub na krańcach świata. Ale zaczną, Jons, na nowo, bez kapoty, bez butów, bez kościoła, bez pastora. Gołymi rękami i prostym sercem. „Jeden zostanie przyjęty, a drugi zostawiony.” Tak, Jons, jest jednak jakaś wielkość u prostych ludzi tego świata.

Zjedzono cielęta, otwarto butelki. Widzieli Maschlankę, jak w swym błyszczącym mundurze przyszedł z tamtej strony na brzeg, przyłożył rękę do oczu i wypatrywał oczy w ich stronę. Zachowywali się tak, jakby był mrówką biegającą z tamtej strony po piasku. Widzieli, jak chodził po brzegu, szukając łodzi, ale nie było.

Wszystkie zabrali ze sobą. W końcu przyłożył ręce do ust i wołał, a ludzie z Sowirogu słuchali w skupieniu, jak echo niesie dokoła jeziora.

A potem powoli powracał znowu między domami do wsi.

Słońce chyliło się z wolna na błękitnym niebie, łagodnie świecące słońce, także jakby osnute babim latem. Ani chmurki na widnokręgu, ani dźwięku na polach, prócz niezmordowanego wołania derkacza. Błękitniały lasy, pola załśniły czerwienią. Kobiety pojechały nakarmić bydło i wydoić krowy, a potem znowu powróciły. Jan wziął na kolana harmonię swego ojca i tańczyli. W pierwszej parze pan von Balk z Marią. — Nie mam szczęścia do Jerominówien — rzekł z uśmiechem, patrząc jej w oczy.

Zaczerwieniła się lekko, a on zobaczył siwe smugi w jej włosach. — Za wiele mamy dzieci — odpowiedziała cicho. — Nie pozostaje czasu na szczęście.

Zapalono różnobarwne lampy pod ciemnym, olbrzymim sklepieniem. Ogniska ciągle jeszcze płonęły. Księżyc wschodził ciężko i czerwono znad sosen, przerzucając migocący most nad czarną wodą. Czapla wołała w dalekiej trzcinie i na chwilę zrobiło się cicho. Na drugim brzegu wynurzyły się z cienia w czerwonym blasku strzechy, białe kominy, piasek gościńca. A po chwili zobaczyli konia wolno nadchodzącego od lasu i podchodzącego wśród cienia pod mur cmentarza. — Czaja nadchodzi... — szeptały dzieci.

A potem wśród wielkiego milczenia stał się dziw: stara Krollowa w swej ciemnej chuście podeszła do Tobiasza siedzącego w środku koła na stosie drzewa, klękła przed nim i wyspowiadała się. Mówiła cicho, ale każde jej słowo słychać było wyraźnie, jak w pustej milczącej piwnicy. Złożyła ręce na piersi i na te ręce spuściła oczy. Mówiła, że była zła i ostra przez całe życie. Biła córkę, a zięcia okradała z gospodarstwa, co tylko mogła brała i z innych obór, czego nie pilnowano, zwykle parę jaj lub młodego kurczaka. I wtedy także poszła do sołtysa, bo myślała, że jest w polu, a stajnie i obejście puste. Była chciwa i złośliwego serca. Zawistnym okiem patrzyła na skromny dobrobyt innych, a przeklinała własną biedę. Nie jest warta obchodzić to święto i przyjąć Najświętszy Sakrament. Prosi o przebaczenie każdego, komu dokuczyla, Wszystko, co zaoszczędziła, lub niesprawiedliwie zagarnęła, odda swej córce i prosi, by spłacić to, co ukradła. I prosi pana pastora, by jej przebaczył dla Chrystusa.

Ani łzy w jej bezzębnym oczach. Ani szlochu z bezzębnych ust. Tylko klęcząca postać otulona w wielką chustę i cichy monotony głos, co zdawał się wypełniać całą wyspę.

Pan von Balk ściągnął brwi, a ludzie z Sowirogu słuchali, jakby duch boży ukazał się nad wodami.

Tobiasz pochylił się nad nią i położył rękę na jej ramieniu. — Dwie będą mleć ze sobą — rzekł. — Jedna będzie przyjęta, a druga zostawiona. Ale ty nie będziesz zostawiona.

Podniósł ją i poszedł z nią od jednego do drugiego i przed każdym pochylała się i mówiła cicho: — Przebacz mi dla Chrystusa.

Później ludzie z Sowirogu mówili, że to było najpiękniejsze z całego dnia, prawie piękniejsze jeszcze niż pieczone cielęta. Zdawało im się, że Jezus w swej wędrówce przyszedł w myślach na wyspę, i jak w myślach spojrzął na nich wszystkich, i wtedy to się stało.

Tylko stary sceptyk Daida nabrał prymkę na brzozowe wieczko i rzekł: — I w wódeczce może pan Bożyczek mieszkać. Nie tylko w kościele.

A potem pan von Balk kazał wystrzelić rakiety aż do gwiazd. — Bo dzieci z Sowirogu nigdy jeszcze nie widziały rakiet — mówił jak na usprawiedliwienie. Od czasów ostatniej wojny nie było w Sowirogu większej jasności. Czerwony, żółty i zielony blask oświecał zwrócone ku górze twarze i przemieniał je, nim znowu pograżyły się w ciemności. A gdy barwne kule opadały wolno i bezgłośnie, ich odbicia równie bezgłośnie unosiły się z wody im naprzeciw, by zgasnąć razem w tej samej chwili. A oczy dzieci patrzyły tak, jakby widziały aniołów rozpościerających nad wyspą swe barwne skrzydła.

A potem popłynęły łodzie wodą z powrotem. Przecięły czerwony most księżyca i pograżyły się znowu w cieniu. Zgasły ognie, nie płonęły już latarnie. Krąg księżyca srebrzał z wolna wznosząc się z oparów widnokregu, a pod nim nie było słyhać nic prócz cichego ruchu dalekich wiosł i pieśni derkacza, co zdawała się sięgać gwiazd.

Pan von Balk pozostał z Jonsem, chciał bowiem przenocować w szałasie. — Jak za dawnych czasów — mówił. Stali na nadbrzeżnym piasku, który z wolna pokrywał się rosą i patrzyli na skąpane w blasku chaty. Łodzie wynurzały się właśnie z cieni nadbrzeżnych, a srebrzyste kręgi od ostatnich uderzeń wiosł biegły bezgłośnie po jeziorze.

Pan von Balk położył rękę na ramieniu Jonsa i przycisnął go lekko do siebie. — To było jednak piękne życie Jonsie... — rzekł. — Piękne życie... i dziękuję ci.

Potem zaczął z wolna wspinać się po zboczu ku szałasowi, a jego długi, smukły cień snuł się po zroszonej trawie.

Rozdział 21

- Więc tegośmy obaj tutaj dowiedzieli, panie Stilling — zapytał Jons — że po raz drugi w tym samym pokoleniu podpalają ziemię, a nasze książki i plany rozdeptują podkutymi butami?

Spojrzał ponuro na globus, przed którym siedział, i na którym Stilling zaznaczył wieś Sowiróg małą szpileczką z czerwoną główką. Okno było otwarte i docierał do nich z oddali warkot eskadr samolotów powracających ze wschodu.

— Nie, Jons — odpowiedział Stilling cicho, ale stanowczo. — Nie o to chodzi. Ale o to, że i tu i gdzie indziej, i na całej ziemi siedzi razem dwóch ludzi, co zadają sobie to pytanie. Że nie wszyscy maszerują, wiwatują i wrzeszczą jak odurzeni, ale że wszędzie jest kilku cichych, wielu cichych, co nie uczestniczą w tym wrzasku i rozlewie krwi. I tego właśnie myśmy obaj tu dowiedzieli, Jons. Może to tobie wydaje się niewiele, ale mnie wydaje się dużo, bo jestem starym człowiekiem, który pragnąłby widzieć, że coś pozostało po jego długim życiu. Widzę, że ty i ta wieś pójdziecie na tę wojnę jak na sąd, nie jak na gody, i to jest pociecha dla moich siwych włosów.

Minął miesiąc, zegar gotował się, by wybić godzinę, ale wieś mówiła nie o tym, co przyjdzie, ale o tym, co było: o dożynkach, jakie im pan von Balk wyprawiał na wyspie. Jak gdyby on ich w ten sposób opancerzył i uodpornił na wszelkie ziemskie plagi. Oni także słyszeli eskadry samolotów, a w ciche noce lekkie dudnienie stalowych kół toczących się na wschód. Odpychali to od siebie. Wiedzieli, że to nadzieje i niepotrzebny im był widok Maschlanki, który gonił po gościńcu wykrzykując do domów ostatnie wiadomości. Zatrząskiwali drzwi lub upominali go, by na czas spakował tornister, bo pewnie będzie pierwszy, co polskim ułanom skoczy do gardła.

Wiedzieli wiele, bo wiele wie wieś, która ma za sobą stulecia. Jak to po każdym pokoju nienawiść wżera się cicho coraz głębiej, jak ogień na moczarach — tłący się pod powłoką darni coraz dalej i dalej — aż nagle wybucha. Jak to przemawia się z kazalnicy do prostych ludzi i prości ludzie zachowują to w sercach. Ale inne są myśli wielkich, i kiedy według ich mniemania nadzieje czas, wtedy i kazalnicy głoszą, że to słuszna sprawa i Bóg pobłogosławi oręż sprawiedliwych. I zawsze zaczyna się od wieńców na skronie prostego człowieka, a kończy na krzyżach na jego grobie.

Wiedzieli to wszyscy, a wielu z nich doświadczyło już tego na własnej skórze. A najlepiej było wziąć pług w garść, póki jeszcze na to pozwalają, przewiązać się płachtą do siewu i pobłogosławić tych, co muszą wyruszyć. Dobrze jest także raz jeszcze przemyśleć swe życie i zmazać największą krzywdę, jak to uczyniła stara Krollowa, zanim najdzie człowieka i nie będzie już czasu. Jak kiedyś, gdy kościół stanął w płomieniach, a potem domy, obory i stodoły, i nie pozostało nic prócz nagich kominów sterczących ze zwęglonych belek w zadymionym powietrzu, „Także kto na roli”, mówił ich pastor, „niech się nie wraca do tego, co jest poza... dwaj będą na polu; jeden będzie przyjęty, a drugi zostawiony”.

Minął miesiąc, zegar gotował się, by wybić godzinę. A kiedy drgnęła wskazówka, zdjęli na polach czapki z głów i złożyli ręce do pacierza, a potem znów zamachnęli się kosami, by żąć złoty owies. Większość z nich obejrzała się ukradkiem na wielki moczar, gdzie stały stare dęby, czy nie ujrzą tam sylwetki Gogunowego syna. Bo przyszedł już chyba na niego czas, by ujść na pustkowie, nim go raz jeszcze zabiorą. A jeśli weźmie ze sobą wnuka Jerominów, tym lepiej. Nie trzeba, by wieś przelewała krew za tych co się rozjeżdżają po kraju wielkimi wozami. Płynęła już ona w pokojowych czasach, a raczej w czasach, które oni tak nazywali. Wieś potrzebowała swej krwi – dla siebie i dla roli. Nie potrzebowała wieńców.

A więc los znowu podnosił głowę, a przynajmniej tak się ludziom wydaje. Zapomnieli, że budzili go i wzywali, od siedmiu lat czy od dwudziestu, a może jeszcze dawniej. Myśleli, że wołają o prawo, czy o wielkość, czy o jakąś inną z tych idei, co rozchodziły się z głośników. Ale w rzeczywistości niczego innego nie wzywają, tylko losu. Budzą go i kształtują własnymi rękami, każdym wypowiedzianym słowem, każdym głoszonym wyznaniem wiary, każdym wyrokiem, jaki wydają ich sędziowie. Nie jest on czymś z zewnątrz, jak zbójca w lesie, czyhający na swoją chwilę. Wyrasta na polach swego czasu i jak go wysieją, tak wschodzi. Nie można przemienić zasianego ziarna, kiedy już w ziemi leży. A nie omija ono niczego, nawet wsi Sowirodu. Bo i tam go posiano. Można skarżyć się na sposób, w jaki podnosi sierp i uderza, ale później, w trzy lub dziesięć lat później, uznany, że zrobił tylko to, co do niego należało, i że nawet śmierć może być łaskawa.

Pan von Balk był w powiatowym mieście, by załatwić to, co jeszcze na najbliższą przyszłość było do załatwienia, a potem wypił jak zwykle butelkę burgunda, kiedy nadeszła wiadomość, że godzina wybiła. Nie było to dla niego nic nowego, i tylko grymas wystąpił na jego usta, gdy słyszał słowa, którymi przekazywano tę wieść

sercom naiwnych. Ale w małych pokoikach hotelowych byli także inni ludzie, którzy odurzeni tymi słowami zaczęli śpiewać, wznosząc ręce do góry, z wyrazem zachwytu i upojenia na twarzach. A jeden z nich zapytał, czy szanowny pan może nie jest Niemcem?

Pan von Balk, przełożywszy monokl do prawego oka, zmierzył pytającego wzrokiem — od kołnierza kurtki aż po czubki lśniących butów — a potem odpowiedział z wyrazem chłodu na twarzy: — Owszem, Niemcem, ale nie idiotą.

A potem dodał jeszcze coś, czego lepiej nie powtarzać, wyszedł i wszedł do swego wozu. Niewielu było ludzi w powiatowym mieście, którzy by się ośmielili zatrzymać pana von Balka idącego do swego wozu, a ci z pokoju hotelowego do takich nie należeli. Może kto powie, że winna tu była butelka burgunda. Ale prawdopodobnie gniew i odraza, które opanowywał w milczeniu przez tyle lat, musiały w końcu przerwać tamę, zanim mu przeżarły duszę. Oto los pana von Balka, nad którym on sam przez całe życie pracował, z uśmiechem, życzliwością czy pogardą, przybrał już ostateczny kształt, dojrzały i niezmienny i teraz podniósł rękę. Wieś mogła nazwać ten los oplakany, a ludzie z pokoju hotelowego zasłużonym. Ale nie był on ani jednym, ani drugim. Był po prostu spełnieniem, niczym więcej. A już w parę lat później ludzie z Sowirogu przekonali się, że był on także łaskawy.

Bo nie było dane panu von Balkowi żyć pod władzą pachołków. Nie dlatego, że chciał żyć, jak żył jeszcze jego ojciec, ze szpicrutą w ręku, lub któryś z satrapów przeszłości. Ale chciał żyć i żył jak pan. Jak szlachetny piastun wielkiego dziedzictwa, pól, ludzi i bydła. Niepodległy nikomu, ani dla nikogo ekonom. Niepodległy nawet słowu, a cóż dopiero frazesowi czy masowemu szaleństwu. Wybraniec starej krwi, z zamkniętym sercem i zatrzaśniętą przyłbicą, ktoś, kto trzyma tarczę nad prostymi ludźmi, tak jak jego przodkowie trzymali nad nimi batog lub miecz. A że czas panów wypełnił się, więc i los jego był tylko odbiciem czy wypełnieniem czasu i był miłosierny, jak wszelkie wypełnienie jest miłosierne.

Nie było nikogo w pobliżu, prócz starego ogrodnika, który zmiatał pierwsze zeschnięte liście sprzed tarasu. Był wstrząśnięty, jak starzy ludzie, gdy grad pobije ich wypielegnowany ogródek, tyle przecie można było z jego mowy zrozumieć, że wczesnym rankiem przed zamkiem zatrzymał się wóz i dwaj mężczyźni okrążając dom weszli do parku i po stopniach tarasu poszli do biblioteki. — Zwyczajni ludzie — mówił — tylko że patrzyli na niego, jakby kradł owoce w cudzym ogrodzie.

Potem słyszał głos wielmożnego pana, ostry, zimny i gniewny, jaki zwykł mieć, gdy ktoś bił konia, a potem padły strzały, dwa lub trzy, a może cztery, a potem było cicho. Kolana mu drżały i musiał się na chwilę oprzeć na trzonku swej motyki, zanim poszedł po stopniach na górę. A tam wielmożny pan leżał na czerwonym dywanie, a przed nim dwaj obcy ludzie, a z tyłu stał trzeci, który zapewne wszedł do biblioteki z drugiej strony, bo jeszcze otwarte były drzwi prowadzące do hallu.

— Mordercy! — zawołał ogrodnik. — Na pomoc! Mordercy! — A wtedy ten trzeci człowiek podniósł na niego pistolet i szybko wyszedł, potem słyszał wóz odjeżdżający z dziedzińca. A po pół godzinie przyjechały dwa wozy zabrały trupy dwóch obcych ludzi i znów odjechały. Ale u stóp wielmożnego pana leżała, czerwona kartka, rozkaz aresztowania, którą podniósł po kryjomu i schował do kieszeni.

Kiedy przyszedł Jons i pierwsi ludzie z Sowirogu, pan von Balk leżał wciąż jeszcze na czerwonym dywanie, wyciągnięty, wyprostowany i cichy, jakby spał. Zamknęli mu oczy i ułożyli ręce na piersiach, ale nie udało im się wyjąć pistoletu z zaciśniętych palców i leżał teraz lśnić niebieskawo na jego piersi, jak w dawnych czasach kładziono takim zmarłym Księżę albo miecz. Wargi jego zdawały się uśmiechać, a od strony ocienionej uśmiech ten wydawał się zimny, szydery, triumfujący. Śmiertelna kula przeszła mu kark od tyłu. Nikt nie rzekł ani słowa, tylko dziewczęta popłakiwały. Jons w sąsiednim pokoju nadał telegram do kuzyna mieszkającego na skraju Puszczy Lüneburskiej i zadzwonił do prokuratury. Potem rozmawiał parę minut z głównym rządcą i chwilowo nie było już nic więcej do zrobienia. Stał chwilę przed kominkiem, pełnym białego popiołu brzoźowych drzew i pochylił się nad otwartą książką. Był to „Schüdde-rup”¹ Wilhelma Raabego.

— Chodźcie — rzekł cicho do ludzi z Sowirogu, raz jeszcze rozglądając się dokoła.

Poranne słońce świeciło na grzbietach książek i dosięgło srebrnych prętów klatki. Stara papuga poruszyła się i spojrzała swymi nieruchomymi, zamglonymi oczyma na zabitego i tłum obcych ludzi. — Otto — rzekła ochryłym, sennym głosem — nie bądź śmieszny!

Ale pan von Balk był już bardzo daleko od wszelkich kręgów śmieszności.

Wolno powracał Jons piaszczystą drogą do Sowirogu. Na wzgórku, gdzie kiedyś obaj stali, zatrzymał się raz jeszcze i rozejrzał dokoła. Tu mówił pan von Balk o

¹ W gwarze dolnoniemieckiej — rozklekotany wóz, karawan. Tytuł powieści W. Raabego (1831—1910), w której główna bohaterka ginie, a kanalia triumfuje [przyp. tłum.].

chwiejącej się ziemi. Żniwiarki jechały przez ostatnie pola owsa, a u błękitnego skraju lasu już orano ściernisko. Rosa pokrywała trawy, a tu i ówdzie złościły się już brzozy. Derkacz już nie wołał. Rok dobiegał końca, wielka ziemia spełniła, co do niej należało.

Jons odwrócił oczy w bok i zobaczył w dali wieś ze ściętą dzwonnica kościoła.

Dym unosił się nad kominami, a Piontek wypędzał bydło. Jemu teraz, Jonsowi, przyjdzie się o nich troszczyć: o ludzi, zwierzęta, domy. Teraz już jemu tylko jednemu. Nie potrzeba było testamentu. Wiedział, że zmarły złożył go w jego ręce. A on wypełni. Bez sprzeciwu i bez lęku. I jego los nadszedł. On nikogo nie pomija.

Ale dla wsi był to jakby ogłuszający cios w skroń. Zawsze, jak sięgano myślą, zdawało się, że pan von Balk był ogniwem łączącym ich z tym, co nazywali opatrnością. Był murem stojącym między nimi i możnymi. Był tarczą, co osłania ich przed samowolą, bezprawiem i przemocą. Z jego szarych oczu nad siodłem płynęło tyle pociechy, tyle spokoju, tyle uśmiechniętej kpiny ze zgiełku świata. Teraz byli tylko prostymi ludźmi, których znów można było zaprząć do pługą, kazać im żyć i umrzeć, jak się chce. Teraz był już tylko Jons Ehrenreich i oni sami. Drogowskaz w lesie wskazywał ich szarym ramieniem, a oni stali teraz, stłoczeni jak przed barykadą z wozów, i czekali.

Pan von Balk spoczywał na marach w wielkiej sali, gdzie starodawne portrety przodków spoglądały ze ścian. Pociągłe, surowe oblicza nad pancerzem lub kryzą, a kobiety wyglądały tak, jakby się tu tylko zabłąkały. Wysokie okna były otwarte i nawet murawa w parku pełna była czarnego, milczącego tłumy.

Zaraz przy wejściu Jons zauważył dwóch nieodświętnie ubranych mężczyzn, stojących przy drzwiach od tyłu, nie tak bardzo znów pewnych siebie, jak starali się to okazywać; od czasu do czasu porozumiewali się ze sobą szeptem.

Podszedł do nich natychmiast i rzekł cicho, że może im udzielić dobrej rady, by natychmiast opuścili to miejsce i dom. Nie może zaręczyć za nikogo z tych setek, co tu przyszły, ani nawet za to, czy wielu z nich nie ma broni pod kapotą. Dość już poczyniono okolicznym ludziom, a jeśli tylko popatrzą na twarze, to może zauważą, że tu niektóre sprawy są postawione na ostrzu noża.

Obaj starali się okazać opanowanie i butę, ale potem wzruszyli tylko ramionami i z wolna zaczęli wycofywać się ku drzwiom. Jeden z nich zapytał tylko, czy Jons może zaręczyć, że żadne niestosowne słowo tu nie padnie.

Odpowiedział chłodno, że za nic nie ręczy, a co jest stosowne, a co nie, o tym w takich domach wiedzą lepiej niż gdzie indziej.

Tobiasz stał między wysokimi świecami woskowymi i mówił na temat słów proroka Izajasza: „Ale twoi zmarli żyć będą, a moje trupy zmart-wychpowstaną. Zbudźcie się i sławcie, którzy leżycie pod ziemią! Bo rosa twoja jest rosą zielonego pola; ale ty powalisz krainę zmarłych.”

Nie mówił nic „niestosownego”. Nie oskarżał. Mówił tylko, że odszedł od nich człowiek szlachetny i teraz oni wszyscy muszą się stać jeszcze szlachetniejsi, by zachować coś z tego, co stracili. Może zmarły nie widział Boga, ale Bóg go widział, owszem, nie spuszczał go z oczu. Tylko ludzie potępiają tego, który nie widzi Boga, ale Chrystus nie nauczał ludzi potępiać. Nie trzyma Chrystusa za rękę ten, kto powie bratu swemu: „głupcze!”. A jeśli zmarły nie widział Boga, to przecie widział serca prostych ludzi. Nadał mu tylko inne imię, nic więcej. Był on rosą zielonego pola. Znikała ona z pola, ale korzenie traw zachowują ją na długo. A oni, ludzie tego domu i ludzie z Sowi-rogu, niech nie będą gorsi niż korzenie traw. „Jeden będzie przyjęty, a drugi zostawiony.” Ale niewielu będzie tak przyjętych, jak ten.

Powracali powoli przez jesienne pola, wspinając się na wzniesienie i znów schodząc w dół. Długi, czarny, milczący pochód. Dzwony z Sowirogu dzwoniły ciągle, zagłuszając daleki łoskot samolotów, lecących na wschód. Słońce już zachodziło i wielu z nich patrzyło Ku czerwono oświetlonej wyspie, gdzie zmarły urządził ostatnie święto. Zdawało się, że wiedział z góry o wszystkim i szeroko otworzył drzwi, by wpuścić los.

Jons szedł sam. Podziękował hrabinie, która chciała go wziąć do swego wozu, a także pani von Bohnen, która przyjechała z córką. — Ale pan nie jest sam. Mylą się ci, co myślą, że zmarli odchodzą. Nikt nie odchodzi mniej niż umarli. Raczej żywi. Niech pan stanie teraz między zmarłymi, by żyjący mogli pana widzieć.

Jons miał w kieszeni zapieczętowany list, który znalazł w papierach zmarłego. Ale nie chciał go otwierać, dopiero znacznie później. Zmarły nie był jeszcze tak daleko, by potrzebował do niego pisać. Miał jeszcze w uszach dźwięk jego głosu. „Z podniesioną głową, Jons!”, powiedział ten głos, i nic więcej być nie mogło w zapieczętowanym liście. Biodro zostało naprostowane, jak przepowiedział Czaja, a Bóg różne jeszcze może mieć wobec niego zamiary.

Zapadł pierwszy łagodny zmierzch, gdy wrócił do wsi. Ludzie stali jeszcze zgromadzeni tak jak szli i patrzyli nieprzychylnymi oczyma na pierwsze czołgi, które trafiły do Sowirogu, na ową rogatą bestię, która wynurzyła się z morza. Dla nich nie było to nic innego, a działa, groźnie wzniesione ku górze, stały się dla nich znakiem, który Bóg dał bestii.

Młodzi ludzie, stojący w wieżyczkach, śmiali się do nich, dumni i pewni potęgi, co pod nimi porusza się niepowstrzymanie na stalowych gąsienicach. Ale twarze ludzi z Sowirogu nie drgnęły. Nie było im do śmiechu. Więc milkły powoli żarty, a młodzi zwycięzcy pomyśleli, z urazą i lekceważeniem, że przyjechali do wsi dzikusów, żyjących z dala od prącego naprzód świata. A niektórzy pomyśleli, że może to już polska wieś, i że spokojnie można by skierować na początek działka na te szare, nieprzyjazne chaty.

A jeśli mieli jeszcze jakie wątpliwości, to nabrali pewności, gdy stary człowiek z kolczykami w uszach i laską ozdobioną dziwacznym łańcuchem podniósł tę laskę, i nad ich głowami wskazał na jeden z tonących w mroku pagórków. Widzieli także, jak kobiety i dzieci uniosły złożone ręce do piersi i wtedy zobaczyli przy jednej z miedz polnych starego, białego, wychudzonego jak szkielet konia, z białym, sięgającym do ziemi ogonem. Podniósł łeb, jakby chciał rzeć lub krzyczeć, ale stał tylko nieruchomo, z wzrokiem utkwionym gdzieś w dal ponad moczarem, znad którego podnosiły się pierwsze mgły, jakby ujrzał tam coś, czego oni wszyscy dostrzec nie mogli.

Było to trochę niesamowite, jak wszystko, co w mroku ich otaczało i zrazu uciszyla się i wraz z ludźmi z Sowirogu patrzyli na dziwne zjawisko. Ale potem wróciła ich dawna zarozumiałość i lekkomyślność, i upojenie pierwszą wyprawą na wroga. Jeden z nich wyciągnął pistolet i zaczął strzelać do płowego celu, stojącego w dali pod ciemnym żywopłotem.

Ale po pierwszym ostrym wystrzale, co odbił się echem od strzech, stało się coś jeszcze dziwniejszego. Koń uniósł się na tylnych nogach — jakby został trafiony, lub tylko wierzgał czując nad sobą obcą rękę — i dobywając z gardła donośny, groźny i wcale nie zwierzęcy krzyk przesadził długim skokiem niski żywopłot, goniąc jak smuga mgły przez ścierniska i zagony na moczary. Grzywę miał rozwianą, ogon unosił się za nim jak chorągiew, a uderzenia kopyt wydawały szczególny głuchy dźwięk, jakby gnał po wydrążonym gruncie.

Zniknął w mgłach moczaru, tam, gdzie żadne jeszcze zwierzę nie znalazło ścieżki. Zlał się z nimi, rozplynął w nich, był jakby częścią płowego, rozjaśnionego pustkowiecia, co stamtąd rozciągało się ku wschodowi.

Od tej chwili ludzie z Sowirodu nie zobaczyli go więcej.

Patrzyli jeszcze za nim, gdy już czołgi dudniąc wytaczały się ze wsi. Za nimi wyrosła ściana jasnego pyłu, a za nią miało się odbyć coś nieznanego, nieprzeniknionego, ociekającego krwią.

Ludzie z Sowirodu westchnęli, mężczyźni, kobiety i dzieci. Wiedzieli, że nie ujrzą przed swymi drzwiami anioła ze skrzydłami lśniącymi srebrzyście w blasku zorzy wieczornej. I nie zobaczyli go. Ale na progu domu Bojarów zobaczyli Jonsa Ehrenreicha trzymającego na lewym ramieniu wnuczka Bojarowej. Objął ręką bosc, ubrudzone nóżki dziecka i patrzył za czołgami. Nie uśmiechał się, nie miał także oblicza Michała Archanioła. Ale gdy zwrócił oczy ku ludziom z Sowirodu, wydawało im się, jakby przynajmniej skrzydło anioła go musnęło. Nie mówił nic, patrzył tylko na nich, na każdego po kolei, mężczyzn, kobiety i dzieci i wiedzieli, że wszystko jest dobrze. Nie tak dobrze, jak ludzie zwykle się spodziewają po tym słowie, ale to, że on pozostanie z nimi, swojak między swojakami, to było dla nich najmądrzejsze i najlepsze na świecie, co znali, i dlatego było im dobrze.

Dziecko trzymało w ręce zabawkę na sznurku, brudną, ongiś jasną kulkę z wyblakłym wieńcem kwiatów otaczającym krągłość. Wolno poruszało rączką zmęczoną zabawą, a kulka chwiała, się na jasnym sznurze tam i z powrotem. Wyglądała jak wahadło w milczeniu wznoszące się i opadające przed sercem Jonsa Ehrenreicha.

Posłowie

Trzeci tom tej książki ciężkimi i straszliwymi literami napisała historia i żadna twórczość literacka nie ma prawa opromieniać blaskiem tych okropności. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko przyjąć z powrotem tych działających i cierpiących do serca, z którego powstali. Piasek spoczywa na ich zagasłych oczach i nie wiemy, jakie Bóg jeszcze ma zamiary wobec tego piasku Sowirodu.

Ale jedno przynajmniej niech będzie ich udziałem: Odpoczynek wszystkim uśpionym i pokój wszystkim zmarłym.

Hof Gagert, w lipcu 1946 r.

Ernst Wiechert